

Luanne Rice

Wakacyjne przyjaciółki

Przełożyła Małgorzata Żbikowska

*Dla
Rosemary Goettsche,
Maureen Onorato
i Suzi Chapman –
z wyrazami miłości*

Podziękowania

Za zamki z piasku i kolorowe szkiełka – Debbie Buell i Maggie Henry, Karen Covert, Laurette Laramie, Kathleen Stingle, Sue Detombeur, Susan Ravens, Marilyn Gittell, Amy i Molly Gittell-Gallagher, Andrei, Alex i Jesse Cirillo, Meg Ruley i Alexandrze Merrill-Lovett, Sam Whitney i mojej drogiej chrześnicy, Sadie Whitney-Havlicak.

Uściski i podziękowania dla Irwyn Applebaum, Nity Taublib i Tracy Devine za wsparcie, życzliwość i za to, że są takimi wspaniałymi przyjaciółkami i wydawcami.

Wielkie dzięki Markowi Lonerganowi i Dore Dedrick za muzykę i poznanie z prawdziwą Tilly.

Wyrazy głębokiej wdzięczności Sea Education Association z Woods Hole w Massachusetts. Przed wielu laty spędziłam pół roku na trzydziestometrowym szkunerze r/v Westward. Żeglowaliśmy po Morzu Karaibskim, śledząc humbaki. Odnajdywaliśmy drogę według map, przyrządów nawigacyjnych i gwiazd, uczyliśmy się posługiwać sekstantami i określać pozycję względem słońca. Spuszczaliśmy hydrofony, by słuchać i analizować śpiew waleni. Uczyliśmy się z oceanografami, spuszczaaliśmy sieci i pobieraliśmy próbki z dna morza. Spędziliśmy Boże Narodzenie w rejonie Silver Bank i

zwiedziliśmy plaże na wyspach Grand Turk, Saint-Barthelemy i Mona. Z Amy Gittell, moją współtowarzyszką wyprawy, połączyła mnie wieloletnia przyjaźń. Sea Education Association nie tylko kształci, lecz przede wszystkim uczy miłości do morza. To wspaniała organizacja.

Dziękuję Karen, Joshui i Elijahowi Stone'om, Jolaine Johnson, Pam Paikin i Edowi Barkerowi za przyjaźń i wsparcie.

Mia O. i BGG są wielcy.

Za serdeczne wspomnienia z plaży Billowi, Peg, Lindsay i Katie Deckerom, Carmen, Stacy i Stephanie Decker, Rickowi i Courtney Deckerom; Laurze, Kevinowi, Stephenowi i Jenny Boyle'om; Ricie Decker, Thomasowi Deckerowi Sisco i Michaelowi Deckerowi Sisco, Kathy, Michaelowi i Julie LeDonne'om; Kevinowi, Annette i Christopherowi Brielmannom, Jimowi i Kathie Brielmannom; Tomowi i Renee Brielmannom, Peterowi, Joanne, Karze i Alexowi Brielmannom; Harry'emu Juniorowi, Shirley Louise-May, Isabelle, Gabrielowi i Rose Brielmannom.

A także kilku chłopcom z plaży: Williamowi Twiggowi Crawfordowi, Paulowi Jamesowi, Gene'owi Reidowi, Martinowi Rufowi, Tomowi Murtha, Davidowi Ryderowi, Jeffowi Woodsowi, Scottowi Phelpsowi oraz pamięci Dennisa Shortella.

Prolog

Czerwiec 1976

Trzy przyjaciółki rozłożyły ręczniki w rzędku na białym piasku, tuż przy brzegu morza, pod lazurowym niebem. Rozgrzana słońcem plaża parzyła je w plecy, jednakże świeża bryza wiejąca znad cieśniny chłodziła przyjemnie ciała. Fale podchodziły im już prawie pod stopy. Zbliżał się przypyływ i dziewczęta wiedziały, że wkrótce będą musiały przesunąć ręczniki dalej, żeby się nie zamoczyć, lecz ta chwila czerwcowego poranka była zbyt piękna dla szesnastolatek, by ją przerywać.

Stevie wiedziała, jak szybko wszystko przemija. Przekonała się o tym jako mała dziewczynka. Poza tym była urodzoną artystką i dobrze rozumiała, jak trudno jest uchwycić chwilę. Powieje wiatr, cień przykryje słońce, światło zmieni barwę morza z ciemnoniebieskiej na zieloną. Wystarczy odwrócić wzrok, a świat już wygląda inaczej. Osoba, która zdawało się, będzie żyć wiecznie, odchodzi. Tylko rysunki pozwalały zatrzymać czas.

Madeleine nie miewała takich myśli. Była młodszą siostrą najpopularniejszego chłopaka w szkole, toteż zawsze czuła się bezpieczna, potrzebna i w centrum uwagi. Brat chronił ją przed sprawami, o których nawet

nie myślała, a potem nie było sensu się martwić, gdyż niebezpieczeństwo lub kłopoty mijały. Delektowała się więc gorącym słońcem i błękitnym niebem, bo od tego było przecież lato. A kiedy dzień się skończy, przyjdzie po nim następny.

Emma ziewnęła, wyciągnęła nogi i czubkami palców dotknęła wody. Uwielbiała, gdy fale muskały jej łydki, z każdą chwilą coraz intensywniej. Opalanie bywało okropnie nudne. Świadomość, że zbliża się przyływ, wprawiała ją w ekscytację. Morze było dla niej jak doświadczony kochanek (czy raczej jej wyobrażenie o doskonałym kochanku). Kiedy nurkowała, brało ją w objęcia. Uwielbiała jego uwodzicielski, nieuchwytny i zmienny charakter, zmiany bowiem były dla niej czymś na kształt ekstazy, dzięki nim wiedziała, że żyje.

– No więc? – spytała teraz, leżąc na plecach z zamkniętymi oczyma.

Przyjaciółki nie odpowiedziały. Gdyby ich nie znała, mogłaby pomyśleć, że jest na plaży sama.

– Nie chce mi się ruszać – stwierdziła leżąca w środku Maddie. – Jest tak cudownie. Wprost idealnie.

– Stevie, czemu nic nie mówisz? – spytała Emma.

– Idziemy popływać?

– Pod warunkiem będziemy trzymać się za ręce – padła odpowiedź.

Emma stłumiła uśmiech. Stevie uwielbiała takie rzeczy.

– Ludzie pomyślą, że jesteśmy dziwne – zachichotała Maddie.

– Bo jesteśmy, czy raczej ja jestem – odparła Stevie.

Emma na próżno czekała, aż przyjaciółka się roześmieje.

Gdy Stevie się nie śmiała, robiło jej się smutno. Nie lubiła być smutna. Rodzice nie aprobowali takich uczuć, woleli, żeby wszystko było optymistyczne i atrakcyjne. Emma starała się nie analizować własnych myśli, co często robiła Stevie. Miała kilka sposobów na blokowanie przykrych lub denerwujących spraw, skutecznych zarówno w wypadku chłopców, zakupów, jak i najlepszych przyjaciółek. Niewiele się zastanawiając, chwyciła Maddie za rękę. Stworzyły łańcuch i popatrzyły na mieniącą się w słońcu zatokę. Granitowe skały pofałdowaną linią wchodziły w głąb cieśniny, tworząc dla białej plaży w kształcie półksiężyca naturalną ochronę przed atakami morza. Od strony widocznej w oddali skalistej wyspy niosły się krzyki mew, które miały tam swoją siedzibę. Emma wiedziała, że Stevie pływa na nią o świcie, by rysować gniazda z pisklętami czekającymi, aż ich mamy przyniosą coś do jedzenia.

Przyprawiało to Emmę o drżenie. Przyjaźniły się ze Stevie od dzieciństwa. Maddie dołączyła do nich później, lecz doskonale wpasowała się w trójkąt, w którym Emma była tą śmiałą, Maddie tą szczęśliwą, a Stevie tą wrażliwą.

Stevie i Maddie nie przeczuwały nawet, że Emma oddałaby za nie życie. Była śmiała, wesoła, zaborcza, ładna i miała bzika na punkcie chłopców. Te cechy charakteru były ulubionym tematem żartów jej

przyjaciółek. Chociaż wymyśliła specjalny rytuał, by przypieczętować ich przyjaźń, uważały, że w rzeczywistości nic on dla niej nie znaczy, że są dla niej tylko wakacyjnymi przyjaciółkami. W rzeczywistości jednak były dla niej wszystkim.

– No to jak, idziemy popływać? – spytała Maddie, ciągnąc przyjaciółki za rękę.

– Chciałabym, żeby... – powiedziała Stevie, zaciskając powieki.

Emma wstrzymała oddech, czekając na jej słowa. Stevie postrzegała plażę w zupełnie inny sposób. Plaża była dla niej inspiracją. Patrzyła na nią, chłoneła światło, bryzę, ptasie głosy, gwiazdy, a potem przelewała na papier, tworząc obrazy i rysunki. Emma nie zważała na to, że fale obmywają jej stopy. Utkwiła wzrok w twarzy Stevie, pięknej, wyrazistej i bladej, bo zawsze chroniła ją przed słońcem, okolonej czarną grzywką i obciętymi na pazia włosami, i poczuła gdzieś w głębi ostry ból.

– Co byś chciała, Stevie? – spytała Maddie.

Serce Emmy zaczęło bić mocniej. Wiedziała, że Stevie powie zaraz coś oryginalnego. Była taka dziwna z tymi swoimi wyprawami na ptasie wyspy przed wschodem słońca, nocnymi wycieczkami na moczary, słuchaniem lelków kozodojów czy znikaniem na cały dzień. Nieraz się zdarzało, że gdy z Maddie pukały do drzwi jej domu, ojciec informował je, że córka poszła szkicować kwiaty na grobie matki.

A potem opowiadała im o tym. Była dziewczyną pełną

sprzeczności, samotnicą potrzebującą kontaktu z ludźmi, których kochała. Mówiła barwnie, tak że Emma i Maddie miały wrażenie, jakby były tam razem z nią, o tym, jak pojechała rowerem aż za białe od soli domki letniskowe z okiennicami o cukierkowych barwach, na mały cmentarz ukryty wśród targanych wiatrem cedrów i dębów, o milinie ze szkarłatnymi kwiatami w kształcie trąbek, rosnącym u stóp anioła strzegącego miejsca wiecznego spoczynku matki, o tym, jak te kwiaty przyciągają kolibry, małe ptaszki o szmaragdowym upierzeniu, by dotrzymywały towarzystwa mamie, i o tym, jak bardzo je za to kocha. Snuła te opowieści z taką łatwością. Działały na wyobraźnię równie silnie jak malowane przez nią obrazy czy pięknie ilustrowane książki dla dzieci, na których Emma się wychowała. – Będiesz sławna, Stevie – powiedziała kiedyś przyjaciółce Emma. – Tylko nie zapomnij o mnie i o Maddie, gdy już napiszesz te wszystkie książki, dobrze? Stevie zaś obiecała wtedy: – Nigdy o was nie zapomnę.

Emma kochała Stevie za jej talent, lecz była także o niego zazdrosna. Bo jak można tak patrzeć na świat? Kochać przyrodę i ludzi czystą miłością, nie pytając, co oni mogą zrobić w zamian? Wiedziała, że Stevie jest wrażliwa i skora do płaczu. Ale coś za coś – żeby tworzyć i pojmować rzeczy w sposób, w jaki robiła to Stevie, trzeba szeroko otworzyć serce, by przyjąć całe to bogactwo. Czasami Emma wyobrażała sobie, że Stevie jest Śnieżką, ona Różyczką z baśni braci Grimm, a

Madeleine miłą, normalną szczęśliwą dziewczyną z bardzo popularnym bratem.

– Co byś chciała? – spytała teraz.

– Żeby ta chwila trwała wiecznie – odparła Stevie.

Emma westchnęła z ulgą. Spodziewała się, że Stevie powie coś o ptakach, ludziach, lecie, miłości, przyjaciółkach albo życiu w ogóle. Ku jej zaskoczeniu to Madeleine stała się nagle filozofką.

– Zbliża się dwusetlecie Stanów Zjednoczonych – oznajmiła. – Jesteśmy częścią historii.

– Wiem tylko, że mamy po szesnaście lat i chcemy, by nas całowano, całowano i całowano – odpowiedziała Emma.

– Wakacyjne przyjaciółki Anno Domini tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt sześć – dodała Stevie.

– Napisz książkę o naszych wakacjach – rzuciła Maddie. – Przeczytamy ją naszym dzieciom, a potem stanie się klasyką i ludzie będą ją czytać swoim dzieciom przez następne dwieście lat.

Emma zadrżała na te słowa. Choć sama jej to przepowiedziała, nie lubiła myśleć o tym, że Stevie będzie pisać książki i stanie się sławna. To by oznaczało, że będzie od niej lepsza.

– Chodźcie, na co jeszcze czekacie? – ponagliła.

Trzymając się za ręce, wskoczyły do wody i od razu dały nurka w srebrzystą falę. Kiedy wypłynęły dla zaczerpnięcia oddechu, stworzyły krąg podobny do tego, który Emma narysowała na piasku.

Po raz kolejny morze ukazało swoją magiczną moc – zmyło niechciane uczucia i znowu wszystko było dobrze. Emma nabrała w usta słonej wody i wypluła ją. Uczucia pojawiają się i znikają, lecz to są jej najlepsze przyjaciółki, kocha je i zawsze będzie kochać.

– Co robimy wieczorem? – spytała Madeleine.

– Będziemy obserwować wschód księżyca – odparła Stevie.

– Pójdziemy do kina na plaży, żeby sprawdzić, kto przyjechał – dodała Emma. – Strzeżcie się, chłopcy, nadchodzimy...

– Możemy zrobić i jedno, i drugie – powiedziała Maddie ze śmiechem. – Oglądać księżyc i film.

– To właśnie miałam na myśli – stwierdziła Emma, spoglądając na zapatrzoną w niebo Stevie.

Fale miarowo uderzały o brzeg. Biały cień półksiężyca mącił idealny błękit. Emma zadrżała i odwróciła od niego wzrok. Wolą patrzeć na lazuruwe niebo roztaczające blask nad wszystkimi plażami świata i wszystkimi wakacyjnymi przyjaciółkami. Lato dopiero się zaczynało.

Część Pierwsza

Rozdział 1

Czerwiec 2003

Nell Kilvert wiedziała tylko tyle, że najlepsza przyjaciółka mamy mieszka w niebieskim domu. Dlatego gdy przysłała na plażę, natychmiast zaczęła go wypatrywać. Kiedy zapytała tatę, gdzie jego zdaniem mógłby się znajdować, odpowiedział, że po tak wielu latach z pobytu na cyplu Hubbarda pozostało mu w pamięci jedynie to, że zakochał się w mamie na promenadzie.

„Wakacyjne przyjaciółki teraz, jutro i do końca świata”... Nell wciąż dobrze pamiętała opowieści mamy o cyplu Hubbarda, gdzie spędzała każde letnie wakacje, kiedy sama była jeszcze dziewczynką. Powiedziała między innymi, że ona, ciocia Madeleine i ich najlepsza przyjaciółka – jak ona miała na imię? – były najszcześniejsze, mocząc nogi w słonej wodzie. Mówiła, że bez względu na to dokąd los je zawiedzie, zawsze będzie je łączyć błękitne niebo, morska bryza, nagłe porywy wiatru i gorący piasek pod bosymi stopami.

Gorący piasek... Poczowała, jak ją parzy.

– Auć – jęknęła głośno.

– Stań tutaj – zaproponowała dziewczynka, która leżała

na ręczniku.

Miała około dziewięciu lat, czyli była jej równolatką. Przesunęła się i zrobiła miejsce dla Nell.

– Dzięki – powiedziała z ulgą Nell, stając na brzegu ręcznika.

– Mieszkasz tutaj? – spytała dziewczynka.

– Wynajmujemy z tatą domek – wyjaśniła Nell.

– To fajnie. A jak ci na imię?

– Nell. Nell Kilvert. A tobie?

– Peggy McCabe. Ja mieszkam tu przez cały rok.

– Aha – mruknęła Nell.

Czuła się śmiesznie, stojąc na brzegu ręcznika tej dziwnej rudowłosej dziewczynki i myśląc, jak to byłoby fajnie mieszkać na plaży przez cały rok. Kiedy uświadomiła sobie, że ma przed sobą miejscową ekspertkę, oczy jej się rozszerzyły.

– Znasz tu jakieś niebieskie domy?

Peggy spojrzała na nią zaskoczona.

– Tam jest jeden – powiedziała, wyciągając rękę.

Nell spojrzała we wskazanym kierunku. Przy końcu plaży rosła wysoka trawa, która zatrzymywała piasek na miejscu, żeby żaden sztorm go nie zmył. Kawalek dalej, na rozległej płaskiej wydmie stał niebieski dom. Nell widziała go już wcześniej i uznała, że to klub czy coś w tym rodzaju, lecz ojciec wyjaśnił jej, że dom należy do jakichś szczęściarzy, że wzniesiono go na palach dla ochrony przed przyływami i że gdy on i mama byli młodzi, wchodzili pod spód, żeby się całować. Nell

przeszedł wtedy po plecach dreszcz. – Czy należał do najlepszej przyjaciółki mamy? – zapytała. Ojciec jednak wzruszył ramionami i odpowiedział, że nie, nie przypomina sobie, żeby poznał właścicieli.

– A oprócz niego? – zwróciła się z pytaniem do Peggy.

– Chodzi ci o dom czarownicy? – odpowiedziała pytaniem nowa znajoma.

– Czarownicy?!

Peggy kiwnęła głową, zapraszając Nell, by usiadła na ręczniku. Wskazała na dom stojący na cyplu, ukryty wśród koronkowych cieni rzucanych przez dęby i jodły. Nell spojrzała w tamtą stronę, osłaniając oczy dłonią.

– Ale on jest biały – stwierdziła.

– Teraz tak – zgodziła się Peggy. – Ale kiedyś, gdy byłam jeszcze mała, był niebieski. Pamiętam, bo moja siostra Annie śpiewała o nim piosenkę. – I na dowód zanuciła:

*Kamienne serce, niebieski dom,
Mieszka tam czarownica,
Która rzuci na ciebie grom.*

Nell pomyślała, że najlepsza przyjaciółka mamy nie może być czarownicą. Lecz z drugiej strony na cyplu Hubbarda nie było więcej niebieskich domów. Zjeździła z ojcem na rowerze całą okolicę i znalazła raptem trzy, ale żaden z nich na pewno nie był tym, którego szukała. Nikt z mieszkańców nie pamiętał jej mamy, Emmy Kilvert.

– Dlaczego nazywasz ją czarownicą? – zaciekała się Nell.

– Bo stroni od ludzi – wyjaśniła Peggy. – Przez całą zimę mieszka w Nowym Jorku, a gdy już tu przyjeżdża, to siedzi w domu aż do zmroku. Rozmawia z sowami, pisze książki dla dzieci o różnych ptakach. Jedną nawet sfilmowano. Są tacy, którzy nie wiedzą, że jest dziwna, i przychodzą do niej, lecz ona nikomu nie otwiera drzwi. A każdego ranka przed wschodem słońca spaceruje wzdłuż brzegu, wypatrując ptaków i pierścionka z brylantem.

– Pierścionka z brylantem?

– Tak. Jest rozwódką. Wiele razy wychodziła za męża. Nie ma dzieci, chociaż pisze książki dla dzieci. Zbiera pierścionki zaręczynowe i nosi je na wszystkich palcach. Ale zgubiła największy, gdy pływała w czasie burzy, i teraz go szuka. Jest wart miliony. Rzuca zaklęcia na mężczyzn, którzy wejdą jej w drogę. I na dzieci, które wkroczą na jej podwórko. Przegania je na cztery wiatry, mimo że czytają jej książki. Powinnaś zobaczyć tabliczkę stojącą przed jej domem.

Nell zmarszczyła brwi i objęła rękoma kolana. Nie podobała jej się ta kobieta. Może to błąd, że chce ją poznać. Zaraz jednak pomyślała o ojcu i jego nowej znajomej Francesce, o matce, która miała ciepłe niebieskie oczy z żółtymi plamkami w kącikach i o tym, jak opowiadała o swojej najlepszej przyjaciółce. Ogarnął ją smutek.

„Wakacyjne przyjaciółki teraz, jutro i do końca

świata"...

Słowa te przyprawiły ją o dreszcz i smutek jeszcze się pogłębił. Tęsknota za matką stała się przytłaczająca.

Popatrzyła na dom na wzgórzu i mocniej objęła się ramionami. Czy najlepsza przyjaciółka mamy mogła być czarownicą, w dodatku piszącą książki? Nie można tego wykluczyć. W porównaniu ze wszystkim innym, co przydarzyło się jej w życiu, to akurat nie było wcale takie dziwne ani straszne. Podziękowała Peggy za informacje i postanowiła poszukać drogi na wzgórze, gdzie stał dom, który kiedyś był niebieski.

Korty tenisowe na cyplu Hubbarda bardzo się zmieniły od czasów, gdy Jack Kilvert był tu ostatni raz. Wtedy miały popękaną nawierzchnię przypominającą mieszaninę piasku i błota, która opadała ku piaszczystemu parkingowi, a w czasie sztormów zalewała je woda. Teraz zostały wyłożone zielonym kompozytem, schludnie obrysowane, wygładzone i trzeba było się zapisać do klubu, żeby z nich korzystać.

– Trzydzieści do zera! – zawołała Francesca stojąca po drugiej stronie siatki.

Jack przygotował się do odebrania serwisu. Jego partnerka miała włosy koloru miodu, podtrzymane szeroką białą opaską podkreślającą jej opaleniznę, sylwetkę w kształcie klepsydry i nogi do samej szyi. Mimo iż starał się skupić na grze, zdążył zauważyć, że kilka osób jej się przygląda. Dwóch mężczyzn palących

cygara i niosących leżaki i kapoki przystanęło, żeby popatrzeć, jak serwuje. Albo żeby pogapić się na jej nogi.

Po chwili zaserwowała, on odbił piłkę, a ona nie, po czym przeskoczyła siatkę i wpadła mu prosto w ramiona.

– Wygrałeś, ty perfekcjonisto – powiedziała, całując go w usta.

– W takim razie czy to nie ja powinienem przeskoczyć przez siatkę? – spytał.

– Nie bądź taki drobiazgowy. Może nie mogłam się już doczekać, żeby przytulić się do twojego wielkiego spoconego ciała.

Zaśmiał się, a ona znowu go pocałowała. Wydała mu się taka szczupła i silna w jego ramionach. Przypomniawsobie, jak dwadzieścia pięć lat temu, dokładnie w tym miejscu, trzymał w ramionach Emmę. Francesca była podobna do jego żony jak dwie krople wody. Dokonał pospiesznych obliczeń i różnica wieku przyprawiła go o ból głowy.

– Chodź, popływamy – zaproponowała Francesca.

– Chcę wrócić do domu i sprawdzić, co z Nell.

– Powiedziała, że idzie na plażę. A właściwie to zobaczyła, jak zatrzymuję się przed domem, i podeszła do mnie, jeszcze zanim zdążyłam wysiąść z samochodu. Pewnie chciała zajrzeć do bagażnika, by sprawdzić, czy wzięłam ze sobą rzeczy na zmianę. Jest jak pogranicznik.

– Ależ skąd, po prostu chciała się z tobą przywitać.

Francesca wydała z siebie prychnięcie przez zgrabny nosek.

– Nie zapominaj, że moi rodzice rozwiedli się i kiedy ojciec zaczął przyprawiać do domu kobiety, robiłam im piekło. Los się na mnie zemścił, to jasne. Ale nie przejmuj się. Nie dam się tak łatwo wystraszyć, a póki co w pełni szanuję jej potrzebę obrony własnego terytorium. Jeszcze zdobędę jej sympatię, zobaczysz... – Jack nic na to nie odpowiedział. – A skoro poszła na plażę, to dom jest teraz pusty – dodała Francesca, ściskając go za rękę. – Wiem, że musisz zachowywać się przyzwoicie, na wypadek gdyby nagle weszła, lecz przynajmniej moglibyśmy posiedzieć na kanapie i potrzymać się za ręce.

– I porozmawiać o naszych planach związanych z Morzem Północnym.

Zaśmiali się. Jack cofnął rękę i ruszył do domu. Ale ze mnie romantyczny palant, pomyślał. Miał czterdzieści osiem lat, był przygnębiony, przepracowany i kompletnie skołowany zmianami, jakie zgotował mu los. Ona miała dwadzieścia dziewięć lat i była niebezpiecznie piękna.

Przez ostatnie pół roku pracował w bostońskiej filii biura projektowego z siedzibą w Atlancie. Francesca niedawno przeniosła się do jego działu, lecz znali się od kilku lat. Nie raz grali w debła mieszanego z kolegami z firmy. Jack podziwiał jej serwis, precyzję umysłu, doskonałe umiejętności inżyniera, wspaniałe poczucie humoru.

Czy zauważyła, że stara się utrzymywać dystans między nimi, żeby koledzy nie pomyśleli, że są parą? Czy kogoś to w ogóle obchodziło? Wątpił, żeby ktokolwiek go

jeszcze pamiętał. Emma spędziła tu piętnaście letnich wakacji jako dziecko, a potem jej rodzina przeniosła się do Chicago. Rodzina Jacka przez trzy kolejne lata wynajmowała tu domek letniskowy. O cztery lata młodsza Emma była w wieku jego siostry. Spotkał ją na promenadzie pewnego lipcowego wieczoru i los ich połączył. Szukając miejsca, gdzie mógłby spędzić z Nell wakacje, wybrał cypel Hubbarda zamiast wyspy Martha's Vineyard, Nantucket, Cape Cod czy wysp w stanie Maine nie dlatego, że chciał pokazać córce miejsce, gdzie się poznali jej rodzice, lecz ponieważ przyciągnęły go tu siły, których nie rozumiał.

– Jeżeli twojej córki nie ma w domu – szepnęła Francesca, zamykając furtkę – nie mogę obiecać, że będę się zachowywać przyzwoicie.

Jack poczuł, że się uśmiecha, lecz jedynie samymi wargami. Mógł bardziej się postarać, lecz jakoś nie miał ochoty. To było jego przekleństwo. Po stracie Emmy czuł się odrętwiały do szpiku kości, jakby zawładnęła nim zima i nie zamierzała go opuścić do końca życia. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i odkad sięgał pamięcią, uprawiał jakiś sport, tyle że nic kompletnie nie czuł. I nikt o tym nie wiedział – ani chłopcy z drużyny koszykówki, ani partnerzy do tenisa, ani kobiety, z którymi się spotykał, nawet jego siostra Madeleine nie miała o niczym pojęcia. Tylko Nell wiedziała, a jemu ani trochę się nie podobało to, że wie.

Droga na cypel wiodła obok kortów tenisowych. Nell zobaczyła, że tata z Francescą całują się przy siatce zbyt zajęci sobą, by ją zauważyć. Poczowała się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. Przyspieszyła kroku, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu, który kiedyś był niebieski. Zaczęła biec, skręcając w prawo na szczyt wzgórza. Było tu więcej cienia. Zwolniła i rozejrzała się, by sprawdzić swoje położenie w stosunku do plaży. Rodzice opowiadali o tym miejscu, lecz nigdy jej tu razem nie przywieźli. Jako mieszkańcy Atlanty wakacje spędzali najczęściej na pięknych wyspach stanu Georgia. Nell była przyzwyczajona do południowych plaż z białym piaskiem, i o miękkiej zielonej trawy i ciepłej wody, które w niczym nie przypominały tej poszarpanej linii brzegowej i chłodnego wiatru wiejącego od zatoki Long Island. Między drzewami rosnącymi na podwórkach posesji po lewej stronie przeświecały urwiste brzegi. Niektóre ogrody były piękne, pełne kwitnących róż i lilii, w niektórych stały maszty z łopoczącymi na wietrze flagami. Na parapetach okiennych stały skrzynki ze zwieszającymi się petuniami i bluszczem.

Nagle jej oczom ukazał się zupełnie inny ogród – skalisty, z kępami dzikiej trawy rosnącej między krzewami i drzewami. W cieniu kwitły lilie w kolorze żółtym i pomarańczowym, które wyglądały jak ptaki kryjące się w lesie. Szumiały sosny i dęby, a w szczelinach kamiennych stopni prowadzących na skaliste wzgórze pieniał się rozchodnik. Serce mocniej jej zabiło na

widok tabliczki z napisem: „Proszę stąd odejść”. Wykonano go ręcznie białą farbą na kawałku szarego drewna wyrzuconego przez morze, przybito do palika, który tkwił w ziemi u stóp schodów. Popatrzyła na dom. Pomalowany na biało, lecz ocieniony dwoma wysokimi dębami wyglądał, jakby był niebieski. Spojrzała ponownie na tabliczkę, potem znowu na dom.

Przypomniała sobie, co Peggy opowiadała o mieszkającej tu czarownicy, i poczuła ucisk w żołądku. A jeżeli to wszystko prawda, jeżeli ta kobieta okaże się zła, okropna i rzuci na nią zaklęcie? Zimny dreszcz przebiegł Nell po plecach. Jednakże niektóre uczucia, takie jak miłość, tęsknota i pragnienie, są silniejsze od strachu. Ze ściśniętym gardłem zaczęła wchodzić po schodach, by już po chwili przyspieszyć kroku. Uniosła wzrok i zobaczyła twarz w oknie. Przestraszyła się, lecz nie mogła się zatrzymać. W pewnym momencie potknęła się o kamień i upadła jak długa, zdzierając sobie skórę na kolanach.

Stevie Moore siedziała przy stole w kuchni z pędzlem w ręku i obserwowała kolibry przylatujące do milina. Obok niej na stole siedemnastoletnia kotka Tilly śledziła z nie mniejszą uwagą ptaszki. Stevie chciała uchwycić istotę tych najmniejszych na świecie ptaków, którą jej zdaniem była umiejętność pozostawiania równocześnie w bezruchu i w ciągłym ruchu. Tilly natomiast chciała po prostu któregoś złapać.

Stevie nie wyobrażała sobie, jak mogłaby przeżyć bez

Tilly. Kotka pomagała jej przetrwać długie samotne noce. Nagle kolibry odleciały. Stevie spojrzała w stronę schodów i zobaczyła biegnącą po nich dziewczynkę.

– Tilly, czy w szkole przestali uczyć dzieci czytania? – spytała, zastanawiając się, czy miejscowi chłopcy znowu nie ukradli tabliczki.

Kotka na widok obcej osoby wskoczyła na lodówkę i schowała się w wiklinowym koszyku na chleb. Stevie wstała i otrzepała z kociej sierści czarny T-shirt i spodnie. Dziewczynka wyglądała na zdecydowaną, włożyła więc kapelusz z szerokim rondem, starając się przybrać groźną i władcą minę. Chwilę później zobaczyła, jak mały intruz pada na kamienie.

Stevie wybiegła na dwór. Dostrzegła, że gramoląca się na nogi dziewczynka ma zakrwawione kolana i duży palec. Na ten widok Stevie zawahała się, lecz w tym momencie miała podniosła wzrok. Miała zielone, pełne bólu oczy. Stevie doznała dziwnego uczucia.

– Nic ci nie jest? – spytała, lecz zanim zdążyła przy niej przykucnąć, dziewczynka kiwnęła energicznie głową, a z jej oczu trysnęły łzy.

– To pani – powiedziała cienkim głosem.

– Jesteś moją czytelniczką – westchnęła Stevie, sądząc, że mała przyszła tu, by poznać autorkę „Nocy sowy”, „Lata łabędzi” lub „Morskiego jastrzębia”, jednakże dziewczynka patrzyła na nią wcale nie jak na ulubioną pisarkę, lecz jak na ducha.

– Moja mama panią znała – oznajmiła z południowym

akcentem.

– Twoja mama?

– Emma Lincoln – wyjaśniła dziewczynka. – Tak się nazywała, zanim wyszła za tatę.

– Ojej – szepnęła Stevie.

Dźwięk nazwiska z odległej przeszłości zaskoczył ją. Wróciły wspomnienia, czyste i jasne jak słońce, z czasów dzieciństwa, gdy dziewczynki uczyły się pływać.

– Co u niej słychać? – zapytała.

– Nie żyje – odparła dziewczynka.

Niebo zmieniło nagle kolor. Straciło kilka odcieni błękitu. Jak to się mogło stać? Dlaczego ona o niczym nie wie? Wiatr zaszeleścił w liściach drzew. Spojrzała dziewczynce w oczy i mogłaby przysiąc, że widzi Emmę. Wyciągnęła rękę, a mała ujęła ją podrapaną dłonią.

– Wejźmy do domu – powiedziała Stevie.

Rozdział 2

Stevie oczyściła dłonie i kolana dziewczynki, przykleiła na obtarcia plaster z opatrunkiem, a potem zaparzyła herbatę, bo tak zawsze robiła jej matka. Przygotowała porcelanowe filiżanki i talerzyki, przyniosła cukiernicę z brązowym cukrem i talerz ciasteczek cytrynowych. Potem usiadły z dziewczynką, która miała na imię Nell przed kominkiem.

– Kiedyś urządzałyśmy sobie z twoją mamą takie herbatki – powiedziała Stevie.

– Wtedy gdy pani dom był niebieski? – spytała Nell.

– Tak.

Dziewczynka rozejrzała się wokół z ciekawością, obejmując wzrokiem wiklinowe krzesła, wyblakłą dwuosobową kanapkę o wyszarpanych przez Tilly i jej siostry bokach i tyle, a także ilustracje do książek Stevie, kolekcję piór, muszli, ptasich gniazd i kości. Stevie obserwowała Nell i domyśliła się, że mała pewnie zastanawia się, gdzie podczas herbatek siadała jej mama i co wówczas widziała. Przed laty robiła to samo, gdy odwiedzała miejsca, w których bywała jej matka.

Przez chwilę piły w milczeniu herbatę. Stevie chciała znaleźć właściwe słowa, by pocieszyć dziecko, chciała zapytać o Emmę, czuła się jednak skrepowana i bała się,

że powie coś niewłaściwego. Jej własna matka zmarła, gdy ona była jeszcze mała, i pamiętała, jak dorośli mając dobre chęci, tylko wszystko pogarszali. Poza tym była samotnicą, pisała i malowała w ciszy. Nie zawsze tak było, w jej życiu znalazło się również miejsce na miłość, mężczyzn i ich dzieci. Jednakże od dłuższego czasu wystarczało jej własne i Tilly towarzystwo. Trzymała więc filiżankę i czekała, aż Nell się odezwie. Przez kilka minut wsłuchiwały się w dźwięki wczesnego lata wpadające przez otwarte okna: szum fal rozbijających się o brzeg, śpiew zięby w krzewach ligustru i terkotanie wiewiórki siedzącej w dziupli dębu.

Nell skończyła jeść ciasto, grzecznie wytarła palce i usta w lnianą różową serwetkę i uniosła wzrok. Miała około dziewięciu lat, chudą sylwetkę, kasztanowe włosy do ramion, spięte spinkami w kształcie kwiatków, i wielkie zielone oczy.

– Mama mówiła, że była pani jej najlepszą przyjaciółką.

– Tak, byłyśmy przyjaciółkami od serca.

– Z Madeleine też?

– Maddie Kilvert! – zaśmiała się Stevie. – Tak, z nią też. Z Emmą, twoją mamą, znałyśmy się dłużej. Jej rodzice mieli tu domek równie długo jak moi. Potem pojawiła się Maddie. I odtąd stałyśmy się nierozłączne, cała nasza trójka, przez trzy kolejne lata. – W tym momencie słowa same wypłynęły jej z ust. – Trzy krótkie lata i trzy długie zimy. – Widząc spokój na twarzy Nell i

jej zamknięte oczy, domyśliła się, że dziewczynka słyszała już te słowa. – Czy mama mówiła ci, że zaczerpnęliśmy to z Wordswortha?

– Mówiła, że był sławnym poetą i że to zdanie najlepiej oddaje, jak zimą dłuży się czas wakacyjnym przyjaciółkom.

– Wakacyjne przyjaciółki, tak siebie nazywałyśmy – przytaknęła Stevie, gdyż pamięć wydobyła z lamusa kolejne piękne wspomnienie. – Byłyśmy najszcześniejsze, kiedy mogłyśmy moczyć stopki w słonej wodzie. Z trudem znosiłyśmy zimy z dala od siebie. Ciągłe do siebie dzwoniłyśmy. Odbierałam rachunki telefoniczne, żeby ojciec nie zobaczył, ile nagadałam z Emmą i Maddie. W jednym miesiącu musiałam nawet sprzedać ubrania.

– Ubrania?

– Tak. Sprzedałam dwa nowe swetry i parę butów pani, której dzieckiem się opiekowałam, żeby zapłacić swoją część rachunku telefonicznego. Na szczęście nie było jeszcze telekonferencji, bo to by nas zrujnowało.

– Mieszkałyście daleko od siebie?

Stevie kiwnęła głową.

– Tak nam się wtedy zdawało. Zimą mieszkałam w New Britain, Maddie w Hartford, a twoja mama w New Haven. W końcu jednak nadchodziło lato i znowu byłyśmy razem w naszym ulubionym miejscu, na cyplu Hubbarda.

– Ciocia Maddie mieszka teraz w stanie Rhode Island – wtrąciła Nell.

– Twoja ciocia... – Stevie urwała. – Twoja mama wyszła za Jacka?

Nell kiwnęła głową.

– Nie wiedziała pani?

Stevie powstrzymała się przed westchnieniem. Jak wytłumaczyć szalony światłocień życia, wszystkie jego warstwy, błędy, brudy i podziały, wreszcie utratę kontaktu temu słodkiemu dziewięcioletniemu dziecku?

– Nie – odpowiedziała. – Kiedy wakacyjne przyjaciółki wyjechały do college'ow, ich drogi się rozeszły i straciły ze sobą kontakt.

– Mama nie straciła kontaktu z ciocią Maddie – powiedziała Nell. – Często się widywały, bo ona wyszła za brata cioci. Czy on był bratem wakacyjnych przyjaciółek? Wakacyjnym przyjacielem?

Stevie zaśmiała się.

– Nie. Byłyśmy tylko my trzy i reszta świata. Poza tym on był stary, starszy od nas o cztery lata, co wtedy wydawało się wiecznością. Pamiętam jednak, że ostatniego lata, zanim się rozjechałyśmy, twoja mama zaczęła się z nim spotykać.

– I zakochali się w sobie – dodała Nell.

Stevie kiwnęła głową.

– Cypel Hubbarda zawsze był dobrym miejscem do zakochania się.

– Tata mówił, że całowali się pod promenadą na małej plaży i za tamtym niebieskim domem.

Wskazała na kryjówkę Stevensów przy końcu plaży.

Stevie uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak sama się tam całowała. Nie chcąc jednak rozwiewać dziecięcych złudzeń o wyjątkowości tego miejsca, zachowała to dla siebie.

– Niebieskie domy – powiedziała Nell. – Tak właśnie panią znalazłam. Mama opowiadała mi, że mieszka pani w niebieskim domu.

– Nie powiedziała, jak mam na imię?

– Powiedziała, ale Stevie to chłopięce imię. Jakoś mi nie pasowało. Dlaczego rodzice tak panią nazwali?

– Żeby przypominało im, skąd pochodzę – wyjaśniła Stevie, uznając, że córka Emmy nie musi znać historii o tym, jak została poczęta w hotelu przy parku St. Stephen's w Dublinie.

– Dlaczego pomalowała pani dom na kolor inny niż niebieski? – spytała Nell.

– Pokaż kolana – poleciła w odpowiedzi Stevie. – Porządnie je sobie obtarłaś.

– Zagoją się – zapewniła ją Nell.

– Gdzie teraz mieszkasz? – spytała Stevie, czując się lepiej w roli przesłuchującej aniżeli przesłuchiwanej.

– Nasz dom jest w Atlancie, ale tata przeniósł się do filii jego firmy w Bostonie, więc tam na razie mieszkamy. A teraz wziął sobie coś w rodzaju urlopu. To znaczy pracuje, ale nie musi chodzić do biura.

Zapadła cisza. Stevie zauważyła, że Nell wciąż się jej przygląda, i poczuła się nieswojo. Kiedy stało się jasne, że dziewczynka wcale nie zamierza odwracać spojrzenia,

przyparta do muru Stevie rzekła:

– Nie pomalowałam domu na niebiesko, bo odkąd się urodziłam, zawsze był niebieski. Pomyślałam sobie, że jeżeli zmienię kolor, to może zmienię też parę rzeczy, które nie podobały mi się w życiu. Czy to ma jakiś sens?

Nell kiwnęła z powagą głową, po czym spuściła wzrok na rękę Stevie.

– Szukasz pierścionków zaręczynowych, tak? Wszystkie dzieci to robią.

– Zgubiła je pani w wodzie?

Stevie uśmiechnęła się z trudem.

– Tylko jeden – odparła. – I nie zgubiłam go.

– Nie?

– Wyrzuciłam.

– Ale szuka go pani codziennie rano.

Stevie pokręciła głową.

– Nie. Codziennie rano przychodzę na plażę, by rysować brodzie. I dlatego, że lubię pływać przed wschodem słońca. I moczyć nogi w wodzie.

– Stopki – dodała Nell z uśmiechem.

Stevie skinęła głową. Uśmiech dziewczynki sprawił, że poczuła ucisk w gardle i pieczenie pod powiekami.

– Dlaczego przychodzi pani na plażę przed wschodem słońca?

– Bo wtedy nikogo tam nie ma – odparła Stevie.

– Jestem samotnicą.

– Czy to specjalny rodzaj czarownicy?

– Można tak powiedzieć – odparła Stevie.

Powiał lekki wiatr i z oddali dobiegł warkot motorówki. Do pokoju wsunęła się Tilly, przysiadła przy gotyckim karmniku i udając posąg, zaczęła przyglądać się swojej pani i obcej dziewczynce.

– Bardzo się cieszę, że panią poznałam – powiedziała Nell, składając serwetkę.

– A ja, że poznałam ciebie – zrewanżowała się Stevie.

Wstały. Stevie cisnęły się na usta dziesiątki pytań, chciała zapytać o Emmę, lecz z własnego doświadczenia wiedziała, że w takich sprawach należy zachować delikatność. Poszły do kuchennych drzwi, a Tilly za nimi.

– O, kot. – Nell dopiero teraz spostrzegła zwierzaka. Pochyliła się, by go pogłaskać, lecz Tilly syknęła ostrzegawczo i machnęła ogonem. – Oj! – wystraszyła się Nell.

– Jest trochę kapryśna – wyjaśniła Stevie. – Ma już swoje lata.

– Rozumiem – odpowiedziała Nell. Rozejrzała się po kuchni i zauważyła rysunki i akwarele przedstawiające ptaki, wiewiórki, króliki, polne myszy. – Czy to ilustracje z pani książek?

– Niektóre są do książek, których jeszcze nie napisałam.

– Stevie zawahała się. – Czy mama czytała ci moje książki?

– Nie – przyznała Nell z rozbijającą szczerością.

– Zupełnie nie wiem czemu. Te rysunki są bardzo ładne.

– Dziękuję – powiedziała Stevie, zastanawiając się, dlaczego przyjaciółka z lat dziecińczych nie pokazała córce jej książek.

Otworzyła dziewczynce drzwi, lecz ona nagle spojrzała na nią z gniewnym wyrazem twarzy.

– Przenieśliśmy się do Bostonu z tego samego powodu, z którego pani nie pomalowała domu na niebiesko – oznajmiła.

– Tak?

Nell kiwnęła głową.

– Dlatego, że w Atlancie wszystko jest takie, jak wtedy gdy mama żyła. Kuchnia pachnie, jakby w niej gotowała, ogród wygląda, jakby sadziła w nim kwiaty. W szafie wciąż stoją jej buty, szczotka, którą mnie czesała, leży na tym samym miejscu...

Nell mocno zacisnęła powieki. Stevie domyśliła się, że czuje dotyk matczynej ręki na głowie. Twarz dziewczynki zmarszczyła się z bólu. Stevie zapragnęła ulżyć jej cierpieniu, wiedziała jednak, że nie jest w stanie tego zrobić.

– Umarła rok temu – wyszeptała Nell.

– Tak mi przykro.

– Strasznie trudno jest mieszkać tam, gdzie ona mieszkała. Dlatego musieliśmy się przeprowadzić.

– Czasami to pomaga – przyznała Stevie, patrząc z powagą na dziewczynkę.

Przypomniała sobie, jak sama straciła matkę, jak ojciec wziął urlop naukowy i wyjechał do Paryża, a latem,

zamiast jak zwykle spędzić wakacje tutaj, pojechali do Newport. Ostatecznie jednak wrócili.

– Czy kiedyś wrócimy? – spytała nagle Nell.

Postąpiła krok do przodu, jakby chciała chwycić Stevie za rękę, i spojrzała jej prosto w oczy, jakby szukając w nich odpowiedzi.

Stevie pragnęła powiedzieć coś mądrego i dobrego ze względu na Emmę, pragnęła pomóc dziecku przyjaciółki w trudnym momencie. Jednakże rozdzieliła je zasłona łez. Kiedy Stevie zamrugała, słone grochy spłynęły jej po policzkach. Straciła przyjaciółkę, której nie widziała ponad dwadzieścia pięć lat, mimo to żal był tak wielki, że nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Taka zmiana miejsca nie musi trwać wiecznie – odezwała się w końcu. – Bywa, że to najlepsze, co można zrobić. A potem nagle człowiek uświadamia sobie, że czas wracać do domu.

– Czas wracać do domu – powtórzyła jak echo Nell.

– A na razie ciocia mogłaby was tutaj odwiedzać. Rhode Island nie jest wcale tak daleko.

– Ona nie może przyjechać – odparła ostrym tonem Nell.

Zaskoczona Stevie rozejrzała się wokół w poszukiwaniu odpowiednich słów.

– Myślę, że mądrze zrobiłaś, wyjeżdżając na jakiś czas z Atlanty – powiedziała. – Przekonałam się na własnej skórze, że gdy zbyt długo przebywam w jednym miejscu, zapominam, gdzie jestem.

Uśmiechnęły się do siebie.

– Tak jak teraz? – spytała Nell.

– Teraz?

Nell przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie, niczym mały brązowy strzyżyk.

– Powinna pani częściej chodzić na plażę – stwierdziła.

– Nie tylko przed wschodem słońca. Przecież wtedy jest ciemno. Potrzebuje pani słońca, fal i gorącego piasku pod stopami.

– Naprawdę?

Nell kiwnęła głową z takim przekonaniem, że jeszcze bardziej upodobniła się do strzyżyka.

– Tak. Zwłaszcza gorącego piasku.

To powiedziawszy, dziewczynka podziękowała za gościnę, a potem podały sobie ręce i Nell ruszyła w dół po schodach. Patrząc za nią, Stevie poczuła ostry ból, którego źródła nie była w stanie zidentyfikować. Wiedziała jedynie, że nie ufa pożegnaniom.

– A dlaczego potrzebuję gorącego piasku? – zawołała.

– Bo jest pani wakacyjną przyjaciółką! – odkrzyknęła Nell, uśmiechając się przekornie, przez co wyglądała jak wykapana matka.

Stevie przeszedł dreszcz. Stała w otwartych drzwiach z Tilly u boku i patrzyła, jak dziewczynka schodzi ze wzgórza. Nell odwróciła się, pomachała na pożegnanie i zniknęła.

– Gdzie byłaś? – spytał Jack, jak tylko córka wróciła.

Wynajęty przez nich domek był mały, lecz funkcjonalny.

Miał standardowe wyposażenie – kanapę, dwa fotele stojące przed wielkim telewizorem, stół, cztery krzesła i obrazki z morskimi krajobrazami.

– Już chcieliśmy wzywać Gwardię Narodową – dodała Francesca.

– To byłoby wielkie marnotrawstwo pieniędzy podatników – odparła Nell.

– Nell – rzucił ostrzegawczym tonem Jack. – Bądź grzeczna.

– Przepraszam. Powinnam była powiedzieć „proszę pani”.

Francesca wyglądała na rozbawioną.

– Uwielbiam, gdy ktoś do mnie mówi „proszę pani”. Skąd o tym wiesz?

Nell wzruszyła ramionami. Jack zauważył, że kolana ma poobcierane, a na nich dwa małe opatrunki.

– Co ci się stało? – spytał.

– Upadłam.

– A kto przykleił ci plastry?

– Miła pani.

Jack popatrzył na córkę. Kiedy była zła, potrafiła pokazać pazurki. Wiadomość, że Francesca przyjeżdża z Bostonu pograć w tenisa i popływać tak na nią podziałała. Dostrzegł mrok w jej oczach i zapragnął go przepędzić.

– Nell, powiedziałaś Francesce, że idziesz na plażę.

Poszliśmy cię szukać, lecz nigdzie cię nie było. Francesca tylko w połowie żartowała z tą Gwardią Narodową. Gdybyś zwlekała z powrotem jeszcze trochę, zadzwoniłbym na policję. Mogłaś utonąć, ktoś mógł cię porwać, oto co chodziło po głowie twojemu tacie. Zacznijmy więc od początku. Co za miła pani przykleiła ci plastry?

– Przyjaciółka mamy.

Jack zrobił wielkie oczy. Zdawało mu się, że słyszy chrząknięcie Franceski.

– Jakim cudem spotkałaś przyjaciółkę mamy? Przecież jej rodzina od dawna tu nie przyjeżdża.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – odparła Nell, patrząc spod oka na Francescę. – Niektóre przyjaźnie trwają wiecznie.

– Jak się nazywa ta przyjaciółka?

– Stevie Moore.

– Ojej! – wykrzyknęła Francesca. – Ta Stevie Moore, która pisze książki dla dzieci?

Nell kiwnęła głową.

– Była najlepszą przyjaciółką mamy.

Jack usiłował sobie przypomnieć koleżanki Emmy, lecz ich obraz zlał się w jedno. On miał oczy tylko dla niej. Lecz nazwisko Stevie Moore brzmiało znajomo. Emma miała jakiś problem z jej książkami, nie chciała ich czytać Nell.

– Są wspaniałe – mówiła Francesca. – Uwielbiałam je, kiedy byłam mała. A ta o ptasich gniazdach sprawiła, że

zostałam inżynierem. Te wszystkie cudowne ilustracje z tysiącem szczegółów. Patyczki, gałązki, kawałki papieru, wstążki. Kiedy zdejmiesz włosy ze szczotki i położysz je na parapecie okiennym, ptaki wezmą je i wplotą w gniazdo.

Jack czekał na reakcję Nell i nie zawiódł się.

– Mama tak robiła – powiedziała Nell. – Szczotkowała mi włosy, a potem dzieliła się nimi z ptasią mamą.

Emma rzeczywiście to robiła. To był taki jakby rytuał. Uwielbiał ją przy tym obserwować. Wkładała w tę czynność całą swoją miłość do Nell.

Popatrzył na córkę. Jak jej się udało odnaleźć przyjaciółkę Emmy? Nie poprosiła go o pomoc. A może jednak. Pytała przecież o niebieski dom na końcu plaży. Czy znowu miała jakieś sekrety? Przypomniawszy sobie zimę zeszłego roku i straszne noce, gdy budziła się z krzykiem, wzywając matkę. Wreszcie zdecydował się na terapeutę. Chodziła do niego od pół roku i nastąpiła pewna poprawa, a wakacyjny wyjazd miał być próbą. Doktor Galford znajdował się o dwie godziny drogi stąd, w Bostonie. Nell wciąż miewała kłopoty ze snem, lecz przynajmniej skończyły się mrożące krew w żyłach krzyki.

– A wracając do plastrów, Nell. Co się stało?

– Tak jak mówiłam, upadłam, a Stevie mnie opatrzyła.

Stevie? Jack rzucił jej groźne spojrzenie, lecz ona patrzyła na niego śmiało tymi swoimi wielkimi zielonymi oczyma.

– Mogłabyś mi powiedzieć, jak ją znalazłaś?

– Wszystkie dzieci w okolicy ją znają. Przybiegają do jej domu.

– Jak ptaki, które maluje – wtrąciła Francesca.

– Wiesz, że ty też jesteś jak dziecko? – stwierdziła Nell z takim zachwytem w głosie, że Francesca nie wyczuła złośliwości i uśmiechnęła się.

Jack poczuł się zmęczony. Zamierzał zabrać je gdzieś na kolację, lecz teraz miał ochotę położyć się i o niczym nie myśleć. Od śmierci Emmy wszystko go męczyło. Pragnął, żeby wróciła, żeby tu była razem z nim. Dlatego zdecydował się na przyjazd do miejsca, gdzie się poznali. Teraz jednak, myśląc o Nell szukającej najlepszej przyjaciółki Emmy i dostrzegając błysk w jej oczach, doszedł do wniosku, że popełnił ogromny błąd.

– Nie zawracaj jej więcej głowy – powiedział. – To rozkaz.

– Nie będę – obiecała Nell.

– Chcę, żebyś znalazła sobie własne przyjaciółki – dodał. – Zaprzyjaźniła się z dziećmi w twoim wieku, z którymi mogłabyś się bawić na plaży.

Nell zachichotała.

– Co w tym takiego śmiesznego?

– Nic. Tylko gdy powiedziałaś „z dziećmi w moim wieku”, przypomniałam sobie, co Stevie mówiła o tobie.

– A co mówiła?

– Że jesteś stary – odparła ze śmiechem, patrząc znacząco na Francescę.

Potem znowu spoważniała. Chciał wziąć ją za rękę,

lecz pobiegła na górę do swojego pokoju. Po chwili usłyszał jej kroki nad głową. Francesca podeszła, objęła go i szepnęła mu coś na ucho, lecz on niczego nie czuł i niczego nie słyszał.

Rozdział 3

Nowa książka Stevie nosiła roboczy tytuł „Czerwony nektar” i opowiadała o kolibrach i ich upodobaniu do czerwonych kwiatów. Chociaż terminy goniły, odłożyła pracę nad nią i zabrała się do malowania małego brązowego strzyżyka.

Tilly patrzyła na to z wyraźną dezaprobatą. W jakiś sposób domyśliła się – Stevie już dawno zrezygnowała z próby zrozumienia mistycznej więzi, jaka łączyła ją z kotką, i zajrzenia za zasłonę dzielącą ludzi i koty – że jej pani woli iść za głosem serca niż obowiązku, który raczej nie przyniesie jej pieniędzy, za to z pewnością ból.

Stevie uwielbiała malowanie czy choćby rysowanie. Wszystkie opisywane przez nią historie miały pokrycie w rzeczywistości, były opowieściami o ptakach spotkanych przez nią na ścieżce życia. Lubiła ustawiać sztalugi w ogrodzie na tyłach domu za żywopłotem i rysować ptaki siadające na drutach, na dachu domu, skaczące po podwórzu. Teraz jednak było ciemno i wszystkie strzyżyki spały. Zresztą ten strzyżyk nie był prawdziwym strzyżykiem. Tilly warknęła. Gdy Stevie uniosła wzrok, kotka pokazała zęby. Czterech przednich jej brakowało.

– Tilly, pozwól mi skończyć, dobrze? Potem pójdziemy łowić myszy.

Pochyliła się nad specjalnym papierem do malowania akwarelami firmy Sennelier, który kupiła na bulwarze Woltera w Paryżu w jej ulubionym sklepie z przyborami malarskimi. Delikatnymi pociągnięciami pędzla nałożyła ciepłą zieleń podobną w odcieniu do koloru oczu Nell. Ptak miał barwę orzecha, gładkość kasztana, wzrok czujny i zaciekawiony. Zawsze krytykowano ją za to, że nadaje ptakom ludzkie cechy. Nic nie mogła na to poradzić, że tak właśnie postrzega świat: jako wielką, antropomorficzną przewrotną opowieść o stworzeniach i ludziach i ich odwiecznym poszukiwaniu miłości.

Namalowała portret młodego strzyżyka, który uczy się latać. No dalej, po prostu wyjdź z gniazda, usiądź na gałęzi i rozłóż skrzydła – tak siedząca obok matka dodawała małemu odwagi.

Następny obrazek. Malec jest sam, matka odleciała. Zaląła ją fala emocji.

– Och, Emmo – powiedziała. Och, Nell, dodała w myślach.

Wstrzymała oddech, jakby sama uczyła się latać. Z pędzla zaczęły kapać krople farby. Łzy, pomyślała. Samotne dziecko płaczące po stracie matki.

Dzieci porzucone przez świat – tak się czuły te, których matki odeszły lub umarły młodo. Z uporem szukały idealnego, trwałego związku, gdyż każdy inny uznałyby za niepowodzenie. Pomyślała o bólu, jaki to poszukiwanie sprawiło jej i innym. Zniechęcona postanowiła poświęcić się pisaniu i malowaniu. Bliskości doświadczyła jedynie z

wakacyjnymi przyjaciółkami. Jak mogła pozwolić, by ta przyjaźń się urwała? Zaciśnęła powieki i zobaczyła Emmę: chłopięca fryzura, kostium kąpielowy w biało-niebieskie paski, kolczyki w uszach. Śmieje się serdecznie z rękami podpartymi pod boki. Wystarczyło jedno jej słowo lub spojrzenie i Stevie i Maddie wybuchwały śmiechem.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo przez całą dorosłość brakowało jej przyjaciółek. Może powstrzymałyby ją przed samobójczą gonitwą za miłością. Poszukiwania namiętności w związku i intensywności w wielu dziedzinach życia doprowadziły ją tu, gdzie teraz była: do tego cichego domu przy plaży, w którym mieszkała sama jak palec, jeśli nie liczyć starej kotki i odwiedzających je ptaków. Stała się takim odludkiem. Zapomniała już, jak to jest podejmować gości, dopóki nie zjawiała się Nell. Nagle pomyślała o Jacku. Miała nadzieję, że jest dobrym ojcem.

Dwa niedobre strzyżyki – w tym wypadku mężczyzna i kobieta – nie mogły się niczego nauczyć od pingwinów cesarskich. Przypomniała sobie podróż na Antarktydę z Linusem Marssem, swoim drugim mężem – ulotne światło, gęstą ciemność, bliskość gwiazd wiszących na niebie niczym latarnie, które tylko czekały, by je zdjąć i zabrać ze sobą, a także futrzane okrycia. Płakała na ich widok, bo życie w tundrze już i tak jest ciężkie dla zwierząt. A ludzie jeszcze zabijają je dla skór.

Linus tulił ją do siebie z miłością, lecz równocześnie z

rozbawieniem. Pokochał bowiem kobietę o miękkim sercu, która uważała się nad losem zwierząt i wołała zamarznąć, niż okryć się ich skórą. Już wtedy – a był to ich miesiąc miodowy i zarazem wyprawa naukowa – Stevie wiedziała, że popełniła błąd, wychodząc za mąż za tego człowieka. Namiętność, jaką czuła do Linusa, wciąż była silna, lecz powoli ustępowała miejsca świadomości, że istnieje w ich związku rysa, która stale się powiększa.

Linus patrzył więc na nią z pełnym dystansu humorem, a fatalną wadą Stevie była tęsknota za jednością z ukochanym mężczyzną, połączeniem się z nim duszą i ciałem. On był naukowcem, ona artystką. Jego szkice były analityczne, miały na celu głębsze zrozumienie zaskakujących procesów adaptacyjnych pingwinów w ciężkich warunkach, w jakich przyszło im żyć. Jej również były analityczne, lecz skupiały się na cudownym gorącym sercu ptaka żyjącego na lodowej pustyni.

Linusa Marsa poznała w Woods Hole, w morskim laboratorium biologicznym, gdzie wygłaszał odczyt o *Aptenodytes forested* – pingwinie cesarskim. Właśnie zbierała materiały o tych ptakach do swojej następnej książki mającej nosić tytuł „Troskliwy ojciec”. Słuchała z uwagą, gdy opowiadał o największym gatunku w rodzinie pingwinów. Niezdolne do latania, całe życie spędzają na lodach Antarktydy, utrzymując ciepło dzięki podskórnemu tłuszczowi i tuzinowi piór na każdym centymetrze kwadratowym powierzchni ciała, czym nie może się poszczycić żaden inny ptak.

– Żyją w koloniach – mówił Linus w ciemnej sali, pokazując zdjęcia z ostatniej ekspedycji.

Światło ze stojącego za nim ekranu wydobywało z mroku wymagające podcięcia włosy w kolorze miodowym, długi prosty nos, mocno zarysowany podbródek. Siedząca w pierwszym rzędzie Stevie pomyślała, że wygląda jak profesor z Oksfordu, którym oczywiście był.

– Poruszają się w tańcu, którego kroki wyznacza mróz. Bezustannie drepczą po obwodzie koła, zmieniając kierunek w jego środku. Marzec to początek zimy, gdy prawie wszystkie zwierzęta opuszczają nieprzyjazny kontynent. Zostają jedynie pingwiny cesarskie, by się rozmnażać.

Stevie zadrzała, wsłuchując się w szum pracującego klimatyzatora i myśląc o romansach pingwinów, ich lodowym tańcu i rytuale łączenia się w pary.

– Odbywają nawet coś w rodzaju zalotów – mówił doktor Mars, patrząc prosto na nią. – Trwają one kilka tygodni, co chyba jest wystarczającym okresem.

Czy zauważył, jak się zaczerwieniła w ciemności? Niemożliwe, pomyślała, lecz on nie spuszczał z niej wzroku. Trzymała w lewym ręku notatnik, a on patrzył na jej obrączkę. Była wtedy mężatką, żoną człowieka, którego poznała na studiach. Nazywał się Kevin Lassiter, był artystą, muzykiem, szefem kuchni, alkoholikiem. Zaprojektował też obrączkę, którą miała na palcu. Dobrze, pomyślała. Niech wie, że jestem mężatką.

– Po zalotach – ciągnął doktor Mars swoją piękną angielszczyzną – samica składa jajo, jedno jajo, a potem odchodzi. Jest prawdziwą feministką, że się tak wyrażę, chociaż zwykle nie pozwalam moim studentom na takie humanistyczne porównania. Samiec zaś jest wolnym mężczyzną. Kiedy ona pokonuje ponad siedemdziesiąt kilometrów, by dotrzeć do morza w poszukiwaniu pożywienia, on zostaje z kolegami samcami i wysiaduje jajo. W czasie gdy drepcze nieustannie, zmieniając się w środku okręgu z towarzyszymi niedoli, jajo tkwi na stopach, przykryte grubym fałdem skórnym brzucha. To ci dopiero wolny mężczyzna.

Słuchacze wybuchnęli śmiechem, a Stevie skuliła się na siedzeniu. Teraz kiedy uświadomiła zarówno wykładowcy, jak i przede wszystkim sobie, że jest mężatką, poczuła przyływ emocji. Dlatego właśnie wybrała pingwiny cesarskie na bohaterów książki – z powodu tej opiekuńczej miłości samca do jedyne go dziecka.

Tak było z jej ojcem, Johnnym Moore'em. Przestała słuchać ciepłego dystygowanego głosu wykładowcy, który pokazywał kolejne zdjęcia, i oddała się wspomnieniom. Jej ojciec też był profesorem. Wykładał w Trinity College w Hartford. Był Irlandczykiem z pochodzenia, wielbicielem języka angielskiego i specjalistą od literatury irlandzkiej. Miał na swoim koncie szereg prac o Jamesie Joysie i jego chorej na schizofrenię córce Lucii. Jakże bezradną miłością musiał darzyć to

chore dziecko, które sprowadził na świat. Stevie wróciła do słuchania wykładu.

– Samiec przez siedemdziesiąt dwa dni opiera się gwałtownym burzom z wiatrami osiagającymi prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, które pędzą śnieg i lód. Nic nie je, lecz karmi pisklę płynem przypominającym konsystencją mleko, a produkowanym przez gruczoł w przełyku.

Stevie przestała robić notatki, myśląc o wyrzeczeniach, jakie ponosił jej ojciec, wychowując ją.

– W końcu po dwóch miesiącach spędzonych na łowieniu ryb wracają samice. Odnajdują samców i pisklęta wśród setek innych, nawołując ich. Nie ma dwóch ptaków, które wydałyby z siebie taki sam krzyk. Kiedy pingwiny łączą się w pary, dźwięk ten zostaje zakodowany w ich...

– Sercach – wyrwało się Stevie.

– Chciałem powiedzieć w mózgach – wyjaśnił Linus Mars.

Słuchacze wybuchnęli śmiechem.

– Oczywiście nic nie jest jednoznaczne. Natura stawia przed zwierzętami wielkie wyzwania i to oczywiste, że my ludzie wyobrażamy sobie, że prócz biologicznego istnieje też emocjonalny związek. Szczególnie wtedy gdy, co często się zdarza, matka nie wraca z morza. Jakkolwiek heroiczna może się wydawać opieka ojca nad jajem przez te siedemdziesiąt dwa dni, on nie musi stawić czoła warunkom panującym na otwartym oceanie ani

drapieżnikom.

Oczy Stevie wypełniły się łzami.

– Dlatego przyznaję rację pani w pierwszym rzędzie. Serce to też poprawna odpowiedź. Ciało każdego stworzenia nosi zapis wszystkich jego doświadczeń i z tego powodu wołanie pingwina cesarskiego może być zakodowane w sercu. A kiedy wołanie pozostaje bez odpowiedzi, nieszczęście gotowe, co nam ludziom nietrudno sobie wyobrazić.

Urwał i popatrzył na nią.

Kiedy wykład dobiegł końca, naukowiec podszedł do Stevie. Chociaż zdążyła już osuszyć łzy, podał jej starannie złożoną chusteczkę podobną do tej, jakiej używał ojciec.

– Już w porządku – odpowiedziała. – Ale dziękuję.

– Zauważyłem, że wykład bardzo panią zainteresował.

– Piszę książkę dla dzieci o pingwinach cesarskich i dzięki panu zdobyłam mnóstwo informacji.

– Powiedziałbym raczej, że zainteresowała panią historia miłosna.

– Historia miłosna?

Linus Mars był wysokim mężczyzną. Na sobie miał tweedową marynarkę o grubym splocie, w odcieniu wrzośca. Stevie przypomniała sobie wspólne wycieczki z ojcem do Sligo i Galway w Irlandii i na wyspy Aran. Specjalista od pingwinów cesarskich miał orzechowe oczy z miękkimi brązowymi rzeszami. Okulary w złotej oprawce niebezpiecznie wystawały z kieszeni na jego piersi.

Wsunęła je delikatnie na miejsce.

– O miłości ojca do samicy i ich potomka.

– Myślałam, że naukowcy nie wierzą w historie miłosne wśród ptaków.

– Nie wierzymy. Miłość nie zdarza się wśród zwierząt. Pani jednak myśli inaczej.

– To prawda.

– Trzeba mieć odwagę, by to przyznać w tej twierdzy biologii. W uszach ornitologa podobne stwierdzenie brzmi jak świętokradztwo.

– Przepraszam – odparła. – Artyści nie myślą w sposób uporządkowany.

Zmarszczył brew, po czym spojrzał w sufit i westchnął. Pomyślała, że zbyt długo kierował się w życiu rozumem, nie dopuszczając do głosu emocji.

– Chciałbym ponownie nauczyć się pewnych rzeczy – powiedział. – Sztywność w myśleniu to pułapka, w którą wpada zbyt wielu z nas.

– Sztywność myślowa nie jest wcale taka zła – szepnęła, patrząc na jego pozbawiony obrączki palec. Pomyślała o Kevinie leżącym w tej chwili w domu na kanapie, z butelką piwa i szklanką bourbona, i bezmyślnie przerzucającym kanały telewizyjne.

– Może pani to udowodnić?

– Mój mąż był najbardziej utalentowanym artystą na roku. Potem jednak przestał malować, bo powiedział, że nie ma natchnienia. Przekonywałam go, że dyscyplina jest znacznie ważniejsza niż natchnienie. Zacznij malować, a

obrazy wypłyną ci spod pędzla, mówiłam. Właśnie na tym to polega, taki dar. Najtrudniej jednak dojść do sztalugi.

– Posłuchał pani?

Pokręciła głową.

– Teraz w ogóle nie maluje.

Poczuła się nagle strasznie samotna jako żona człowieka upijającego się gdzieś tam daleko.

– Przykro mi.

Kiwnęła głową.

– Czy naprawdę wierzy pani w to, że dyscyplina jest ważniejsza od natchnienia?

– Tak, wierzę. Ojciec mi o tym powiedział.

– A skąd pani ojciec o tym wiedział?

Stevie z trudem przełknęła ślinę.

– Ojciec był naukowcem, tak jak pan. Nazywał się John Moore. Był również poetą. Miał wszystko, doktorat, etat i duszę Irlandczyka. I wtedy moja mama odeszła, jak samica pingwina. Pojechała do Francji na wycieczkę, którą ojciec zafundował jej na trzydzieste piąte urodziny, i nie wróciła do domu.

– Co się z nią stało?

– Zginęła w katastrofie samolotu.

– Bardzo mi przykro – powiedział i widząc, że znowu potrzebuje chusteczki, podał ją.

Wydmuchwała nos.

– Oto miłosne wołanie, które odtąd jest zakodowane w moim sercu.

Zaśmiała się, zwracając mu chusteczkę.

– A co z tą dyscypliną? – zapytał, po czym pokręcił głową. – Głupiec ze mnie. Przerywam pani emocjonalną opowieść, by wrócić do sedna sprawy. Rozumie teraz pani, co miałem na myśli, mówiąc o braku elastyczności?

– Nic nie szkodzi. Chciałam powiedzieć, że odtąd ojciec przejął nade mną opiekę i nic nie mogło mu w tym przeszkodzić. Ani nauczanie, ani poezja. Po śmierci mamy przestał publikować. Myślę, że wychowywanie mnie pochłaniało zbyt dużo czasu. Pominęto go przy nominacji na szefa katedry, bo zbyt go absorbowało wożenie mnie na lekcje jazdy konnej i nad rzekę Farmington, bym mogła rysować.

– Musiał być wspaniałym człowiekiem.

– Tak. I wspaniałym ojcem.

– Czy to nie to samo? – zapytał, patrząc na nią zachłannie. – Czy można być jednym bez drugiego?

– Myślę, że jedno łączy się z drugim.

– Jasna cholera! Bałem się, że pani tak powie. Byłem okropnym ojcem dla mojego syna. Czy zostałbym z nim na łodzi przez siedemdziesiąt dwie minuty, nie mówiąc już o siedemdziesięciu dwóch dniach? Nie.

– Na pewno to panu wybaczył.

– Wybaczył? On mnie uwielbia. Ziemia, po której stąkam od dnia, w którym opuściłem jego matkę, to dla Williama płynne złoto. Gdzie tu sprawiedliwość?

– On pana kocha. To chyba sprawiedliwe.

Linus Mars uśmiechnął się.

– Jest pani kochana. Bardzo, bardzo kochana.

Chodźmy, postawię pani drinka, a pani da mi kilka rad, jak nie myśleć schematycznie. Jak się pani nazywa?

– Stevie Moore.

– Linus Mars. Proszę się zgodzić. Wie pani o rzeczach, które chciałbym poznać.

– Na temat pańskiego syna?

– Na temat mojego serca.

– Aha.

Pomyślała o Kevinie, który został w Nowym Jorku. Nie będzie nic jadł, dopóki nie wróci do domu i albo go nakarmi, albo zmusi, by podniósł słuchawkę i zamówił chińszczyznę. Z drugiej jednak strony zanim ona zdąży wrócić, jej mąż będzie od dawna nieprzytomny z upojenia. Poza tym nie od dziś wiedziała, że małżeństwo, którego kiedyś pragnęła z całej duszy, zniewoliło ją. Patrząc na przystojną kościstą twarz Linusa, jego piwne oczy i ciężkie powieki, poczuła pierwsze drgnienie długo uśpionego uczucia.

Teraz, w pogrążonym w ciszy domu na cyplu Hubbarda, przeciągnęła pędzlem po szorstkim papierze. Mały strzyżyk został sam. Potarła czoło. Wizyta Nell nie dawała jej spokoju. Znowu pomyślała o Emmie i przed oczyma stanęły jej trzy wakacyjne przyjaciółki.

Cypel Hubbarda odcinała od reszty stanu Connecticut estakada z torami kolejowymi, biegnąca nad drogą. Po przejechaniu pod nią miało się wrażenie, że wkracza się do zaczarowanego królestwa, w którym przyjaciółki są sobie równie bliskie jak siostry. Przez trzy lata, w czasie

których przepoczwarzały się z dziewcząt w kobiety, spędzały czas na plaży, chłonąc ciepło i wierząc, że życie i ich przyjaźń będą trwać wiecznie. Przyrzekły sobie, że razem się zestarzeją i będą jak te stare wysuszone damy z towarzystwa dobroczynnego siadać na leżakach, szyć i plotkować o sąsiadkach.

Jak łatwo ludzie rezygnują z różnych rzeczy, pomyślała gryząc końcówkę pędzla. Tyle się zdarzyło w jej życiu, o czym wakacyjne przyjaciółki nie miały nawet pojęcia. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz leczyły jej złamane serce. Pojechały do lodziarni „Rajskie smakołyki” na melbę z likierem maraskino, po czym zabrały dekoracyjne wisienki i ostentacyjnie zakopały je w piasku. Sama później chętnie powtórzyłaby ten rytuał wiele razy.

Odłożyła pędzel i odsunęła na bok akwarele. Obiecała Tilly, że pójdzie z nią na polowanie, otworzyła więc drzwi kuchenne i wypuściła kotkę na dwór. Boso przeszła przez podwórze i stanęła na skale z widokiem na plażę. W dole szumiało morze, białe grzywy fal połyskiwały w atramentowej ciemności. Wstrzymała oddech, by sprawdzić, czy serce bije tym samym rytmem co fale uderzające o brzeg. Tilly zaszeleściła w krzakach. Prawie bezzębny kot w pogoni za myszą. Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Dalej, Tilly – powiedziała, nie odrywając wzroku od plaży, na której przeżyła z przyjaciółkami tyle szczęśliwych dni. Spojrzała w niebo pełne gwiazd i wybrała jedną dla Madeleine i jedną dla Emmy. – I jedną

dla Nell – dodała, patrząc na gwiazdę świecąca białoniebieskim blaskiem w nieskończonej ciemności nocy.

Ciepły wiatr poruszał zasłonami, a cykanie świerszczy i świergot ptaków kołysały do snu. Nell leżała w łóżku, czując ból w żołądku od nadmiaru jedzenia, i wsłuchiwała się w odgłosy natury z nadzieją, że to ją uspokoi. Na próżno.

- Ach! – westchnęła przeciągle.
- Śpij, Nell – rozległ się głos ojca.
- Nie mogę zasnąć – odpowiedziała.
- To się postaraj.

Wystawiła język. Ale rada. Ojcowie niczego nie rozumieją. Czy oni nie wiedzą, że im bardziej człowiek się stara, tym trudniej jest zasnąć? Mama powiedziałaby... Zacisnęła powieki, usiłując sobie przypomnieć, co mama by powiedziała. Pamięć okazała się zawodna. Zwykle potrafiła zapełnić pustkę słowami matki, tym razem jednak nie zdołała. Na pociechę spróbowała wyczarować głos mamy, lecz to również jej się nie udało.

– Och! – jęknęła głośnie. Ból brzucha nasilił się. – Tato!

Wysoka sylwetka zamajaczyła w drzwiach. Jack podszedł bliżej i usiadł na brzegu łóżka. Dom był mały i pachniał stęchlizną, do tego w oknie wisiały wstrętne zasłony. Bolał ją brzuch i brakowało jej mamy. Spotkanie ze Stevie okazało się zbyt dużym przeżyciem, a

jednocześnie pozostawiło niedosyt. Tysiące uczuć przepływało przez nią, boleśnie raniąc i zmuszając ją do płaczu.

– Już dobrze, Nell – powiedział ojciec, przytulając ją do siebie.

Już nigdy nie będzie dobrze, chciała powiedzieć, lecz płacz nie pozwolił jej na to.

– Może nie powinnaś była kończyć tego homara. Był bardzo duży.

Przypomniała sobie scenę w restauracji: ojciec i Francesca rozmawiali o jakimś moście, który budowali, a na stole piętrzyły się talerze z homarami, małżami i kolbami kukurydzy. Podwinęła rękawy i zanurzyła różowego homara w roztopionym maśle, czując się coraz pełniejsza i pełniejsza. Francesca uśmiechnęła się pod nosem. – Ktoś tu ma wilczy apetyt – powiedziała.

– Już pojechała – uspokoił ją teraz Jack.

– Wiem – wykrztusiła.

Zamknęła oczy, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękoma. Słyszała, jak Francesca się żegna. Musiała wracać do Bostonu, lecz Nell mogłaby przysiąc, że bardzo chciała zostać.

– Nie przejmuj się nią – powiedział Jack, głaszcząc ją po włosach.

– Ojciec Mary Donovan ożenił się ze swoją przyjaciółką – załkała.

– Nie jestem ojcem Mary Donovan.

– Mama uwielbiała homary.

– Wiem.

– Powiedziała mi, że wakacyjne przyjaciółki łączyły razem homary.

– Może i tak, nie wiem.

– Moglibyśmy zapytać ciocię Maddie?

Cisza. Ręka spoczywająca na jej głowie stała się nagle ciężka. Nell czekała, by ojciec coś powiedział, chociaż wiedziała, że to na nic. Za każdym razem gdy pytała go o ciocię Maddie, milczał, jakby pytania w ogóle nie było. Przypomniała sobie, jak mama i ciocia śmiały się razem. Poczowała, że żołądek kurczy jej się z bólu. Odwróciła się do ściany, by ojciec nie widział jej twarzy.

Rozdział 4

Dopiero po trzech dniach udało się Jackowi namówić córkę, żeby zapisała się na zajęcia na plaży. Na pewno będzie wesoło, przekonywał, nauczy się lepiej pływać, a on po zajęciach będzie na nią czekał na promenadzie. Liczył na to, że wysiłek fizyczny pomoże jej zasnąć. Jack miał telefon do doktora Galforda, lecz nie chciał do niego dzwonić. Pragnął, żeby córka spędziła spokojne wakacje bez psychiatry.

Kiedy wyruszyli na plażę, Nell zachowywała się niczym zmuszany do ciężkiej pracy więzień. Stała za plecami ojca, gdy rozmawiał z Laurel Thompson, pełną entuzjazmu animatorką prowadzącą zajęcia rekreacyjne. Siedemnastoletnia blondynka, wysoka i szczupła, uśmiechnęła się do Nell przyjaźnie.

– Cześć, Nell.

– Chyba nie jest do tego pomysłu przekonana – wtrącił Jack.

– Och, nic nie szkodzi – odpowiedziała dziewczyna. – Wiele dzieci z początku nie jest przekonanych. Ale możesz być dziś moją pomocnicą.

– Słyszysz, Nell? – spytał Jack z nadzieją. Zaraz jednak zwątpił, widząc, jak kopie nogą mokry piasek. – Nell?

– Mhm – mruknęła.

– Będzie bardzo wesoło – zapewniła Laurel.

– Do zobaczenia o dwunastej na promenadzie – powiedział Jack, kładąc dłoń na głowie córki.

– Tato, ja tu nie zostanę... – odparła Nell.

Tymczasem zaczęły się schodzić inne dzieci w jej wieku.

– Cześć, Nell – powiedziała piegowata dziewczynka o rudych włosach i szerokim uśmiechu. – Pamiętasz mnie? Stałaś na moim ręczniku kilka dni temu. Mam na imię Peggy.

Nell kiwnęła głową.

– Pamiętam.

Jack czekał z bijącym sercem na uśmiech lub grymas, lub inny znak mówiący o tym, że wszystko będzie dobrze, że może ją tu zostawić z nową koleżanką.

Peggy wzięła ją za rękę.

– Będiesz moją partnerką w biegu sztafetowym. Dobrze, Laurel?

– Doskonale. Chodźcie tu wszyscy, stańcie w szeregu na twardym piasku.

Trzymając Peggy za rękę, Nell spojrzała na ojca po raz ostatni i prawie się uśmiechnęła. Jackowi stanęła przed oczyma żona. Kiedy Emma umierała nieprzytomna w szpitalnym łóżku, trzymał jej twarz dłońmi i błagał, żeby go nie zostawiała. Odtąd widział ją każdego dnia w oczach córki.

Zostawił Nell pod opieką Laurel i ruszył wzdłuż plaży, bezwiednie kierując się w stronę domu, gdzie mieszkała

najlepsza przyjaciółka żony. Przyglądał się budynkom ukrytym wśród sosen rosnących wzdłuż skalnej krawędzi. Usiłował przypomnieć sobie, który to dom.

Nell znalazła go bez trudu. Zbierała jak magnes wszystkie szczegóły dotyczące matki. Przed śmiercią Emmy Nell wyciągała od ciotki różne historie, wspomnienia, sekrety, ulubione piosenki. Madeleine nauczyła ją nawet piosenki „Lemon Tree”, którą śpiewało się na głosy. Nell śpiewała ją przy każdej okazji, w łazience, w samochodzie, czekając, aż zawtóruje jej kobiecy głos. Może dlatego Ignęła do Stevie Moore. On na pewno jej o niej nie opowiadał, nawet nie pamiętał jej imienia. Była przyjaciółką jego młodszej siostry, lecz on miał oczy tylko dla Emmy.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej. Odwrócił się, by sprawdzić, czy Nell za nim nie idzie. Musiał jej znaleźć jakieś zajęcie na kilka godzin dziennie. Miał sprawy do załatwienia, a przy Nell nic nie mógł zrobić. Spojrzał na zegarek. Dziewięta dwadzieścia. Miał więc prawie trzy godziny wolnego – dość, by pójść na spacer, zanim wróci do obowiązków. Przeszedł przez mostek nad strumieniem i ruszył w górę po schodach prowadzących do lasu.

- Uważaj, nie upuść go.
- Nie upuszczę. To ty masz dziurawe ręce.
- Zamknijcie się i weźcie drabinę. Jezu, czy muszę wam mówić, co robić?
- A jeżeli rzuci na nas zaklęcie?

– Idiota. Ona nie jest prawdziwą czarownicą.

– Ona jest dobrą czarownicą, jak ta z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”.

– Dlaczego? Bo lubi ptaki? Ptaki mają wielkie szpony i dzioby, którymi wyłupią ci oczy. Billy, ty będziesz Ptasznikiem, a ona Ptaszniczką. Mama mówi, że ona nie zadaje się z normalnymi ludźmi.

– Ona z nikim się nie zadaje. Śpi przez cały dzień, a nocą rzuca zaklęcia.

– Nieprawda, ona jest dobra – odpowiedział Billy McCabe. Kiedy był mały, mama czytała jemu i jego siostrze książki Stevie Moore. Teraz trzymał w rękach tekturowe pudełko z ptaszkiem w środku.

– Bzdura. Ona jest taką czarownicą jak w tym głupim filmie, w którym taka jedna pożarła dzieciaki...

– Pożarła? Czarownice nie pożerają ludzi. To rekiny pożerają.

– Szczęki czarownicy.

– Pieprzysz.

– Ooo!... Jeremy się wyraża.

– Ty też.

– Ale ja mam dwanaście lat.

– A ja jedenaście.

Chłopcy przedzierali się przez chaszczę, niosąc drabinę, aparat fotograficzny i świeczkę. Swój letni klub nazwali „Anonimowymi Łowcami Czarownic”. Pudełko, które niósł Billy, nie było w planach wyprawy. Znajdowało się w nim pisklę wrony znalezione przez nich pod krzakiem.

Pewnie uczyło się latać i wypadło z gniazda. Billy je uratował, przez co wyprawa się opóźniła. Kiedy skończą szpiegować czarownicę, podrzucą pudełko pod drzwi weterynarzowi, Rumerowi Larkinowi mieszkającemu dwa domy dalej.

Gdy minęli dawny domek myśliwski, rozejrzeli się uważnie na boki i podbiegli do ściany białego, pokrytego gontami domu. Teren opadał tu stromo ku plaży i trudno było prosto ustawić drabinę. Jeremy Spring wbił jedną metalową nóżkę w ziemię, a Rafe Morgan podłożył pod drugą kamienie. Czubek drabiny uderzył ze stukiem w ścianę domu. Chłopcy ukryli się w krzakach i wstrzymali oddechy, czekając, aż w oknie pojawi się gniewna twarz. Billy przykucnął za rozłożystym cisem z pudełkiem w ręku. Po co w ogóle tu przyszli? Dopiero im się dostanie, jak ich złapią. I w imię czego? Przecież to dom jak każdy inny, co niby mieliby w nim zobaczyć?

– Lepiej dajmy sobie spokój – powiedział, niespokojnie patrząc w okno.

– Już za późno – stwierdził Rafe.

– A co niby mamy tam zobaczyć?

– Ona czaruje na golasa – poinformował Jeremy.

– Akurat.

– Tak słyszałem.

Dwóch chłopców trzymało drabinę, a Jeremy i Eugene Tyrone przepychali się, kto pierwszy wejdzie. Wygrał Eugene i raz-dwa wspiął się na samą górę. Dom wbudowano w skalny występ, więc ściana, przy której

stali, była spadzista. Chłopcy nie mieli pojęcia, co zobaczą – salon, sypialnię, pokój cesarzy czy salę tortur. Wszyscy zadzierali głowy, czekając na relację kolegi.

– No? Co ona robi?

– Opowiadaj!

Jeremy potrząsnął lekko drabiną. Eugene machnął ręką w powietrzu, żeby ich uciszyć. Chłopcy zamarli z uniesionymi głowami. To niesprawiedliwe, że Eugene sterczy tam tyle czasu. W pobliżu rósł rachityczny dąb. Rafe i Jeremy postanowili wdrapać się na niego, by zobaczyć, co widzi Eugene.

– Widzisz ją? – zapytał Rafe, poddając się w pół drogi.

Eugene kiwnął głową, lecz nic nie powiedział, tylko zmarszczył brwi. Po chwili pokręcił głową, jakby zobaczył coś, co mu się nie spodobało, i zszedł z drabiny.

– Jest goła?

– Odcina ogony jaszczurkom?

– Widziałeś jej zbiór zasuszonych głów? To są głowy dzieci, które zagładają jej przez okno – powiedział Billy.

Wszyscy szeptali, tylko on mówił normalnym głosem. Rafe zerwał garść niedojrzałych żołądździ i cisnął w niego. Atak był bardzo bolesny. Billy upuścił pudełko, z którego wypadł ptak, a gdy rzucił się, by go złapać, potracił drabinę. Zachwiała się, po czym z łoskotem spadła na ziemię.

Stevie siedziała przed sztalugami i wpatrywała się w pusty papier. Miała na sobie szlafrok, który były kochanek

nazwał: „Witaj w czarnej dziurze”. Był kremowy, z jedwabiu, z czarno – niebieskimi chińskimi literami i należał podobno do Joan Morgany, wschodzącej gwiazdy Metropolitan Opera. Śpiewaczka wdała się w nieszczęśliwy romans ze sławnym tenorem, który popełnił samobójstwo tuż po przedstawieniu „Madame Butterfly”. Poruszona ponurą historią miłosną, niedługo po rozstaniu z Linusem, kupiła ten szlafrok w sklepiku przy operze na East Twenty Third Street.

Próbowała się skoncentrować, gdy usłyszała łoskot. Nie zwróciła na niego uwagi. Od wizyty Nell minęło już kilka dni. Przez dwa malowała strzyżyki, a teraz wróciła do kolibrów. Milin porastający północną ścianę domu przyciągał je jak magnes. Od tygodni obserwowała samiczkę o zielonym upierzeniu i szmaragdowego samca z rubinowym podgardlem. Jednakże zamiast malować, myślała o Emmie i Nell. Popijała herbatę z wyszczerbionej filiżanki w niebieskie różyczki, z porcelanowego serwisu babci, wspominając, jak to we trójkę z Emmą i Maddie urządzały sobie herbatki. Robiły lemoniadę i popijały ją z tych filiżanek. Tę właśnie, podówczas nie tak wyszczerbioną, najbardziej lubiła Emma. Łzy wezbrały jej pod powiekami. Nagle usłyszała skrobanie. Tilly natychmiast zeskoczyła z oparcia kanapy i uciekła w bezpieczne miejsce. Potem ktoś krzyknął: „Au! Uwaga!” i coś uderzyło z łoskotem o skałę. Nie pierwszy raz słyszała ten dźwięk. Westchnęła, mając nadzieję, że nikomu nic się nie stało. Otarła łzy, otuliła się

szlafrokiem i podbiegła do okna.

Na ziemi leżała przewrócona drabina. Kilku chłopców właśnie chowało się za krzakami i skałami. Jeden siedział na drzewie, a drugi usiłował złapać wronie pisklę. Kątem oka dostrzegła mężczyznę biegnącego przez jej podwórko. Przeskoczył przez niski żywopłot z bukszpanu, wykazując imponującą formę jak na swój wiek. Zaniepokojona rozgrywającą się sceną zbiegła bosą na dół i drzwiami kuchennymi wyszła do ogrodu.

– Nic ci się nie stało? – spytał mężczyzna, pochylając się nad chłopcem, który trzymał się za nadgarstek.

– Nie – odparł chłopiec. – Uderzyłem się tylko.

– Lepiej to sprawdzić – powiedział mężczyzna.

– Nie przystawia się drabin pod czyjeś domy – odezwała się chłodno. – Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Miała posepny głos i trzech chłopców rzuciło się do ucieczki. Ten, który został, usiłował wydostać coś spod wiciokrzewu.

– Czego tam szukasz? – spytała.

– Uciekaj, Billy! – zawołał jeden z chłopców. – Bo zamieni cię w węża.

Stevie udała, że tego nie słyszy. Czasami dziecięce żarty wywoływały w niej śmiech, ale dziś poczuła się jak dziwoląg. Łzy znów zapiekły ją pod powiekami.

Piegowaty chłopiec nie dawał za wygraną i wciąż próbował dostać się do ptaka.

– To pisklę wrony. Wypadło z gniazda. Przedtem

krakało, ale teraz jest takie ciche. Próbowałem je karmić, ale nie chce jeść. Więc postanowiłem zanieść je do weterynarza.

– Chodź już, Billy, zostaw tego ptaka! – rozległo się wołanie.

– Nie mogę! – odkrzyknął.

– Idźcie stąd wszyscy – powiedziała Stevie. – Wracajcie do domu, to nie zamienię was w gady. A ptaszkiem sama się zajmę.

Chłopiec popatrzył na nią z troską w brązowych oczach, po czym kiwnął głową i odszedł z kolegami. Stevie uklękła i przyjrzała się pisklęciu ukrytemu w cieniu. Przywarło do podmurówki. Piórka na szyi sterczały mu jak kryza.

– Potrzebuje pani pomocy? – zapytał mężczyzna.

– Nie – odparła chłodno Stevie. – Jest pan ojcem któregoś z nich?

– Nie. Przechodziłem tędy i zobaczyłem, jak drabina się przewraca. Pomyślałem, że może komuś coś się stało.

Stevie przyjrzała mu się uważniej. Wysoki, śniady, z przydługimi, prawie czarnymi włosami, w okularach przeciwsłonecznych, białej koszuli i szortach khaki z mnóstwem kieszeni. Westchnęła. Jednym z mankamentów tego miejsca było to, że ludzie za bardzo interesowali się sprawami sąsiadów. Tutejsza społeczność była mała i zamknięta, nie tak jak w Nowym Jorku, gdzie panowała powszechna anonimowość. Kimkolwiek jest ten mężczyzna, na pewno rozniesie plotkę o dzieciach

podglądających czarownicę.

Położyła się na boku i wyciągnęła rękę, usiłując dosięgnąć ptaszka. Dotknęła palcami piórek.

– Proszę pozwolić, że ja to zrobię – powiedział mężczyzna. – Mam dłuższe ramię.

Nie czekając na odpowiedź, ukląkł, wziął ptaszka do ręki i podał jej.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Proszę bardzo.

Objęła dłońmi małą wronę. Jak najszybciej chciała wejść do domu. Już myślała o tym, jak jej pomoże i ochroni przed Tilly. Lecz mężczyzna nie ruszał się z miejsca. Może rzeczywiście jest czarownicą, bo nieznajomy wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Nagle domyśliła się, kim on jest. Poznała po kształcie twarzy i ust. Ojciec Nell.

– Jack? – spytała.

– Tak. Witaj, Stevie. Wiem, że poznałaś moją córkę.

– Tak. Jest wspaniała. Jack... przykro mi z powodu...

– Emmy, wiem. Dziękuję.

Sprawiał wrażenie tak skrepowanego, że Stevie poczuła się niepewnie. W szlafroku, rozczochrana, z ptaszkiem w ręku

wyglądała jak zwariowana artystka. Uśmiechnęła się z przymusem.

– Może wejdiesz – zaproponowała. – Chciałabym z tobą porozmawiać.

Zawahał się, jakby szukał jakiejś wymówki, po czym spojrzał na zegarek – olbrzymi chronometr – i pokręcił głową.

– Nie mogę – odpowiedział. – Przepraszam, ale muszę już iść.

Rozdział 5

Jack wrócił do pustego domu. Wszedł do środka, zamknął drzwi i rozejrzał się wokół. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż wynajęty domek letniskowy, zwłaszcza gdy człowiek nie bardzo wie, po co tu przyjechał. Obce meble, dywany, obrazy. Jak komuś mogła się podobać taka pomarańczowa makrama? Zmarszczył brwi. Był na dobrej drodze do stania się zrzędą.

Wyjął teczkę, aktówkę i telefon komórkowy. Spojrzał na zegarek. W Inverness dochodziła czwarta. Morze Północne, następny przystanek. Francesca przetarła ten szlak w czasie kwietniowego pobytu w Szkocji. Romanov polubił ją, zaimponowała mu lista ich klientów. Umowa była już niemal dopięta na ostatni guzik, lecz Jack chciał jeszcze porozmawiać z człowiekiem, który miał podjąć ostateczną decyzję.

Czekając na telefon, usiłował się uspokoić. Co go tak rozstroiło? Czy myśl o Nell bawiącej się na plaży z obcymi dziećmi? Nie. Laurel sprawiała wrażenie osoby zrównoważonej i odpowiedzialnej. Program rekreacji dla dzieci był atrakcyjny już wtedy, gdy on przyjeżdżał tu jako chłopiec. Zresztą Nell chodziła sama do szkoły zarówno w Atlancie, jak i w Bostonie. Początki zawsze są

trudne...

Zadzwoił telefon – pięć minut przed czasem.

– Jack Kilvert – powiedział, jakby był w swoim biurze z oknami wychodzącymi na port w Bostonie. – Cześć – zabrzmiał chrypliwy głos Franceski. – Jesteś na plaży?

– Niezupełnie – odpowiedział, czując wyrzuty sumienia. Nikt w firmie, nawet Francesca, nie miał pojęcia, co zamierza.

– Na korcie tenisowym, na żaglówce, na polu golfowym? Powiedz, że jesteś na słońcu, a nie siedzisz w domu.

– Szykuję się do wyjścia – odparł, zmuszając się do uśmiechu. Pragnął jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Lepiej żeby tak było. Jesteś moim projektem numer jeden – powiedziała. – Zamierzam sprawić, byś dobrze się bawił przez całe lato. Prawdę powiedziawszy, dzwonię, bo mam kilka dokumentów. Mogłabym je przefaksować, lecz pomyślałam, że byłoby o wiele milej, gdybym ci je przywiozła. Powiedzmy dziś wieczorem.

– Francesco, to za daleko... – Cały czas patrzył na zegarek. Zostały jeszcze trzy minuty.

– Jesteś beznadziejny. Chodzi o twoją córkę, tak? Daj spokój, na plaży musi być mnóstwo opiekunek do dzieci. Znajdź miłą dziewczynę, która potrzebuje pieniędzy, i weź sobie wolny wieczór.

– Nie dam rady dziś wieczorem – odpowiedział. – Przefaksuj mi te papiery, jeżeli możesz. Przepraszam, ale muszę kończyć.

Zapadła cisza. Wiedział, że zachował się grubiańsko. Czy jednak nie byłoby lepiej, gdyby zrozumiała to teraz, a nie później?

– Jasne, dobrze – odpowiedziała i rozłączyła się.

Miał wrażenie, jakby jego serce tkwiło w imadle. Czuł ogromny ból – w ciele i w duszy. Emma poradziła mu kiedyś, żeby się modlił. Zadrżał na to wspomnienie. Od miesięcy był jak martwy i telefon, na który czekał, traktował jak wybawienie. Pot ściekał mu po plecach. Potrzebował wytchnienia, odpoczynku, ucieczki. Zamknął oczy i to, co zobaczył, zaskoczyło go. Stevie Moore. Wyglądała jak duch, który utknął w świecie ludzi. Co ona robiła niekompletnie ubrana w ten jasny pogodny poranek? Smugi na policzkach wskazywały na to, że płakała. Znał się na tym. Zaskoczył go jej silny uścisk dłoni i ciepły uśmiech. Także niski wzrost, około metra pięćdziesięciu ośmiu, i drobna budowa ciała. Szlafrok był o cztery numery na nią za duży, a pasek mocno związany w talii. Miała lśniące, sięgające uszu czarne włosy, grzywkę rozdzielającą się nad ogromnymi fiołkowymi oczyma i bladą cerą bez skazy, z wyjątkiem śladów łez. Przypomniwał sobie, jak tuliła w dłoniach tego zagubionego ptaszka. Jakie miał szanse na przeżycie? Bez matki, bez ojca. Nell przynajmniej miała jego.

Pokręcił głową. Jaki tam z niego ojciec. Uchwycił się kurczowo wizji Stevie trzymającej ptaka w dłoniach. W tym momencie zabrzączał telefon i Jack drgnął nerwowo. Serce zaczęło mu szybciej bić i puls przyspieszył. Musi

się udać.

– Halo – powiedział. – Jack Kilvert.

Nell i Peggy wygrały sztafetę. Pokonały wszystkie dziewczynki i wszystkich chłopców. Wyglądały jak koleżanki z jednej drużyny w granatowych kostiumach kąpielowych, zupełnie jakby to sobie zaplanowały, jakby już były najlepszymi przyjaciółkami.

Peggy miała jasnorude włosy, mnóstwo piegów i nosiła kapelusz od słońca, który zdejmowała tylko wtedy, gdy kąpała się w morzu. Trzymała Nell za rękę praktycznie przez cały czas, nawet kiedy płynęły na plecach w zorganizowanych przez nauczycielkę zawodach.

– To tak, jakbym miała siostrę – stwierdziła Nell, gdy cała grupa odpoczywała na ręcznikach.

– Nawet lepiej – odparła Peggy. – Bo moja siostra Annie uważa, że ciągle jej przeszkadzam. Ona chce tylko spotykać się ze swoim chłopakiem. A moja mama tak mówi o swojej najlepszej przyjaciółce Tarze: „Rodziny się nie wybiera, ale przyjaciół tak”.

Nell zgarbiła się lekko.

– Ja nie zmieniałabym mojej rodziny – powiedziała.

– Ja też nie – zapewniła szybko Peggy. – Ale przyjaciele są drudzy w kolejności po rodzinie. Jak moja mama i Tara. Wszystko robią razem.

– Moja mama też miała takie przyjaciółki – odpowiedziała Nell. – Razem dorastały na cyplu Hubbarda. Dlatego tu z tatą przyjechaliśmy. Bo przeżyli

tu wiele szczęśliwych chwil.

– Z tatą? – spytała Peggy, mrugając powiekami, jakby chciała zapytać: „A co z twoją mamą?”

– Tak – potwierdziła Nell, garbiąc się mocniej. Nie mogło przejść jej przez gardło zdanie: moja mama nie żyje.

– Tęsknisz za mamą – stwierdziła Peggy.

Nell podniosła wzrok. Skąd ona to wiedziała?

– Ja tęsknię za tatą – wyjaśniła Peggy. – Domyślałam się już wcześniej, ale kiedy powiedziałaś, że jesteście tu tylko z tatą, to miałam już pewność. Gadam bzdury, nie?

– Wcale nie – odpowiedziała Nell.

Dziewczynki siedziały na ręcznikach tak blisko siebie, że głowa Nell znajdowała się w cieniu kapelusza Peggy. Piasek był taki gorący. Wsunęły stopy najgłębiej, jak się dało, by dotrzeć do chłodnej wilgotnej warstwy. Nell mogłaby tak siedzieć do końca dnia. Nagle długi cień padł na ich ręczniki. Nell uniosła wzrok i zobaczyła piegowatego chłopca, bardzo podobnego do Peggy.

– Cześć, mała – powiedział.

– Billy! A gdzie ptak? – spytała Peggy.

– Zostawiłem go tam – odparł, wskazując na dom, który kiedyś był niebieski. Nell zadrżała na wspomnienie Stevie.

– U tej czarownicy? – wykrzyknęła Peggy. – Zwariowałeś? Wyrwie mu pióra i zrobi sobie kapelusz, czapkę albo coś innego. Wrony mają przecież czarne pióra.

Nell nie była co do tego przekonana. Chciała stanąć w obronie Stevie, lecz chłopak, który z wyglądu i zachowania bardzo przypominał Peggy, uprzedził ją.

– Nie sądzę – odparł. – Nie wygląda na osobę wyrywającą pióra, raczej na przygnębioną. Eugene podglądał ją przez okno i widział, że płacze. Sama, w biały dzień. To dziwne.

– Przygnębiona? – powtórzyła Nell. Nareszcie znalazła bratnie dusze. To słowo też należało do jej słownictwa.

– Tak – odpowiedział chłopiec. – A ty kto jesteś?

– Nell Kilvert – powiedziała.

– Nell, to jest mój brat Billy – wyjaśniła Peggy. – Czarownice właśnie tak robią, to znaczy płaczą w biały dzień. Dziwne, prawda?

– Może umarł ktoś, kogo kochała – podsunęła Nell.

Peggy i Billy popatrzyli na nią, jakby powiedziała coś niebywałego. Billy wzruszył ramionami i odszedł, Peggy zaś postanowiła to wyśmiać.

– Na przykład jej czarny kot albo traszka. A może rozwiodła się po raz piętnasty albo zgubiła kolejny pierścionek z brylantem.

– Ona jest wyjątkowa – stwierdziła Nell.

– Ona chce, żebyś tak myślała – sprostowała Peggy.

– Żeby cię do siebie zwabić.

– Nie sądzę, żeby chciała kogoś zwabiać – odpowiedziała Nell. – Postawiła przecież tę tabliczkę „Proszę stąd odejść”.

Peggy zmarszczyła brwi.

– Ona, moja mama i moja ciocia były ze sobą bardzo blisko – ciągnęła Nell. – Miały nawet własną nazwę. My też mogłybyśmy tak się nazwać.

– To znaczy jak? – spytała Peggy.

– Wakacyjne przyjaciółki.

Peggy zmarszczyła nos, po czym spojrzała w stronę domu, który kiedyś był niebieski. Nell domyśliła się, że czary, kryształowa kula i spiczasty czarny kapelusz ustąpiły miejsca piłce plażowej, jasnym ręcznikom i niebieskim kostiumom kąpielowym. Uśmiechnęła się.

– Czarownice nie są wakacyjnymi przyjaciółkami – stwierdziła z powątpiewaniem w głosie Peggy.

– A wakacyjne przyjaciółki nie są czarownicami – odparowała Nell, na co Peggy uniosła brwi.

W tym momencie Laurel rozmawiająca z grupką znajomych poderwała się z leżaka i klasnęła w dłonie.

– Wszyscy do wody. Przez dziesięć minut będziemy pływać w pozycji pionowej. Dobierzcie się w pary.

Peggy złapała Nell za rękę i razem pobiegły do morza. Rozgrzane słońcem ciała przeżyły szok termiczny i dziewczynki z piskiem wyskoczyły w górę. Nell wyobraziła sobie, jak jej mama trzyma Stevie za rękę. Albo ciocię Madeleine. Peggy popatrzyła nad jej głową na dom na wzgórzu, jakby zastanawiała się, dlaczego wakacyjna przyjaciółka płakała w tak piękny dzień.

Piskłeta wrony, podobnie jak młode szpaczki i sójki, są owadożerne. Rodzice łapią muchy i komary, po czym

zwracają nadtrawioną zawartość żołądka i karmią małe. Po podrośnięciu młode stają się wszystkożerne, podobnie jak kozy w świecie zwierząt. Stevie opierała się tu na wiedzy swojego wydawcy. Ariel Stone była pedantką, jeśli chodzi o szczegóły naukowe, i równocześnie uwielbiała historie miłosne. Ta kombinacja czyniła z niej wspaniałego redaktora. Nic dziwnego więc, że namówiła Stevie do napisania „Wroniego totemu.

– Wrony są bardzo wierne – powiedziała do maleństwa, cytując zdanie z własnej książki i starając się wcisnąć ptaszkowi do dzioba rozgniecioną muchę. – Wiesz o tym?

Malec ani drgnął. Tilly kręciła się niespokojnie za drzwiami sypialni i od czasu do czasu skrobała w futrynę. Stevie zastanawiała się, czy ptaszek instynktownie odbiera te hałasy jako zagrożenie życia. Jakkolwiek było, nie miała zamiaru się poddać i w końcu została wynagrodzona: być może chcąc za – krakać, mała wrona otworzyła dziób, a ona wsunęła muchę do środka.

– Proszę bardzo – powiedziała. – Smaczna, prawda?

Chyba tak było, bo malec otworzył szerzej dziób, co Stevie wykorzystała, by włożyć doń dwa komary i jeszcze jedną muchę, która zaplątała się w pajęczynę przy kuchennych drzwiach. Uroki życia na wsi, pomyślała. Pnącza milinu, kolibry, pajęczyny, osierocona wrona – natura tuż za drzwiami. Mogła z niej czerpać do woli.

– To za ciebie, Emmo – powiedziała, dając wronce jeszcze jedną muchę.

Emma zareagowałaby na to śmiechem. Dzięki, Stevie –

powiedziałyby. Miała dziwne, mroczne poczucie humoru.

Stevie cofnęła się myślami w czasie. Ciepły wiatr przywiał wspomnienie.

Jechały odkrytym hillmanem Stevie na dworzec kolejowy w New London po Maddie, która wracała z Providence od ciotki. Dwie szesnastoletnie dziewczyny w mokrych kostiumach kąpielowych, na które włożyły tylko T-shirty. Wilgotne włosy schły im na wietrze. Nic nie mogło ich ściągnąć z plaży, chyba że przyjazd przyjaciółki.

New London, stare portowe miasto znane z przemysłu wielorybniczego, wyglądało wówczas inaczej. Ulotne piękno przeplatało się ze skrajną biedą. Jadąc Bank Street, zobaczyły bezdomną kobietę skuloną przy drzwiach naprzeciwko urzędu celnego.

– Musimy jej pomóc – stwierdziła Stevie, zatrzymując samochód.

Kobieta miała pomarszczoną twarz, brudne ubranie, matowe potargane włosy. Dobytek trzymała w sklepowym wózku.

– Niby jak? – spytała Emma. – Zabierzemy ją do samochodu i zawieziemy na plażę?

– Tak, i jeszcze nakarmimy – odparła Stevie.

Popatrzyły na siebie i Emma zrozumiała, że Stevie mówi poważnie. Ich rodziny różniły się od siebie. Ojciec uczył Stevie, że wszyscy ludzie są ze sobą związani poprzez sztukę i poezję. Rodzice Emmy uczyli ją, że życie

to walka o dotrzymanie kroku sąsiadom. Interesujesz się nimi nie po to, by im pomóc, lecz by sprawdzić, jaka jest twoja pozycja względem nich. Emma delikatnie wzięła Stevie za rękę.

– Kocham cię – powiedziała – ale jesteś wariatką.

– Nie, Emmo, musimy...

– Nie wiesz, że są na to sposoby? Po to jest dobroczynność. Mama mnie tego nauczyła. – Emma urwała, bo uświadomiła sobie, że najsmutniejsze jest to, że Stevie została pozbawiona mamy, która by ją uczyła. – Przedmieść nie buduje się dla takich jak ona, nawet gdyby mieli być tylko gośćmi. Wyobrażasz sobie, jak by się wściekły plażowiczki? Nie, musimy pomóc jej tutaj, na jej własnym terytorium.

– Więc mamy tak po prostu wrócić na plażę i zapomnieć o niej?

– To wcale nie jest takie podłe, na jakie wygląda, Stevie. Kupimy jej coś do jedzenia i wystarczy. A potem wrócimy do domu.

Stevie zrobiło się niedobrze. Czy Emma naprawdę to powiedziała? Jednakże widać było, że chce pomóc. Klepała się po kieszeniach w poszukiwaniu jakichś drobnych, podczas gdy Stevie zaglądała do torebki. Razem miały tylko sześć dolarów pięćdziesiąt centów. Kiedy więc dotarły do eleganckiego dworca, Emma wyłowiła z tłumu dwóch kadetów z Coast Guard Academy, [Akademia Straży Przybrzeżnej.] czekających na pociąg. Na dachu dworca gruchały gołębie. Od strony portu

dochodziły gwizdki promów i skrzeczenie mew siedzących na palach. Na przeciwległym brzegu rzeki Thames, w otwartych dokach stoczni Electric Boat, stały nowe okręty podwodne o napędzie atomowym.

Emma miała rozwichrzone włosy, opaloną błyszczącą skórę, złoty łańcuszek i bransoletkę. Wilgotny T-shirt przykleił się jej do ciała. Młodzi mężczyźni ubrani w śnieżnobiałe eleganckie mundury i buty wyczyszczone na wysoki połysk zwrócili na nią uwagę, jeszcze zanim do nich podeszła.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Cześć – odpowiedzieli natychmiast.

– Ja i moja przyjaciółka zbieramy pieniądze – oznajmiła. Młodzieńcy popatrzyli na dwie dziewczyny, które wyglądały, jakby właśnie zeszły z plaży, i starali się zachować powagę. – Na bardzo zbożny cel – dodała Emma. – Jest tu głodna kobieta i chcemy jej kupić trochę jedzenia. Moja przyjaciółka rozplacze się, jeżeli nam nie pomożecie. Słowo honoru.

Wystarczyło trzydzieści sekund, żeby kadeci otworzyli portfele. Stevie patrzyła zdumiona, jak Emma uśmiecha się z przedziwną kombinacją zalotności i pokory, jak całuje chłopców w policzki i dziękuje za to, że strzegą wybrzeża.

– Najłatwiejsza rzecz pod słońcem – stwierdziła, wróciwszy do Stevie.

W rękę trzymała dwa banknoty dziesięciodolarowe.

Kiedy przyjechała Madeleine, wróciły na Bank Street.

Zatrzymały się przy granitowym budynku urzędu celnego i rozejrzały za kobietą. Wózek wciąż stał w alejce, lecz właścicielki nie było. Przejechały wolno wzdłuż ulicy.

– Musimy ją znaleźć – powiedziała Stevie.

– Nic jej nie będzie – stwierdziła Emma. – Pewnie było jej za gorąco na słońcu i poszła poszukać cienia.

– Musimy przekazać jej te pieniądze – upierała się Stevie.

– Dawała sobie radę bez naszej pomocy wcześniej, to i da teraz – skwitowała Emma.

Słowa były szorstkie, lecz głos łagodny. Stevie wiedziała, że Emma stara się podnieść ją na duchu, nawet wtedy gdy odwróciła się do Maddie i opowiedziała, jak to Stevie chce zbawiać świat, sprowadzając bezdomnych na cypel Hubbarda.

Czekały około piętnastu, dwudziestu minut. Emma zaczęła się niecierpliwić. Kręciła pokrętłami radia, szukając dobrej muzyki. Kobieta wciąż nie wracała. Stevie złożyła więc banknoty i wsunęła w podarty koc leżący na wierzchu wyładowanego wózka. Emma wysiadła z samochodu i wyjęła jeden banknot.

– To dla nas – oznajmiła. – Nie możesz troszczyć się o innych, a zapominać o sobie.

– Emmo...

– To ja wyżebrałam pieniądze dla tej kobiety. Jestem teraz żebraczką. Mama zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała. Musisz więc pozwolić, abym zaprosiła ciebie i Maddie na lody.

– Nigdy w życiu nie byłaś głodna. Nosisz złotą biżuterię.

– Stevie, ktoś musi ci powiedzieć, że to nic złego być szczęśliwym. Kochamy cię z Maddie. Chciałabyś ratować każdego człowieka i każdego ptaka. No to teraz twoje przyjaciółki uratują cię. Chodź, wracajmy na plażę.

Dach samochodu był opuszczony, świeciło słońce, a Maddie cieszyła się, że jest z nimi, i chciała wiedzieć, co wydarzyło się na plaży podczas jej nieobecności. Zatrzymały się przed lodziarnią „Rajskie Smakołyki” i kupiły sobie lody owocowe. Potem zakopały wiśnie w piasku, na cześć bezdomnej kobiety. Stevie miała wyrzuty sumienia, że marnuje jedzenie. Lody smakowały jak trociny. Kiedy Emma zobaczyła, że odsuwa talerzyk, zaczęła karmić ją łyżeczką.

– Proszę, ptaszku – powiedziała, patrząc jej w oczy i upewniając się, czy nie brakuje bitej śmietany. – Korzystaj z letniego dnia.

– Ale...

– Korzystaj z letniego dnia – powtórzyła Emma z ciemnym błyskiem w oczach, co oznaczało, że to lekcja, której Stevie musi się nauczyć.

Dlaczego szczęście musi być takie trudne? Czy dziewczętom, które mają matki, jest łatwiej? Nie mogła jednak wyrzucić z pamięci obrazu Emmy wyjmującej dziesięciodolarowy banknot ze sklepowego wózka.

Wróciła myślami do współczesności. Emma nierozzerwalnie wiązała się z Nell i Jackiem. Czy jej się

wydawało, czy w oczach mężczyzny dostrzegła ból? Przesunęła palcem po zmierzwionych czarnych piórkach ptaka. Jeżeli zdoła uratować mu życie, uczci w ten sposób Emmę i córkę, którą zostawiła jej przyjaciółka. A może znajdzie się inny, lepszy sposób.

Rozdział 6

Kiedy Nell i Jack wrócili z plaży do domu, zastali list wetknięty za drzwi.

– To od Stevie – wykrzyknęła Nell, gdy zobaczyła rysunek z dwoma ptakami.

Jack odczytał wiadomość: „Wraz z Tilly serdecznie zapraszamy Was na kolację dziś wieczorem o osiemnastej”.

– Pójdziemy, pójdziemy?! – spytała Nell, podskakując na jednej nodze.

– Mam dużo pracy – odpowiedział Jack.

– Praca i praca – mruknęła, podpierając się pod boki w geście rozpaczy. – I to mają być wakacje? Już wiem, na pewno Francesca ma dziś przywieźć jakieś papiery i umówiłeś się z nią na kolację.

– Nie. Prawdę powiedziawszy, kazałem je przefaksować.

Uśmiechnął się łagodnie, dając jej do zrozumienia, że się zgadza.

– No to nie mamy żadnej wymówki – stwierdziła z zadowoleniem. – Idziemy do Stevie.

I poszli. Punktualnie o szóstej wspięli się na wzgórze, na którym stał dom Stevie. Nell miała na sobie swoją

najładniejszą sukienkę obszytą białymi stokrotkami, a Jack spodnie khaki i niebieską koszulę. Nell zauważyła, że założył za uszy zbyt długie włosy. Robił tak, gdy chciał ładnie wyglądać i zorientował się, że powinien pójść do fryzjera. Nell trzymała w ręku bukiet polnych kwiatów, które zerwała na końcu plaży. Jack niósł butelkę wina.

Zapukali do drzwi z siatką. Siedząca za nimi Tilly syknęła groźnie. Nell podskoczyła i zachichotała.

– Ty pewnie jesteś Tilly – powiedział Jack.

– Zgadza się – odpowiedziała Stevie i wpuściła ich do środka.

Wyglądała ślicznie. Miała błyszczące, gładko zaczesane włosy, z loczkami po bokach w kształcie ptasich skrzydełek, umalowane oczy, białą bluzkę i niebieskie dzinsy. Nell rozpromieniła się na jej widok, żałując, że Peggy nie może jej teraz zobaczyć. Stevie była taka śliczna i ożywiona.

– Przynieśliśmy ci kwiaty – oznajmiła Nell, podając gospodyni bukiet. – Zerwaliśmy je na końcu plaży. Chodziłyście tam z mamą i ciocią Maddie? Też zrywałyście kwiaty?

– Nell, zwolnij – upomniał ją Jack.

Stevie jednak wiedziała, że ten bukiet to coś więcej niż parę astrów, polnych wrzosów i trybul leśnych, to wspomnienie najlepszych przyjaciółek. Przykucnęła, spojrzała Nell w oczy i kiwnęła głową.

– Tam właśnie chodziłyśmy zrywać kwiaty – powiedziała.

Nell uśmiechnęła się do ojca z triumfem.

Stevie wyprostowała się i spojrzała na trzymaną przez Jacka butelkę wina.

– Mógłbyś ją otworzyć? Pewnie chętnie byś się napił. A ja wstawię kwiaty do wody.

Jack był zadowolony, że może czymś zająć ręce. Stevie podała mu korkociąg i wskazała na półkę, gdzie stały kieliszki. Nie mógł znaleźć dwóch jednakowych. Każdy miał inną wielkość i kształt – były ze smukłymi nóżkami, niskie i okrągłe, kryształowe, z kolorowego szkła. Inżynierowie i architekci lubili rzeczy uporządkowane, jednolite, symetryczne. Stevie, ten dom i kieliszki wytrąciły go z równowagi. Zdecydował się na dwa możliwie do siebie podobne, z nóżkami różnej wysokości. Poprosiła, żeby nalał jej piwa imbirowego.

Nell też dostała piwo imbirowe. Obserwował córkę, gdy Stevie wkładała do kieliszków kawałki brzoskwini. Uśmiechała się tak szeroko, jakby to były jej urodziny. Wszyscy troje przeszli do salonu z pięknym widokiem na plażę. Stevie podała sery i krakersy. Sama usiadła w wiklinowym fotelu bujanym, a Jack i Nell na wyblakłej perkalowej kanapce. Stara kotka zwinęła się w kłębek na fotelu obok swojej pani.

– Jak tam ptak? – zagał Jack.

– Och, świetnie – odparła Stevie. – Zjada wszystkie muchy w domu.

– Słyszałam o tym ptaku – wtrąciła Nell. – Od brata

mojej najlepszej przyjaciółki.

– Masz już tutaj przyjaciółkę? – spytała Stevie. Jej twarz opromienił szeroki ciepły uśmiech.

– Tak – odparła Nell, bujając się na kanapce. Omal przy tym nie przewróciła talerza z serem i krakersami. Jack dotknął jej ramienia, zaskoczony entuzjazmem córki. – Nazywa się Peggy McCabe.

– Córka Bay – powiedziała Stevie. – Jej brat Billy złożył mi dziś wizytę.

– To jeden z tych chuliganów? – zapytał Jack.

– Co? – zdziwiła się Nell.

Stevie zaśmiała się.

– Co roku to robią, tylko w innym składzie. Przed laty rozniosła się wieść, że jestem czarownicą. To już stało się miejscowym zwyczajem, że chłopcy zagląдают mi w okna i usiłują mnie przyłapać, jak mieszam w kotle.

– To głupota – stwierdziła Nell. – Po prostu cię nie znają.

– Dziękuję, Nell.

– Mogłabym zobaczyć ptaszka?

– Nell – upomniał ją Jack.

– Oczywiście – powiedziała Stevie. – Chcesz iść z nami, Jack?

Uśmiechała się tak promiennie. Bardzo chciał z nimi iść, lecz jeszcze bardziej, by Nell mogła pobycć chwilę ze Stevie, czego najwyraźniej pragnęła.

– Dotrzymam towarzystwa Tilly.

Nell rzuciła mu pełne aprobaty spojrzenie i podążyła za

Stevie.

Jack popijał wino i zastanawiał się, dlaczego czuje się taki skrepowany. Przecież to nie randka, lecz kolacja ze starą przyjaciółką żony. Nawet jej nie znał, robił to dla Nell. Nie chciał skrzywdzić córki. Był pewny, że Stevie nie zrobiłaby niczego złego, lecz i tak chciał ją chronić. Inaczej zachowywała się w towarzystwie, a inaczej, gdy kładła się spać. Śmierć matki była dla niej wielkim szokiem. Garnęła się do Stevie, bo ta była łącznikiem z Emmą. Musiał jednak przyznać, że bez względu na powód miło było widzieć ją szczęśliwą.

Słyszał dobiegające z góry głosy i śmiech Nell. Jak dobrze, że się śmieje, pomyślał z radością. Ptak zaświergotał, a Nell usiłowała go naśladować. Po kilku minutach zeszły na dół. Nell trzymała Stevie za rękę.

– Tato, szkoda, że nie widziałeś jej studia. Ma sztalugi w sypialni. Wszędzie są farby i obrazy, i rysunki ptaków, i nawet ja tam jestem jako mały strzyżyk.

– Naprawdę? – powiedział Jack, patrząc na rozpromienioną twarz córki. Czy ona zbyt wiele nie oczekuje od kobiety, którą ledwie znali?

– Ja ją zainspirowałam – dodała Nell. – Mama i ja.

– Tak?

Jack spojrział Stevie w oczy. Za jej uśmiechem krył się smutek. Zauważył go już rano. Wyglądała w tym za dużym szlafroku jak zagubiona dusza. Przypomnił sobie mgliście dzień, kiedy Emma czytała jedną z jej książek, chyba o łabędziach. Nie spodobał jej się sposób, w jaki

Stevie przedstawiła okrucieństwo w świecie ptaków.

– Tak – potwierdziła Stevie.

– Jej mama też umarła, gdy ona była mała – dodała Nell.

– Aha – mruknął Jack i pociągnął łyk wina, bo odebrało mu mowę.

Jakim cudem kobiety i dziewczynki potrafią tak szybko przekazać sobie tyle informacji? Czy Stevie powiedziała to Nell tam na górze? Nie roniąc ani jednej Izy? Obie wprost promieniały radością. Nie widział Nell tak szczęśliwej od... Nie pamiętał, od jak dawna.

– Przykro mi – powiedział w końcu.

– Wszystko w porządku – zapewniła go Nell. – Miała wspaniałego ojca. Był taki jak ty.

– To prawda – przyznała Stevie, kiwając głową.

– Stevie da mi swoją książkę o pingwinach cesarskich – dodała Nell. – Napisała ją. Opowiada o jej ojcu i o niej, ale może też być o tobie i o mnie.

– Naprawdę? – powtórzył znowu Jack, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Strasznie dużo sobie powiedziały podczas tej krótkiej wizyty na górze. Spojrzał na Stevie i zauważył, że jej fiołkowe oczy wyglądają niezwykle dramatycznie w świetle wpadającym przez okna skierowane na zachód. Ponownie przypomniał sobie niechęć Emmy do jej książek. Sięgnął po kieliszek z winem, odsuwając od siebie ten temat.

Nie mając dzieci, Stevie nie bardzo wiedziała, co powinna podać na kolację. Ciotka Aida, siostra ojca, wyszła za mąż za człowieka, który miał bardzo małego syna. Wychowując Henry'ego, Aida nauczyła się, że stek, sałatka, tłuczone ziemniaki i ciasto czekoladowe na deser nigdy nie zawodzą. Stevie przygotowała więc zestaw ciotki.

– Uwielbiam tłuczone ziemniaki – powiedziała podniecona Nell. – Tato, dlaczego jemy je tylko w Święto Dziękczynienia?

– Nie wiem – odparł Jack. – Myślałem, że lubisz frytki.

– Czy steki są dobrze wysmażone? – spytała Stevie.

– Dobrze – odpowiedziała Nell.

– Doskonale – dodał Jack.

Słońce właśnie zachodziło, oświetlając pokój złocistym blaskiem. Stevie lubiła tę porę dnia i często korzystała z ostatniej godziny światła, by malować. Dziwnie się czuła, mając gości na kolacji. Chciała, żeby rodzina Emmy dobrze się tu czuła. Zauważyła zaskoczenie na twarzy Jacka, gdy Nell wspomniała o rysunkach strzyżyków. Czy powinna zachować je dla siebie? Dzieci bez matek były wszędzie, przypominały jej o własnym życiu, o Emmie i Nell.

– Jeszcze ciasta? – zaproponowała, sprzątajac ze stołu.

– Chętnie – odpowiedział Jack, pomagając jej.

– Czy mogę pójść zobaczyć ptaszka? – spytała Nell.

– Jeżeli tata nie ma nic przeciwko temu – powiedziała Stevie, a Jack kiwnął głową.

Nell klasnęła w dłonie i pobiegła na górę.

Stevie nastawiła ekspres do kawy, po czym przeszli z Jackiem do salonu. Kiedy usiedli, dostrzegła na jego czole zmarszczki, które przypomniały jej ojca. Miała ochotę spytać go o Emmę, lecz nie chciała sprawić mu przykrości. To wszystko wydawało się takie trudne. Jack chrząknął.

– To był wypadek samochodowy – powiedział stłumionym głosem, jakby czytał w jej myślach.

– O Boże – jęknęła, zakrywając usta dłonią.

– Nell miała osiem lat. To stało się w zeszłym roku. Emma pierwszy raz wyjechała bez nas.

– Była sama?

Jack pokręcił głową. Chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił. Stevie wyczuwała w nim wielki gniew. Dostrzegła go w jego oczach i ustach, kiedy patrzył na plażę, na kwiaty, które przynieśli z Nell, a potem na Stevie.

– Była z moją siostrą.

– Z Madeleine?

Kiwnął głową.

– Czy Maddie...? – zaczęła Stevie, nie mogąc dalej mówić.

– Była ranna – wyjaśnił. – Lecz teraz jest już zdrowa.

– Przykro mi, Jack.

Ponownie kiwnął głową, jakby już nic więcej nie było do powiedzenia. Stevie usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest stracić żonę w wypadku, w którym również została

ranna siostra. Milczeli przez chwilę, słuchając, jak Nell przemawia do ptaka na górze.

– A co z tobą, Stevie? – zapytał. – Masz dzieci? Świetnie sobie radzisz z Nell.

– Nie – odparła, czując dziwną pustkę, jakby była to tylko część prawdy. – Nie mam.

– Byłaś mężatką?

Zawahała się. To nie było zabawne.

– Trzy razy.

Uśmiechnął się. Czy jej się zdawało, czy już o tym wiedział? Ze wstydem pomyślała o tym, co napisał jeden z dziennikarzy: „Niektóre ptaki łączą się na całe życie, lecz nie ulubiona przez dzieci pisarka Stevie Moore”.

– Chyba nie nadaję się na mężatkę – stwierdziła, starając się obrócić całą sprawę w żart, co czasami robiła. – Jestem Elizabeth Taylor południowo-wschodniej Nowej Anglii.

Nie uśmiechnął się. Nawet nie chciał udawać, że to go śmieszy. Dziwne, lecz jego reakcja podniosła ją na duchu.

Słońce zsunęło się niżej, zalewając karmelowym światłem plażę i zatokę. Jack przez chwilę przyglądał się Stevie. Dostrzegła sympatię w jego oczach. Nie uważał jej sytuacji za zabawną, jak wielu innych. Miała w Nowym Jorku przyjaciół, którzy przedstawiali ją jako wielokrotną mężatkę. Kiedyś po pijanemu nazwała siebie seryjną mężatką.

– Dlaczego? – spytał.

– Dlaczego wyszłam za mąż trzy razy?

Kiwnął głową. Kawa się zaparzyła, lecz żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Stevie utkwiała wzrok w butelce z winem, żałując, że tak mało w niej zostało. Przypomniła sobie, jak Aida mówiła, że jej irlandzka babka ostrzegła ją, by nigdy nie wypijała ostatnich kropel, bo umrze jako stara panna. Żeby tylko to, pomyślała.

– Pierwszego męża poznałam na studiach. Drugi zabrał mnie na Antarktydę, by pokazać mi pingwiny cesarskie. A ostatni... – urwała, zastanawiając się, jak opisać Svena – odebrał mi oddech – zakończyła, nie znajdując innych słów.

– A czemu się z nimi rozwiodłaś?

– Sama chciałam to wiedzieć.

Jack był uprzejmy i nie pozwolił sobie na żart, wiedział jednak, że nie jest to rzetelna odpowiedź. Czekał na dalszy ciąg.

– Słyszałeś może o emocjonalnych podróżnikach? – spytała, używając określenia, które usłyszała w poradni małżeńskiej. – Kiedy ktoś nie może poradzić sobie ze swoimi problemami, uznaje, że przeprowadzka wszystko rozwiąże. Pakuje się więc i przenosi do innego miasta, innego stanu, innego kraju z nadzieją, że tam wszystko będzie inaczej i lepiej. Zostawia wszystko co znajome i wybiera zmianę.

Czy jej się zdawało, czy Jack rzeczywiście się zaczerwienił?

– Słyszałem – odpowiedział cicho.

– Cóż, ja wybrałam małżeństwo. Zostawiałam jeden nieszczęśliwy związek z nadzieją, że następny będzie lepszy.

Zacisnęła dłonie, czując wstyd, jak zawsze gdy o tym myślała. Z oddali dochodził szum fal uderzających o brzeg. Dlaczego powiedziała o tym Jackowi? Pewnie dlatego, że знаła Emmę od tak dawna.

– Żałuję, że nie okazały się dla ciebie szczęśliwsze – powiedział.

– Potrzebowałam kogoś bliskiego. Emma często się ze mnie śmiała z tego powodu. Nawet na plaży, gdy byliśmy jeszcze dziećmi.

– Nie obwiniaj się za to – powiedział.

– To takie niesprawiedliwe – odparła, patrząc mu w oczy. – Miałaś Emmę i tak szybko ją straciłaś. A ja spisałam na straty trzy małżeństwa.

– Odejście Emmy było niesprawiedliwym zrzędzeniem losu – zgodził się. – Żadne słowa nie potrafią tego oddać. Ale nie osądzaj siebie tak surowo. Może ci faceci nie zasługiwali na ciebie.

W jego oczach dostrzegła gniew i przez chwilę czuła się równie bezpieczna jak kiedyś z ojcem. Zaskoczyło ją to. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewała. Uśmiechnęła się z ulgą. Od tak dawna nie miała przyjaciela. Patrzyła na Jacka, czując, jak opuszcza ją napięcie.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę bardzo.

Wstali z zamiarem pójścia do kuchni. Serce jej mocno biło. W oczach Jacka było coś takiego, co sprawiło, że przeniosła wzrok na plażę. Słońce już zaszło i zatoka zrobiła się srebrna, prawie czarna. Niebo ciemniało, a puls Stevie gwałtownie przyspieszył. Spojrzenia, jakimi siebie obdarzyli, miały w sobie taką siłę, że Stevie zadrżała wewnątrz. Zaniepokoiło ją to i zawstydziło. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś bezpiecznego tematu do rozmowy. Tilly leżała na parapecie okiennym i syczała na mysz kryjącą się w zaroślach. Stevie dotknęła głowy kotki, a wtedy Tilly czmychnęła jak oparzona.

– Bardzo bym chciała zobaczyć się z Madeleine – powiedziała cicho Stevie.

Jack milczał. Zauważyła, że zmienił się na twarzy.

– Dasz mi jej numer? Mogłabym do niej zadzwonić. Albo gdyby przyjechała was tutaj odwiedzić, chętnie bym się z nią zobaczyła.

– Nie przyjedzie nas odwiedzić – odparł stłumionym głosem.

Stevie stwierdziła z zaskoczeniem, że wygląda na zakłopotanego i zdenerwowanego.

– Nie?

– Lepiej, żeby ona i Nell się nie spotykały. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to wolałbym o tym nie mówić.

Stevie nie wiedziała, co powiedzieć. Poczula się kompletnie dezorientowana. Z oczu Jacka szybko zniknął ból, lecz także wszelkie emocje. Sprawiał wrażenie odrętwiałego i starannie unikał wzroku Stevie.

– Pewnie kawa jest już gotowa – odezwała się po chwili.

– To dobrze – stwierdził z wyraźną ulgą.

W tym momencie Stevie przypomniała sobie o Nell. Przeprosiła Jacka i poszła na górę.

Nell rozmawiała z wroną, kręciła się po pokoju Stevie i czuła się szczęśliwa. Z dołu dochodziły głosy ojca i Stevie. Czuła się szczęśliwa i bezpieczna na myśl, że rozmawiają o niej i o mamie. Stevie była dla niej prawie jak druga ciocia, rozumiała ją, bo też straciła matkę, gdy była mała. Tak jak ta wronka.

Staneła przy klatce i popatrzyła w czarne oczka ptaka. Podeszła do lustra. Miała kasztanowe włosy i zielone oczy jak mama. Czy mama była kiedyś w tym pokoju? Może nocowały z ciocią Madeleine u Stevie. Może Stevie przekonałaby ojca, żeby wybaczył... Nie, nie powinna się łudzić. Wpatrywała się w swoje odbicie, mając za plecami zachodzące słońce, i pomyślała życzenie.

Na biurku stała fotografia w srebrnej ramce. Przedstawiała kobietę i małą dziewczynkę przy sztalugach, z pędzlami w rękach patrzące z powagą w obiektyw. Czy to była Stevie i jej mama?

Słyszając za sobą kroki, odwróciła się i zobaczyła Stevie.

– Czy to ty? – spytała Nell, wskazując na fotografię.

– Tak – odpowiedziała Stevie.

– Z twoją mamą?

– Nie. Z siostrą mojego ojca, ciotką Aidą. To dzięki niej

zostałam artystką.

– Czy ona też jest artystką?

– Tak, malarką, i to bardzo znaną. Maluje wielkie obrazy, które wyglądają jak otwarte przestrzenie.

– Takie nowoczesne malarstwo, jak na tamtym obrazie?

– spytała Nell, wskazując na dwukolorowe wielkie malowidło wiszące nad łóżkiem Stevie. Widniały na nim dwa prostokąty, jeden biały, a drugi jasnoniebieski.

Stevie zaśmiała się, jakby Nell powiedziała coś wspaniałego.

– Tak. To jeden z cyklu zatytułowanego „Plaża”.

Nell przyjrzała się obrazowi. W pokoju było ciemno, więc Stevie zapaliła lampę. Niebieski prostokąt był na wierzchu.

– Niebieskie niebo i biały piasek? – spytała.

– Ciotka Aida by cię polubiła – stwierdziła Stevie ze śmiechem.

Nell uśmiechnęła się, lecz zaraz spoważniała, bo przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl.

– Czy ona... żyje?

– Oczywiście.

– Jak moja ciocia – stwierdziła Nell.

– Tak – odpowiedziała Stevie z niepewnym uśmiechem na twarzy.

Serce Nell zabiło mocniej. Musi ją o to zapytać.

– Stevie...

– Masz ochotę na ciasto czekoladowe? – spytała ostrożnie Stevie. – Zaraz znajdę tę książkę o pingwinach –

dodała, pochylając się nad półką.

– Stevie – powtórzyła Nell.

Zaczęła szukać jeszcze intensywniej, jakby wiedziała, o co Nell chce ją zapytać. Sięgnęła po połówki okularów, jakich czasami używał Jack, i włożyła je na nos.

– Nell! – zawołał z dołu Jack. – Chodź, robi się późno, czas wracać do domu.

– Gdzie ta książka? – mruknęła Stevie.

– Nell! – krzyknął głośniej Jack.

– Jest twoją przyjaciółką – powiedziała szybko Nell.

Stevie znieruchomiała, lecz po chwili wróciła do poszukiwań.

– Najlepszą wakacyjną przyjaciółką – nie ustępowała Nell. – Takie przyjaciółki nie przestają być przyjaciółkami.

– Jest – oznajmiła Stevie, wyciągając cienką książeczkę.

Sprawiała wrażenie spokojnej i mądrej z tą ciemną grzywką i okularami na nosie. Nell miała ochotę rzucić się jej w ramiona. Powstrzymała się jednak, chociaż łzy zaczęły jej płynąć po policzkach.

– Tak bardzo za nią tęsknię – powiedziała Nell, nie mogąc powstrzymać łez. – Musisz do niej zadzwonić. Jest twoją przyjaciółką. Nazywa się tak samo jak my, Madeleine Kilvert. Tata nienawidzi jej, ale ja ją kocham, tak jak ty kochasz ciotkę Aidę.

Rozpłakała się na dobre. W pewnym momencie poczuła, że Stevie ją obejmuje, bierze na ręce, mocno

przytula i całuje w szyję tak, jak to robiła mama i ciocia Madeleine. Posłyszała kroki ojca na schodach i poczuła, że Jack odbiera ją Stevie. Nie wiedziała, czy to ze zmęczenia czy z przejedzenia, czy z tęsknoty za utratą najdroższych jej kobiet płacze tak, jakby świat miał się skończyć.

– Już dobrze, Nell – usłyszała głos ojca. – Nie płacz, kochanie, nie płacz.

– Tak mi przykro – powiedziała Stevie.

– Wszystko w porządku – zapewnił ojciec gniewnie, jakby chciał powiedzieć, że nic nie jest w porządku.

– Chcę do cioci Madeleine – oznajmiła Nell wśród łkań.

– Nie powinnam jej była puszczać samej na górę – stwierdziła Stevie. – Pokazywać tego zdjęcia.

– Jest bardzo uczuciowa – rzekł głucho Jack.

Stevie powiedziała, że rozumie i że nie będzie się już wtrącać. Nell poczuła jej wargi na mokrym od łez policzku, a potem twardą okładkę książki, wciśniętą jej pod ramię. Płakała przez całą drogę do domu, jedną ręką obejmując ojca za szyję, a w drugiej ściskając książkę Stevie o małych pingwinach i ojcach, którzy je kochali.

Rozdział 7

Nastały upalne, prawie bezwietrzne lipcowe dni. Poranne godziny, gdy Nell była na plaży, Jack wykorzystywał na pracę. Siedząc na ganku, rozmawiał z Ivanem Romanovem, spisywał na laptopie pomysły związane z nowym projektem, opracowywał plany dla biura w Bostonie, marząc, by znaleźć się w jakimś klimatyzowanym miejscu, byle nie tu. Marzył też o rozmowie ze Stevie.

Nell doszła do siebie po scenie w domu Stevie. Tak długo płakała, aż w końcu usnęła, a następnego dnia obudziła się milcząca i zamknięta w sobie. Wbrew obawom Jacka poszła jednak na zajęcia na plaży i sprawiała wrażenie zadowolonej, gdy zobaczyła Peggy. Miała przyjaciółkę, z którą mogła bawić się przez cały dzień.

Jack chciał przeprosić Stevie, lecz nie bardzo wiedział, jakich słów użyć. Wolał nie otwierać drzwi, powinny pozostać zamknięte. Stevie ze swej strony zostawiła ich w spokoju. Uznał, że tak jest lepiej. Jednakże ku swemu zaskoczeniu stale o niej myślał. Marzył o tym, by znowu przyjść do niej z Nell na kolację, pić wino z kieliszków nie do kompletu, oglądać zachód słońca z jej okna i znowu zobaczyć ten piękny uśmiech.

Co on sobie myślał? Rozmawiając z Romanovem, przypomniał sobie to, co Stevie powiedziała o emocjonalnych podróżnikach. To zupełnie naturalne sądzić, że zmiana otoczenia rozwiąże problem, który tkwi wewnątrz człowieka. Przekonał się o tym jeszcze w młodości. Gdy miał dwanaście lat, a Madeleine osiem, uciekli z domu. Z Providence przyjechał do nich dziadek, który zajął jego pokój, palił fajkę i oglądał programy telewizyjne, których nikt nie lubił. Miał włosy w uszach i w nosie. Był głuchy i nie chciał używać aparatu słuchowego. Maddie się go bała, bo bardzo głośno mówił i miał brodawkę na czubku łysej głowy.

Ucieczka wydawała się dobrym rozwiązaniem. Oboje z Maddie wskoczyli do autobusu jadącego do Elizabeth Park, obejrzelili ogród różany i wybrali miejsce pod budowę szalasu, w którym mogliby się ukryć. Jack zaczął szukać gałęzi, a Maddie płakała, martwiąc się o to, że mama będzie za nimi tęsknić. On udawał, że jest rozdrażniony, lecz w głębi ducha cieszył się, że mogą wrócić do domu. Tym razem jednak miał uciec od Maddie, nie razem z nią. Zmarszczył brwi i wrócił do pracy, wyrzucając siostrę z myśli.

Przyjazd na cypel Hubbarda nie był złym pomysłem. Nell była taka jak Emma. Lubiła plażę i zamiłowanie do oceanu miała w genach. Każdego dnia po południu szli razem popływać. Zimna woda działała na niego jak balsam. Łapał się na tym, że patrzy na dom Stevie, zastanawiając się, co ona robi.

Każdego wieczoru powtarzało się to samo, co zaczęło się wkrótce po śmierci Emmy. Nell miała kłopoty z zaśnięciem i nic jej nie pomagało. Jakąś godzinę po kolacji zaczynała się denerwować. Odkąd dostała książkę od Stevie, chciała jej słuchać co wieczór. Czytał więc opowieść o ojcu pingwinie, opiekującym się jajem, tyle razy, że w końcu nauczył się jej na pamięć. Potem całował Nell na dobranoc i z tą chwilą zaczynał się dramat. Kręciła się z boku na bok, wołała go i prosiła, żeby jeszcze jej poczytał, porozmawiał z nią i podrapał po plecach. Zwykle przychodził do niej sześć, siedem razy. Czasami bywało, że zaczynała płakać z rozpacz i zmęczenia. Tęskniła za matką każdą cząstką ciała i duszy.

Pewnej nocy wielka burza przetoczyła się nad doliną rzeki Connecticut. Ogłuszające grzmoty wstrząsały drzewami. Połamane strzały błyskawic przecinały niebo. Nawałnica przybierała na sile, coraz bardziej przerażająca i gwałtowna. Huki wystraszyły Nell. Przywarła do Jacka niczym koala, trzęsąc się ze strachu. Nie mógł jej uspokoić. Książka Stevie uświadomiła mu jego wewnętrzną pustkę, na nowo zdefiniowała życie, ubrała je w słowa i obrazy. Czy mógł być równocześnie matką i ojcem dla Nell? A przecież wtedy u Stevie poczuł, że jest na właściwej drodze.

Niebywałym egoizmem z jego strony było trzymanie Nell z dala od Madeleine i planowanie wyjazdu do Szkocji. Przekonywał siebie, że ta przeprowadzka to kolejny krok w karierze, że niemądrze byłoby odrzucić

propozycję pracy dla tak ważnego klienta. Jednakże w głębi duszy wiedział, że ucieka i zabiera Nell ze sobą.

Nagle ogarnęła go wściekłość na Emmę. Nie na Madeleine, lecz na Emmę. Kołysał Nell w ramionach, usiłując przypomnieć sobie jakąś kołysankę, by stłumić nienawiść do zmarłej żony, którą kochał nad życie.

Poznał ją właśnie tu, na cyplu Hubbarda. Była taka śliczna, zabawna i nieco szorstka w zachowaniu. Spotkali się na promenadzie. Stał tam spocony i brudny po meczu koszykówki, szukając ochłody na wietrze. Podeszła do niego, zdjęła ręcznik, którym była obwiązana w talii, i podała mu.

– Przyda ci się – powiedziała żartobliwym tonem.

– Słucham?

Popatrzył zaskoczony na dziewczynę w różowym kostiumie bikini w czarną kratkę, ze złotymi łańcuszkami na szyi, rękę i wokół kostki na nodze. Miała rowek między piersiami, i to całkiem spory. Do tej pory nie zwracał na nią uwagi – była jedną z przyjaciółek jego młodszej siostry. Tydzień temu przyszła do nich do domu, gdy odwiedziła go grupa przyjaciół z Hartford, a także jego dziewczyna, Ruth Ann O'Malley. Słyszał, jak Emma rozmawia z nią o college'ach.

Ruth Ann, chociaż chodziła do Pine Manor, college'u położonego niedaleko MIT, Instytutu Technologicznego stanu Massachusetts, w którym on studiował, nie uważała się za prawdziwą studentkę. Mając świadomość, że obie są pięknymi dziewczynami, sądził, że Emma pójdzie tą

samą drogą, lecz się mylił. Usłyszał, jak mówi jego dziewczynie, że zastanawia się nad dwiema szkołami, Wellesley i Smith.

– Jesteś spocony – zauważyła.

– Nic dziwnego. Rozegrałem właśnie mecz jeden na jednego.

– Kto wygrał?

Zaśmiała się wbrew sobie. Wydawała się taka pewna siebie, pewniejsza niż większość dziewcząt z jego rocznika. Pod tym względem bez wątpienia należała do tej samej ligi co Ruth Ann.

– Ja – odpowiedział.

– Hmm – mruknęła. – Nie wiedziałam, że studenci matematyki potrafią grać w taką męską grę.

Zabrzmiało to dość dwuznacznie. W głowie mu się zakręciło. Nie chciał jej źle zrozumieć. Już wcześniej się wygłupił, dostrzegając urodę, nie rozum dziewczyny i dziwiąc się, że aspiruje do którejś z prestiżowych żeńskich uczelni w północ – no-wschodniej części Stanów. Wytarł się ręcznikiem i oddał go jej. Stała na palcach i otarła mu brew.

– Ominąłeś jedno miejsce – stwierdziła.

Kolana się pod nim ugięły, gdy przytknęła mu ręcznik do twarzy i przysunęła się bliżej, opierając się o niego piersiami. Była przyjaciółką Madeleine, on miał już dziewczynę, dlatego nie powinien czuć tego, co czuł.

Ruth Ann była piękna i wysportowana. Przewodziła grupie cheerleaderek w liceum, w którym się uczył.

Przypomniął sobie, jak czesze włosy, maluje usta, wkłada sarong harmonizujący z kolorem kostiumu kąpielowego. Wszyscy kumple uważali ją za super-dziewczynę, a jego za szczęściarza. Emma pewnie nie zdawała sobie sprawy z tego, jak działa na mężczyzn. Jej zachowanie nie mogło być zamierzone, to wykluczone.

Trzy dni później Jack siedział rano w domu przy kuchennym stole, popijając sok pomarańczowy i czytając wiadomości sportowe w „Hartford Courant”. Ktoś zapukał do drzwi. To była Emma, która przyszła po Maddie. Miała na sobie żółtą koszulę w cętki, obcisłe szorty i wielkie okulary. Uśmiechnęła się na jego widok.

– Grałeś ostatnio w koszykówkę? – spytała.

– Codziennie.

– I nie przyszedłeś do mnie, żeby się wysuszyć?

– Nie. Używam ręcznika mojej dziewczyny – odpowiedział, ignorując drżenie w całym ciele.

– O? Jak tam twoja słodka „Cud” Ann? – spytała tonem jednocześnie złośliwym i uwodzicielskim.

– Ruth Ann – sprostował.

– Aha.

– Uważaj, co mówisz, dziewczynko.

– Nie jestem dziewczynką i dobrze o tym wiesz.

– Jesteś przyjaciółką mojej siostry i niech tak zostanie, dobrze?

– Skoro tak chcesz – odparła z uśmiechem, który rozpałił go do czerwoności.

Kim ona była, zawodową Lolitą?

– Ile ty masz w ogóle lat?

– Tyle samo co twoja siostra. Właściwie jestem od niej o pół roku starsza.

– Czyli siedemnaście?

– Prawie osiemnaście.

– Dlaczego tak nazwałaś Ruth Ann?

– Bo to zwykła cizia. Przyjemnie na nią patrzeć, lecz w głowie ma pusto.

Szczeka mu opadła. A więc Emma miała prawie osiemnaście lat! Jakoś uszło jego uwagi, że Maddie i jej przyjaciółki dorosły. Ale dlaczego czepia się Ruth Ann, najpopularniejszej dziewczyny na swoim roku?

– I ani trochę do ciebie nie pasuje – stwierdziła Emma, podchodząc bliżej. Zsunęła okulary przeciwsłoneczne i popatrzyła mu w oczy. – Myślałam, że jesteś na tyle mądry, by nie zadawać się z taką dziewczyną jak ona. Pine Manor? Daj spokój.

– Dlatego, że ty wybierasz się do Wellesley...

– A więc jednak słuchasz.

– Dlaczego chcesz tam iść?

– Bo chcę zrobić błyskotliwą karierę i umawiać się z chłopcami z MIT – odpowiedziała, uśmiechając się szelmowsko. – Dlaczego chodzisz z dziewczyną, która zamierza skończyć college znany jako wylegarnia żon? Ty, taki bystrzacha?

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Znam cię od wielu lat – szepnęła. – Wiem więcej, niż myślisz.

Miał ochotę ją pocałować. Zakochał się w niej w chwili, gdy podała mu ręcznik. Tłumił to uczucie przez siedemdziesiąt dwie godziny przez wzgląd na jego związek z Ruth Ann, który dotychczas uważał za trwały. Emma jednak nie myliła się, Ruth Ann czegoś brakowało. Nieraz miewał wyrzuty sumienia, że nudzą go rozmowy z nią. Przekonywał siebie, że jej olśniewająca uroda wystarczy, by uszczęśliwić każdego mężczyznę. Czyżby? – ironizował jakiś głos w jego głowie.

A teraz pojawiła się Emma. Miała niezwykłą zdolność dręczenia go, równoczesnego schlebiana mu i poniżania. Ta metoda – przynajmniej w jego wypadku – nigdy nie zawodziła. Sprawiała, że czuł się pożądanym bardziej niż ktokolwiek na świecie. Najśmieszniejsze zaś było to, że Emma miała więcej wspólnego z Ruth Ann, niż potrafił dostrzec. W początkowych dniach ich znajomości najważniejsze były sprawy zewnętrzne. Potem wyglądali na taką dobraną parę, że zupełnie zapomnieli o tym, by stać się jednością. Ich serca były sobie kompletnie obce. Jack nie miał pojęcia, czego Emma naprawdę pragnie, przez co w efekcie oddaliła się od niego i od Nell. Czy ona w ogóle go kochała? A może jedynie chciała sobie udowodnić, że potrafi go zdobyć.

Tuląc córkę, czuł szalejącą w jego wnętrzu burzę. Zygzaki błyskawic i grzmoty za oknem sprawiły, że ogarnął go wstyd. Próbując się z nim uporać, delikatnie kołysał Nell w objęciach.

– Już dobrze, córeczko – mruzczał. – Już dobrze.

Te słowa nie bardzo pomogły. Czy Nell czuła, że serce tłucze mu się w piersi? Gdyby wiedziała, jakie myśli kłębią mu się w głowie, jakie słowa chciałby wykrzyczeć jej matce za to, że ich zostawiła, nigdy by nie usnęła.

Burza przetoczyła się w końcu nad zatoką Long Island i zapanował spokój. Ciężka wilgoć ustąpiła miejsca rześkiemu powietrzu. Jack zauważył, że Nell usnęła. Oddychała miarowo, jak kiedyś, gdy Emma była z nimi. Nawet się nie skrzywiła, gdy Jack położył ją na łóżku.

– Nell? – spytał jeszcze na wszelki wypadek.

Pochrapywała cichutko, pogrążona w głębokim śnie. Zmęczenie wzięło nad nią górę. Za oknem niebo znowu było czyste. Spojrzał na zegarek. Piąta trzydzieści. Był tak strasznie spięty, że lada chwila mógł wybuchnąć. Upał zniknął, lecz on cały płonął. Jeżeli się pospieszy, zdąży popływać. Plaża była przecież niedaleko.

Włożył buty do biegania, zajrzał do Nell i wymknął się cicho z domu, zamykając za sobą drzwi. Zaczął biec krętą drogą, lecz wkrótce przyspieszył, by zagłuszyć dręczące go uczucia. Uderzenia stóp o twarde podłoże dźwięczały mu uszach. Plaża tonęła we śnie. Na ciemnym niebie błyszcząły gwiazdy. Miał ochotę krzyczeć i wyć, obudzić cały świat, obudzić Emmę.

Zwolnił, gdy dobiegł do promenady, gdzie poznał żonę. W piersiach czuł ból. Przycisnął dłoń do serca. A gdyby tak umarł? Skończyłby się ból, nienawiść do Emmy za to, że zostawiła go samego z Nell, i niepewność, jak sobie z tym wszystkim poradzi. Lecz myśl o zostawieniu Nell

sprawiła, że się wyprostował i potrząsnął głową, by odegnać złe myśli.

Na wschodzie pojawiła się szara poświata zwiastująca nadchodzący świt. Gwiazdy wyglądały jak duchy, tylko poranna gwiazda świeciła jaśniej od innych. Usiadł na ławce, by zdjąć buty, i wtedy zobaczył Stevie.

Przeszła przez mostek zaledwie dwadzieścia metrów od niego. Wyglądała jak zjawia wyłaniająca się z ciemności. Zeskoczyła na piasek i przebiegła twardą część plaży, do granicy przyływu. Zatrzymała się na wysokości ławki, na której siedział, i rozejrzała na boki. Przez chwilę sądził, że go zauważyła. Wstrzymał oddech. Odwróciła się jednak w stronę zatoki i popatrzyła ku wschodowi, jakby witając nowy dzień. Otworzyła szeroko ramiona, jakby chciała objąć cały świat. Ten widok poruszył w nim dawno uśpione uczucia. Wyprostował się, żeby lepiej widzieć, i zobaczył, jak zdejmuje szlafrok i rzuca go na piasek. Jej jasna skóra wyglądała blado w świetle gwiazd. Dostrzegł zarys jej piersi i bioder i wolno wciągnął powietrze w płuca. Usiadł na brzegu ławki, jakby czekał na coś, co za chwilę miało się zdarzyć.

Bez chwili wahania skoczyła do wody. Patrzył na jej głowę i silne ruchy ramion rozgarniające fale. Świecąca na zachodzie Wenus oświetlała jej drogę. Wyciągnął szyję, żeby nie stracić Stevie z oczu. Ogarnęły go wyrzuty sumienia, że dopuszcza się zdrady, lecz równocześnie czuł taki przyływ pożądania, że zapragnął pobiec do wody, skoczyć w fale i popłynąć za nią, nie oglądając się

na przeszłość.

Nagle stracił ją z oczu. Gdzie ona jest? pomyślał w panice. Przeszukał wzrokiem gładką powierzchnię wody przed tratwą, jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, i wielką skałę tuż za nią. Stevie wszakże nie potrzebowała pomocy. Minęła boję ostrzegawczą i podpłynęła prosto do skały. Pamiętał, jak sam tam pływał jako chłopiec. Była wielka, granitowa i świetnie nadawała się do zabawy w piratów. Pokrywały ją małże i skorupiaki, zerwane przez sztormy więcierze do łowienia homarów, zaczepione o skalne nierówności.

Stevie wyszła z morza i wspięła się na szczyt skały. Była naga i piękna. Woda mieniła się srebrzyście, spływając po jej ciele. Ponownie rozwarła ramiona, jakby chciała objąć niewidzialnego kochanka, po czym skoczyła do wody i popłynęła do brzegu. Czy go zauważyła? Serce zaczęło mu szybciej bić. Był w rozterce. Wiedzący że musi pozostać w ukryciu, zarazem pragnął wstać, by mogła go zobaczyć. Nie poruszył się jednak. Nie chciał naruszać jej prywatności. To była jej plaża. Czuł to każdą cząsteczką ciała. To do niej należał biały piasek, morskie głębiny, granit, kwarc, kamienie księżycowe i szkiełka wyrzucane przez morze na brzeg. Do niej należało to miejsce. Ludziom, którzy przychodzili tu za dnia i rozkładali koce, leżaki i parasole, nie dane było doświadczyć tej tajemniczej magii.

Wycofując się ostrożnie, niemal wierzył, że to ona uspokoiła burzę i sprowadziła ożywczy chłód. Chciał

zaczekać, ponownie zobaczyć jej ciało, tym razem z bliska, wciąż srebrne od wody. Był jak w transie. Jakaś jego część pragnęła posmakować jej słonej skóry. Wiedział, że to jest złe, nie miał jednak pojęcia, skąd się wzięło. Pragnienie, by na nią popatrzeć, było tak silne, że niemal czuł, jak ciągnie go w dół, nad brzeg morza. Zamiast tego odwrócił się, by oddać jej plażę. Z nadzieją że go nie zobaczy, sięgnął po buty i wrócił na piaszczystą drogę prowadzącą do domu, w którym spała córka.

*

Stevie zobaczyła Jacka na promenadzie, gdy dopływała do brzegu. Serce skoczyło jej do gardła. Czyżby czekał na nią? Widział ją naga? Jak wyjdzie z wody, gdy on tam stoi? Dostrzegła jego wahanie, jakby się zastanawiał, czy do niej podejść. Wycofał się jednak, zabrał buty i pobiegnął wolno drogą.

Plaża znowu należała tylko do niej, jak każdego dnia o tej porze. Chciała znowu poczuć spokój, jedność z ziemią, jej rytmem i sekretami, lecz zamiast tego rozszalały się w niej uczucia. Widząc go przez ułamek sekundy, zanim się odwrócił, wyczuła jego tęsknotę. Dostrzegła ją w jego postawie. Serce dopowiedziało jej resztę. Od dzieciństwa, od śmierci matki, sama stale czuła nieukojoną tęsknotę. Zaspokajała ją na różne sposoby. Zakochiwała się zbyt mocno i w nieodpowiednich mężczyznach, podróżowała daleko, by uciec przed sobą, sięgała gwiazd, które

okazywały się tanimi lampkami. Jej tęsknota była głęboka i wieczna. Wiedziała, że będzie szukała miłości, dopóki jej nie znajdzie. Gdy miała dobre dni, przekonywała siebie, że ją znalazła – w naturze, w morskich kąpielach przed świtem, w Tilly, w ptakach, w sekretach i anonimowości Nowego Jorku. Miała nadzieję, że ten mężczyzna znajdzie ją w tym, co już miał i czego nigdy nie straci – w miłości do córki.

Ciekawe, kto został z Nell, pomyślała. Może przyjaciółka. A może nie. Tak czy owak nic nie tłumaczyło drżenia, jakie czuła, gdy owinęła się szlafrokiem, pobiegła do drewnianego mostka, a potem kamiennymi schodami na górę. Obmyła się pod prysznicem na wolnym powietrzu, wyjęła kilka owadów z pajęczyn ukrytych w zroszonej trawie. Gdy była mała, nazywała je czarodziejskimi obrusami.

Przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej ojciec: „Stevie, na świat można patrzeć na dwa sposoby: wierzyć, że nie ma żadnej magii, albo że jest w każdej najdrobniejszej rzeczy”.

Wchodząc do domu, by nakarmić zgłodniałą wronę, pomyślała o tym, co czuła, gdy zobaczyła Jacka, i natychmiast uwierzyła w to drugie.

*

– Chcesz zaśpiewać „Lemon Tree”? – spytała Nell dwa dni później w czasie przerwy w zajęciach. – Ciocia

nauczyła mnie tej piosenki.

Peggy zachichotała.

– Mama z Tarą ją śpiewają. Na zmianę grają na gitarze. Jest bardzo ładna.

– Stevie też pewnie ją zna – powiedziała Nell. Lubiła wymawiać jej imię: Stevie. – Dała mi swoją książkę. Ma ciotkę, dzięki której została artystką.

– Dziwne, czarownica artystka.

– Czy czarownica śpiewałaby „Lemon Tree”? – spytała kpiąco Nell.

– Może lubi zamieniać dzieci w cytryny – odparowała Peggy.

Właśnie wyszły z wody i siedziały na ręczniku Nell, a ręcznikiem Peggy się owinęły. Laurel opowiadała dzieciom o domach na cyplu Hubbarda, mających prawie po sto lat, i o tym, że przedtem żyli tu Indianie. Polowali i łowili ryby w tych okolicach. Później artyści z Black Hall przyjeżdżali tu malować.

– Użyjcie waszej wyobraźni – zaproponowała. – Pomyślcie, jak ta plaża mogła wyglądać kiedyś.

Nell spodobało się to zadanie. Postanowiły z Peggy zwiedzić plażę. Przyjeżdżając tu, nawet nie podejrzewała, że trafi w miejsca, w których bywały mama, ciocia i Stevie. Dziewczynki zatrzymały się przy sklepie Foleya, by przejrzeć nuty z piosenkami o miłości, a potem poszły na koniuszek cypla, usiadły na skałach i obserwowały rybaka siedzącego w łodzi. Na koniec obeszyły mnóstwo podwórek, odkrywając ukryte ogródki i poidełka dla

ptaków.

Kilka dni później leżały na piasku na małej plaży, jeszcze jednym nabrzmiętym wspomnieniami miejscu, do którego doszły ścieżką przez las. Znalazły najpiękniejsze szkiełka, jakie Nell kiedykolwiek widziała, a wśród nich dwa cenne niebieskie okazy. Patrząc w niebo, Nell wyobraziła sobie ciotkę Stevie, Aidę, malującą w jej pokoju. Peggy opowiedziała jej o szkole w pobliskim Black Hall, a Nell o przeprowadzce z Atlanty do Bostonu.

– To dlatego masz taki ładny akcent – stwierdziła Peggy.

– Tak, pochodzę z Południa.

– A ja z Nowej Anglii.

– A mnie się bardzo podoba twój akcent – powiedziała Nell. – Moja mama też tak mówiła. Pochodziła z Północy, tak samo jak tata.

– Jeśli nie chcesz, to nie mów, ale... co się z nią stało?

Nell usiadła gwałtownie. Zaczęła szybko oddychać i zgarbiła się. Pokręciła głową, nie, nie mogła o tym mówić.

– Powiem ci, co stało się z moim tatą – odezwała się Peggy, przysuwając się do niej. – To nie było przyjemne. Mówię to tylko tobie, bo chcę, żebyś wiedziała, że inni rodzice też umierają.

– Śni mi się w nocy – szepnęła Nell. – Bardzo za nią tęsknię. I myślę sobie, że jeżeli ona odeszła, to ja też mogę odejść. I już mnie – nie będzie. I boję się zasnąć. Wołam tatę, a on mnie trzyma, dopóki się nie zmęcze i

oczy nie zaczną mi się kleić. Bo wiesz, wydaje mi się, że jeżeli tata będzie mnie mocno trzymał, to nie odejdę.

Poczuła dotyk ręki matki na głowie, jak wtedy gdy ją czesała. Był taki delikatny, prawie jak letni wiatr. Ojciec też się starał, lecz jego dłoń była taka ciężka.

– Ja poprosiłam mamę, żeby poszła ze mną na most, na którym samochód taty...

Oczy Nell się rozszerzyły.

– Wypadek samochodowy?

– Mhm, coś w tym rodzaju – odparła Peggy, czerwieniąc się. – On... on został zabity i samochód wpadł do rzeki.

– Moja mama też miała wypadek samochodowy – powiedziała Nell.

– Naprawdę? – Peggy aż otworzyła usta ze zdziwienia.

– Potem jeszcze żyła. Myślałam, że wyzdrowieje. Chciałam, żeby wyzdrowiała.

– Jak to się stało?

Nell skuliła się, objęła kolana ramionami. Nie lubiła o tym mówić. Wprawdzie w Peggy było coś takiego, co sprawiało, że chciała jej opowiedzieć, jak umarła mama, lecz ta nagła zmiana uczuć tak ją zdenerwowała, że nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Peggy siedziała z obojętnym wyrazem twarzy i czekała. W końcu Nell zebrała się w sobie.

– Wracaly z moją ciocią do domu – zaczęła. – To był dzień urodzin cioci. Wyjechały z mamą na weekend. – Przełknęła ślinę. Słowa raniły jej gardło, jakby miały

pazury. – Pierwszy raz mama pojechała beze mnie.

– Pierwszy raz?

Nell kiwnęła głową.

– Przyszła ciocia i powiedziała, że wynajęła specjalny samochód urodzinowy. Taki ładny sportowy, czerwony. Pojechały na wyspę St. Simons. Bardzo lubiłam tam jeździć, to była nasza ulubiona plaża.

– I miały wypadek?

– Mhm.

– Jesteś zła na ciocię, gdy ją widzisz? – spytała Peggy.

– Nie widuję jej – odparła Nell.

– Bo jej nienawidzisz za to, co się stało?

– Nie.

Wzięła garść piasku i przesyłała przez palce na kolano. Ziarenka nie zatrzymując się, spływały w dół. Zaczepnęła więc następną garść i jeszcze jedną. Zabawne, czuła, jakby to w gardle miała piasek, jakby połknęła całe jego tony i teraz nie mogła przełknąć.

– Kocham ciocię – odrzekła po chwili.

– To dlaczego jej nie widzisz?

– Bo tata nie chce jej wybaczyć tego, co się stało.

Siedziały chwilę w milczeniu. Nell trzymała dwa kolorowe szkiełka, przesuwał je kciukiem. Mama kiedyś powiedziała, że musi minąć wiele lat, żeby powstały takie szkiełka. I że trzeba wrzucić z powrotem do morza te, które nie są jeszcze gotowe, bo są zbyt ostre, zbyt błyszczące, niewyglądzone przez morskie fale. Zamknęła oczy i po raz kolejny pomyślała o matce, cioci i

Stevie. Ciekawe, czy tu przychodziły. Może to szkieletko było tu wtedy, może któraś z nich je znalazła i wyrzuciła do morza, bo nie było jeszcze gotowe. Wiele by dała, żeby tak właśnie było.

Rozdział 8

Następne trzy poranki były ciemne i bezchmurne. Za każdym razem gdy Stevie przechodziła przez mostek na plażę, Jack stał na promenadzie. Światło dnia zaczynało powoli rozjaśniać niebo. Pływając, teraz już w kostiumie kąpielowym, widziała, jak gwiazdy bledną i zostają jedynie te najjaśniejsze. Rzuciły na nią miłosny urok. Nie mogła sobie poradzić z szalejącą w niej gorączką uczuć. Jack jakby to rozumiał i czekał, aż wyjdzie z wody. Wtedy wracał do domu.

Czwartego dnia obudziła się wcześniej niż zwykle. Powietrze zrobiło się gęste i mgliste. W oddali słychać było syrenę ostrzegającą przed płycizną na Wickland Shoal. Pomyślała, że Jack też pewnie ją słyszy. Łączyła ich tajemnicza więź, nie rozmawiali ze sobą, lecz ona nie mogła się już doczekać, by go zobaczyć. Prześcieradło pieściło jej ciało niczym morskie fale. Bolały ją uda, sutki nabrzmiały. Te szalone doznania sprawiały, że myślała o kochaniu się z mężczyzną, którego prawie nie знаła.

Tego dnia zrezygnowała z pływania. Tilly leżała na komodzie. Nie spała. Patrzyła na nią zielonymi oczyma,

jakby oskarżała ją o tchórzostwo.

– Wiem – powiedziała Stevie.

Wstała z łóżka i ubrała się, tłumiąc chęć sprawdzenia, czy Jack stoi na promenadzie. Nakarmiła kota i ptaka i zamiast zejść na plażę, wsiadła do samochodu i opuściła cypel Hubbarda.

Pojechała drogą wzdłuż wybrzeża, przez moczary i rezerwat dzikich zwierząt. Powietrze było ciężkie i gęste. Czaple niczym biali wartownicy łowiły ryby w płytkich zatoczkach, unosząc długie szyje, gdy przejeżdżała. Wyobraziła sobie, że przesyłają wiadomość o jej przyjeździe. Nad linią drzew górowała porośnięta bluszczem wieża zamkowa. Wjechała przez kamienną bramę i wcisnęła klakson, mijając zbudowaną z polnych kamieni stróżówkę, w której mieszkał Henry, po czym skręciła na stromy podjazd – brukowany chodnik przechodzący w żwirową drogę. Kiedy dotarła na szczyt, poczuła zapach kawy.

Była szósta rano i mgła snuła się wśród sosen. Stevie wciągnęła głęboko powietrze w płuca, wsłuchując się w niski dźwięk syreny mgłowej. Chociaż zamek stał na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na ujście rzeki Connecticut i zatokę Long Island, szum wody słyszeć było tak wyraźnie, jakby dzieliło ją od niej zaledwie pół metra, a nie półtora kilometra. Mieszkała tu i tworzyła Aida Moore Von Lichen, ciotka i mentorka Stevie. Miała siedemdziesiąt dziewięć lat, a zachowywała się jak trzydziestolatka. Niejedna nastolatka mogłaby jej

pozazdrościć werwy i energii. Urodziła się w Irlandii, jak jej ukochany brat Johnny, i była sławną abstrakcyjną ekspresjonistką. Wychowała się w Nowym Jorku w atmosferze słynnej artystycznej restauracji „Cedar Tavern” i była równie zdolną malarką jak jej brat – pisarzem i poetą.

Romantyczny zamek, w którym mieszkała, zbudował w drugiej dekadzie ubiegłego stulecia znacznie starszy od niej drugi mąż, Van Von Lichen, dziedzic fortuny, którą jego przodkowie zbili na produkcji łożysk kulkowych, i słynny aktor szekspirowski, znany z ról Jagona i Falstaffa. Zmarł przed dwudziestu laty, wcześniej trwoniąc znaczną część pokaźniej niegdyś fortuny. Nie mając zadatków na wielką dziedziczkę, a przede wszystkim pieniędzy na utrzymanie zamku, Aida dopuściła do tego, że budowla popadła w ruinę i stała się siedliskiem myszy i nietoperzy. Zamieszkała w drewnianej nieotynkowanej przybudówce. Czerpała wodę ze starej pompy z żelaznymi okuciami. Jako żarliwa zwolenniczka ochrony środowiska lubiła proste życie. Lato spędzała w Black Hall, a zimy w Everglades na Florydzie. Jej pasierb Henry, który niedawno odszedł z marynarki wojennej na emeryturę, spędzał lato w przyzamkowej stróżówce.

– Witaj, Lulu! – zawołał do Stevie, wspinając się na szczyt wzgórza.

Miał pięćdziesiąt lat, urodę gwiazdora filmowego i wyglądał jak dziedzic okolicznych włości.

– Witaj, komandorze! – odkrzyknęła.

Przezwiśko „Lulu” pochodziło od femme fatale kina niemego Louise Brooks, czarnowłosej piękności znanej z licznych romansów. Stevie nazywała Henry'ego komandorem, bo taką miał rangę w chwili odejścia w stan spoczynku.

– Wcześnie przyjechałaś – powiedział.

– Bo mam kłopoty.

Uniósł brwi.

– O, nie! Znowu.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o srebrzystej czuprynie, rozświeconych słońcem niebieskich oczach i cerze ogorzałej od stania prawie przez trzydzieści lat na mostkach kapitańskich różnych okrętów.

– Co znaczy: znowu? – spytała.

– Kim jest ten szczęśliwy mężczyzna?

– Nie jestem zakochana.

– Lulu, ty zawsze jesteś zakochana. To twoje błogosławieństwo i przekleństwo.

– Raczej przekleństwo – odpowiedziała ze śmiechem, po czym odwróciła się, by ukryć rumieniec na twarzy.

Podeszli do okrągłego głazu leżącego na skraju „nieużytków sosnowych”, jak nazywała je Aida, a w rzeczywistości gęstwiny porośniętej przez sosnę wejmutkę i cedr i sięgającej hen, do Opłakanej Góry. Deweloperzy proponowali jej worki pieniędzy za ten teren, lecz ona przysięgła, że prędzej umrze w biedzie, niż go sprzeda. Henry zapalił papierosa i podał go Stevie.

Wydmuchała trzy idealne kółka, po czym mu go oddała.

– Uczysz mnie złych nawyków – stwierdziła.

– Ktoś musi, a masz ich tak mało – odpowiedział. – Teraz kiedy jesteś niepijąca, straciłem kompana do kieliszka.

Zaśmiali się i palili wspólnie papierosa, obserwując mgłę rozstępującą się nad ujściem rzeki. Syrena mgłowa wciąż ostrzegała, chociaż cieśnina była już widoczna. Po gładkiej srebrzystobłękitnej powierzchni wody sunęły łodzie, pozostawiając za sobą białe smugi. Po drugiej stronie zatoki cypel Orient tonął w gęstej mgłę i wyglądał jak gruby biały ołówek.

– Nie powiesz mi? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Masz za sobą trudny okres – rzekł. – Tyle z siebie dałaś, a tak mało dostałaś w zamian.

Popatrzyła na niego, przekrzywiając głowę.

– Naprawdę? A mnie się wydaje, że ranię wszystkich, których pokocham.

– To także – odpowiedział.

Henry nigdy się nie ożenił, lecz przez długi czas był związany z kobietą mieszkającą w Newport. Zerwała z nim przed rokiem i chociaż starał się grać rolę stoickiego marynarza, bardzo to przeżywał.

– Miłość to wredna suka – skonstatował.

– Chyba że nią akurat nie jest.

Nigdy nie przestała mieć nadziei. Pomimo nieudanych związków nigdy nie przestała czekać na wielką, gorącą

dojrzałą miłość. Tęsknota za nią była tak silna, że wyciskała jej łzy z oczu. Ku swojemu zaskoczeniu pomyślała o znajomym z promenady.

– Idź do przodu mimo przeciwności – poradził Henry tonem doświadczonego marynarza.

Zabrzmiało to dziwnie pokrzepiająco i wywołało uśmiech na jej twarzy.

– Naprawdę?

Kiwnął głową.

– Podziwiam cię – dodał pozornie bez związku.

– Za co? Za to, że trzy razy się rozwiodłam?

– Ze trzy razy wychodziłaś za mąż – odpowiedział. – Jesteś najodważniejszą dziewczyną na świecie. Powiniennem mieć tyle odwagi co ty. Doreen zawsze pragnęła pierścionka zaręczynowego, lecz ja miałem zbyt wielkiego cykora, żeby go jej dać.

– Komandorze, małżeństwo nie jest żadną gwarancją. Jestem tego żywym dowodem.

– Masz w sobie siłę natury. Pływałem na fregatach i na lotniskowcach w czasie huraganów, które nie miały w sobie nawet połowy twojej siły.

– Zejdź na ląd – westchnęła, obserwując ruch łodzi w cieśninie i słuchając śpiewu ptaków.

– Przez te wszystkie lata spędzone na pokładzie „Cushinga” czytałem wyłącznie dwie rzeczy: dramaty Szekspira, bo... no, sama wiesz dlaczego, i „Odyseję”.

– Rozsądny wybór jak na człowieka w podróży.

– Wiesz, kim jesteś, Lulu? Nową postacią z „Odysei”. –

Chwilę się zastanawiał. – Syreną, która wabi mężczyzn ku sobie, lecz to twoja łódź rozbija się o skały.

Uciekła spojrzeniem w bok.

– Czy Aida już wstała? – zapytała, całując go w policzek.

– Oczywiście. Ona chyba nigdy nie śpi.

– No to na razie, Henry.

Zasalutował i patrzył, jak odchodzi. Kiedy Stevie weszła do przybudówki, Aida już malowała. Sama gruntowała sobie płótna. To, nad którym teraz pracowała, miało parę metrów kwadratowych powierzchni, co czyniło je niemal tak dużym jak wychodzące na północ panoramiczne okno. Stevie cofnęła się, by ocenić ostatnie dzieło z cyklu „Plaża”: górna połowa była jasnoszara, a dolna ciemnoniebieska. Linia, gdzie się stykały, przywodziła na myśl horyzont.

– Jak się masz, kochanie – powiedziała Aida, nie odwracając się od sztalug.

– Potrzebuję mądrej ciotki – oznajmiła Stevie.

– I przyjechałaś tutaj? – zaśmiała się Aida.

Stevie uściskała ją. Ciotka była równie wysoka jak ojciec. Krótkie, kręcone siwe włosy miała obwiązane czerwoną bandaną i bluzę roboczą nałożoną na kombinezon. Krótko obcięte paznokcie były umazane farbą olejną.

– Na kuchence jest kawa – dodała Aida.

– Dzięki.

Dolała do kubka z napisem „Cushing” – prezent od

pasierba – po czym napełniła drugi. Usiadły przy starym sosnowym stole. Okna w całym domu były szeroko otwarte, tak że wiatr swobodnie przywiewał zapach soli i sosnowych igieł.

– No więc? Co cię tak wcześniej sprowadza? – spytała Aida.

– Usiłuję rozgryźć pewne sprawy – wyjaśniła Stevie.

– W zeszłym tygodniu miałam dwoje gości, którzy wprawili mnie w zdenerwowanie.

– Hmm – mruknęła Aida, spoglądając na obraz.

– Pierwszy z nich to dziewczynka imieniem Nell. Jest córką mojej starej przyjaciółki Emmy. Dowiedziałam się, że Emma nie żyje.

– Ojej – powiedziała Aida, patrząc Stevie w oczy.

– Właśnie. Wydaje się, że jeszcze niedawno pływałyśmy, leżałyśmy na plaży, snułyśmy wspaniałe plany na przyszłość.

– Taka młoda i nie żyje – mruknęła Aida.

– Tak, to straszne. Zginęła w wypadku samochodowym, a druga nasza przyjaciółka, Madeleine, szwagierka Emmy, została w nim ranna.

– To musiało być dla niej okropne.

– Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Siedziały przez chwilę w milczeniu. Stevie wpatrywała się w dwa blade prostokąty na obrazie. Czy symbolizowały morze i niebo czy piasek i morze? Zresztą czy to ważne? Myśl o plaży podziałała na nią kojąco.

– Emma miała chyba wspaniałe życie – powiedziała.

– Jej córka jest taka do niej podobna, równie mądra i miła, ciekawa życia. Chciała mnie poznać, bo byłam przyjaciółką jej matki. Po prostu weszła na wzgórze i przedstawiła mi się...

– To wymagało nie lada odwagi – stwierdziła Aida ze śmiertelną powagą.

– Nie rozumiem.

– Z powodu tabliczki. Odstrasza każdego, kto się zbliży. No ale przecież o to chodzi, prawda?

Stevie nie odpowiedziała. Była świadoma tego, że odpycha ludzi. Lecz to dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Chroniło ją przed kolejnymi życiowymi pomyłkami. Dzięki temu nikt nie sprawiał jej bólu i ona nikogo nie raniła.

– Jakoś ominęła tę tabliczkę – stwierdziła po chwili. – A w zeszłym tygodniu zaprosiłam ją z ojcem na kolację.

– To dobrze.

– Wszystko było w porządku, dopóki nie zaproponowałam spotkania z Madeleine. Jack, ojciec Nell, nie chce mieć z nią nic wspólnego. A przecież to jego siostra.

Aida spuściła głowę, jakby nie widziała w tym nic dziwnego. Stevie popatrzyła na nią zaskoczona.

– Jest jego siostrą. Jak on może ją ignorować?

– Jesteś jedynaczką, kochanie.

– A co to ma do rzeczy?

Aida wzięła głęboki oddech i popatrzyła na obraz, jakby szukała w nim siły, po czym spojrzała Stevie w

oczy.

– Zawsze marzyłam o tym, żeby twoi rodzice mieli jeszcze jedno dziecko. Uważałam, że potrzebne ci rodzeństwo. Chciałam, żebyś doświadczyła tego, czego ja doświadczyłam z Johnnym. Wtedy zrozumiałabyś, o co chodzi z Madeleine i... jak mu na imię? Aha, z Jackiem.

– Ale nie mam rodzeństwa, więc musisz mi to wyjaśnić, ciociu.

Aida westchnęła.

– Rodzeństwo jest dla siebie całym światem, zwłaszcza w dzieciństwie. Dla mnie był to świat według Johnny'ego. To na nim wschodziło i zachodziło słońce. Mieliśmy wspólną rodzinę, wspólny dom, muzykę, chodziliśmy do tej samej szkoły.

– Jack jest o cztery lata starszy od Maddie.

– A Johnny był o trzy lata starszy ode mnie. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Liczy się uczucie. Dorastasz ze świadomością, że możecie na siebie liczyć. Kiedy więc dzieje się coś złego, od razu przybiera rozmiary katastrofy. Łatwiej jest skreślić brata albo siostrę, niż porozmawiać czy uporać się z problemem.

Stevie przypomniała sobie, jaki Jack był zły, gdy zaczęła mówić o Madeleine. Wyglądał nie tylko na zdenerwowanego, ale i zranionego. Jakby to zerwanie coś mu odebrało.

– Czy tobie i tacie przytrafiło się coś podobnego? – spytała.

Aida nie odpowiedziała. Wstała, wzięła dzbanek z kawą

i napełniła kubki. Potem usiadła.

– Sama możesz zadzwonić do Madeleine – powiedziała.

– Wiem – odparła Stevie. Rozmowa z ciotką tylko utwierdziła ją we wcześniej powziętym postanowieniu. – Taki mam zamiar.

– To dobrze.

Znowu zamilkły i popijały kawę. Stevie wciąż patrzyła na obraz ciotki. Sprawiał wrażenie takiego otwartego i wolnego. Czuło się w nim bezkres morza, nieba i plaży. Ten cykl oddawał zmiany kolorów i nastrojów zachodzące na plaży. Stevie niepokoiła się porannymi wycieczkami nad morze i tym, jak bardzo czekała na milczące spotkania z mężem starej przyjaciółki. Popełniła w życiu tyle błędów, a przez ostatnie lata wręcz odgrodziła się od świata. Stała jej przed oczyma tabliczka i przypomniawszy sobie słowa Henry'ego o łodziach rozbijających się o skały miłości.

– O co chodzi? – spytała Aida, obserwując twarz Stevie.

– Właśnie pomyślałam o Henrym. Ostrzegał mnie przed miłością.

– Świetnie się do tego nadaje – prychnęła Aida.

– Doreen nie da mu drugiej szansy?

– Chyba sto drugiej. Henry żeglował po siedmiu morzach, spodziewając się, że ona zawsze będzie na niego czekała. Kiedy wystąpił z marynarki, myślał, że się po prostu wprowadzi, a ona przyjmie go z otwartymi

ramionami. Ona chciała trwałego związku, on zaś współlokatorki.

– Henry ją kocha.

– Czyżby? A może po prostu chce, żeby była na miejscu, kiedy przyjdzie mu na nią ochota. Jestem niekonwencjonalna pod wieloma względami, uważam jednak, że powinien być się z nią ożenić. Nie mogę patrzeć, gdy tak się smuci. Ty też jesteś smutna.

Stevie zamrugła powiekami i spojrzała w bok.

– Wcale nie jestem smutna.

– Przecież widzę. Mamy taki piękny letni dzień, a ty wyglądasz na zmartwioną. Spotkanie z Nell i jej ojcem bardzo cię poruszyło i wcale nie chodzi o Madeleine, prawda?

Stevie pokręciła głową. Czasami nie potrzebowały słów. Aida opiekowała się nią po śmierci matki. Oczywiście nikt nie mógł zająć miejsca jej matki, lecz ciotka zawsze ją kochała i rozumiała.

– Sądzymy, że miłość rozwiąże wszystkie problemy – powiedziała Aida stłumionym głosem – często jednak bywa na odwrót. Uczucie stwarza trudności, o których nam się nie śniło.

– Miłość? – powtórzyła Stevie. – Ja ich prawie nie znam.

– Kochałaś Emmę, a to jej rodzina. Mam wrażenie, że spotkanie z nimi sprawiło, że zaczęłaś myśleć o własnym życiu, o rodzinie.

– Ty jesteś moją rodziną.

– Kocham cię, Stevie, lecz to za mało. Zaslugujesz na kogoś, z kim będziesz dzielić życie, mieć dzieci. Ja przeżyłam szczęśliwe lata z Vanem i mogłam patrzeć, jak Henry dorasta. Chciałam mieć własne dzieci, lecz widocznie nie były mi pisane. Henry jest dla mnie jak syn.
– Posmutniała. – Nie chcę, żebyś była samotna.

– Nie jestem samotna, tylko ostrożna. Nie chcę znowu popełnić tego samego błędu. Mam cię, Tilly, moją pracę. Wiesz, jakim balsamem jest dla nas malarstwo, sztuka.

– Powiedz to sobie, gdy będziesz miała życie za sobą i tylko te obrazy.

Stevie poczuła, że się czerwieni. Utkwiła wzrok w słoju widocznym w sosnowym blacie, zaskoczona uczuciem, jakie wezbrało jej w sercu.

– Kiedy zadzwonisz do Madeleine? – spytała Aida, zmieniając temat.

– Nie wiem. Może jak Jack i Nell wyjadą.

– Niedobrze, że musisz tyle czekać – stwierdziła Aida.
– Mam przeczucie, że bardzo potrzebuje przyjaciółki. I ty też. Ale ważniejsze jest to, że Nell potrzebuje ciotki.

Słowa zawisły w powietrzu. Stevie sądziła, że Aida powie coś więcej, lecz ona milczała. Słysząc było jedynie śpiew ptaków i bicie serca.

W drodze powrotnej przypomniała sobie pewien słoneczny dzień, a właściwie lipcowe popołudnie podczas pełni księżyca. Szły ścieżką na małą plażę. Były nastolatkami pragnącymi uciec przed wścibskimi oczami

dorosłych. Myślały o chłopcach. Każdej z nich ktoś się podobał. Szczegóły były pasjonujące i rozkoszne, a stan zakochania gorączką trwającą przez całe lato.

– Oni nas chcą – powiedziała Emma.

– A my ich – dodała Madeleine.

– Powiedziałam Jonowi, że spotkam się z nim na cyplu – oznajmiła Stevie.

Pożądanie było dla niej czymś nowym. Wiedziała już, co znaczy zauroczenie, namiętne pragnienie zatracenia się w drugiej osobie i myślenie o kimś przez cały czas.

– O której masz tam być? – spytała Madeleine.

– O drugiej – odpowiedziała Stevie, a Maddie kiwnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że już czas.

Emma jednak miała inne zdanie. Chwyciła obie przyjaciółki za ręce i pociągnęła na twarde piasek.

– Dla nich jest wieczór – powiedziała. – A dzień dla nas.

– Ale... – zaczęła Stevie.

– Posłuchaj – przerwała jej Emma. – Czas chłopców jest po zmroku. Kiedy słońce zachodzi, robi się chłodniej, a my drżymy z zimna. Wtedy oni obejmują nas, nasze boscie stopy robią się zimne, a ich pocałunki gorące.

– I jeździmy ich samochodami – wtrąciła Maddie.

– Słuchamy radia, a każda piosenka mówi ci, co będzie później.

– I sprawia, że chcemy za nich wyjść – dodała Stevie.

Maddie zachichotała, natomiast Emma wybuchnęła gromkim śmiechem. Stevie zaczerwieniła się, próbując

zachować powagę i nie dać po sobie poznać, że czuje się urażona. Myślały, że żartuje. Jak miała wyjaśnić, że mówiła poważnie? Wiedziała, że to szaleństwo, lecz tak właśnie czuła.

– Dobrze – stwierdziła Emma. – Zamierzasz wyjść za Jona?

– Nie powiedziałam tego – odparła Stevie, domyślając się, że przyjaciółki uważają ją za zbyt nieśmiałą i zbyt poważną.

– Powiem ci, jaka jest rzeczywistość – ciągnęła Emma. – Jest u nas kuzynka mojej mamy. Ma dwadzieścia dwa lata, właśnie skończyła studia, więc dla mnie to jak spędzenie lata na seminarium o seksie. Wiem o sprawach, o których ty nie masz pojęcia. Musisz być bardzo ostrożna przy wyborze tego jedyne. Musisz znaleźć kogoś, kto będzie przyjacielem na całe życie. Musi być też fajny, żeby chciało się z nim całować. To trudna sprawa. Gdy znajdziesz kogoś takiego, wtedy przystępujesz do realizacji dwudziestoczworgodzinne planu, cały dzień i cała noc, ale do tego czasu...

– Nasze są dni – dokończyła za nią Madeleine, która jako młodsza siostra też coś niecoś wiedziała – i nocie przy pełni księżyca.

– Noce nie – zaprotestowała Emma.

Stevie uśmiechnęła się, lecz była zszokowana. Czyżby coś przegapiła? Przyjaciółki najwyraźniej miały większą wiedzę na temat chłopców. Wcale nie żartowała mówiąc, że piosenki płynące z radia sprawiały, że marzyła o

małżeństwie. Chciała czuć się bezpieczna, mieć pewność, że osoba, którą pokocha, nigdy jej nie opuści ani nie zrani.

Emma podbiegła do wysokiej trawy oddzielającej plażę od moczarów, rozejrzała się, po czym wróciła z długim białym patykiem wypłowiałym od słońca i soli.

– Co ty robisz? – spytała Stevie.

– Rysuję magiczny krąg – odpowiedziała Emma.

Stevie i Maddie wzięły się za ręce. Emma dołączyła do nich i zaczęła rysować na piasku wielkie koło.

– Jak słońce i księżyc – zauważyła Stevie.

– Ciała niebieskie – dodała Maddie.

– Właśnie – odrzekła Emma. – Chłopcy to jedno, a prawdziwe przyjaciółki to drugie. Pamiętajmy o tym. Bez względu na wszystko zawsze będziemy razem.

Stevie poczuła ucisk w gardle. Miała wrażenie, że jakaś siła ją od nich odciąga. Pragnęła przecież być z Jonem, nie z przyjaciółkami, lecz pragnęła również, by lato nigdy się nie skończyło, a wakacyjne przyjaciółki na zawsze przy niej trwały. Nie było nic wspanialszego niż wieczór spędzony w ramionach chłopca szepczącego jej imię. Ale czy Emma i Maddie nie mogłyby wypełnić tej pustki? Jeżeli bardzo się postara, to może się uda.

Dziewczęta kręciły się w kółko, a patyk Emmy coraz głębiej wchodził w piasek.

– Zawsze będziemy razem, zawsze będziemy razem – powtórzyła Maddie jak w transie.

– Mocą nadanej mi władzy – powiedziała Emma – mocą...

- Słońca w południe – podsunęła Maddie.
- Pełni księżyc i Plejad – dodała Stevie.
- Ogłaszam nas... dozgonnymi przyjaciółkami – dokończyła Emma.

Klapnęły na piasek, czując, jak kręci im się w głowie. Stevie pomyślała, że Emma nie musiała tego ogłaszać, przecież były przyjaciółkami. Leżały na plecach i śmiały się do łez. Dla Stevie leżenie na słońcu z policzkami mokrymi od łez było czymś niezwykle wzruszającym i wcale nieśmiesznym.

Wstały i schowały się za wielkim głazem, który przypominał kształtem białego rekina. Emma pierwsza zdjęła kostium kąpielowy. Maddie i Stevie zrobiły to samo i pobiegły za nią do wody. Tu znowu utworzyły krąg.

– Powinnyśmy zrobić to dziś w nocy, w świetle księżycy – powiedziała Madeleine.

– Nie słuchałaś – stwierdziła Emma z udanym smutkiem.

Stevie czekała, myśląc to samo, co Maddie.

– Dzień należy do nas – wyjaśniła Emma. – Noc do nich.

– Do chłopców – dodała Maddie.

– Do Jona – wtrąciła Stevie.

– Tak ich zatrzymamy przy sobie – powiedziała Emma.

– Wiemy, że mamy siebie, lecz nawet jak już nie będziemy razem, wystarczy, że spojrzymy w górę, a przekonamy się, że dziewczyna na księżycu mruga do nas.

– Dziewczyna na księżycu? – powtórzyła Stevie z zachwytem.

– Tak – odparła Emma. – Staruszek był zmęczony, więc ona przejęła pałeczkę.

– Zresztą to i tak zadanie dla kobiety – stwierdziła Stevie.

– Jasne – dodała Maddie, po czym śmiejąc się, skoczyły w fale.

Stevie wróciła do domu z zamiarem zatelefonowania do Madeleine, lecz w końcu zrezygnowała. Zadzwoiła za to do informacji i poprosiła o adres Madeleine Kilvert, jak się okazało zamieszkałej w Providence przy Benefit Street, i wysłała jej zaproszenie. Jadąc na pocztę, kurczowo trzymała je w ręku. Martwiła się, że swym postępkami pogorszy sprawę, dlatego że nie była wobec nikogo całkowicie szczerą. Zaraz jednak zabrzmiał jej w uszach płacz Nell, tęskniącej za ciocią, a przed oczyma pojawiły się stare przyjaciółki. Wrzuciła list do skrzynki z nadzieją, że jakoś to będzie.

Któregoś przedpołudnia, gdy Nell była na plaży, Jack poszedł do Stevie. Przekonywał siebie, że jego wizyta nie ma nic wspólnego z erotycznymi snami, jakie go nawiedzały i po których budził się zlany potem. Chodziło o to, że Stevie miała dzieciństwo podobne do Nell – też straciła matkę. Może poradzi mu, co powinien zrobić.

Zapukał do drzwi, czując się jak jeden z tych chłopców

włazących na drzewo przed jej oknem. Nie chciał przeszkadzać, lecz ciekaw był, co się dzieje w jej świecie. Czuł w gardle pulsowanie serca. Weszła do kuchni bosą, ubrana w dżinsy i bluzkę na ramiączkach.

– Witaj – powiedziała przez drzwi z siatką.

– Nie chciałbym ci przeszkadzać. Malujesz?

– Nie przeszkadzasz, wejdź.

Otworzyła drzwi. Wchodząc do środka, spodziewał się, iż powie, że widziała go na plaży o świcie, lecz ona milczała. Oboje udawali, że to się nie zdarzyło. Czuł się tak, jakby po raz pierwszy do niej przyszedł. Starał się panować nad sobą i ukryć to, jak bardzo go pociąga. Przecież przyszedł tu w sprawie Nell.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. A właściwie nie. Chodzi o Nell.

– Przykro mi z powodu tamtego wieczoru – powiedziała. – Nie chciałam jej zdenerwować.

Kiwnął głową. Stały mu przed oczyma ostatnie nieprzespane z powodu Nell noce. Był znużony.

– Ostatnio przeżywa trudny okres... – zaczął.

– To znaczy?

– Nie może zasnąć, płacze. Mam, to znaczy ona ma terapeutę w Bostonie, doktora Galforda. To miły gość. Polecił go psychiatrę, do którego chodziła w Atlancie po śmierci Emmy.

– To dobrze – stwierdziła Stevie, ciepło się uśmiechając.

Nie potrafił oderwać wzroku od jej jasnych oczu.

Zapraǳnął ją objąć. Chciał, żeby go przytuliła i powiedziała, że dobrze robi, że nie zepsuł wszystkiego. Takie właśnie uczucia wywoływała w nim Stevie. Kiedyś już przeżywał coś podobnego.

– Dobrze, że chodzi do doktora Galforda, czy dobrze, że chodziła do tego w Atlancie? Nie znam się na tym. Nie chodziłem do terapeuty, gdy byłem dzieckiem. Siostra też nie. Nie było takiej konieczności. Myśleliśmy, że tylko dzieci z problemami chodzą do psychoterapeutów.

– Ja chodziłam – powiedziała Stevie.

– Serio?

Kiwnęła głową. Uśmiech zniknął z jej twarzy, lecz pozostał w oczach. Pochylił się ku niej. Potrzebował, by ktoś go uratował. Czuł się taki zmęczony, spał swoje życie z Emmą. Teraz jednak musiał bardzo uważać. Nie mógł powtórzyć tego błędu ze względu na Nell. Wyprostował się.

– Po śmierci mamy chodziłam raz w tygodniu do psychoterapeutki. Nie wiem, jak zdołałabym bez niej przeżyć.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odpowiedziała z całkowitą pewnością.

– Co z nią robiłaś? Jak ci pomogła?

– Bawiłyśmy się. Miała dom dla lalek, lalki, zabawki. Ale najczęściej siedziałam przy stole i rysowałam. Wtedy tego nie wiedziałam, lecz przy niej uczyłam się, jak być artystką i jak znaleźć sens życia w opowiadaniu historii. Bohaterami były zawsze ptaki. Ptasie mamy i ich dzieci.

– Jak w twoich książkach – wtrącił.

– Tak. Łatwiej było pisać o rudziku wypadającym z gniazda, sójkach, które odlatują i nie wracają, niż o ludziach. Czy doktor Galford rysuje z Nell?

– Nie wiem. Umówiliśmy się, że to, co dzieje się między nimi, pozostaje w gabinecie.

– To dobrze – powiedziała i uśmiech znowu rozjaśnił jej twarz. – Mój ojciec postępował podobnie. Nie wtrącał się w to, co robiłyśmy z Susan. Takie imię nosiła moja terapeutka.

– Chciałem, żeby Nell miała wakacje. Chciałem, żeby prowadziła normalne życie, żeby nie spędzała tych pięknych letnich dni na wizytach u doktora.

– A może to właśnie dzięki tym wizytom potrafi bawić się na plaży – rzekła łagodnie Stevie.

Jack dotknął dłoni Stevie. Cofnęła rękę, lecz kiedy spojrział jej w oczy, zobaczył w nich tyle uczucia, że zapragnął ją przytulić. Sprawiała wrażenie poruszonej, może wspomnieniami z własnego bolesnego dzieciństwa. Chciał jej powiedzieć, jak rozmowa z nią mu pomogła, ale go uprzedziła.

– Myślę, że Nell zdenerwowała wizyta u mnie. Może dlatego, że przypomniałam jej o Emmie, że byłyśmy przyjaciółkami, że ona tu bywała. Myślę też, że bardzo tęskni za Madeleine i ma nadzieję, że dzięki mnie się z nią zobaczy.

– Masz rację – przyznał Jack.

– Postanowiłam trzymać się od niej z dala – ciągnęła

Stevie – i więcej was nie zapraszać. Nie chodzi o to, że nie chcę...

– Stevie... – urwał. Zauważył, że drży i że uśmiech zniknął z jej twarzy. Rozmowa do głębi nią wstrząsnęła, lecz która jej część? O Nell, o Emmie? A może zauważyła jego cienie pod oczami i dwudniowy zarost i pomyślała, że jej ojciec lepiej by sobie poradził. – Przyszedłem do ciebie po radę – podjął – ale chyba nie powinienem był zawracać ci głowy.

Podeszła i wzięła go za rękę. Jej dotyk rozpałił mu serce.

– Nie zawracasz – szepnęła. – Tylko boję się, że mogłabym kogoś zranić, zamiast pomóc. Wydaje mi się, że Nell bardzo przeżywa spotkania ze mną. A ja zaprosiłam Madeleine do siebie.

– Naprawdę?

Pierwszą jego reakcją była radość, która wkrótce ustąpiła miejsca panice.

– Tak. Nie obawiaj się. Do niczego nie będę cię zmuszać.

– Nawet jeżeli nie zgadzasz się z moją decyzją?

– Nawet. Jesteś wspaniałym ojcem. Nie chcę się mieszać w wasze sprawy. Ale... skoro już wspomniałeś o wizycie u doktora Galforda, to może zawiózłbyś Nell do niego?

– A potem?

– Zobaczysz, czy poczuje się lepiej. Jeżeli tak...

Będziemy mogli wrócić i zostać przyjaciółmi, pomyślał

Jack.

Rozejrzał się wokół. Madeleine tu przyjedzie. A może by jednak ustąpił i pozwolił Nell zobaczyć się z Maddie? Uszczęśliwiłby je obie. Jednakże myśl o spotkaniu z siostrą i spojrzeniu jej w oczy... nie, wykluczone, to by było dla niego zbyt wiele.

– Rozumiem, przez co przechodzi Nell – powiedziała Stevie już pewniejszym głosem. – Śmierć matki to dla dziecka straszne przeżycie. Ale Nell jest silna i ma ciebie. Naprawdę świetnie sobie radzisz.

– Także wtedy, gdy trzymam ją z dala od Madeleine?

Poparzyła na niego, jakby ważąc słowa.

– Nie rozumiem twoich powodów – stwierdziła krótko.

Nie pochwałała jego decyzji, toteż nawet nie udawała, że zamierza udzielić mu rozgrzeszenia. Świdrowała go wzrokiem, jakby chciała go przekonać, żeby zrezygnował i zmienił zdanie.

Nie mógł tego zrobić. Nie chciał również puszczać jej ręki, wiedział jednak, że musi. Stali tak blisko siebie. Bezwiednie się cofnął i powiedział „do widzenia”. Końcówkę spotkania pamiętał jak przez mgłę. Za to wyraźnie pozostał mu w oczach jej uśmiech.

Po powrocie do domu umówił się na wizytę u doktora Galforda, który zgodził się przyjąć Nell po godzinach pracy w swoim gabinecie pod Bostonem. Jack siedział w poczekalni, gdy córka rozmawiała z psychiatrą. Ciekawe, czy coś rysowała czy może opowiadała o tym, jak naraz straciła matkę i ciotkę. Starał się nie myśleć o siostrze i o

tym, jak bardzo Nell za nią tęskni. Czy Maddie była w drodze na cypel Hubbarda? A może już tam dotarła? Nie potrafił przestać myśleć o uśmiechu Stevie i o jej słowach: „Jesteś Wspaniałym ojcem”.

Część Druga

Rozdział 9

Madeleine Kilvert spakowała torbę, upewniła się, czy Amanda zajęła się biurem, i pocałowała męża na do widzenia. Wyjechała z podjazdu prowadzącego do ich domu przy Benefit Street, a potem na autostradę. Chris nie miał nic przeciwko jej wyprawie. Był wspaniałym mężem i zrobiłby wszystko, by podnieść ją na duchu.

Od dawna nic nie sprawiło jej tak wielkiej radości jak zaproszenie od Stevie. Przeglądając pocztę, wśród rachunków i katalogów znalazła białą kopertę zaadresowaną dziwnie znajomym charakterem pisma. Znaczek pocztowy z Black Hall w stanie Connecticut uwolnił falę wspomnień. Wakacje na cyplu Hubbarda, rzędy domków letniskowych, a pośród nich jeden z pokojem, który dzieliła z bratem, plaża w kształcie półksiężyca między dwoma skalistymi cyplami, leniwe dni spędzane w towarzystwie dwu najlepszych przyjaciółek.

To pismo Stevie, pomyślała. I rzeczywiście, list był od Stevie Moore – rozkosznie krótki i treściwy.

*Uprasza się o przybycie z okazji święta pełni księżyca.
Odmowy się nie przyjmuje...*

Pod spodem widniał wykonany ołówkiem rysunek trzech dziewcząt siedzących na nabrzeżu, trzymających się za ręce i patrzących na księżyc wyłaniający się z morza i rzucający smugę światła na tafłę wody. Na górze widniał napis: „Wakacyjne przyjaciółki wpatrzone w światło księżyca”. Pod rysunkiem Stevie wpisała datę, adres i słowa: „Zaplanuj dłuższy pobyt”.

Pobiegła pokazać kartkę Chrisowi.

– Autentyczny rękopis Stevie Moore.

– Twojej sławnej przyjaciółki. Śliczny rysunek.

– To my trzy. Ona nic nie wie o Emmie.

– Skąd wzięła twój adres?

– Nie mam pojęcia – odparła Madeleine, patrząc na zaproszenie.

Stevie była jej utraconą przyjaciółką. Kiedyś były sobie bardzo bliskie. Potem Emma przeniosła się do Chicago, a Kilvertowie przestali wynajmować domek letniskowy na cyplu Hubbarda. Emma weszła do rodziny przez znajomość z Jackiem. Kiedy rozjechały się do szkół, niemal od razu straciły kontakt ze Stevie. Tylko z początku do siebie pisywały. Pamiętała, że jak była w Georgetown, dostawała od Stevie listy z Rhode Island School of Design.

Jakiś czas później Stevie powiadomiła ją, że wyszła za mąż. To była nagła decyzja – ucieczka z domu, sędzia pokoju i kłamka zapadła. Madeleine zatelefonowała do Emmy. Poczuły się dziwnie, bo wszystko stało się tak szybko. Dlaczego Stevie nie zaprosiła ich na ślub?

Przypomniały sobie, jak bardzo angażowała się w związki z chłopcami z plaży. Emma krytykowała ją za to, lecz Madeleine czuła, że ma to coś wspólnego z wielką samotnością po śmierci matki.

Co było potem? Ona, Maddie, zaręczyła się z Chrisem, a Jack ożenił się z Emmą.

Mniej więcej wtedy w księgarniach zaczęły pojawiać się książki Stevie. Stała się sławna. Madeleine czytała noty o autorce na okładce, by czegoś się o niej dowiedzieć. W jednych wspomniano o mężu, w drugich nie. Napawało ją to smutkiem, bo pamiętała, jak Stevie intensywnie przeżywała każdą miłość. Typowe życie artystki, niekonwencjonalne i niepewne – podsumowała Emma.

Kiedyś kupiła jedną z jej książek na prezent gwiazdkowy dla pięcioletniej Nell. Jadąc teraz autostradą, usiłowała sobie przypomnieć, o czym ona była. Chyba o łabędziach, o dwóch samcach walczących o samicę. Emma rzuciła okiem na książkę i powiedziała:

– Jak zwykle musi dramatyzować.

– Łabędzie rzeczywiście walczą na śmierć i życie – zaprotestowała Madeleine. – Pamiętasz, jak obserwowaliśmy je na cyplu Hubbarda?

– Nie – odpowiedziała Emma, trzymając Nell na kolanach. – Nie pamiętam i nie chcę, by wiesz kto słuchał o przemocy, nawet wśród łabędzi. Biedna Stevie, mam nadzieję, że się pozbiera i znajdzie w końcu szczęście.

– Nie było jej lekko – zauważyła Madeleine. – Straciła

w dzieciństwie matkę. Pewnie dlatego tak szybko wyszła za mąż. Żałuję, że straciłyśmy z nią kontakt. Byłyśmy takie zżyte. Dlaczego los rzuca ludzi po świecie?

– Pewnie byśmy ją nudziły – stwierdziła Emma. – Dwie szczęśliwe mężatki żyjące spokojnie, bez kłopotów.

– Wygląda na interesującą – wtrącił Jack, kartkując książkę. – I ma piękne ilustracje.

– Może tak, lecz nie jest odpowiednia dla naszej córki. Miło, że pomyślałaś o kupieniu jej książki, Maddie, ale chyba podaruję ją bibliotece.

– Okay – odpowiedziała wtedy.

Wymienili wówczas z Jackiem spojrzenia. Emma jak jej matka była perfekcjonistką i chciała, by wszystko nie tylko wyglądało, lecz i było doskonałe.

Ich rodziny na zmianę spędzały u siebie święta Bożego Narodzenia. Tamtego roku przyjechała z mężem do Atlanty i podziwiała wymyślne świąteczne dekoracje Emmy. Bajkowe ozdoby, oryginalne białe lampki zielone lampki, kolędy, ciasteczka dla wszystkich sąsiadów, najtłuściejsza gęś od najlepszego rzeźnika z Peachtree Road.

Wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Jackiem, zaśmiała się w myślach. Oboje kochali Emmę, dlatego z pobłażliwością przyjęli jej decyzję o odrzuceniu zbyt prawdziwej książki Stevie o łabędziach.

Nie miała pojęcia o tym, że coś się dzieje z małżeństwem brata, bo trzymał ją z dala od swoich problemów, Emma zaś ukrywała, że jest nieszczęśliwa,

szukając różnych sposobów pocieszenia i znalazła je – o ironio – w kościele. Zaczęła działać w różnych komitetach jako wolontariuszka. W ciągu ostatnich dwóch lat całkowicie zmieniła styl życia, uznając dotychczasowy za błahy i powierzchowny. Kiedy Nell miała siedem lat, postanowiła nie dekorować domu na święta, a zaoszczędzone na choince, stroikach i lampkach pieniądze przekazać na cele dobroczynne. Rozgniewała tym Jacka, bo Nell była bardzo zawiedziona. Madeleine przypomniała się wówczas historia z bezdomną kobietą z New London. Może była to forma zadośćuczynienia ze strony Emmy za to, że wówczas wzięła te dziesięć dolarów. A może naprawdę chciała zrobić coś dobrego i choć trochę zmienić świat. Przecież nie mogła wiedzieć, że zniszczy to jej rodzinę.

Kiedy więc Madeleine dostała zaproszenie od Stevie, poczuła radość, chęć powspominania dawnych czasów i opowiedzenia komuś całej historii. Teraz jednak, gdy przekraczała granicę między stanami Rhode Island i Connecticut, górę zaczęła brać niepewność.

Przed oczyma stanął jej rysunek Stevie z trzema dziewczynami i podpisem: „Wakacyjne przyjaciółki wpatrzone w światło księżyca”. Przypomniała sobie słowa Emmy wypowiedziane przed laty: „Dni należą do nas, a noce do nich”.

Emma. Co chwila spoglądała na puste miejsce obok siebie. Tak bardzo brakowało jej szwagierki. Gdy na oddziale rehabilitacji leczyła bark i ramię, poznała innych

pacjentów, którzy również ucierpieli w wypadkach samochodowych. Jedna z kobiet, która straciła prawą rękę, opowiadała jej o fantomowej kończynie.

– Czasami wydaje mi się, że mnie swędzi, i chcę się podrapać. To swędzenie jest takie prawdziwe. Albo chcę wziąć długopis i ze zdumieniem stwierdzam, że nie mogę.

Przejeżdżając przez Mystic Seaport, pomyślała, że sama cierpi na syndrom fantomowej Emmy. Niemożliwe, żeby nie siedziała na miejscu dla pasażera, nie rozmawiała z nią i nie kręciła gałkami radia w poszukiwaniu programu nadającego muzykę klasyczną, chociaż ona lubiła starego dobrego rocka.

Jeden syndrom wywoływał następne – syndrom Jacka, syndrom Nell. Tak bardzo tęskniła za bratem i bratanicą. Z każdym dniem coraz bardziej.

Właściwie po co jedzie na cypel Hubbarda, gdzie ona i Jack poznali Emmę? Stevie mogła sobie wspominać trzy szczęśliwe nastolatki, dla niej jednak to miejsce zawsze będzie kojarzyło się z rodziną. Jak zdoła to wytłumaczyć kobiecie, która zmieniała mężów jak rękawiczki? Stevie może i była wspaniała na swój sposób, lecz czy zdoła zrozumieć, przez co ona przeszła? Spojrzała we wsteczne lustro. Ten ostatni koszmarny rok odcisnął na niej swoje piętno. Przybrała na wadze i zaczęła pić znacznie więcej, niż powinna – zrobiłaby wszystko, aby zapomnieć o sprawach, o których nie chciała pamiętać. Miała nadzieję, że niezależny duch Stevie nie uznaje również ograniczeń w picciu. Wiozła ze sobą dwie butelki

szampana. Lipcową pełnię trzeba świętować w wielkim stylu. W jej wypadku jedynym sposobem na przeżycie był stan odrętwienia.

Tara, koleżanka mamy Peggy, miała dwuosobowy rower. Po zajęciach na plaży i obiedzie Nell i Peggy wybrały się na przejażdżkę. Jack musiał pojechać do Bostonu, więc matka Peggy zajęła się Nell. Obie z Tarą pokazały dziewczynkom, jak się jeździ na tandemie na cichej uliczce za falochronem.

– Kieruje ta, która siedzi z przodu – instruowała Tara. – A ta z tyłu musi się jej podporządkować.

– Co jest najtrudniejszą rzeczą na świecie – dodała ze śmiechem matka Peggy.

– Zaczynicie wreszcie mówić po ludzku – zdenerwowała się Peggy.

Nell przyglądała się obu kobietom i pomyślała o mamie i cioci. Zachowywały się jak one, śmiały się, żartowały i mówiły rzeczy, które tylko one rozumiały. Dorosłe kobiety z dziewczęcymi sekretami. Patrząc na nie, czuła się dziwnie bezpieczna.

Obie panie miały na głowach jednakowe słomkowe kapelusze ozdobione stokrotkami. Pani McCabe ubrana była w koszulkę firmową liceum w Black Hall i dżinsy z obciętymi nogawkami, a Tara – koszulkę z żółtymi literami FBI włożoną na kostium kąpielowy. Tara siedziała z przodu i kręciła kierownicą, jakby omijała niewidzialne przeszkody, a matka Peggy uniosła w górę

nogi i krzyknęła „Juhuu!”.

– Mamo, zachowuj się – powiedziała z wyrzutem Peggy.

– To silniejsze od niej – stwierdziła Tara, zatrzymując się przed dziewczynkami.

– Zazdrościsz mi, że mam taki donośny głos – odparowała pani McCabe.

– Juhuu! – wrzasnęła Tara jeszcze głośniej.

– Jesteście nienormalne – stwierdziła Peggy ze śmiechem.

Nell też by się roześmiała, lecz przypomniała sobie, jak ciocia Maddie żartowała z mamy, że ma taki idealny dom: czysty, bez jednego pyłku, wszystko na miejscu, a ogród jak z jakiegoś magazynu. Zdążyła już zauważyć, że ogrody Tary i matki Peggy również są piękne i zadbane.

– Nell, chyba nie kępuje cię nasze zachowanie? – zapytała pani McCabe.

– Skądże... – Dziewczynka pokręciła głową.

– Ulżyło mi. No to kto będzie kierował? – spytała Tara.

– Ja – wyrwała się Peggy.

– Zgadzasz się, Nell? – zatroskała się pani McCabe. – Pewnie myślisz, że łatwo jest siedzieć z tyłu. Zapewniam cię, że nie. Niby masz kierownicę, lecz nie możesz nią kierować.

– Nic nie szkodzi – odparła Nell.

Tara pokazała Peggy, gdzie jest hamulec, obniżyła siodełko, a pani McCabe pomogła Nell. Jej ramię było takie solidne i ciepłe. Przez kilka sekund Nell czuła się

tak, jakby znów miała mamę.

Dziewczynki przejechały się tam i z powrotem po cichej uliczce, a potem popedałowały drogą biegnącą wzdłuż falochronu, promenady, wokół basenu dla łodzi, aż do granicy moczarów. Minęły sklep Foleya, stary cmentarz, domek Peggy i skierowały się w stronę cypla. Zupełnie jakby Peggy czytała w myślach Nell.

Musiały podnieść pupy z siodełek, wspinając się na strome wzgórze. Nell naciskała pedały ze wszystkich sił, by pomóc koleżance. Wysokie drzewa rzucały cień, a wiatr od morza niósł ochłodę. Peggy wskazała na lewo i powiedziała coś o tym, że wieczorem będzie pełnia i mogłyby obejrzeć wschód księżyca. Nell w tym czasie patrzyła na dom Stevie. Stał w cieniu dębu i sosen. W tym świetle kryty białym gontem dach wyglądał na niebieski. Zastanawiała się, czy tak samo wyglądał, gdy mama i ciocia Madeleine tu przychodziły, gdy naprawdę był niebieski. Ciekawe, czy mała wrona nauczyła się już latać i czy Stevie o niej myśli i zastanawia się, dlaczego do niej nie przychodzi.

Domyślała się, że ojciec nie chce, żeby odwiedzała Stevie, nie dlatego, że będzie jej przeszkadzać w pisaniu, lecz z powodu sceny, jaką zrobiła, przyznając się, że tęskni za ciocią Madeleine. Zabronił jej spotykać się z ciocią i nie chciał, by Stevie mieszała się do tego i pogarszała sprawę.

Poczuła łzy pod powiekami. Gdyby Peggy się odwróciła, zawsze mogła powiedzieć, że coś jej wpadło

do oka. Dojechały do końca drogi, po czym zawróciły. Przejeżdżając drugi raz obok domu Stevie, Nell zauważyła, że tabliczka z napisem „Proszę stąd odejść” wciąż tkwi na swoim miejscu. Zagryzła wargę. Wcale nie chciała odchodzić. Chciała wejść na wzgórze, zapukać do drzwi, wypić piwo imbirowe z kawałkiem brzoskwini, popatrzeć na obrazy malowane przez Stevie i Aidę i porozmawiać o mamie, cioci Maddie i innych rzeczach.

W tym właśnie momencie pojawił się beżowy samochód. Kierowca zajęty szukaniem domu nie zauważył roweru i Peggy musiała zjechać z drogi, by uniknąć zderzenia.

– Jakiś wariat z Rhode Island – mruknęła Peggy.

– Z Rhode Island?

– Tak. Z żaglówką i napisem „Ocean State” na tablicy rejestracyjnej.

Dziwne, pomyślała Nell. Samochód z Rhode Island znalazł się tu w chwili, gdy myślała o cioci Madeleine. Przecież ona i wuj Chris przeprowadzili się do Providence w stanie Rhode Island. Wiedziała o tym, bo ciocia przysyłała jej kartki. Nie odpowiadała na nie, lecz kartki i tak przychodziły.

Peggy zatrzymała się na szczycie wzgórza opadającego ku plaży.

– Przygotuj się na szybką jazdę. Myślisz, że uda nam się zjechać?

– Mam nadzieję.

– Trzymaj się mocno.

– Trzymam się – odpowiedziała Nell.

Zaczęły nabierać prędkości. Nell obejrzała się przez ramię, by po raz ostatni spojrzeć na niebieski dom Stevie. Chciała też zobaczyć samochód z Rhode Island, lecz Peggy jechała zbyt szybko. Gdyby wszystko było inaczej, pomyślała. Gdybyśmy mogli być razem... Zacisnęła palce na kierownicy i zamknęła oczy, bo to, czy patrzy przed siebie czy nie, i tak nie miało znaczenia. Poczwała, jak wiatr rozwiewa jej włosy i oddawała się marzeniom.

Rozdział 10

Stevie wybrała się wieczorem na spacer. Poszła drogą do domku Jacka. Stała za żywopłotem z ligustru, słuchała cykania świerszczy i chłonęła słony zapach wiatru, który poruszał liśćmi drzew. Okna były otwarte. Chciała zawołać Jacka i poprosić, by otworzył drzwi. Chciała zapytać, jak udała się wizyta u doktora Galforda. Zrobiła krok w przód i zatrzymała się raptownie.

Jack i Nell siedzieli na kanapie. Żółte światło ze stojącej na stole lampki złociło kasztanowe włosy dziewczynki. Jack pochylał się ku niej, a przez otwarte okno dochodził jego miarowy głos.

– Polna myszka pobiegła do zwałonego drzewa i wcisnęła się w otwór, w chwili gdy sowa dała nura w ciemność, rozwierając pazury...

Stevie patrzyła, jak Nell wtula się w ramię ojca, podczas gdy Jack czyta „Noc sowy”. Na jej twarzy maluje się radość. Jack zerka na nią z uwagą, by sprawdzić, czy się nie boi. Stevie nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Tak bardzo pragnęła wejść i do nich dołączyć, lecz odwróciła się i poszła do domu.

Teraz znowu stała jak wmurowana, obserwując rozgrywającą się za oknem kuchennym scenę, również z udziałem Nell. Czekając na przyjazd Madeleine,

zobaczyła przejeżdżający drogą tandem. W tej samej chwili nadjechał wolno beżowy samochód. Rower zawrócił w ślepej uliczce i ruszył w powrotną drogę. Rozpoznała Nell z koleżanką i wstrzymała oddech. Z bijącym sercem czekała na moment, gdy Madeleine i Nell się zobaczą. Nie zobaczyły się, a ona nie wiedziała, czy ma się cieszyć czy smucić. Otworzyła drzwi i zeszła spieszenie po schodach.

– Przyjechałaś! – zawołała.

– Sama nie mogę w to uwierzyć – odpowiedziała Madeleine.

Rzuciły się sobie w ramiona i nie mogły się od siebie oderwać. W końcu Stevie wzięła torbę Madeleine i ciasno objęte weszły na górę.

– Nic a nic się tutaj nie zmieniło – stwierdziła Madeleine, rozglądając się wokół. – Jak tylko przejechałam pod wiaduktem kolejowym, miałam wrażenie, jakbym znalazła się w miasteczku Brigadoon.

– Tu czas jakby się zatrzymał – przyznała Stevie.

– Domy wciąż są małe i niezwykle, ogrody jak na irlandzkiej wsi, a dzieci jeżdżą na rowerach środkiem ulicy, jakby była ich własnością, zupełnie jak my kiedyś. Omal nie wpadłam na jakiś taniem.

Stevie wstrzymała oddech, lecz Madeleine nic więcej nie powiedziała. Weszły do domu i Maddie aż pisnęła z zachwyty.

– O mój Boże! Tu też nic się nie zmieniło. Jakbym widziała twojego ojca siedzącego przy tamtym biurku. –

Wskazała na mahoniowy mebel stojący w rogu salonu. – Musiałyśmy być bardzo cicho, gdy pracował. Uważałam, że wspaniale jest mieć ojca, który pisze wiersze.

Stevie uśmiechnęła się.

– Ja też myślałam podobnie.

– Zawsze zastanawiałam się, dlaczego mając taki cudowny widok – wskazała na okna wychodzące na skaliste wzgórze i szafirowo-błękitną zatokę – ustawił biurko pod ścianą. Kiedy raz go o to zapytałam, odpowiedział, że poezja wymaga spojrzenia w głąb siebie.

– Pamiętam.

– Podzielasz jego zdanie? – spytała Madeleine. – Tak dobrze sobie radzisz, Stevie. Zawsze z dumą patrzę na twoje książki. No więc, też potrzebujesz spojrzenia w głąb siebie?

– Wprost przeciwnie – odparta Stevie ze śmiechem. – Chodźmy na górę. Pokażę ci twój pokój i moje studio.

Stevie oddała Madeleine pokój gościnny, w którym kiedyś spała matka jej matki. Wychodził na wschód, a ponieważ dom stał na cyplu wcinającym się w wody cieśniny, z okna było również widać morze połyskujące między drzewami. Potem poszły do pokoju Stevie.

– Niesamowite – powiedziała Madeleine, rozglądając się po pracowni pełniącej zarazem rolę sypialni.

Zajmowała całą szerokość domu i miała wielkie okna z widokiem na plażę i południowo-zachodnią część cieśniny. Na jednej ze ścian wisiał imponujących rozmiarów obraz, bardzo nowoczesny, a w klatce siedział

jakiś czarny ptak. Wzdłuż wewnętrznej ściany stały półki z książkami.

– Nie pamiętam, żeby twój pokój był taki duży.

– Bo nie był. Kiedy zmarł ojciec i postanowiłam, że nie sprzedam domu, wyburzyłam ścianę i zrobiłam jeden duży pokój z dwóch małych.

– Malujesz tutaj? – spytała Madeleine, stając przed sztalugami i patrząc na rysunki.

– Tak. Lubię wstać z łóżka i od razu zabrać się do pracy. Czerpię inspirację ze snów.

Zaczerwieniła się. Patrząc na Madeleine wpatrzoną w obrazek przedstawiający parę kolibrów z rubinowymi podgardlami, pijących nektar z czerwonych kwiatów, zastanawiała się, co by jej dawna przyjaciółka pomyślała, gdyby wiedziała, że jej sny są ostatnio pełne Jacka.

– Są piękne – stwierdziła Madeleine. – Czy to do twojej nowej książki?

– Tak – odparła Stevie.

Popatrzyła na rysunek. Zielone ptaki o lśniącem upierzeniu były dla niej symbolem nadziei i wytrwałości. Opowieść o nich ulegała ciągłym zmianom. Na początku miała to być historia o dwóch ptakach migrujących z Nowej Anglii na Kostarykę. Teraz zmieniała się w opowieść o lecie kolibrów, które zbudowały gniazdo i wychowywały pisklę. Pomysł podsunęły jej sny i spotkanie z Nell. Niezmienny natomiast po – został czerwony milin, który przyciągał i zapewniał pożywienie małym ptakom.

– Czuję się zaszczycona, że mogę uczestniczyć w procesie tworzenia – powiedziała Madeleine. – Pomyśleć, że moja stara przyjaciółka stała się sławną artystką.

– Miło, że to mówisz – rzekła Stevie z uśmiechem.

– Wszyscy na cyplu Hubbarda muszą być z ciebie dumni.

– Miejscowe dzieci nazywają mnie czarownicą.

– Żartujesz.

– Stałam się dla nich miejscową ekscentryczką. Jak stara Hecate. Pamiętasz ją?

– Oczywiście. Nadal tu mieszka? A pani Lightfoot i pani Mayhew nadal mają tu domki letniskowe? A twoja ciotka nadal mieszka w tym dziwacznym zamku? Och, i ci wszyscy mili chłopcy, których tak lubiliśmy. Musisz mi o nich opowiedzieć. To była nasza racja bytu: plaża i chłopcy.

– Wyjdźmy na dwór i napijmy się mrożonej herbaty, to ci wszystko opowiem – zaproponowała Stevie.

Zeszły na dół. Stevie czuła lekkie wyrzuty sumienia; miała zawczasu ustalony program, o którym przyjaciółka nie wiedziała. Widok Madeleine bardzo ją wzruszył. Sprawiała wrażenie takiej delikatnej. Ubrana była w czarny żakiet, chociaż temperatura na zewnątrz wynosiła dwadzieścia siedem stopni. W oczach miała ból i smutek. Nie wiedziała, że ona wie, skąd się wziął.

Otworzyła boczne drzwi, posadziła gości na krześle z drzewa tekowego pod wielkim białym parasolem i poszła do kuchni po tacę. Kiedy wróciła na taras, Madeleine

przyłożyła palec do ust i wskazała na pnące milinu. Mieszkająca w pobliżu czwórka kolibrów podlatywała co chwila do trąbkowatych kwiatów.

Stevie podała mrożoną herbatę i ciastka z cukrem. Przez chwilę w milczeniu obserwowały ptaki. Zielone piórka mieniły się w promieniach słońca, a trzepoczące skrzydła tworzyły kolorową plamę. W końcu kolibry odleciały.

– Emma byłaby zachwycona – szepnęła Madeleine.

Stevie zacisnęła palce na szklance, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie żyje – dodała Madeleine. – Zginęła w wypadku samochodowym rok temu.

– Tak mi przykro...

Jeżeli Madeleine zastanawiała się, dlaczego w głosie przyjaciółki nie słyszy zdziwienia, nie okazała tego.

– Wyszła za mąż za mojego brata Jacka. Wiesz, że poznali się tutaj, na plaży?

– Tak – odparła Stevie, starając się oddychać. Przed oczyma pojawił się obraz Jacka i Nell siedzących na kanapie.

– Poznali się niedaleko stąd, na promenadzie – ciągnęła Madeleine. Wskazała na niebieski pawilon zbudowany nad promenadą dla ochrony przed słońcem. – Spotykali się przez cały okres college'u i jego studia. Jack poszedł na MIT, został inżynierem. Emma, jak wiesz, dostała się do college'u Wellesleya. Kiedy każde z nich zdobyło dyplom, pobrali się i zamieszkali w Atlancie. Nigdy nie

podjęła pracy, lecz udzielała się jako wolontariuszka. Jeżeli musiałaś coś zrobić, a nie miałaś pieniędzy, wystarczyło do niej zadzwonić.

– Naprawdę? – zapytała Stevie, usiłując wyobrazić sobie Emmę w tej roli.

– Śmiałam się z niej, że ruszyło ją sumienie po historii z tą kobietą z wózkiem sklepowym w New London. Ale trzeba jej to oddać, była świetna w zbieraniu funduszy.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Stevie. – Pamiętam, jak zdobyła swoje pierwsze pieniądze. Wystarczyło, że uśmiechnęła się do tych dwóch kadetów. Podeszła do mnie, trzymając w ręku dwie dziesięciodolarówki, z tym swoim diabelskim uśmiechem na twarzy. Powiedziała: „Najłatwiejsza rzecz pod słońcem”. Strasznie się wtedy śmiałyśmy.

Przez chwilę wspominały ten jej uśmiech i sposób, w jaki zmuszała chłopców, by robili to, co chciała.

– Straciłam z wami kontakt – powiedziała Stevie. – Byłyśmy nierozłączne przez te wszystkie lata i nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. Ale życie potrafi płatać figle.

– My śledziłyśmy twoje losy – odparła Madeleine. – Byłaś przecież naszą sławną przyjaciółką. Pamiętam, jak studio Disneya zrobiło na podstawie twojej książki film o rudzikach w sadzie.

– Mieli go kręcić tutaj w Connecticut, lecz w końcu zdecydowali się na wyspę Bainbridge w stanie Waszyngton.

– Oglądaliśmy go, mając nadzieję, że cię w nim zobaczymy.

– Byłam statystką – wyjaśniła Stevie. – Grałam pszczelarza z siatką na twarzy. Mogłaś mnie nie zauważyć. Oglądaliście go z Emmą?

– Nie z Emmą – odparła Madeleine i coś w jej głosie sprawiło, że Stevie skurczył się żołądek. – Z moim mężem Chrisem.

– Żałuję, że nie ma tu Emmy...

Madeleine kiwnęła głową.

– Tęsknię za nią każdego dnia. Jadąc tu z Providence, nie mogłam uwierzyć, że nie ma jej ze mną. Zostałyśmy tylko dwie. To niesprawiedliwe. Zawsze byłyśmy trzy.

Spojrzenie Stevie pobiegło ku plaży. Wydawała się oddalona o tysiące kilometrów. Ci wszyscy szczęśliwi ludzie, rodziny z dziećmi, przyjaciółki leżące blisko siebie na ręcznikach, koce i parasole na piasku. Popatrzyła na bladą cerę Madeleine. Plaża, na której kiedyś spędzały całe dni, wydawała się teraz strasznie daleko.

– Emma nie siedziałyby teraz w tych ciuchach – rzuciła Madeleine. – Miałyby na sobie kostium kąpielowy i smarowałyby nam ramiona olejkiem do opalania.

– Może więc powinnyśmy...

– Nie ma mowy! – zaprotestowała Madeleine. – Bardzo mi dobrze na twoim tarasie. Mam stąd dobry widok na tych wszystkich chudych ludzi.

– A my jesteśmy szczupłe inaczej – stwierdziła Stevie.

– Żebyś wiedziała. Ale wróćmy do naszych spraw. Czy

słońce jest nad nokiem rei? Chyba tak. Przywiozłam szampana. Otwórzmy butelkę i wypijmy za stare dobre czasy.

Stevie poszła do kuchni i wyjęła jedną z butelek z lodówki. Nalała sobie szklanek piwa imbirowego, zdjęła z półki kieliszek do szampana, po czym wróciła na taras.

– To prezent ślubny – oznajmiła, stawiając kieliszek na stole. – Pierwszy raz go używam. Dostałam je z okazji drugiego ślubu. Odbył się tutaj, na tym tarasie. Siedzisz dokładnie w miejscu, w którym powiedziałam „Tak”.

– Wyszłaś za mąż w rodzinnym domu. Jakie to romantyczne.

– Można to i tak ująć – stwierdziła Stevie posepnym tonem.

Zdjęła sreberko i koszyczek z korka i z wprawą otworzyła butelkę. Z wnętrza wydobył się jedynie cichy syk, nauki Linusa nie poszły w las. Napełniła kieliszek.

– A ty się nie napijesz? – spytała Madeleine.

– Napiję się – odpowiedziała Stevie. – Tylko że ja już wypiałam swój przydział szampana. Piwo imbirowe lepiej mi służy.

– Ale to nie będzie to samo – stwierdziła Madeleine, marszcząc czoło, lecz w końcu uniosła kieliszek. – Za ciebie, Emmo, gdziekolwiek jesteś.

– Za wakacyjne przyjaciółki – dodała Stevie.

Madeleine jednym haustem opróżniła do połowy swój kieliszek. Stevie przypomniała sobie, że kiedyś też tak piła. Niemal poczuła nagłą krótkotrwałą ulgę, jakiej

Madeleine za chwilę doświadczy.

– Wakacyjne przyjaciółki – powtórzyła Madeleine, delektując się słowami. – Jakbyśmy tworzyły trzyosobowy elitarny klub.

– Wakacyjne przyjaciółki teraz, jutro i do końca świata – powiedziała Stevie.

Popatrzyła na plażę. Piasek był taki biały, a morze takie niebieskie, jakby w wodzie odbijało się niebo. Madeleine ponownie napełniła sobie kieliszek.

– Za... – Zawahała się i spojrzała w dal, usiłując wymyślić odpowiedni toast. – Za co wypijemy?

Dreszcz przebiegł Stevie po plecach, bo następny toast miała na końcu języka. Jeszcze nie czas, pomyślała. Musisz zaczekać. Z trudem, ale się udało. Madeleine sama wymyśliła kolejną dedykację.

– Za spotkanie.

– Za spotkanie – powtórzyła Stevie.

Stuknęły się kieliszkami. Madeleine z zadowoleniem sączyła szampana, nie dostrzegając, że wzrok Stevie powędrował ku plaży, w stronę domu stojącego za falochronem przy srebrzystozielonych moczarach, z pięknym zadbanym ogrodem. Dwie kobiety w słomkowych kapeluszach, Bay McCabe i Tara O'Toole, witały właśnie dwie dziewczynki jadące na tandemie.

Jack siedział w swoim bostońskim biurze na trzydziestym piętrze i patrzył, jak na płycie lotniska Logana po drugiej stronie błękitnego portu lądują

samoloty. Obserwację zakłóciła Francesca, wślizgując się do gabinetu. Wyglądała pięknie i stylowo w doskonale skrojonym kostiumie od Prądy i czarnych pantoflach bez pięt. Błyszczała opalenizną po dwóch tygodniach spędzonych u przyjaciół na wyspie Nantucket. Oparła się o jego biurko.

– Witaj, nieznajomy – powiedziała.

– Cześć, Francesco.

– Wysłałam ci kartki z Siasconset i niebywale kuszące moim zdaniem zdjęcia ze mną na pokładzie trzydziestometrowego jachtu przyjaciela mojej przyjaciółki oraz zaproszenie dla ciebie i Nell, byście wskoczyli na prom i przyjechali mnie odwiedzić, a ty mnie ignorujesz.

– Nie ignoruję cię.

– Przez całe lato gdzieś znikasz. Od miesiący jesteś w Bostonie, a od czerwca w ogóle nie pokazałeś się w biurze. Szef nie ma nic przeciwko temu, zastanawiam się tylko, kiedy się dowie.

– O czym?

– Że odchodzisz z firmy.

Jack utkwiał wzrok w planach leżących na biurku. Był to jego najnowszy projekt mostu w New Hampshire. Pracował nad nim razem z Francescą. Pamiętał, jaki był zaskoczony, gdy go pocałowała podczas ich pierwszej wspólnej wizyty na miejscu budowy. Czuł się fatalnie nie dlatego, że odchodził z firmy i od niej, lecz dlatego, że to wszystko było mu obojętne.

– Jak się dowiedziałaś?

– Nie dowiedziałam się, po prostu widzę, co się dzieje. Nie pojawiaasz się w firmie, a szef daje wszystkie większe projekty Taylorowi. Spędzam samotnie weekendy, a miałam nadzieję, że tego lata będziemy się świetnie bawić.

– Tu nie chodzi o ciebie, Francesco.

Spojrzał na reklamówkę z księgarni Faneuil Hall, w której były dwie książki dla Nell, obie autorstwa Stevie Moore. „Rudzik i północny wiatr” oraz „Wyspa mew”. Nie sądził, że mogą być lepsze od „Nocy sowy”, ale chciał mieć wszystkie. Uniósł wzrok.

– Nie? W każdym razie takie można odnieść wrażenie. Rozmawiałam z Ivanem Romanovem, a on zapytał mnie, czy przyjadę odwiedzić cię w Inverness. Nie mogłeś mi powiedzieć?

Popatrzył na nią. Nie miał żadnej wymówki, żadnego usprawiedliwienia. Była wspaniałą kobietą, świetnym inżynierem i koleżanką. Za jej plecami załatwił sobie pracę u klienta ich firmy.

– Przepraszam, jeżeli myślisz, że podciąłem ci skrzydła.

– Podciąłeś mi skrzydła? Przepraszam, lecz jesteś idiotą. Ja nie szukałam pracy. Wiedziałam, co Ivan kombinuje. Zaproponował mi to stanowisko w tym samym czasie co tobie. Nie żałuję straconej okazji. Po prostu czuję się zdradzona. Byliśmy przyjaciółmi. Myślałam, że możemy być kimś więcej.

– Przepraszam.

Chciał wziąć ją za rękę, bo też myślał, że mogą być kimś więcej. Kiedy jego uczucia się zmieniły? Wtedy gdy Nell poznała Stevie, odpowiedział sobie w myślach.

– O co chodzi? – spytała. – Czy o to, że chciałam połączyć pracę z przyjemnością? A może zbyt mocno naciskałam?

– Jesteś wspaniałą kobietą – odpowiedział. – Już ci mówiłem, że nie chodzi o ciebie.

– Więc o co?

– O nas, o mnie i o Nell. Znaleźliśmy się w samym środku huraganu, który rozwalił nam dom. Nic nie jest już bezpieczne i na swoim miejscu. Nie mogę wciągać w tę burzę innych osób.

Przewróciła oczyma.

– Piękna metafora.

– Najlepsza, na jaką mnie stać.

– Twoja córka jest w tak wielkim szoku, że nie możesz się z nikim spotykać, a ty zabierasz ją do Szkocji? Bardzo rozsądnie.

Jack pomyślał o Stevie i o tym, co powiedziała o emocjonalnych podróznikach. Ponownie utkwiał wzrok w reklamówce.

– Moi rodzice się rozwiedli – ciągnęła Francesca. – Nell jest już dużą dziewczynką. Pogodzi się z tym, że masz kogoś. Nie musisz jej chronić na siłę.

Jack poczuł w żyłach lodowaty chłód. Słowa Franceski dotknęły go do żywego. Pomyślał o Emmie w szpitalnym łóżku, o Madeleine, o olbrzymiej pustce w jego rodzinie.

– Rozwód? – powiedział. – Rodzice Nell nie są rozwiedzeni. Jej matka nie żyje. Zginęła pewnego pięknego dnia, wracając do domu z moją siostrą.

– Nie chciałam być nieczuła. Rozumiem, o co ci chodzi. Uważam jednak, że się mylisz. Dla dziewczynki nie ma znaczenia, z jakiego powodu jej ojciec zaczyna umawiać się z innymi kobietami. To zawsze boli tak samo.

Jack pokręcił głową. Wiedział, że ta rozmowa ułatwia mu sprawę bardziej, niż na to zasługuje.

– Nic nie rozumiesz – odparł. – Liczy się przede wszystkim Nell. A nasz związek to dla niej problem. Nie jest gotowa na to, bym spotykał się z innymi kobietami, z tobą. Przykro mi, Francesco.

Położyła rękę na klawce.

– I słusznie – powiedziała.

Na usta cisnęła mu się jedna replika za drugą, lecz zmilczał i pozwolił, by to ona miała ostatnie słowo. Odetchnął z ulgą, gdy wyszła i zamknęła drzwi za sobą.

Odchylił się na oparcie fotela i rozejrzał po gabinecie. Nigdy nie czuł się w nim dobrze. Przyjechał do Bostonu z nadzieją, że ucieknie przed smutkiem i samotnością, jakie gnębiły go w Atlancie. Francesca starała się być dobrą przyjaciółką, lecz to nie wystarczało. Wysunął szufladę biurka i wyjął z niej dwa paszporty.

Jak Nell zareaguje na informację o wyjeździe do Szkocji? Nagle zdał sobie sprawę, że nie pamięta, czym się kierował, planując ten wyjazd. Przypomniał sobie za

to, jak stał w kuchni Stevie i rozmawiał z nią o doktorze Galfordzie. Nell odbyła z nim dwie wakacyjne sesje i odtąd zaczęła lepiej sypiać. Czy to oznacza, że będą musieli znaleźć nowego lekarza w Inverness? I z kim o n porozmawia, gdy poczuje się przytłoczony? Na początku Szkocja wydawała się dobrym miejscem dla dziewczynki. Kiedy on i Madeleine byli mali, rodzice zabrali ich tam na wycieczkę. Kupili wtedy siostrze kilt w czerwono-zieloną kratę z wielką srebrną agrafką z godłem Szkocji. Pojechali na północny zachód obejrzeć góry nad brzegiem morza i popłynęli promem na Wyspę Harrisa, by kupić tweed. Po powrocie zatrzymali się w hotelu z widokiem na fiord. Ojciec wynajął rybaka, z którym popłynęli łowić łososie. Pamiętał mgłę, zielone wzgórza, rzekę wijącą się wśród wzgórz.

– Na pewno niczego nie złowię – oznajmiła Maddie. – Nigdy nie złowiłam żadnej ryby.

– Bądź cierpliwa – powiedział wówczas ojciec.

Maddie zerknęła na brata, a on skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Jack, jeżeli złowisz jakąś rybę, zabiję cię – rzuciła ze złością.

– Założę się, że ty pierwsza coś złowisz.

– Czy w tej rzece mieszka potwór z Loch Ness? – spytała.

Miała dziesięć lat, a on czternaście i marzył, żeby być teraz w Hartford z kolegami.

– Nie – odpowiedział dla żartu. – Tu mieszka

straszniejszy potwór. Rzeczny.

– Jak on wygląda?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Ale ja chcę wiedzieć.

Ojciec i rybak Murdoch łowili w milczeniu i z powagą, a on i Maddie trzymali wędkę i rozmawiali. Jack opisał jej rzeczno potwora. Był długi, śliski jak wąż i żył w głębinach rzeki. Lubił łososie, więc jeżeli jakiegoś złapią, znaczy, że potwór rzeczny jest tuż-tuż, wyskoczy z wody i rzuci się na rybę i rybaka.

– Lepiej, żebyśmy niczego nie złowili – dodał.

Madeleine zaśmiała się, wiedząc, że stara się poprawić jej samopoczucie.

Trzymając teraz w ręku paszporty, miał nadzieję, że podobnie będzie z Nell. Chciał zabrać ją do Szkocji i przegonić wszystkie smutki i troski. Pamiętał, jaka szczęśliwa była wówczas Maddie. Podobały jej się wrzosa, dudy, nawet strumienie z przejrzystą brązową wodą, płynące przez torfowiska. Skoro Szkocja tak podziałała na jego małą siostrzyczkę, może i Nell ulegnie jej magicznemu urokowi. Tak, na pewno tak się stanie.

Zwinął plany i wsunął je do tuby. Potem włożył do walizeczki dokumenty podróżne, książki Stevie i wyszedł z biura. Miał nadzieję, że nie wpadnie na Francescę, i miał szczęście. Powiedział do widzenia recepcjonistce, wsiadł do windy i zjechał na parking. Nell była na plaży z Peggy i jej rodziną. Wiedział, że z niecierpliwością czeka na jego powrót. Nie lubiła, gdy wyjeżdżał na długo.

Cieszył się, że będzie mógł jej poczytać nowe książki Stevie. Bardzo lubił „Noc sowy”, nie mógł się jednak zmusić, by ponownie przeczytać tę o pingwinach cesarskich. Przypominała mu rozmowę ze Stevie, tę toczoną w kuchni, gdy całą siłą woli musiał się powstrzymać, żeby nie... Czytał ją Nell każdego wieczoru, aż do tych trzech niesamowitych poranków, gdy przychodził na plażę popatrzeć, jak Stevie pływa. Bardzo brakowało mu tych chwil. Dostawał gęziej skórki, przypominając sobie jej postać na tle wschodzącego słońca, to, jak potem skacze do wody, wynurza się na powierzchnię dla złapania oddechu i płynie do skały.

Dlaczego wówczas do niej nie podszedł? Musiała go widzieć, lecz słowem o tym nie wspomniała, gdy wpadł do niej z wizytą. Co czuła? Czy gdyby była zła lub wściekła, powiedziała by mu o tym?

To wspomnienie nie dawało mu spokoju. Czuł je wszystkimi porami skóry, w dole brzucha, każdą cząstką ciała. Przekonywał siebie, że nie chce się angażować w żaden związek – nie byli jeszcze z Nell na to gotowi. To że Nell ją lubiła, nie miało nic do rzeczy, jak również to, że Stevie rozumiała, co znaczy stracić matkę, ani to, że przekonała go, iż Nell potrzebuje pomocy i powinna spotkać się z doktorem Galfordem. Pomogła mu w najtrudniejszym okresie, lecz nie miało to znaczenia. A może miało?

Postanowił złożyć wszystko na karb pożądania, bo to było bezpieczniejsze niż myśl o prawdziwym związku. To

co czuł do Stevie, to czyste pożądanie. Mimo że jego córka ją kochała.

Gdyby tylko Stevie tak się nie upierała przy zaproszeniu do siebie Madeleine. Poczł ucisk w żołądku na myśl o spotkaniu z nią. Wolał, by jego w to nie mieszały. Ten temat był dla niego na zawsze zamknięty. Jeśli chodzi o niego, to miał kiedyś siostrę: dziewczynkę, którą bardzo kochał – w Szkocji, w szkole w Hartford, grając z nią w tenisa na plaży – lecz ona odeszła. Nell nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chce się widzieć ani rozmawiać z Madeleine, i modlił się o to, by nigdy nie zrozumiała. Gdyby jednak tak się stało, byłaby mu wdzięczna, że trzymał je z dala od siebie.

Wsiadł do samochodu i włączył się do ruchu, wyruszając w długą drogę na cypel Hubbarda. Dobrze, że tęsknota, marzenia, obraz Stevie wychodzącej z wody ze srebrnymi kroplami spływającymi po szczupłym zgrabnym ciele, nie miały nic wspólnego z rozsądkiem.

Rozdział 11

Pierwsza butelka szampana smakowała tak wspaniale, że Madeleine nie mogła się już doczekać, by otworzyć drugą. Brakowało jej tylko kompana do kieliszka, bo Stevie pozostała przy piwie imbirowym.

– Opowiedz mi o sobie – poprosiła. – Mieszkasz tu przez cały rok?

– Zimą spędzam w Nowym Jorku. Przyjeżdżam tutaj w końcu maja.

– W tym właśnie tkwi urok bycia artystką, w elastyczności. Ja pracuję w administracji uniwersytetu Browna, zbieram fundusze.

– Providence to piękne miasto. Studiowałam w tamtejszej Rhode Island School of Design. Tam też poznałam pierwszego męża... – Madeleine nie chciała jej pytać o małżeństwo, toteż była zadowolona, że Stevie sama poruszyła ten temat. W milczeniu sączyła szampana i słuchała zwierzeń przyjaciółki. – Kevin był taki inteligentny i utalentowany – ciągnęła Stevie. – Zakochaliśmy się w sobie już na pierwszym roku. Miał autentyczny talent. Nikt nie potrafił zrobić z kreską tego co on. Tak prosto i oszczędnie, odrzucał cały zbędny balast. Jak gdyby RISD nie było wcale postępowe i awangardowe.

– Prace dyplomowe pewnie były rewelacyjne.

Stevie kiwnęła głową.

– Rzeczywiście. Prawdziwe szaleństwo. Ale praca Kevina była niemal klasyczna. Kochał rysunek. Rysował węglem na papierze. Jego najlepsza praca przypominała Picassa. Nie stylem, lecz kreską.

– I wyszłaś za niego mąż.

– Tak. Jeszcze na studiach. Uciekliśmy.

– Pamiętam, że napisałaś wtedy do mnie. To chyba był twój ostatni list.

Stevie westchnęła.

– Bardzo możliwe. Żyłam wtedy w gorączce poszukiwań.

– Czego szukałaś?

– Sztuki i miłości.

– Myślałam, że znalazłaś jedno i drugie – powiedziała Madeleine ze śmiechem.

Stevie pokręciła głową.

– Urodziłam się z jednym i z drugim. Większość ludzi się z tym rodzi. Potem jednak wszystko komplikujemy. Rodzice bardzo mnie kochali. Byłam nie to, że zepsuta tą miłością, lecz przepelniona nią. Miałam takie wielkie aspiracje. Myślałam, że życie zawsze takie będzie. Nawet po śmierci mamy ojciec był...

– Dla ciebie wszystkim. Pamiętam.

– Tak. Bardzo mnie kochał. Byłam dla niego najważniejsza. Dzięki niemu wydawało mi się, że wszystko mogę zrobić. Nauczył mnie niezależności, wiary

w siebie, lecz również sceptycyzmu. „Stevie – mówił – artysta patrzy na to, co jest, co może zobaczyć, i rysuje to. Poeci nigdy nie ufają zewnętrznej powłoce, uczą się zaglądać pod powierzchnię i ufać temu, czego nie mogą zobaczyć”.

– Czego nie mogą zobaczyć... – powtórzyła Madeleine.

– Patrzyłam na Kevina i widziałam przystojnego błyskotliwego artystę. Dopiero po paru latach małżeństwa zajrzałam pod powierzchnię i zobaczyłam smutnego człowieka, który wszystkim zazdrościł. Był taki zgorzkniały. Za każdym razem gdy któryś z kolegów z roku miał wystawę, opowiadał, że się sprzedaje, że zaspokaja gusty kolekcjonerów. Nienawidził ich. A potem zaczęłam pisać książki dla dzieci.

– I osiągnęłaś sukces – dodała Madeleine.

– Wtedy zaczął i mnie nienawidzić. Tak trudno było z tym żyć. – Stevie popatrzyła na morze. W jej oczach pojawiło się napięcie. – Znalazłam Tilly. Była dachowcem, który urodził się w zaułku za naszym domem. Stała się dla mnie prawdziwą pociechą. Mąż był taki zamknięty w sobie, prawie się do mnie nie odzywał. Nie sypialiśmy ze sobą. Ale miałam Tilly.

– Bezwarunkowa miłość.

– Tak. Stale myślałam o tym, co powiedział ojciec. Nie patrzyłam w głąb, pod powierzchnię. Wiedziałam, ile szczęścia dała mi miłość rodziców, miałam też świadomość tego, że miłość do kota to zbyt mało, dlatego zaczęłam gorączkowo jej szukać. Pojechałam na wykład

do Woods Hole i tam poznałam Linusa.

– Linusa?

– Mojego drugiego męża. Zostawiłam dla niego Kevina. W tym czasie nie widział już niczego poza butelką. Nie wiem, czy w ogóle zauważył, że od niego odeszłam.

Madeleine popijała szampana. W uszach dźwięczały jej słowa: nie widział niczego poza butelką. Ze mną chyba nie jest tak źle, pomyślałaś pociągnęła następny łyk.

– Linus był ornitologiem, niezwykle inteligentnym i interesującym Anglikiem. Miał syna z pierwszego małżeństwa. Podobało mi się bycie macochą. Myślałam, że w końcu znalazłam to, czego szukałam. Przewoził różne gatunki ptaków do i z Anglii. Znał wszystkich inspektorów. Jakoś udało nam się uniknąć kwarantanny, której poddawali zwierzęta domowe. Powiedział, żebym nie martwiła się o Tilly, że inspektorzy potraktują ją ulgowo, i rzeczywiście tak się stało.

– Dość, by pokochać mężczyznę.

Stevie zaśmiała się.

– Właśnie. Zamieszkaliśmy w Oksfordzie w kamiennym domu naprzeciwko średniowiecznego kościoła. Jego syn mieszkał w Londynie, ale przyjeżdżał do nas na weekendy i wakacje. Dużo malowałam. Wtedy właśnie sprzedałam prawa do sfilmowania „Rudzika”, chciałam mieć dziecko.

– Tak? Ja też chciałam – wtrąciła Madeleine.

– Ale nie udało ci się?

– Nie. Nie mogłam zająć w ciążę. Całymi latami próbowaliśmy, nawet dwa razy metodą in vitro, lecz bez skutku.

Pogodziłam się z tym, bo miałam... – Urwała, nie mogąc wypowiedzieć imienia Nell. Stevie czekała, że dokończy zdanie, lecz ona tylko wzruszyła ramionami. – Miałam Chrisa.

– Ja zaszłam w ciążę – powiedziała Stevie. Jej głos brzmiał spokojnie, lecz policzki lekko się zaróżowiły.

– Masz dziecko?

– Nie. Poroniłam.

– Och, Stevie, tak mi przykro.

Stevie zamknęła oczy.

– Nie przypuszczałam, że to może być takie straszne. Kiedy słyszałam, jak innym kobietom to się zdarzyło, myślałam sobie: przecież znowu mogą spróbować. To nie to samo, co stracić prawdziwe dziecko. Ale to jest dokładnie to samo.

– W którym miesiącu byłaś?

– W trzecim. Właśnie powiedziałam ojcu i ciotce. To była dziewczynka.

– Dziewczynka. – Jak Nell. – Co było potem?

– Byłam straszliwie zdenerwowana. Chciałam, żebyśmy nadali jej imię i ją pochowali. Linus się nie zgodził. Uznał, że to śmieszne. Zachowywał się jak naukowiec. Powiedział, że płód musiał mieć wady, dziecko pewnie by nie przeżyło, i zaczął wyjaśniać mi teorię Darwina, naturalną selekcję i to że przeżywają tylko

najsilniejsze osobniki. Odparłam, że moja córka zasługuje na coś więcej. Nadałam jej imię Clare, po mojej matce, i urządziłam prywatny pogrzeb. A potem odeszłam od Linusa.

– To smutne – stwierdziła Madeleine – że nie potrafił zrozumieć twoich potrzeb.

– Tak – przyznała Stevie.

Siedziały kilka minut w milczeniu. Madeleine myślała o bólu po stracie dziewczynki, o Nell. Wiedziała, że Stevie myśli o Clare.

– Smutne było również to, że ja nie rozumiałam własnych potrzeb. Tak naprawdę to w ogóle siebie nie znałam.

– Jak to?

– Emma zawsze śmiała się ze mnie, że potrzebuję czyjejs bliskości. Miała rację. Byłam przekonana, że potrzebuję mężczyzny, bym dobrze się czuła. Patrzyłam na Kevina, na Linusa i widziałam to, co chciałam widzieć. Wyszłam za nich oczekując, że dadzą mi coś, czego nie byli w stanie mi dać. Widziałam małżeństwo moich rodziców i chciałam, żeby moje było takie jak ich. Braterstwo dusz, dziecko jako owoc prawdziwej miłości. No wiesz, takie stare dobre małżeństwo.

– Tak, znam to aż nazbyt dobrze.

– Wracałam do Nowego Jorku frachtowcem. Tilly. Wyłynęliśmy z Southampton. Zanim dotarliśmy do Azorów...

– Wyskoczyłaś ze statku?

– Zakochałam się w kapitanie.

Madeleine zaśmiała się, a Stevie jej zawtórowała.

– Nie mów, że...

– To był długi rejs. Frachtowce nie pływają jak statki rejsowe, od portu do portu. Zataczają wielkie koło przez pół świata. Trwa to kilka miesięcy. Uznałam, że potrzebuję trochę pobyć na morzu, by przemyśleć wiele spraw.

– Może zbyt długo na nim byłaś.

– Tak. I zbyt dużo było tam duńskiej kminkówki. Załoga w większości składająca się ze Skandynawów miała bzika na punkcie łososia. Jedli łososia z rusztu, wędzonego, marynowanego, ikrę z łososia i wszystko podlewali kminkówką. Serwowano również szampana za każdym razem, gdy wypływaliśmy z jakiegoś portu, a tych portów było wiele.

– Wtedy właśnie zrezygnowałaś z picia?

– Tak, ale nie od razu. Po drodze były jeszcze Azory, Teneryfa, Cape Town, Rio, Miami, a między nimi mnóstwo wody, mnóstwo wódki i mnóstwo czasu na myślenie. Byłam dwukrotną rozwódką, mój brzuch miał już trzydzieści siedem lat...

– Chciałaś mieć dziecko.

– Tak.

– Więc wyszłaś za kapitana.

– Na szczęście nie dawał sam sobie ślubu – zaśmiała się Stevie. – Zastąpił go pierwszy oficer.

– Bardzo pomysłowe.

– Tak. I nielegalne. Zanim zawinęliśmy do portu w Manhattanie, wiedziałam, że wpadłam po uszy w kłopoty. Ojciec po mnie przyjechał razem z adwokatem, który załatwiłby mi unieważnienie małżeństwa, gdyby jednak okazało się zgodne z prawem.

– Co zrobił ten kapitan?

Stevie popatrzyła na plażę.

– Wpadł w złość. W czasie krótkiego okresu, który z nim spędziłam po wypowiedzeniu słów przysięgi małżeńskiej, przekonałam się, że bez przerwy jest zły. Przez to morze alkoholu wzięłam jego porywczosć za namiętność. Uświadomiłam sobie swój błąd, kiedy kopnął Tilly.

– Kopnął kota?

– Usiłował. Stałam w jej obronie i dostałam w szczękę.

– Drań.

Stevie kiwnęła głową i westchnęła. Madeleine pochyliła się i ścisnęła ją za rękę. Przez parę minut panowała cisza. Madeleine cieszyła się w duchu, że ma Chrisa. Nad tarasem przeleciała mewa, wykorzystując wstępujący prąd powietrza znad plaży. Obserwowały, jak leci swobodnie, nawet nie poruszając skrzydłami. Tilly siedziała przed drzwiami z siatką i śledziła ją płonącymi oczyma.

– To był ostatni raz.

– Ostatni raz?

– Wtedy ostatni raz wyszłam za mąż.

– Nigdy nie mów nigdy. Może jeszcze spotkasz

wspaniałego mężczyznę. Kogoś takiego jak Chris.

– Opowiedz mi o nim.

– Jest mądry, wesoły i wspaniały z niego przyjaciel. Ma własną agencję ubezpieczeniową i świetnie sobie radzi. Naprawdę dba o swoich klientów. Opiekuje się nimi w różnych okresach ich życia. Gdy zakładają rodziny, kupują domy, rodzą im się dzieci, pielęgnują chorych rodziców, umierają. Bardzo się angażuje.

– Jak go poznałaś?

– Jack kupił u niego polisę ubezpieczeniową dawno temu, gdy pobrali się z Emmą. Tak bardzo go polubili, że poznali nas ze sobą.

– Dobrze, gdy przedstawiają cię osoby, które cię znają i kochają.

– Tak – przyznała Madeleine.

Ze zdumieniem stwierdziła, że wspaniale się czuje w towarzystwie starej przyjaciółki. Ze Stevie zawsze dobrze jej się rozmawiało. Przypomniła sobie, jak czasami Emma była zajęta z matką lub robiła zakupy, a ona mogła mieć Stevie dla siebie.

– O czym myślisz?

– O Emmie – odpowiedziała.

– To tak, jakby tu z nami była – stwierdziła Stevie.

– Przypomniałam sobie właśnie, że zawsze miała tendencję do rządzenia – rzekła Madeleine drżącym głosem.

– Gdy czegoś chciała, zawsze to dostawała.

– Potrafiła sobie radzić w życiu.

Emma była zaborcza w stosunku do przyjaciółek, a potem w stosunku do Jacka i Nell. Jak mogła ich zostawić? Ta myśl sprawiła, że Madeleine miała ochotę znowu napełnić kieliszek, lecz po tym co Stevie powiedziała o piciu, powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Co byś powiedziała na spacer? – spytała Stevie.

– Z przyjemnością się przejdę i zobaczę, co się zmieniło – odpowiedziała Madeleine, mając nadzieję, że spacer odciągnie ją od czarnych myśli.

Dzień był słoneczny, niebo błękitne. Madeleine z przyjemnością rozprostowała nogi. Nareszcie nie będzie myśleć o szampanie. Gdy szły wolno krętymi drogami, Stevie zachowywała się tak, jakby oczekiwała, lub bała się, że kogoś spotkają. Przeszły wzdłuż kortów tenisowych w stronę parkingu przy plaży.

– Pamiętam, jak tu grałam – odezwała się Madeleine.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie, żebyśmy grały w tenisa. Cały czas spędzałyśmy na plaży.

– Nie z wami, lecz moim bratem – odpowiedziała Madeleine. – Jack był zawsze taki cierpliwy. Byłam od niego młodsza o cztery lata, ale on stał i odbijał do mnie piłkę.

Popatrzyła na linię główną i mogłaby przysiąc, że widzi przy niej brata – metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z długimi czarnymi włosami, które wiecznie zapominał przyciąć, teraz siwiejącymi. Jak dziś wygląda? Minał przecież rok. Czy wciąż nosi okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach? Czy włosy mu jeszcze bardziej posiwiały?

Czy tak jak jej, smutek dodał mu zmarszczek na twarzy?

Przeszły przez piaszczysty parking do promenady. Stevie zrzuciła sandaalki, a Madeleine żakiet. Stały na piasku, który tak parzył w stopy, że musiały pobiec do wody, by ochłodzić podeszwy.

– Patrzę na te dzieci i przypominam sobie siebie i Emmę – powiedziała Stevie, wskazując na dwa maluchy brodzące w wodzie. – Poznałyśmy się właśnie w tym wieku.

– Znacznie wcześniej niż ze mną.

– Tak, ale dopiero gdy do nas dołączyłaś, nasza przyjaźń uległa scementowaniu.

– Pamiętasz, jak poszliśmy na małą plażę i Emma narysowała patykami krąg na piasku?

– I przysięgłyśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy.

– Mocą pełni księżyca...

Popatrzyły na siebie i wiedziały, co powinny zrobić. Bez słowa ruszyły na małą plażę. Czekąca ich długa droga w upale. Sukienka przykleiła się Madeleine do ciała, lecz nie przejmowała się tym. Znowu czuła się jak dziewczyna. Stevie podała jej rękę, pomagając wspiąć się na stromą ścieżkę ukrytą wśród drzew. Madeleine pamiętała każdy centymetr drogi, stare dęby i czarne drzewa gumowe, które bardzo się rozrosły od czasu, gdy była tu po raz ostatni. Ich gałęzie splatały się ze sobą. Promienie słońca rzucały cętkowane cienie na piaszczystą ścieżkę. Nagle pojawiła się plaża z białym piaskiem. Podbiegły do ogromnego kamienia, za którym Emma

wyrysowała koło.

– Jest tu teraz z nami – szepnęła Stevie. – Czujesz?

– Czuję – potwierdziła Madeleine.

Wyrzucone przez morze kawałki drewna połyskiwały w słońcu niczym białe kości. Stevie pochyliła się, wzięła długi patyk i podała go Madeleine, która zaczęła rysować krąg na piasku.

– Mocą dzisiejszej pełni księżyca... – zaintonowała Stevie.

– Dziewczyna na księżycu – przypomniała sobie nagle Madeleine i poczuła, że kręci jej się w głowie.

Upuściła patyk i zamknęła oczy. Pragnęła, by wróciła magia. Czowała pulsowanie krwi i włosy łaskoczące w kark. Lecz to był tylko upał i wiatr. Dawna magia zniknęła. Odeszła również Emma.

– Nie mogę – wyszeptała.

Stevie mocniej ścisnęła ją za rękę.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam cię tu przyprawiać.

– Nie potrafię przestać myśleć o Emmie... O tym, jak ona kochała tę plażę. Powinna tu teraz być.

– Jest tutaj – odparła Stevie. – W naszych sercach.

Madeleine pokręciła głową. Łzy popłynęły jej po policzkach. Nie mogła wyznać Stevie, co naprawdę czuje, że nie jest to miłość, lecz jakaś spaczona, pokrętna nienawiść do Emmy za to, co chciała zrobić Jackowi i Nell.

– Jej tu nie ma – odrzekła, starając się zapanować nad

głosem. Chciała stąd uciec i się wykrzyzczyć. Bała się, że nie zdoła nad sobą zapanować i wyrzuci z siebie wszystko, każde słowo, jakie Emma powiedziała, a także opowie, jaki wyraz miała twarz Jacka, gdy mu to wyjawiała.

– Maddie – zaczęła Stevie, patrząc na nią zatroskanymi oczyma. Madeleine mocno zacisnęła powieki. Emmy tu nie ma, pomyślała. A jednak była. Znowu dał o sobie znać ten fantomowy ból. To Stevie go uaktywniła. Nagle zaczęło ją boleć prawe ramię. Pragnęła otoczyć nim Emmę, mocno przytulić, sprowadzić do domu, do rodziny, do życia, gdzie było jej miejsce. – Wracajmy – powiedziała cicho Stevie.

Madeleine kiwnęła głową. Gdy odchodziły, obejrzała się: krąg był tam, gdzie go narysowała. Fale lizały piasek, zbliżał się przyływ. Wkrótce po kole nie będzie śladu, tak samo jak po tym, które Emma narysowała przed laty.

Czy nadal wierzyła w magię? Pomyślała o szalonej tęsknocie, przemożnej potrzebie wiary w coś, będącej udziałem wszystkich młodych dziewczyn. One, cała trójka, pragnęły otoczyć się symbolami słońca, księżyca, piasku i morza, by zyskać pewność, że tak będzie zawsze. I miała im w tym pomóc magia plaży. Co za głupota.

Kiedy wąską ścieżką dotarły do głównej plaży, Madeleine przepędziła łązy i wszelkie ślady magicznego kręgu. Rozpaczliwie zatęskniła za szampanem. Im szybciej dotrą do domu Stevie, tym lepiej. Jednakże brodząc bosymi stopami po wodzie i rozglądając się

wokół, zapomniała o swoim zamiarze.

– Gdy widzę dzieci, przychodzi mi na myśl... – zaczęła, patrząc na mniej więcej czteroletnią dziewczynkę uklepującą zamek z piasku. Pomagała jej w tym mama, dekorując budowlę muszelkami. Przed oczyma stanęła jej Nell i musiała szybko odwrócić wzrok, żeby znów się nie rozplakać.

– Co takiego, Maddie?

Nie mogła mówić, udała więc, że nie słyszy pytania. Szły brzegiem morza, a fale obmywały im stopy. Woda zdawała się zmywać wszystkie uczucia. Madeleine poczuła, że ogarnia ją spokój. Zbliżał się przypyływ – omal nie wpadła na chłopca uciekającego przed nadchodzącą falą. Chwyciła Stevie za rękę i pociągnęła w dół. W odpowiedzi Stevie ochlapała ją wodą, wówczas ona machnęła nogą, wyrzucając w górę połyskliwą fontannę białych kropel. Były słone i chłodne. Bawiły się w najlepsze, chichocząc jak nastolatki. Weszły głębiej, Stevie w szortach i koszulce na ramiączkach, a Madeleine z uniesionym brzegiem długiej sukienki.

– Chodźmy popływać – powiedziała nagle Stevie, patrząc na nią błyszczącymi oczyma.

– Przecież nie mamy kostiumów.

– No i co z tego?

– Coś takiego zrobiłaby twoja szalona ciotka albo kobieta, która pół świata przepłynęła na frachtowcu. Poszłaby pływać w ubraniu w Portofino, w Positano czy sama już nie wiem gdzie. Ale ja nie mogę, ludzie patrzą.

– Przecież to plaża.

– Ale jesteśmy ubrane.

– Chodź, wskoczmy jak Zelda do fontanny – wykrzyknęła Stevie, skacząc do wody.

Wyglądała tak, jak Madeleine ją zapamiętała – szalona, twórcza, emanująca seksem i radością życia. Popłynęła do molo i z powrotem. Mokra włosy lśniły w słońcu.

– Przywiozłaś kostium kąpielowy? Chcesz się przebrać? – spytała Stevie, przebierając nogami w wodzie.

– Nawet nie mam kostiumu. – Szampan i radość z patrzenia na Stevie sprawiły, że zapomniała o nadwadze. Nagle jednak zauważyła muskularne nogi i ręce przyjaciółki, szczupłą twarz i wydatne kości policzkowe. Cofnęła się instynktownie. – Ale ty popływaj sobie – dodała.

– Bez ciebie? – Stevie wyskoczyła z wody i potrząsnęła głową jak labrador. Podeszła do Madeleine i wzięła ją za rękę. – Ale obiecuję, że pod koniec lata ściągnę cię tu ponownie i pójdziemy popływać.

– Musiałabyś być czarownicą – zaśmiała się Madeleine. – Bo inaczej nie ma mowy. Bez różdżki lub czarnej magii się nie obejdzie.

Zadrzała, czując się źle na ciele i duszy. Każdy zakątek plaży przypominał jej o Emmie. Nagle ten spacer i przyjazd tutaj wydał jej się wielkim błędem.

Stevie, ociekając wodą, zaczęła iść wzdłuż brzegu, mijając ludzi wchodzących i wychodzących z morza, kobiety siedzące na leżakach, dzieci budujące zamki z

piasku. Madeleine chwyciła ją za rękę.

– Może wrócimy do domu. Tam jest tak ładnie.

– Oczywiście – odparła Stevie, zawracając.

Włożyły sandały i przeszły po drewnianym mostku na kamienne schody wśród gęsto rosnących drzew i skręciły w lewo na ścieżkę, o której istnieniu Madeleine zapomniała – ukryty skrót do domu Stevie. Spojrzała w górę na gałęzie tworzące zielony kobierzec na tle jasnego nieba i poczuła ucisk w gardle.

Stevie obmyła się pod prysznicem i złapała kilka owadów w krzewach hortensji.

– Dla wrony – wyjaśniła z uśmiechem, widząc pytające spojrzenie Madeleine.

– Aha.

Podczas gdy Stevie poszła na górę przebrać się i nakarmić ptaka, Madeleine opłukała stopy z piasku za pomocą leżącego na podwórzu węża. Bolała ją głowa i żołądek. To pobyt na plaży tak na nią podziałał. Skorzystała z okazji, że jest sama, otworzyła lodówkę i wyjęła swoją małą przyjaciółkę – butelkę numer dwa. Stevie weszła do kuchni w chwili, gdy podważała korek.

– Chyba nie masz nic przeciwko – powiedziała. – Mam ochotę uczcić nasze spotkanie. Niesamowite, że znowu jesteśmy razem.

– Rzeczywiście – przyznała Stevie.

Twarz jej jaśniała, jakby nie mogła się doczekać, by wyjawic długo skrywaną tajemnicę. Madeleine zauważyła jej czujność, gdy szły na plażę.

– Piłyśmy za wakacyjne przyjaciółki, za spotkanie... A teraz za co wypijemy?

– Może za nową wakacyjną przyjaciółkę – zaproponowała Stevie z powagą, patrząc Madeleine w oczy. – Chciałam ci o tym powiedzieć, gdy byłyśmy na małej plaży i narysowałam koło.

– Za nową przyjaciółkę?

– Za Nell.

Madeleine zamruwała powiekami, nie wierząc własnym uszom. Stevie wpatrywała się w nią bez słowa.

– O czym ty mówisz? – spytała niepewnie Madeleine.

– Poznałam ją, Maddie. Jest tutaj, na cyplu Hubbarda, razem z twoim bratem. Wynajmują domek niedaleko kortu.

Rozdział 12

Nie powinna była wyskakiwać z tą rewelacją. Dostrzegła ból w oczach Madeleine, gdy tylko skończyła mówić. Przyjaciółka odstawiła kieliszek, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Stevie objęła ją ramieniem. Po kilku minutach odsunęły się od siebie.

– Przepraszam, jeżeli cię zszokowałam – powiedziała Stevie.

– Nie jestem pewna, czy to ty mnie zszokowałaś swoją nowiną czy mój brat i bratanica swoim przyjazdem na cypel Hubbarda. Co oni tu robią?

– Jack przeniósł się do filii w Bostonie...

Madeleine pokręciła głową.

– Przykro mi, że dowiaduję się tego od ciebie, a nie od niego. Jest w Nowej Anglii i nie mógł do mnie zadzwonić?

– On... – Stevie zawahała się. – Wygląda na to, że jest bardzo zajęty.

– Nell? – spytała Madeleine, oddychając urywanie. – Opowiedz mi o niej. Prawie rok jej nie widziałam.

– Jest nadzwyczajna – powiedziała Stevie.

Zaprowadziła Madeleine do salonu na kanapkę, na której wcześniej siedzieli Jack i Nell. Usiadły blisko siebie, dotykając się kolanami, i Stevie opowiedziała jej

wszystko, poczynając od wyprawy Nell w poszukiwaniu niebieskiego domu. Opisała wygląd Nell, krótkie kasztanowe włosy i jasnozielone oczy, zachwyciła się bystrym umysłem i miłym uśmiechem. Madeleine słuchała z uwagą, lecz i z wyraźnym bólem. Tyle się wydarzyło od czasu, gdy ostatni raz widziała bratanicę. Stevie zaczęła mieć wyrzuty sumienia. To niesprawiedliwe, myślała, że opowiadam mojej przyjaciółce o jej bratanicy – to ona powinna mi o niej opowiadać.

– Chodzi do szkoły w Bostonie?

– Tak.

Madeleine zacisnęła powieki.

– Tak lubiła szkołę i nauczycielkę w Atlancie. To straszne, że musiała stamtąd odejść. Emma wybrała tę szkołę, bo chodziły do niej dzieci sąsiadów. Nell od początku lubiła się uczyć.

– Robi wrażenie bardzo inteligentnej.

– Bo jest. Chwyta wszystko w lot. Odziedziczyła po Emmie ciekawość i energię, a po ojcu umiejętność logicznego myślenia. Miała tam najlepszą przyjaciółkę, Tristan. Pewnie bardzo za nią tęskni.

Stevie wiedziała, jak głęboko Nell potrafi odczuwać stratę bliskiej osoby, nie przyznała się jednak do tego.

– Znalazła tu sobie koleżankę – powiedziała. – Przynajmniej nie jest samotna. Jeżdżą razem na rowerze...

Nie wspomniała, że na tandemie, który Madeleine przecież widziała. W tej chwili sprawiała wrażenie

niezwykle kruchej. Ręce jej się trzęsły, gdy splatała dłonie.

– Co jeszcze mówiła? – zapytała. – Czy... – Zagryzła wargę, jakby bała się dokończyć zdanie. – Wspominała o mnie?

– Tak.

– Naprawdę?

– Ona za tobą tęskni, Maddie.

Madeleine gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Weszła na górę, by zobaczyć wronę – opowiadała Stevie. – A gdy do niej zajrzałam, poprosiła mnie, bym cię odnalazła.

– Mnie?

Stevie kiwnęła głową.

– Zobaczyła obraz, który namalowała moja ciotka. Zresztą znała już wszystkie opowieści o nas i o tym, jak byliśmy ze sobą zżyte. Z płaczem poprosiła mnie, żebym do ciebie zadzwoniła, bo bardzo za tobą tęskni.

Madeleine słuchała tego ze łzami w oczach. Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała Nell. Stevie chciała jej pokazać wszystkie miejsca, w których była Nell, gdzie siedziała, na co patrzyła, czego dotykała.

– Mój ojciec mawiał: „Tak blisko, a mimo to tak daleko”. Tak właśnie się teraz czuję – powiedziała Madeleine. – Ludzie, których kocham, są praktycznie na wyciągnięcie ręki, a ja nie mogę ich zobaczyć.

– Możesz – rzekła z mocą Stevie.

Madeleine pokręciła głową.

– Nie znasz Jacka. Gdy coś postanowi, to koniec. Wykreślił mnie ze swojego życia.

– Maddie, jesteś jego siostrą – przekonywała Stevie, przypominając sobie słowa Aidy.

– Wiem. To jeszcze gorzej, bo czuje się tym bardziej w prawie, by mnie potępić. Jest strasznie uparty. Gdy coś sobie wbije do głowy, nic go nie przekona.

– Nie może trzymać Nell z dala od ciebie. Gdybyś ją słyszała! Tak bardzo chce cię zobaczyć. Myślę, że dlatego do mnie przyszła.

– A ja myślę, że chciała poznać starą przyjaciółkę matki – odpowiedziała Madeleine.

– To też. Nie słyszałaś jednak, jak za tobą płakała. Jack musiał ją stąd wynieść.

Madeleine zbladła. Popatrzyła na trzymany w ręku kieliszek, lecz nie podniosła go do ust. Okna były otwarte i chłodny wiatr wpadał do wnętrza, lecz ona miała twarz mokrą od potu.

– Dobrze się czujesz? – spytała Stevie.

Madeleine kiwnęła głową, po czym zaprzeczyła.

– Nie bardzo. To zbyt dużo jak na mnie. Przykro mi to mówić, ale będzie lepiej, jeżeli wrócę do domu.

– Nie możesz wyjechać.

– Muszę. To dla mnie zbyt bolesne. Mój brat i Nell są tak blisko, a ja nie mogę ich zobaczyć.

– Możemy przecież do nich pójść. Pójdę z tobą.

Madeleine pokręciła głową.

– To nie byłoby dobre dla Nell. Nie wiem, co zrobiłby

Jack, a nie chciałabym narażać jej na stres.

– Skąd to przypuszczenie? Przecież oni wiedzą, jak bardzo ich kochasz.

– Myślisz, że nie mówiłam tego Jackowi?

– Ale gdy cię zobaczy...

Stevie wstrzymała oddech, czekając na reakcję przyjaciółki.

Madeleine poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

– Nic nie wiesz, Stevie. Jak mogłaś mnie tu ściągnąć? Dzieliłyśmy się naszymi troskami, mówiłaś o tylu intymnych sprawach, a o tym drobnym szczególe zapomniałaś powiedzieć.

– Nie, ja...

Madeleine pokręciła głową.

– Nie chcę tego słuchać. Zjadłaś kolację z Jackiem i Nell i wydaje ci się, że wiesz, co jest dobre dla nich, dla nas. Ale mylisz się. Nie znasz całej sprawy. Nie powinnaś była tego robić.

– Nell mnie o to prosiła.

Madeleine była tak zdenerwowana, że nie chciała nawet słyszeć imienia Nell. Poszła na górę po torbę. Ręce jej się trzęsły, wiedziała jednak, że nie od szampana. Zdążył już wyparować w czasie spaceru po plaży.

Kiedy wróciła do kuchni, Stevie stała przy drzwiach. Włosy prawie jej wyschły. Były takie ciemne i idealnie gładkie. Popatrzyła z troską na starą przyjaciółkę, po czym wyciągnęła do niej rękę. Madeleine wciąż była zła, lecz odpowiedziała na jej gest. Spojrzały sobie w oczy.

- Mam nadzieję, że wrócisz – powiedziała Stevie.
- Bez Emmy to już nie to samo – odparła Madeleine.
- Nie, lecz i tak może być dobrze.

Madeleine pokręciła głową.

– Jeżeli zobaczysz się z Nell, powiedz jej, że ją kocham.

– Maddie, proszę cię, sama jej to powiedz.

Madeleine nie była w stanie na to odpowiedzieć. Objęła Stevie, mruknęła coś, że ma na siebie uważać i że będą w kontakcie, i wyszła. Kiedy dotarła do drogi, obejrzała się. Stevie i Tilly stały w oknie. W gałęziach drzew śpiewały ptaki. Uniosła rękę na pożegnanie. W gardle czuła ostry ból, jakby utkwiał tam patyk. Przypomniała sobie, jak rozstawały się na długie zimowe miesiące.

Pięć lat minęło, pięć długich zim z nimi!

I znowu słyszę owe

Strumienie...

[Przełożył Zygmunt Kubiak.]

Fragment utworu Wordswortha zatytułowanego „Wiersze napisane w górach, w odległości kilku mil od Opactwa Tintern”, który zaadaptowały dawno temu, jeszcze jako nastolatki, zabrzmiał jej teraz w uszach. Zostawiała za sobą plażę, starą przyjaciółkę, brata i bratanicę. Był piękny, gorący letni dzień, wieczorem wszędzie księżyc w pełni, a ona czuła lodowaty uścisk zimy.

„Bez Emmy to już nie to samo”, powiedziała Madeleine. Stevie była tak wstrząśnięta wyjazdem przyjaciółki, że poszła na spacer. Co się stało na małej plaży, gdy podała Maddie patyk? Dlaczego jej przyjaciółka wyglądała, jakby miała zemdleć? Czuła w sobie tyle energii, że musiała ją jakoś rozładować. Może spotka Jacka. Chciała nim potrząsnąć i powiedzieć, jaką ma wspaniałą siostrę. Czego ona zdaniem Maddie nie rozumiała? Zapragnęła zobaczyć się z Nell i powiedzieć jej, że ciocia bardzo ją kocha.

„Bez Emmy to już nie to samo”...

Budynki stojące na skalnym cyplu wyglądały niczym domki dla lalek, schludne, doskonałe i wypełnione szczęściem. W ogrodach i na parapetach okiennych kwitły petunie i bujnie krzewił się bluszcz. Jej własny dom wyglądał jak oaza spokoju i radości. Po lazurowym niebie szybowały mewy. Dzieci bawiły się w falach, a ich matki siedziały na leżakach i dzieliły się sekretami życia.

Ona i Emma też kiedyś były takimi dziećmi. Nim się narodziły, ich matki, wówczas w ciąży, spędzały wakacje 1959 roku na plaży na cyplu Hubbarda, rozmawiając o tym, że następne lato będzie już inne, i cieszyły się, że ich dzieci będą się razem chować. Stevie urodziła się w październiku, a Emma w grudniu. W lipcu następnego roku spotkały się po raz pierwszy. Dziewięciomiesięczną Stevie w niebiesko-białym kostiumiku i siedmiomiesięczną Emmę w różowym letnim ubranku

troskliwe ręce matek zanurzyły ostrożnie w wykopanym tuż przy brzegu dołku obmywanym przez fale.

Stevie twierdziła, że pamięta to spotkanie: ciche szu, szu fal, chłód morskiej piany, mamine ręce pewnie podtrzymujące jej plecy, długie rzęsy Emmy okalające wielkie zielone oczy, które patrzyły na nową i zarazem pierwszą przyjaciółkę.

– To było jak skojarzone małżeństwo – powiedziała kiedyś Emmie. – Nasze matki to wszystko zaplanowały, tę całą długą zimę po naszym urodzeniu. Pisane nam było, że będziemy się kochać, jeszcze zanim się poznałyśmy. Właściwie to nie miałyśmy wyboru.

– A co by było, gdybyśmy się nie pokochały czy nawet nie polubiły? Co by było, gdybyśmy na siebie spojrzały i zaczęły płakać? Co by było, gdyby jedna z nas nie lubiła wody i zaczęła rzucać piaskiem? Co by było, gdyby tylko jedna pokochała plażę?

– To nie mogło się zdarzyć – odparła Stevie z przekonaniem.

– Dlaczego nie?

– Bo jesteśmy wakacyjnymi przyjaciółkami – odpowiedziała Stevie. – Tak jak nasze matki.

Czy to wówczas pierwszy raz tak się nazwały?

Emma musiała się z tym zgodzić. Zresztą życie ją przekonało. Ona i Stevie każde lato spędzały na cyplu Hubbarda. Biegały bosy po plaży, łowiły kraby na podmokłym gruncie za dużym niebieskim domem, chodziły na małą plażę, jeździły na rowerach do sklepu

Foleya po cukierki, pływały na wyścigi do tratwy i wspinały się na ciepłe od słońca drewniane pale, patrzyły z zapartym tchem na plażę w kształcie półksiężyca, zamkniętą z dwu stron skalnymi cyplami, która była dla nich skrawkiem nieba na ziemi.

Nocą cypel Hubbarda był równie magiczny. Na niebie błyszczała biała smuga Mlecznej Drogi, szumiały liście dębów poruszane morską bryzą, a w sierpniu słychać było pohukiwanie sów ukrytych w gałęziach drzew. Stevie je rysowała. Przesyłając Emmie wiadomości o chłopcach, którzy im się podobali, ozdabiała je rysunkami ptaków. Emma też próbowała rysować, lecz szybko zrezygnowała. Zgniotła kartkę i cisnęła ją na ziemię, twierdząc, że nie interesuje jej sztuka, bo kiedyś będzie sławną modelką. Stevie wierzyła w to. Emma była piękna, umiała kokietować i wszyscy chłopcy ją lubili.

Potem na plaży pojawiła się rodzina Kilvertów. Stevie i Emma poznały Madeleine, stojąc w kolejce do furgonetki z obwoźnym handlem. Emmie zabrakło pieniędzy na czekoladowego batonika i Madeleine przyszła jej z pomocą. Maddie zawsze taka była – przyjacielska, hojna, no i uwielbiała lody. Natychmiast ją polubiły.

W niedzielne wieczory schodziły po kamiennych schodach na plażę, by obejrzeć film. Wyświetlano przeważnie stare filmy, czasami nawet czarno-białe. Były wśród nich lekkie i śmieszne, jak „Kochany chrabąszcz” czy „Pollyanna”, a także mroczne i trudne do zrozumienia – raczej dla dorosłych – jak „Listonosz zawsze dzwoni

dwa razy". Jednakże to, co na ekranie, nie było najważniejsze. Robiły sobie dołek w piasku, rozkładały koc, spryskiwały stopy płynem odstraszającym komary, jadły lody i czekały, aż się ściemni.

Pokazami zainteresowały się na poważnie, gdy nieco podrosły. Przypomniała sobie lato, gdy miały po piętnaście lat i zaczęły się oglądać za chłopcami.

Tego wieczoru wyświetlano jakiś film dla dorosłych, na którym bohaterowie namiętnie się całowali. Ona siedziała z Creightonem Reidem, Maddie z jego bratem Hunterem, a Emma tuliła się do Jamesa Martella. Ich koce leżały jeden obok drugiego. Stevie i Maddie co chwila spoglądały na to, co dzieje się na kocu Emmy, mniej uwagi poświęcając swym partnerom. Stevie ze strachem myślała, że Creighton może pocałować ją tak, jak John Garfield Lane Turner, i nagle zauważyła, że James tak właśnie całuje Emmę. Popatrzyła na Madeleine i rzuciła kamykiem w Emmę. Ruchem głowy wskazała na promenadę i pięć minut później wszystkie trzy tam były.

– Co ty robisz? – zapytała Emmę.

– A ty nie trzymasz się za ręce z Creightonem? – odparowała Emma.

– Za ręce? To nic w porównaniu z tym, co wy robiliście – powiedziała Maddie. – Jak mój brat i jego dziewczyna.

Jack z dziewczyną leżeli na kocu tak daleko od ekranu, że trudno było uwierzyć, że oglądają film.

Emma uśmiechnęła się chytrze, jakby przyłapano ją na czymś, co robiła przez całe lato.

– Czy on cię do tego zmusił? Jeśli tak, pójdę tam i sypnę mu piaskiem w oczy, żebyś mogła uciec – zaproponowała Stevie.

– Ani się waż.

– Chyba żartujesz. Chcesz, żeby to robił?

– Przegapimy film – wtrąciła Maddie. – Ja wracam na koc – oznajmiła, po czym pobiegła na plażę.

– Podoba ci się to? – spytała Stevie.

Poczuła się tak, jakby straciła przyjaciółki. Chciała je na zawsze zatrzymać przy sobie, a jeszcze bardziej pragnęła, żeby nigdy nic się nie zmieniło.

– Nie bądź dzieckiem – odpowiedziała Emma.

Stevie otworzyła usta, jakby właśnie została spoliczkowana. Emma ujęła ją za ramiona i wpiła się w nią wzrokiem. Stevie dostrzegła w jej oczach zniecierpliwienie osoby bardziej doświadczonej. Od strony ekranu dochodziły natarczywe szepty.

– Emma! – zawołał James.

Stevie chciała chwycić ją za rękę, pociągnąć do morza i zmyć tę chwilę.

– Przepraszam – powiedziała Emma, nie spuszczać z niej wzroku. – Nie jesteś dzieckiem.

– Wiem.

– Ale przecież możemy chcieć, żeby nas całowali – dodała Emma. – Bo i tak nic ich nie powstrzyma. Rób to, co oni chcą, tak jest zabawniej.

– A my się nie liczymy?

– Przecież też ich chcemy, nie? – odparła Emma.

– Nie jestem pewna.

Usta jej zadrżały. Pragnęła zatrzymać dzieciństwo, które tak kochała, a które – czuła to – zaczęło jej się wymykać.

– Ależ jesteś – odpowiedziała Emma – tylko jeszcze tego nie wiesz.

– A ty skąd to wiesz?

– Bo taka jest kolej rzeczy.

Miała dopiero piętnaście lat. Stevie nie rozumiała, co ona chce przez to powiedzieć ani skąd się wzięła jej pewność i dlaczego oczy tak jej błyszczą. Czasami odnosiła wrażenie, że Emma niczego nie żałuje. Rok później pojawił się nowy chłopak, a po nim Jack i życie potoczyło się dalej.

„Taka jest kolej rzeczy”, zabrzmiały jej w uszach słowa Emmy. Otrząsnęła się; fale nadal obmywały jej stopy, ale słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Koniec dnia zawsze napawał ją smutkiem. Zapragnęła, by Madeleine była tu teraz razem z nią i żeby wspólnie obejrzały wschód księżyca. Nawet jeżeli Emma nie mogła już tego oglądać, one nadal tu były. I Jack, i Nell. Miała nadzieję, że kiedyś będą go mogli obejrzeć wspólnie, a Emma będzie im towarzyszyć duchem.

Rozdział 13

Na cyplu Hubbarda zawsze świętowano pełnię księżyca. Ludzie gromadzili się na plaży lub na skałach, rozmawiali półgłosem i czekali. Ci, których domy stały nad morzem, urządzali przyjęcia. Zakładano się również, o której godzinie księżyc zacznie wyłaniać się z morza.

Jeżeli wieczór był pochmurny i mgła zasłaniała widok, księżyc pojawiał się nieoczekiwanie na niebie, o ile chmury się rozstąpiły. Z kolei w takie jak ta jasne noce na powierzchni morza królowała roziskrzona miedziana kula, która zmieniała barwę na białą i powoli malała, unosząc się coraz wyżej i rzucając połyskliwe smugi na wody cieśniny. Ludzie obserwowali to zjawisko w zachwycie. Na pełnię księżyca na cyplu Hubbarda warto było czekać.

Nell planowała obejrzeć ją razem z ojcem, lecz matka Peggy zaprosiła ich do siebie na piknik. Jack przyjął zaproszenie. O szóstej wyruszyli do domu Peggy. Był to stary farmerski dom, znacznie większy od domków letniskowych, stojący po drugiej stronie moczarów.

– Kto tam będzie? – spytał Jack, gdy szli wąską ścieżką wśród wysokich trzcin.

– Peggy, jej brat Billy, siostra Annie i przyrodnia siostra Eliza. One są nastolatkami. Będzie też jej mama, która jest bardzo miła, i jej ojczym, który buduje łodzie.

Też jest miły. I Tara, koleżanka mamy Peggy, i jej narzeczony Joe. On pracuje w FBI.

– No, no – mruknął Jack.

Nell uśmiechnęła się szczęśliwa, że zna tylu ludzi. Doszli do drewnianych desek leżących na podmokłym terenie i Nell wzięła ojca za rękę. Myślał, że jej pomaga, lecz właściwie to ona mu pomagała. Często przechodziły tędy z Peggy.

– Czy jeszcze ktoś tam będzie? – spytał Jack, gdy zbliżali się do domu.

– Na przykład kto?

– Nie wiem. Może twoja przyjaciółka Stevie.

– Przecież nie pozwoliłeś mi się z nią widywać – stwierdziła.

Popatrzyła na ojca, który lustrował wzrokiem tłum McCabe'ów i O'Toole'ów siedzących przy stole w ogrodzie.

– Nie chciałem, byś jej przeszkadzała – odpowiedział Jack. – Zresztą na pewno spędza ten wieczór z przyjaciółmi. Pomyślałem tylko, że może też tu będzie.

– Ona jest samotnicą – rzekła chłodno Nell. – Nie ma przyjaciół.

– Już dobrze, uspokój się, Nell.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Kiedy stanęli przy drewnianym płocie, Peggy od razu ich zauważyła i pomachała im na powitanie. Nell wciąż patrzyła surowo na ojca. Tak bardzo go kochała, a on wszystko psuł. Nie rozumiał, że kolacja u Stevie była czymś wyjątkowym?

Przecież ona nikogo nie zapraszała. Dla nich zrobiła wyjątek, bo łączył ich magiczny związek poprzez mamę i ciocię Madeleine.

– Cześć, Nell, dobry wieczór panu – powiedziała Peggy, podbiegając do nich.

– Witaj, Peggy – odpowiedział Jack, otwierając furtkę.

Nell stała jak wmurowana. Widziała, że mama Peggy i jej mąż podchodzą, by się przywitać. Jack uścisnął im dłonie, lecz oglądał się niespokojnie na Nell. Poczowała, że ogarnia ją gniew i frustracja, których czasami doświadczała na myśl o tym, że mama umarła, ciocia odeszła, a tata nic nie rozumie. Wyobraziła sobie wielką czarną chmurę nad głową. Nie chciała jednak psuć sobie wieczoru, więc uśmiechnęła się z trudem do Peggy i jej rodziców, ignorując ojca. Peggy wzięła ją za rękę i pociągnęła do stołu. Nell odeszła ochota na przyjęcie, mimo to dała się jednak prowadzić przyjaciółce.

Jack wiedział, że znowu pokpił sprawę. Myślał, że Nell lubi, gdy się ją pyta o Stevie. Tymczasem zmarszczyła czoło i popatrzyła na niego, jakby powiedział najgorszą rzecz na świecie. Szczerze mówiąc, jego pytanie nie miało nic wspólnego z uczuciami Nell. Po prostu był ciekaw, czy Stevie będzie na przyjęciu.

Rodzina Peggy była wspaniała i gościnna. Bay, jej matka, wprowadziła Jacka w tłum gości. Mniej więcej w tym samym co on wieku, miała rude włosy i piegi jak jej córka. Niedawno wyszła za Dana Connolly'ego i oboje

promienieli. Jack poznał jej najlepszą przyjaciółkę, Tarę O'Toole, i jej narzeczonego Joego Holmesa. Przyszła się przywitać również młodzież – Annie, Eliza i Billy. Billy był jednym z chłopców, którzy podglądali Stevie. Przestraszył się na jego widok, lecz Jack udał, że go nie rozpoznaje.

– Miło mi państwa poznać – rzekł Jack.

– A nam pana – odpowiedziała Tara. – Bardzo lubimy pańską córkę.

– Rzeczywiście jest wyjątkowa.

– Nell mówiła nam, że przyjeżdżał pan tu jako dziecko.

– Tak. Rodzice wynajmowali tutaj domek letniskowy. Ale wychowałem się w Hartford i nie spędzałem wiele czasu na plaży.

– To dlatego pana nie pamiętamy – powiedziała Tara. – Bay i ja jesteśmy jej niewolnicami.

– Moja żona też była. Poznaliśmy się na promenadzie.

– Nell powiedziała nam o pańskiej żonie. Proszę przyjąć wyrazy współczucia – wtrąciła Bay, a inni kiwnęli głowami.

– Musi być panu ciężko – dodał Dan.

– Dziękuję.

Jack poszukał wzrokiem Nell i zauważył, że rozmawia z Peggy.

– Czego się pan napije? – spytała Bay, prowadząc go do baru pod drzewami.

Wziął piwo, ona również. Rozejrzał się po ogrodzie, kwitnących w nim różach i liliach.

– Bardzo tu ładnie.

– Dziękuję. Wspaniałe miejsce do wychowywania dzieci. Tara mieszka tam – wskazała na biały dom po drugiej stronie moczarów. – Nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Bardzo panu współczuję z powodu żony. Ja też kilka lat temu straciłam męża.

– Przykro mi – odpowiedział.

– A jak radzi sobie Nell?

Kręciła właśnie młynki z Peggy. Jak zwykle wśród ludzi była zupełnie inna niż w domu.

– W tej chwili świetnie się bawi.

– Tak, przy ludziach.

– Kiedy jesteśmy tylko we dwoje, to już całkiem inna historia – przyznał z westchnieniem. – Nie może spać, miewa koszmary. Czytam jej, gładzę ją po plecach, lecz...

– Lecz nie może pan zwrócić jej matki.

– Zna pani ten ból.

Kiwnęła głową.

– Kiedy Sean zginął, wszystko się rozsypało, łącznie ze mną. Zaczęliśmy trochę wariować.

– Ze smutku?

– I wszystkiego, co się z tym łączy. Pewnie zna pan te pięć etapów.

– A tak, znam.

Szef namówił go, by zaczął chodzić na spotkania grupy wsparcia przeznaczone dla wdowców, wdów, dorosłych, którzy niedawno stracili rodziców, i rodziców, którzy przedwcześnie stracili dzieci. Poznał wtedy pięć etapów:

zaprzeczenie, gniew, negocjacje, depresja, akceptacja.

– Może to zabrzmieć banalnie, lecz czas leczy rany.

– Wszystko mija – odpowiedział Jack. – To moje ulubione powiedzenie.

Stuknęli się butelkami i uśmiechnęli do siebie.

– Na pewno wie pan o tym, jak ważne jest czyjeś wsparcie – odezwała się Bay po chwili. Gdy Jack nie odpowiedział, uśmiechnęła się. – No tak, jest pan facetem.

– Tak?

– Jakkolwiek spojrzeć, kobiety są stworzone do tego, by wspierać drugiego człowieka. Nasz instynkt samozachowawczy mówi nam, żeby sięgnąć po słuchawkę i poprosić kogoś o pomoc. Może pan mi nie wierzyć, ale ja zadzwoniłam do Tary. Mój mąż Danny jest wdowcem i z tego co wiem, nigdy z nikim o tym nie rozmawiał. Potrafił zaofiarować mi ramię, lecz jeżeli chodzi o jego własne demony, to nie ma o czym mówić. Gdy go poznałam, był jak Blasany Drwał, zimny i pokryty rdzą.

W jej oczach błysnęły łzy, co bardzo wzruszyło Jacka, bo dowodziło, że bardzo kocha męża.

– Nie wołał o oliwiarę? – spytał Jack.

Zaśmiała się i otarła łzy.

– Ależ skąd. To by oznaczało prośbę o pomoc. A ja byłam kompletnie rozbita po śmierci Seana i nie bardzo wiedziałam, jak do niego podejść. W końcu jednak doszliśmy do porozumienia i mamy to już za sobą.

– Cieszę się.

– Ma pan przyjaciół, rodzeństwo?

– Siostrę.

– Tak? Też przyjeżdżała tu z panem? i?

– Tak. Madeleine Kilvert.

Serce mu się ścisnęło na dźwięk jej imienia. Miał nadzieję, że Bay ją pamięta.

– Nie przypominam sobie nikogo takiego – odpowiedziała.

– Maddie była bardzo zżyta z moją żoną Emmą. I miały jeszcze jedną przyjaciółkę, Stevie Moore.

Jeżeli na dźwięk imienia siostry poczuł ucisk w sercu, to słysząc imię Stevie miał wrażenie, jakby ktoś wziął je w kleszcze. Zszokowała go ta reakcja.

– Ach, Stevie. Jest niesamowita – odparła Bay. – Choć ja i Tara jesteśmy od niej o parę lat starsze, mam wrażenie, jakbyśmy znały ją od zawsze. A nasze dzieci wprost przepadają za jej książkami.

– Kochają książki, lecz dają się we znaki autorce – powiedziała Tara, podchodząc do nich.

– Nazywając ją czarownicą?

– Między innymi. Ale cóż, to mała społeczność żyjąca w świecie fantazji – wyjaśniła Tara. – Tutejsze mamy, w tym Bay, traktują nieco podejrzliwie samotną kobietę. Myślę, że cały ten problem z czarownicą wywołał ktoś, kto nie rozumie, dlaczego taka piękna kobieta jak Stevie nie potrafi wytrwać w małżeństwie.

– Nie potrafi? – powtórzyła Bay, unosząc brwi. – To brzmi jak osąd, zwłaszcza w twoich ustach.

Tara zachichotała.

– Jeszcze jednej bezwstydnej latawicy, tak? No cóż, moje dni są policzone. Joe zamierza zrobić ze mnie na Boże Narodzenie przyzwoitą kobietę. Tak czy owak chodzi mi o to, że wszystkie plażowe mężatki patrzą na Stevie spode łba, bo się rozwiodła i pozostała niezależna. A dzieci to podchwytyją. Prawda jest taka, że ona nie znalazła jeszcze kogoś odpowiedniego dla siebie, kto uczyniłby ją szczęśliwą.

– Zasługuje na to – powiedział Jack.

– Zna ją pan?

– Trochę. Wspaniała z niej kobieta. Ale zdaje się, że lubi być sama.

Obie panie uśmiechnęły się pod nosem. Czy mu się zdawało, czy też zaczały się na niego jak rybołów na rybę?

– Oj, chyba nie – stwierdziła Tara.

– Cóż... – mruknął, wspominając swoją ostatnią wizytę i starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Nie miał ochoty wdawać się w dyskusję z Bay i Tarą, czuł jednak, że swatki przystąpiły już do pracy. – Myślę, że lepiej zostawić ją w spokoju – powiedział, żeby sobie czegoś nie pomyślały.

– Typowy facet – stwierdziła Bay pobłażliwym tonem.

– Prawda? – poparła ją Tara.

W tym momencie Dan zapytał go, jakie lubi hamburgery. Jack skorzystał z okazji i dołączył do mężczyzn przy grillu. Joe i Dan rozmawiali właśnie o

drużynie Red Soxów. Włączył się więc do dyskusji. Baseball – balsam na jego skołataną duszę.

Wszyscy zaczęli się spieszyć, by zdążyć z kolacją i dotrzeć na plażę przed wschodem księżyca. Jack pomyślał, że będzie go oglądał razem z tymi dwiema wspaniałymi parami i ich dziećmi. No i oczywiście z Nell, lecz mimo to tęsknił jeszcze za kimś. Tęsknił za żoną. Powtarzał to sobie i nawet w to uwierzył. Nie dopuszczał do siebie żadnych innych uczuć. Czasami mówił sobie, że był dla niej nie dość dobry. W ciągu ostatnich dwóch lat stała się taka bezinteresowna. Praca dla kościoła odmieniła ją. Ksiądz zdołał poruszyć w niej jakąś ukrytą cząstkę jej duszy i przemienił w kobietę, która pragnęła tylko dawać, nigdy brać. Która ich sąsiadka pracowałaby w zakładzie penitencjarnym w Dixon? Czas, jaki na to poświęcała, dowodził, że była wspaniałym człowiekiem. Niosła pomoc tym, których los doświadczył najciężej.

Nie myśl o tym teraz, skarcił się w duchu. Patrz na księżyc, mów sobie, że tęsknisz za żoną, za matką twojej córki. Przypomnij sobie, jak się w niej zakochałeś na tej plaży. Po to przecież przyjechałeś na cypel Hubbarda. Żeby myśleć o tej Emmie i o tym, jak bardzo się kochaliście.

Te pięć etapów żałoby to nie było tylko cze gadanie. Traktował je jako etapy w projekcie, który trzeba zrealizować według planu, na czas i zgodnie z budżetem. Lecz nie dało się tego zrobić, gdyż uczucia nie słuchają żadnego planu. Jednakże jakimś cudem udało mu się je

pokonać i chociaż nie wierzył, że to możliwe, znalazł się po drugiej stronie. Wiedział to, bo co chwila przyłapywał się na tym, że spogląda na skalisty cypel. Z tego miejsca nie było wprawdzie widać zabudowań, lecz intuicja podpowiadała mu, w którym miejscu stoi dom Stevie.

Peggy zawołała, żeby wszyscy się pospieszyli, bo przegapią wschód księżyca. Pełnia zawsze miała dla niego aurę tajemniczości. Był inżynierem przyzwyczajonym do obcowania z absolutami. Rysował bardzo dokładne plany, na których podstawie budowano potem mosty, domy, platformy wiertnicze. Lubił wymierne rezultaty i oczekiwał ich także w życiu. Zasady fizyki były niezmiennie i to mu się w nich podobało. Gdy Dan i Bay nakładali na talerze hamburgery, sałatkę ziemniaczaną i z białej kapusty, pomyślał, że kolacje też mieszczą się w tych kategoriach. Gotujesz, zapraszasz gości, karmisz ich, tak to działa.

Księżyc i pięć etapów żałoby to zupełnie inna sprawa. Ksiądz Kearsage nazwałby je świetlistymi tajemnicami. Tak określił to, co stało się z Emmą. Chociaż umysł Jacka oślepiła wtedy wściekłość, słowa te utkwily mu w pamięci. Kiedy zaś przekonał się, że Kearsage nie wymyślił ich na poczekaniu, lecz znalazł w listach pewnego mnicha z Kentucky, nawet je polubił. On do „świetlistych tajemnic” zaliczał przyływy morza, zawód miłosny, ściany więzienia, duchowe wyzwolenie, kłamstwa i prawdy, miłość, wyjazd do Szkocji. Stevie też się do nich zaliczała, a także jej obrazki i to, jak

wyglądała w za dużym szlafroku, wrona, którą karmiła owadami z ogrodu, sympatia okazywana Nell i jemu, to, co do niej czuł, wczesne poranki przed dwoma tygodniami, gdy patrzył, jak pływa. Gdy przypomniał sobie, jak ciemne krople wody spływały po jej nagim ciele, pomyślał, że nie chce jechać do Szkocji. Czy mógł się z tego jeszcze wykręcić? Świetliste tajemnice... Poetyczne określenie na prawdziwą walkę. Podpisał kontrakt, poczynił plany. Ale przecież mógł je zmienić.

Jedząc kolację z nowymi znajomymi, słuchał i rozmawiał, śmiał się z opowiadanych żartów i w końcu poszedł na plażę. Stanęli całą grupą tuż przy brzegu. Patrzyli na spokojne wody cieśniny i czekali przepojeni wiarą. Stąd to się bierze, pomyślał. To wiara pozwala przeżyć dzień, lato, wschód księżyca, wiara pozwoliła mu podjąć właściwą decyzję o wyjeździe do Szkocji.

Spojrzał niepewnie na Nell, która siedziała obok niego na piasku. Objął ją ramieniem. Była pierwszą z trzech świetlistych tajemnic, poprzedzając na liście księżyc i Stevie Moore.

Rozdział 14

Zamek wyglądał nieprawdopodobnie nawet w zwykłe dni, w kwietniowy słoneczny poranek czy w szare listopadowe popołudnie. Wieczorami, gdy na niebie coś się działo, na przykład gdy miała być pełnia i rosło oczekiwanie, prezentował się wprost bajkowo.

Stevie wjechała na wzgórze. W powietrzu unosił się zapach kapryfolium i sosen. Zaparkowała samochód i ruszyła do domku ciotki. Odwróciła się jednak, słysząc dochodzące z zamku wołanie. Aida machała do niej z wieży. Stevie wyjęła więc z samochodu latarkę i jęła wdrapywać się na górę.

Zamek podupadł przez lata, lecz wciąż prezentował się okazale z dębowymi belkami, ciężkimi oknami i kamiennymi podłogami. Przychodziła tu jako dziecko, gdy Aida wyszła za mąż za Vana. Czuła się szczęśliwa, mogąc się bawić w prawdziwym zamku. Dziś było podobnie. Żałowała tylko, że nie ma z nią Nell.

Kręcone schody pięły się stromo w górę, były ciemne i pachniały pleśnią. Światło latarki budziło śpiące nietoperze. Stevie wyszła na zwieńczony balustradą szczyt wieży i z ulgą odetchnęła świeżym powietrzem. Widok na ujście rzeki i cieśninę zapierał dech w piersiach.

– Gdzie Henry? – zwróciła się z pytaniem do Aidy.

– Pojechał do Newport z nadzieją na spotkanie z Doreen.

– Uprzedził ją telefonicznie?

– Nie. Zamierza zapukać do jej drzwi i zobaczyć, co się stanie.

– Odważny człowiek.

– Tyle widział i przeżył na morzu, lecz chyba nigdy tak się nie bał, jak teraz na myśl o tym, że może stracić Doreen. Najgorsze jest to, że sam do tego dopuścił i doskonale o tym wie.

Stevie kiwnęła głową. Dobrze to rozumiała. Sama była sprawczynią wielu kłopotów, które ściągnęły nieszczęście na nią i na innych. Przed przyjazdem tutaj biła się z myślami, co zrobić. Z jednej strony chciała zostać na cyplu, mając nadzieję na spotkanie z Nell i Jackiem, lecz równocześnie bała się, że cokolwiek zrobi czy powie, tylko pogorszy sprawę.

Popatrzyły w stronę, gdzie miał wzejść księżyc. Słońce już dawno schowało się za widnokretem i las rozbrzmiewał odgłosami nocy: świerszczy, polujących w zaroślach małych drapieżników, lelków kozodojów nawołujących się znad mokradeł. Aida zmieniła roboczy kombinezon na czarną jedwabną chińską piżamę, lecz nadal pachniała terpentyną i farbą olejną. Stevie uwielbiała ten zapach.

– A ty? – spytała Aida po chwili. – Dlaczego jesteś tu, a nie z przyjaciółmi?

– Z przyjaciółmi?

Aida uśmiechnęła się, dając Stevie do zrozumienia, że przejrzała jej udaną tępotę.

– Z tym mężczyzną i jego córką. Jak oni się nazywają?

– Jack i Nell.

– A, tak. A jego siostra?

– Madeleine. Widziałam się z nią. Po tym jak ostatni raz tu byłam, zaprosiłam ją do siebie.

– Bardzo słusznie.

– Też tak sądziłam, lecz teraz mam wątpliwości. Przyjechała i wszystko świetnie się układało, dopóki nie powiedziałam, że Jack i Nell są na cyplu. Wówczas zdenerwowała się i odjechała w pośpiechu.

– Była w szoku. Przemyśli to i wróci, zobaczysz.

Madeleine odjechała, nie oglądając się za siebie. Wątpliwe, by tu wróciła.

– W niecałe trzy tygodnie udało mi się zrazić do siebie całą rodzinę – powiedziała Stevie. – Powinnam chyba zostać prawdziwą pustelnicą.

– Wątpię, czy Nell tak myśli – stwierdziła Aida.

– Nell?

Aida kiwnęła głową.

– Przecież to ona uruchomiła ten ciąg zdarzeń.

– Przychodząc do mnie?

– I dając tobie i ojcu do zrozumienia, że potrzebuje ciotki – dokończyła Aida z uśmiechem. – Bardzo liczę na miłość siostrzenicy do ciotki i vice versa.

– Ja też – przyznała Stevie, ściskając ją za rękę i nie przestając zastanawiać się, co zrobić z Nell i jej rodziną.

Oparły się o kamienny parapet i zapatrzyły na wschód. Powiew wiatru poruszył liśćmi i ochłodził im twarze. Wzgórze opadało łagodnie ku cieśninie, w dole wśród drzew leżało ukryte miasteczko. Aida westchnęła i spojrzała na nią.

– Co się stało?

– Kolejny przedsiębiorca dzwonił do mnie w tym tygodniu – wyjaśniła Aida. – Chce tu zbudować hotel i ośrodek spa, postawić budynek mieszkalny na wzgórzu, a zamek zamienić w centrum konferencyjne.

– Mam nadzieję, że kazałaś mu skoczyć do rzeki.

Aida zawahała się i przygryzła wargę.

– Jeszcze nie.

– Ale zrobisz to?

– Już płacę bardzo wysokie podatki, a urząd skarbowy ma przysłać tu kogoś do ponownego wyliczenia. Słyszałam, że Auguście Renwick wszystkie obciążenia wzrosły w ciągu roku dwukrotnie. Nie stać mnie na utrzymywanie zamku w takim stanie. Poza tym boję się, że jakieś dzieciaki się tutaj zakradną i spadną z tych rozpadających się schodów...

Stevie była zaskoczona. Po raz pierwszy Aida poważnie potraktowała ofertę dewelopera. Gdzieś z głębi lasu dobiegło pohukiwanie sowy. Usłyszały trzepot skrzydeł i zobaczyły, jak ptak przelatuje im nad głowami.

– Jeżeli pozwolisz postawić tu dom, to gdzie podzieją się sowy? – spytała Stevie.

Aida uśmiechnęła się z trudem.

– To mi zabrzmiało jak tytuł książki Stevie Moore. „Gdzie podzieją się sowy?”

– Ja mówię poważnie – odparła Stevie. – Nie wolno ci spisać zamku na straty.

– A to dopiero! – stwierdziła po chwili Aida, bawiąc się słowami. – Bo stracę jeszcze więcej, jeśli tego nie zrobię.

– Musi być jakiś sposób na zebranie pieniędzy. Można na przykład udostępnić zamek dla zwiedzających przez dwa dni w tygodniu.

Aida uśmiechnęła się smutno.

– Co mieliby tu oglądać? Romantyczne, lecz bezużyteczne szaleństwo mojego kochanego męża?

– Od kiedy uważasz, że to co romantyczne, jest bezużyteczne? – spytała Stevie i objęła ją. – Jesteś ostatnią wielką romantyczką, ciociu. Dlatego tak długo trzymasz się tej ziemi. Oboje z Henrym wiemy, że łatwiej by ci było mieszkać na Florydzie, lecz ty nie możesz rozstać się z tym miejscem, bo przypomina ci o wujku Vanie.

– To prawda – Szepnęła Aida, ocierając łzy. – Czuję, że jest tu ze mną. Jeżeli jego duch jest gdziekolwiek, to na pewno tutaj.

Serce Stevie ścisnęło się z bólu. Pomyślała, że chciałyby dożyć wieku ciotki i kochać kogoś tak bardzo, że mogłaby poświęcić wszystko, byle być blisko niego.

– Pewnie nigdy nie czujesz się samotna – powiedziała.

– Nie.

Stevie kiwnęła głową, patrząc w dal.

– Ty też znajdziesz kogoś – poklepała ją po ręku Aida.
Stevie pokręciła głową.

– Miałam już swoją szansę.

– „Uśmiech nocy” – powiedziała Aida.

Stevie spojrzała na nią zaintrygowana.

– To film Ingmara Bergmana, który zainspirował
Stephena Sondheim’a do napisania musicalu „A Little
Night Music”.

– Z tego musicalu pochodzi piosenka „Send in the
Clowns”. To historia moich miłości.

Aida zaśmiała się.

– To opowieść o ludzkich słabostkach i fałszywych
krokach w miłości. Tylko ci, którzy są nadmiernie
ostrożni, nie popełniają błędów, Stevie. Dzięki naszym
pomyłkom wiemy, że żyjemy. Witaj w klubie, moje
dziecko.

– Popełniłam więcej błędów niż większość ludzi.

Aida z powagą pokręciła głową.

– Szukałaś miłości, wierzyłaś w nią i tak bardzo jej
potrzebowałaś, że trzy razy zaryzykowałaś. W musicalu
wielka księżna mówi, że w letnią noc księżyc uśmiecha
się trzy razy. Wyobraź sobie, że ja dziś wieczorem jestem
wielką księżną.

– Do mnie uśmiechnął się już trzy razy.

– Nie, nie o to chodzi. Pomyśl chwilę. Latem inaczej
mierzy się czas i doświadczenie, zwłaszcza w takie noce
jak ta.

W tym momencie z morza wyłoniła się wielka

pomarańczowa tarcza. Zawisła nad horyzontem, jakby wylewała złoto do morza.

– Pierwszy uśmiech – powiedziała Aida, gdy księżyc zajaśniał świetlistym blaskiem, uśmiechając się jak zadowolony kot.

Patrzyły w milczeniu, jak tarcza unosi się wolno, malejąc i zmieniając kolor. Gdy księżyc zawisł na niebie, był już zupełnie biały. Pośród kraterów pojawiła się twarz i Stevie zaśmiała się głośno.

– Co cię tak rozbawiło?

– Przypomniałam sobie, że gdy byłyśmy nastolatkami, Emma, Madeleine i ja nazwałyśmy tę twarz dziewczyną z księżycy. Widzisz, jak się śmieje?

– Drugi uśmiech – powiedziała Aida.

Stevie promieniała radością. Gdy miały po piętnaście lat, były szczęśliwe, pewne siebie, a księżyc traktowały jak swoją własność.

– A kiedy zobaczymy trzeci uśmiech? – spytała. – Skoro jesteś wielką księżną, powinnaś wiedzieć.

– Zobaczysz go, gdy będziesz miała dość odwagi, by zapukać do właściwych drzwi – odpowiedziała Aida.

Stevie już chciała rzucić jakąś żartobliwą uwagę, gdy spostrzegła, że Aida patrzy na nią z powagą w oczach. Poczowała mrowienie w żołądku. Ciotka naprawdę myślała o sprzedaży ziemi, lasów, naturalnego środowiska ptaków. Odezwała się sowa, a zaraz potem gdzieś z bardzo bliska dobiegło pohukiwanie drugiej. Stevie uniosła wzrok i zobaczyła puszczyka wirginijskiego siedzącego na

szczyt wieży. W świetle księżyca wyglądał groźnie, blisko osadzone oczy i dziób świeciły żółtym blaskiem. Dreszcz przebiegł Stevie po plecach, gdy ptak zerwał się i zniknął wśród drzew.

Ponownie popatrzyła na księżyc. Zasnuł powierzchnię wody pajęczyną promieni, które tańczyły i połyskiwały na falach. Wyobraziła sobie, że łączą wszystkich, których kocha. Spojrzała na Aidę. Pewnie myślała o wuju Vanie.

„Gdy zapukasz do właściwych drzwi”, wciąż słyszała słowa ciotki. Serce zabiło jej mocniej. Stała jej przed oczyma Nell z obtartymi kolanami. Potem zobaczyła siebie, jak zostawia zaproszenie dla Jacka i jego córki w drzwiach ich domku. Na koniec ujrzała Madeleine, jak wchodzi po kamiennych schodach z dwiema butelkami szampana. Księżyc połączył wspomnienia i nagle wszystko stało się jasne. Już wiedziała, co musi zrobić, dokąd pójść, by zapukać do właściwych drzwi.

Nell była taka zmęczona, że oczy same jej się zamykały. Wszyscy patrzyli, jak księżyc wychodzi z wody i wznosi się do nieba, a ona nie odrywając wzroku od spektaklu, tuliła się do ojca chłonąc jego ciepło, gdy noc robiła się coraz chłodniejsza. Potem Peggy zmusiła ją do wstania i tańczenia w świetle księżyca z Annie i Elizą. Szum fal zastąpił im muzykę. Tańczyły bosy na piasku do chwili, gdy dorośli zdecydowali, że pora wracać do domu.

Wszyscy razem doszli do falochronu. Był naprawdę potężny, zbudowany z olbrzymich głazów, które trzymały

morze z dala od drogi. Rodzina Peggy pożegnała się i zawróciła w stronę moczarów, przyświecając sobie latarkami.

Nell z ojcem przeszli przez parking, mijając po drodze basen dla łodzi. Nell słyszała skrzypienie i trzeszczenie jachtów kołysanych przez fale. Ziewnęła i potknęła się, lecz Jack przytrzymał ją za rękę.

– Fajnie było – stwierdziła.

– Tak – przyznał.

Czuła się zmęczona i odurzona świeżym powietrzem i wrażeniami, jakich dostarczyło jej oglądanie wyłaniającego się z morza księżyca. Cieszyła się, że może być wśród ludzi i siedzieć z nimi na piasku.

– Byliśmy jak jedna wielka rodzina – powiedziała, ściskając Jacka za rękę. Nie odpowiedział. Asfalt pod stopami wciąż był ciepły od słońca. – Podobało mi się. Lubię, gdy jesteśmy tylko we dwoje, ale lubię też, gdy są inni ludzie.

– Przeważnie jesteśmy tylko we dwoje – odparł. – Za dwa tygodnie stąd wyjeżdżamy, ale potem możesz pisać do Peggy.

– Z Bostonu? – spytała, nie bardzo wiedząc, czy wracają do Bostonu czy do Atlanty.

– Nie, nie z Bostonu.

Wydało jej się, że słyszy wahanie w jego głosie, co było dość niezwykle.

– To znaczy, że wracamy do Atlanty, do domu?

– Nell, wiesz, jak się tańczy *Highland fling*?

- Co?
- To szkocki taniec.
- Szkocki, taki z dudami?
- Tak.

– Ciocia Madeleine opowiadała mi, jak pojechała na wycieczkę do Szkocji, gdy była mała, i wszędzie słyszała dudy. Jej się to podobało, lecz mnie nie.

- Dlaczego?
- Nienawidzę dud, bo grali na nich na mamy...

Nie chciała wypowiedzieć słowa „pogrzeb”. Jakiś człowiek, którego mama poznała w Dixon, w więzieniu, w którym pracowała, strażnik, policjant czy ktoś taki, stał przy ołtarzu i grał na dudach „Amazing Grace”.

- W Szkocji są jeszcze inne rzeczy prócz dud.
- To prawda, ale jeżeli choć raz je usłyszę, to koniec. Są okropne, nienawidzę ich. Nie mówmy o nich więcej, dobrze? Bo będę miała koszmary.

- Nell...
- Ciii – przerwała mu, zakrywając sobie uszy.

Umilkł. Nell wzięła go za rękę i ziewnęła. Była bardzo zmęczona, nie chciała przed snem zaprzętać sobie myśli muzyką pogrzebową i więzieniem. Żeby poprawić sobie nastrój, zaczęła nucić „Lemon Tree”, zastanawiając się nad tym, którą książkę tata ma jej poczytać do poduszki. „Noc sowy” czy „Lato łabędzi”? A może „Morskiego jastrzębia”?

Kiedy dotarli do domku, Jack otworzył tylne drzwi i weszli do środka. Nell przebrała się w piżamę. Powinna

umyc twarz, nogi i zęby, lecz chciała jak najszybciej znaleźć się w łóżku i posłuchać opowieści. Zdecydowała się na „Lato łabędzi” i właśnie nakrywała się kołdrą, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Żołądek jej się ścisnął.

Pukanie do drzwi, zwłaszcza nocą, nie wróżyło nic dobrego. Pamiętała, jak policjanci przyszli do domu w nocy, by zawiadomić o wypadku mamy. Wszystko jej się pomyliło i myślała, że to strażnicy więzienni przyszli ich ostrzec, że uciekł ten okropny więzień, który dzwonił do mamy. Pamiętała też, jak Francesca zapukała do nich, gdy ojciec sądził, że śpi. Przyniosła jakieś dokumenty, które natychmiast trzeba było przejrzeć. Akurat. Jak gdyby to, czy je przeczyta czy nie, miało uratować most Londyński przed zawaleniem. Słyszając ciche pukanie, była przekonana, że to znowu Francesca.

– Odejdź – powiedziała do poduszki.

Chwilę później usłyszała, jak ojciec puka do drzwi jej pokoju.

– Nell.

– Tato, powiedz Francesce, żeby sobie poszła i że nie wracamy do Bostonu. A potem przyjdź i poczytaj mi książkę Stevie.

– Franceski tu nie ma – odpowiedział Jack. – A ty jesteś największą szczęściarą na świecie, bo dziś wieczorem Stevie osobiście opowie ci bajkę.

Nell usiadła na łóżku i zobaczyła stojącą w drzwiach Stevie, która uśmiechnęła się do niej i podeszła do łóżka bez żadnej książki w ręku.

Rozdział 15

Nell odsunęła się na bok, by Stevie mogła usiąść na brzegu łóżka. Jack stał w drzwiach, jakby się zastanawiał, co ma zrobić. Stevie uśmiechnęła się do niego. Był taki wysoki, że zasłaniał sobą światło w korytarzu. Z bijącym serce czekała, by usiadł przy niej.

– Siadaj, tato – powiedziała Nell – i też posłuchaj opowieści Stevie.

– Ale ona przyszła opowiedzieć ją tobie. Pójdę do drugiego pokoju.

– To opowieść dla was obojga – rzekła Stevie.

Podszedł do niej i zawahał się. W końcu przyniósł sobie krzesło z pokoju obok. Nocna lampka rzucała ciepłe pomarańczowe światło na ręce i szkicownik Stevie.

– To opowieść o wzgórzu – zaczęła Stevie. – Wśród pól i lasów stoi magiczny kamienny zamek. Widać z niego ujście majestatycznej rzeki wlewającej swe wody do morza. Bluszcz i dzika winorośl oplatają ściany zamku...

Mówiąc to, szkicowała i podawała rysunki Nell.

– Czy mieszka w nim księżniczka? – spytała Nell.

– Nie. Zamek i otaczające go ziemie są własnością natury, lecz opiekuje się nim mądra stara ciotka.

– Ciotka – powtórzyła jak echo Nell.

Stevie narysowała kobietę, która wyglądała jak

skrzyżowanie Aidy z Madeleine. Usłyszała, jak Nell głośno wciąga powietrze. Popatrzyła na Jacka. Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczyma, nie patrząc nawet na rysunek.

– Zamek jest stary i popada w ruinę – podjęła opowieść Stevie, nie mogąc oderwać wzroku od Jacka. – Wiatry kruszą mury, schody grożą zawaleniem. Nietoperze mieszkają w krokwiach, a dzika winorośl niszczy miedziane rynny. – Narysowała rozpadający się zamek. – Zbocza wzgórza porastają sosny dające schronienie najróżniejszym gatunkom ptaków i zwierząt. Zięby, drozdy, gajówki, rudziki wiją sobie gniazda z gałązek wśród sosen, składają jajka, wychowują potomstwo. Mieszkają tu też jelenie, szopy i króliki. Naturalne środowisko pozwala im przeżyć, więc nie muszą wkraczać...

Szybko narysowała jelenia przechodzącego przez drogę, zjadającego kwiaty i krzewy rosnące przy domu, szopy przewracające kosz na śmieci i króliki zjadające sałatę z grządki. Nell zachichotała.

– Po przeciwnej stronie zamku rosną stare dęby. To najstarsze drzewa w Connecticut. Są grube i wysokie. W głębi lasu rosną drzewa, które nazywają się metasekwoje i są równie stare jak te ziemie. Żyją w nich sowy pohukujące w nocy i tylko odważny człowiek może tam wejść i odpowiedzieć na ich wołanie.

– Co one mówią? – szepnęła Nell.

Stevie zahukała jak przed laty, gdy była w wieku Nell,

nauczyła ją Aida. Nell spróbowała powtórzyć i udało jej się za pierwszym razem. Stevie narysowała trzy postacie stojące w gęstym lesie: siebie, mądrą ciotkę i Nell. Twarz dziewczynki rozpromieniła się.

Stevie mówiła dalej i uzupełniała opowieść rysunkami. Nigdy wcześniej tego nie robiła – nie tworzyła historii na poczekaniu. To było niesamowite przeżycie, zwłaszcza gdy Jack pochylał się ku niej równie zainteresowany opowieścią jak córka. Ich kolana się zetknęły, a przez jej ciało przeszedł prąd. Nell robiła się śpiąca i oczy zaczęły jej się zamykać.

– Mam przerwać? – spytała Stevie.

– Nie – odpowiedzieli jednym głosem ojciec i córka.

– Ziemia otaczająca zamek należy do natury, lecz inni też chcą po nią sięgnąć – kontynuowała opowieść Stevie.

– Ludzie z buldożerami chcą ścinać drzewa, zawłaszczyć piękny widok i sprzedawać go za złoto. Chcą zamienić siedliska jeleni w domy, a zamek w centrum konferencyjne.

– Ale mądra ciotka... – wtrąciła Nell, walcząc z ciężkimi powiekami.

– Mądra ciotka będzie bronić wzgórza – dokończyła Stevie.

– Na pewno – szepnęła Nell z przekonaniem.

– Skąd wiesz? – spytał Jack.

– Bo jest dobra – odpowiedziała Nell. – Jak ciocia Maddie i jak ciocia Aida, prawda, Stevie?

– Oczywiście. Kiedy wschodzi słońce, sowy idą spać i

wtedy z gniazd i nor wychodzą inne stworzenia. Gajówki śpiewają w gąszczu, a króliki skaczą po wilgotnej trawie. Kolibry przylatują do czerwonych kwiatów pnących się po ścianach zamku. Karmią się ich nektarem. Tak prędko trzepoczą skrzydłami, że wyglądają, jakby wisiały w powietrzu. Letnie dni przemijają i przechodzą w noc. Księżyc pojawia się na niebie najpierw jako rożek, potem rośnie przez cały miesiąc, aż zmienia się w tarczę i wyłania tak jak dzisiaj z morza.

Gdy narysowała księżyc w pełni, oświetlający zamek na wzgórzu, Nell już smacznie spała. Położyła szkicownik na szafce przy łóżku i poszła za Jackiem do salonu. Jego bliskość sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. Czowała na skórze delikatne muśnięcia powietrza. Nie była w stanie spojrzeć Jackowi w oczy.

– Nigdy się nie zdarzyło, żeby tak szybko zasnęła – powiedział, odwracając się do niej. – Zwykle potrzeba trzech lub czterech książek, masowania pleców i sprawdzania, czy nikt nie ukrywa się w szafie. Jak to zrobiłaś?

– Nic nie zrobiłam – odpowiedziała. – To zasługa pełni. Ma magiczną moc. Usypia nawet najbardziej zranione dzieci.

– Nie, to twoja opowieść tak na nią podziałała i twój głos.

– Myślałam o niej, o was obojgu od... Czy byłeś z nią u doktora Galforda?

– Tak. Rozmowa z tobą bardzo mi pomogła.

– Cieszę się.

– Wracając do twojej opowieści, czy to miejsce naprawdę istnieje? Jak się nazywa?

– Wzgórze Lovecrafta.

– Gdzie to jest?

– Zaledwie kilka kilometrów stąd. Moja ciotka tam mieszka.

Oczy Jacka się rozszerzyły. Odsunął z czoła ciemne włosy i popatrzył na Stevie, czekając, że powie coś więcej. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

– To prawdziwa historia? – zapytał.

Kiwnęła głową, otrząsając się z transu. Pełnia i ją wzięła w swoje objęcia. Tak powinno być. Dziewczyna z księżycą bawiła się jej sercem. Spojrzała w szmaragdowozielone oczy Jacka i pomyślała, że nigdy tak się nie czuła.

– Mieszka w zamku?

– Nie. Wyprowadziła się z niego przed laty. – Kłopoty Aidy zniszczyły magiczny nastrój. – Utrzymanie zbyt drogo kosztowało. Mieszka w przybudówce, ale kocha zamek i często tam chodzi. Mówi, że żyje w nim duch jej męża. Też jest artystką i potrzebuje miejsca do inspiracji. Przyjeżdża tu z Florydy w maju lub czerwcu i maluje przez całe lato. Potrafi rozpoznać każdego ptaka, naśladować każde sówie nawoływanie. Nie mogę znieść myśli, że coś mogłoby się stać ze wzgórzem.

– Te buldożery są realne?

– Bardzo – odparła ze smutkiem. – Deweloperzy

proponowali jej mnóstwo pieniędzy za ten teren, lecz zawsze odsyłała ich z kwitkiem. Tego lata jednak martwi się wysokimi podatkami i tym, że zamek popada w ruinę. Boi się, że ktoś zakradnie się tam bez jej wiedzy i zrobi sobie krzywdę. No i jakby wyczuwając jej słabnącą wolę, pojawił się następny deweloper.

– Zamierza przyjąć jego propozycję?

– Na to wygląda. Ale to złamie jej serce.

– Dlaczego nie ofiaruje ziemi organizacji charytatywnej? Mogłaby też stworzyć własną fundację.

Stevie nigdy coś takiego nie przyszło do głowy, Aidzie zapewne też nie. Były artystkami i niewiele wiedziały o świecie finansów czy nieruchomości.

– Mogłaby to zrobić?

– Jak najbardziej. Pracowałem nad takim projektem na wyspie Mount Desert w Maine. Właściciele ziemi przekazali ją parkowi narodowemu. Odnawiałem tam kamienne mosty na drogach, po których jeździły kiedyś powozy, i budowałem nowe, starając się pozostać w zgodzie z oryginalnym stylem architektonicznym.

– To wspaniały pomysł! Trzeba będzie poszukać kogoś, kto zajmie się zamkiem.

– Z przyjemnością rzucę na niego okiem.

– Mówisz poważnie? Dziękuję ci.

Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak Jack odbudowuje zamek i jak powstaje w nim centrum przyrody otwarte dla wszystkich mieszkańców Black Hall.

– Mogłybyśmy z Aidą dawać lekcje rysunku – rzekła

bezwiednie.

– Co?

– Och, wybiegam myślami w przyszłość – odpowiedziała. – Przyszło mi do głowy, że można by zrobić w zamku centrum przyrody z wystawami ptaków, drzew, zwierząt, i wyobraziłam sobie, jak prowadzimy tam z ciotką kursy na temat tego, czym jest przyroda i jak inspiruje.

– Brzmi fantastycznie. Zatem naprawdę masz mądrą ciotkę?

Zrobił krok w jej stronę.

– Tak. – Stevie poczuła, że się czerwieni. Nie mogła się powstrzymać, musiała to powiedzieć. – Nell również.

Odwrócił wzrok.

– Posłuchałam twojej rady i zaprosiłam Madeleine.

– Zastanawiałem się, czy to zrobisz – powiedział.

Zamknął oczy, a Stevie pomyślała, że zrobił to nie po to, by się od niej odgradzić, lecz by zajrzeć w głąb siebie.

– Jack, przyjechałeś tutaj, bo łączą cię z tym miejscem wspomnienia. Uciekłeś z Atlanty, bo przypominała ci o Emmie, a mimo to przyjechałeś tutaj, gdzie wszystko się zaczęło.

– Masz rację.

– Spędzaliście tu wakacje z Maddie. Dlatego tu przyjechałeś. Bo nie możesz znieść rozłąki z siostrą.

Nie odpowiedział. Zapadła cisza, w której słychać było cykanie świerszczy i szum wiatru w gałęziach drzew.

– Jak ona się miewa? – zapytał po dłuższej chwili.

– Jest... smutna – odparła miękko.

– Z mojego powodu?

– Nie tylko. Straciła przecież Emmę, ciebie i Nell. Wyjechała stąd, gdy się dowiedziała, że ty tu jesteś. Wściekła się na mnie za to, że ją podpuściłam. – Spojrzała na Jacka. Wyglądał na udręczonego i pochłoniętego czymś, co wykraczało daleko poza ramy ich rozmowy. – Pewnie ty też jesteś na mnie zły – dodała.

– Czego ode mnie oczekujesz, Stevie?

– Żebyś jej wybaczył.

– Nie rozumiesz. To nie jest kwestia wybaczenia.

– Więc co? Dlaczego chociaż z nią nie porozmawiasz?

Serce jej się ścisnęło na widok wyrazu jego twarzy. Przeżywał męki, czuła to i nie mogła powstrzymać łez.

– Nie możesz zrobić tego dla Nell? – spytała. – I dla Maddie. A zwłaszcza dla siebie?...

Chyba posunęła się za daleko. Wywieriała na niego presję, a nie знаła całej sprawy. Pod wpływem impulsu dotknęła jego policzka. Chciała przeprosić, lecz przede wszystkim złagodzić ból. Złapał ją za rękę tak gwałtownie, że aż wciągnęła powietrze w płuca, a potem wziął w ramiona i pocałował. Miał takie gorące usta i umięśnione ciało. Stała na palcach i poczuła, że przyciąga ją do siebie. Odchyliła głowę. Serce biło jak oszalałe, a gorąca krew rozpaliała ciało.

Poprowadził ją do kanapy. Usiedli, trzymając się za ręce. Odsunął Stevie włosy z czoła i spojrzał w oczy. Miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Tak

długo nikt jej nie dotykał. Próbowwała zapanować nad oddechem. Czowała mrowienie w żołądku i roztopiała się pod płonącym z pożądania wzrokiem Jacka. Myśli wirowały jej w głowie. Nie rób tego, ostrzegał wewnętrzny głos. Nie pozwól, by zaszło to zbyt daleko.

Niemal słyszała, jak Henry przeżywa ją Lulu, syreną wabiącą mężczyzn, by rozbijali łodzie o skały, i radzi, żeby ostrzegła Jacka, by zatkał sobie uszy i płynął dalej. Czy trzy małżeństwa to nie dość? Rozum mówił jedno, a serce pchało w zupełnie inną stronę.

Na litość boską, przecież to nie małżeństwo, pomyślała. To tylko kilka pocałunków.

Ale te pocałunki były takie słodkie. Odchyliła głowę, czując, jak Jack całuje ją w usta, a potem w szyję. Zadrżała i zapragnęła, żeby nie przestawał. Myśli wirowały jak oszalałe. Zawsze chciała więcej, nigdy nie wiedziała, kiedy się zatrzymać, wpadając w bezdenną pułapkę miłości. Odsunęła się lekko, broniąc się przed uczuciem.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem.

– Nie, to ja przepraszam. To ja nie powinnam.

Wzajemne przeprosiny przywróciły ich do rzeczywistości.

Stevie spuściła głowę. Co ona wyprawia?

– Jak myślisz, co się między nami dzieje? – spytał Jack, nie wypuszczając jej z objęć.

– Myślę... – zaczęła, lecz urwała, bo nagle wyobraziła ich sobie, jak stoją o świcie na pustej plaży i całują się nad

brzegiem morza. To było jej marzenie tego lata.

Patrzyli sobie w oczy. Jack czekał na odpowiedź. Chciała go ostrzec, powiedzieć, że nie pasuje do niego, że marzenie to jedno, a rzeczywistość drugie. W przeszłości popełniła wiele błędów, nie chciała, by komuś znów stała się krzywdą. Pomyślała o Nell śpiącej w drugim pokoju i przypomniała sobie, jak to jest stracić matkę. Ta strata stworzyła otchłań tęsknoty, którą czuła nawet teraz. Jednakże patrząc w ciemne oczy Jacka, odczuwała ją w zupełnie inny sposób. Chociaż odsunęła się, nadal obejmował ją ramieniem. To było zarazem romantyczne i erotyczne doznanie. Trudno jej było usiedzieć w miejscu.

– Powinnam już iść – powiedziała.

– Nie wierzę, że tego chcesz.

– Dlaczego?

– Bo wiem, co czuję, i myślę, że ty czujesz to samo.

Pochylił się i pocałował ją. Stevie ponownie objęła go za szyję. Pachniał solą, potem i cytryną. Zapragnęła popływać z nim. Przywarła do niego mocniej, nie myśląc o niczym i poddając się fali doznań. W tym momencie z drugiego pokoju dobiegło westchnienie Nell.

Czar prysł. Stevie zerwała się z kanapy i zrobiła krok w tył, czując, że kręci jej się w głowie. Jack chciał ją zatrzymać, lecz Stevie nie mogła sobie pozwolić na to, by Nell się obudziła i znalazła ją w objęciach ojca.

– Muszę iść – szepnęła.

– Nie... Stevie... Chcę z tobą porozmawiać.

– Nie dzisiaj, dobrze? Naprawdę muszę już iść.

– Kiedy moglibyśmy obejrzeć zamek?

– Jutro, pojutrze, kiedy chcesz.

– Im szybciej, tym lepiej – odpowiedział. – Za trzy tygodnie wyjeżdżamy.

– Za trzy tygodnie?

– Między innymi o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Wstał, podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

Kiwnęła głową. Twarz ją paliła, a zawroty głowy stały się bardziej intensywne. Musiała stąd wyjść natychmiast, w przeciwnym razie nie będzie w stanie. Cofnęła rękę i uśmiechnęła się do niego.

– Zaczynam pracę w Szkocji – oznajmił, a ona poczuła, jak uśmiech znika jej z twarzy.

– Kiedy?

– Za trzy tygodnie – powtórzył.

Pomyślała o Nell wyjeżdżającej tak daleko, o Madeleine tracącej szansę na pojednanie z bratem i o sobie. Trzy krótkie tygodnie to za mało, by zrozumieć, co czuje do Jacka. Serce jej się ścisnęło, lecz zapanowała nad sobą.

– O czym myślisz? – spytał.

– Przykro mi, że wyjeżdżasz – odpowiedziała. – Tyle jeszcze zostało do zrobienia.

– Chodzi o zamek twojej ciotki?

Uśmiechnęła się smutno.

– Naprawdę tak sądzisz?

Rzucił jej krzywe spojrzenie, lecz nic nie powiedział. Potem pokręcił głową.

– Tak jest prościej.

Pomyślała o murach porośniętych bluszczem, o dzikiej winorośli wdzierającej się pod tynk, kruszących się ceglach, zarośniętych ścieżkach. Miał rację, praca fizyczna była łatwiejsza od emocjonalnej.

– Chciałabym... – zaczęła.

– Co byś chciała, Stevie?

– Żeby Nell mogła widywać się ze swoją ciocią tak jak ja ze swoją.

Odwrócił wzrok i chrząknął.

– Dobrze by było, gdybyśmy obejrżeli ten zamek – powiedział. – Może jutro o dwunastej?

– Doskonale.

– Ciekaw jestem... – odezwał się po chwili, dotykając jej policzka.

– Czego? – spytała, czując dreszcz przechodzący jej po plecach.

– Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia w sprawie mojego wyjazdu do Szkocji?

– Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć głośno – szepnęła, po czym odwróciła się i wyszła w jasną księżycową noc.

Jack patrzył, jak odchodzi. Z trudem zapanował nad pragnieniem, by za nią pobiec. Serce waliło mu w piersi i czuł się dziwnie. Stevie wyszła, lecz jakaś aura, jakaś jej cząstka pozostała. Jack nigdy jeszcze nie czuł niczego podobnego. Rozpierała go tak wielka energia, że mógłby

przebiec maraton i nawet się nie zadyszeć. Przeciągnął się, próbując ją rozładować. Pragnął wszystko zmienić, pragnął wszystko naprawić. Stevie miała rację co do Nell, lecz nie znała całej historii. Nagle zorientował się, że podnosi słuchawkę. Wystukał numer. Ręce mu się trzęsły, gdy czekał ze słuchawką przy uchu. Telefon dzwonił i dzwonił. Spojrzał na zegarek. Może gdzieś wyszli. Po chwili jednak odezwał się znajomy kobiecy głos.

– Halo? – spytała Madeleine.

Nie odezwał się. Chciał powiedzieć coś, co by wszystko naprawiło, wymazało cały ból i podejrzenia. Nie chciał, żeby cokolwiek między nimi stało.

– Halo? – powtórzyła.

Przypomniawszy sobie ich ostatnie spotkanie, prawdę, jaką wyjawiała mu Madeleine, i swoją wściekłość. Gdyby się teraz odezwał, musiałby się zmierzyć z jej wersją wydarzeń, a nie mógł tego zrobić ze względu na Nell.

– Kto mówi? – spytała Madeleine.

Chciał jej odpowiedzieć, lecz nie był w stanie. Odłożył więc słuchawkę.

Rozdział 16

Stevie przyjechała po nich w południe. Po minięciu wiaduktu kolejowego wjechali na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Nell kręciła się na tylnym siedzeniu podekscytowana, bez przerwy coś pokazywała i paplała jak najęta. Jack był chyba bardziej podekscytowany od córki. Po raz pierwszy Nell przespaa spokojnie całą noc, podczas gdy on leżał i wpatrywał się w sufit.

Po drodze zatrzymali się na lunch. Stevie zamówiła dla Aidy roladę krabową. Zabrali tace i usiedli przy stolikach stojących za białą budą z widokiem na moczary. Nad ich głowami krążyły mewy, czekając na smakołyki. Promienie słońca zmieniały strumienie i zatoczki w zwierciadła, rozświetlały czarne włosy Stevie, odsłaniające piękną szyję, którą Jack wczoraj całował. Miał ochotę sięgnąć przez stół, odsunąć kosmyki zakrywające fiołkowe oczy i dotknąć porcelanowego policzka. Z trudem nad sobą zapanował. Szczególnie że patrzyła nań wzrokiem, który mówił, że sama też ma podobne problemy.

Po posiłku wsiedli do samochodu i pojechali dalej wzdłuż wybrzeża. Potem skręcili w wąską drogę, minęli wiadukt i znaleźli się na bocznej drodze prowadzącej na strome wzgórze. Wkrótce asfalt ustąpił miejsca żwirowej

nawierzchni i samochód zaczął podskakiwać. Nell krzyknęła wystraszona. Dały o sobie znać koszmary związane z wypadkiem samochodowym matki. Jack odwrócił się, wziął ją za rękę i zapewnił, że są bezpieczni.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała Stevie, patrząc we wsteczne lusterko. Nell była biała jak papier i ścisnęła ojca za rękę. – Spójrz, Nell, stróżówka.

Zwolniła i wcisnęła klakson. Mężczyzna i rudowłosa kobieta pomachali im na powitanie. Mężczyzna uśmiechał się promiennie. Gdy ich mijali, uniósł lewą rękę kobiety i coś na niej pokazał.

– Kto to jest? – spytała Nell. – Czy to ciocia Aida?

– Nie – odparła Stevie, uśmiechając się szeroko.

– Trudno mi w to uwierzyć, lecz to pasierb Aidy, Henry, i jego przyjaciółka Doreen.

Nagle wyrósł przed nimi zamek i Nell aż wciągnęła powietrze w płuca. Nawet Jacka zaskoczył jego widok – był tak spektakularny i dziwny, zupełnie nieoczekiwany w statecznym krajobrazie Connecticut. Wyglądał jak baśniowa budowla powstała w wyobraźni szalonego barona, który zrealizował swoje marzenie w Szwarcwaldzie w Alpach.

– Oto on – oznajmiła z dumą Stevie, gdy wysiedli z samochodu. – A to moja ciotka.

Wysoka elegancka kobieta ubrana w bluzę i dzinsy z dziurami na kolanach, w aksamitnych pantoflach, z przetykaną złotem opaską na głowie, wyszła z małego domku przy zamku. Miała wysokie inteligentne czoło,

fiołkowe oczy i antymonowoniebieski cień na powiekach. Znacznie przewyższała Stevie wzrostem, lecz podobieństwo było uderzające. Miały te same oczy, postawę i urodę.

– To moja ciocia, Aida Von Lichen – przedstawiła Stevie.

– A pan to pewnie Jack – powiedziała Aida. – A ty musisz być Nell. Proszę, mówcie mi po imieniu. Zjecie ze mną lunch?

– Już jedliśmy – odpowiedziała Stevie, podając jej brązową torbę.

– Stevie przywiozła pani roladę krabową – oznajmiła Nell.

– Jest moją najukochańszą i najtroskliwszą bratanicą – odparła Aida. – Schowam jedzenie do lodówki na później.

– Ciociu, co tak błyszczało na serdecznym palcu Doreen? – spytała Stevie, gdy Aida wróciła z kuchni.

– To prawdziwy cud. Henry poprosił ją o rękę, a ona przyjęła oświadczyzny. Są zaręczeni.

W jej głosie brzmiała duma i czułość, a w oczach pojawiły się łzy. Zachowywała się jak prawdziwa właścicielka zamku, lecz Jacka zaskoczyła jej wrażliwość i bezpośredniość.

– Teraz rozumiem, czemu pokazywał na jej rękę – powiedziała Stevie.

– A tak. Dałam mu mój pierścionek zaręczynowy, żeby jej ofiarował.

– Och, ciociu – wykrzyknęła Stevie, obejmując ją.

Jack obserwował czułą scenę między ciotką a bratanicą.

Przypomniawszy sobie, co Stevie mówiła o duchu wuja nawiedzającym zamek, i domyślił się, że pierścionek Aidy jest cenniejszy ponad ziemską miarę.

Aida wyprostowała się i odsunęła. Rozmazała sobie cień na powiekach, który odbił się na policzku Stevie. Jack z bólem w sercu pomyślał o Maddie i Nell. Aida kiwnęła głową i zaśmiała się lekko.

– Pewnie myślicie, że jestem zwariowaną starą babą – zwróciła się do gości. – Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Henry to mój pasierb, który przeszedł właśnie na emeryturę. Był oficerem marynarki. Kocham go jak własnego syna. Jest wspaniałym oficerem i dżentelmenem, lecz niestety kompletnym kretyńcem w sprawach sercowych. Miał wspaniałą kobietę Doreen i pozwolił jej odejść.

– Dlaczego? – spytała Nell.

– Stale był na morzu, jak to marynarz. Zawijali do portu, schodzili na ląd, a potem znowu odpływali. Henry sądził, że Doreen zawsze będzie na niego czekać. I czekała, aż przebrała się miarka. On myślał, że wyląduje w Newport, tanecznym krokiem przestąpi jej próg i zostanie przyjęty z otwartymi ramionami. Tyle że nie zamierzał się z nią żenić. Chciał po prostu przychodzić i odchodzić, gdy tylko najdzie go ochota.

Słowa Aidy uderzyły Jacka w zupełnie nieoczekiwany sposób. Zobaczył nagle paszporty, bilety na samolot, ulotki o pokojach do wynajęcia w Inverness, szkockie

pledy i dudy.

Oczywiście uciekał. Przed bólem z przeszłości, lecz również przed tym, co zaczynał czuć do Stevie. Robił dokładnie to, co Henry.

– Dała mu kopa – ciągnęła Aida – przy moim całkowitym poparciu. Małżeństwo nie jest najważniejsze, kiedy jednak masz pewność, a Henry już dawno miał pewność, że Doreen to ta jedyna, należy związek zalegalizować. Jesteś to winien sobie i ukochanej.

– Właśnie to jest najtrudniejsze: wiedzieć, kiedy to zrobić, a kiedy nie – powiedziała cicho Stevie, a w jej pięknych oczach pojawił się smutek i tęsknota.

– Lulu! – zawołał Henry, wspinając się na wzgórze z Doreen u swego boku.

Były uściski i gratulacje. Stevie pochwaliła pierścionek, a potem przedstawiła Jacka i Nell.

– Ach, to jest ta sławna Nell – powiedział Henry.

– Sławna? – powtórzyła dziewczynka, rozjaśniając się.

– Oczywiście. Stevie wychwala cię pod niebiosa. Ciebie i tatę.

Rzucił Jackowi wyzywające spojrzenie, jakby czekał, że podejmie rękawicę.

– Stevie o mnie opowiadała? – spytała Nell z radością w głosie.

– Bez przerwy o tobie mówi – wtrąciła Aida. – Pokochała cię za to, że byłaś na tyle odważna, by ominąć tę okropną tabliczkę.

– Proszę stąd odejść – powiedziała Nell ze śmiechem.

– Właśnie – odezwał się Henry. – Ta tabliczka powinna się znaleźć w koszu na śmiecie.

Jack obserwował, jak Nell rozmawia z ludźmi, których dopiero poznała. Była taka bezpośrednia, spragniona ich sympatii. To wszystko zasługa Stevie. Jakimś cudem Nell uznała ją za przybraną ciotkę. Poczul ucisk w gardle. Zapomniał już, jak to jest mieć liczną rodzinę. Jego rodzice i krewni nie żyli, pozostała mu tylko Madeleine.

Henry i Doreen mieli mnóstwo spraw do załatwienia. Musieli pojechać do kościoła St. Mary w Newport, żeby porozmawiać z księdzem i ustalić datę ślubu, więc się pożegnali, a Aida poprowadziła gości do zamku. Stevie i Nell trzymały się za ręce, za nimi szedł Jack.

– Hej, Stevie! – usłyszeli nagle za plecami głos Henry'ego.

Odwróciła się.

– Syrena zniknęła.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo „Odyseja” nie potrzebuje kolejnej postaci. I dlatego, że wiesz, co robisz. Jestem tego pewny. Idź do przodu mimo przeciwności.

Stevie stanęła jak wryta. Coś w jej postawie sprawiło, że Jack chciał ją objąć – wyglądała, jakby potrzebowała pomocy. Za chwilę jednak szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Kiwnęła głową i pomachała Henry'emu, a on odpowiedział tym samym.

Jack nie wiedział, co znaczyła ta wymiana zdań, lecz jednego był pewien – Stevie i Henry byli sobie bardzo

bliscy, mimo że nie łączyły ich więzy krwi. Pomyślał o Maddie i poczuł się bardzo samotny.

Stanęli u stóp zamku. Powitał ich powiew chłodnego stęchłego powietrza. Jack spojrział w ciemność z bijącym sercem. Jako inżynier lubił nowe wyzwania. Nell zadrżała i chwyciła za ręce ojca i Stevie. Weszli do środka razem. Puls Jacka przyspieszał z każdym krokiem. W głowie dudniła mu jedna myśl: muszę się jakoś wykręcić od wyjazdu do Szkocji.

Nell trzymała ojca i Stevie za ręce podekscytowana tym, co zobaczyła. Było tu mnóstwo magicznych rzeczy: ściany wyłożone boazerią z ciemnego dębu z wyrzeźbionymi głowami i twarzami, podłoga kryta łupkowymi kwadratami z wyrytymi w nich tarczami i słowami. Aida wyjaśniła, że są to nazwy teatrów, w których grał jej mąż.

– Zdobył sławę jako aktor Royal Shakespeare Company. Jego nazwisko wymieniano obok nazwiska Johna Gielguda. Miał wyjątkowy talent. Grał w Covent Garden, a rola Jagona należała do najlepszych w jego karierze. Z równym powodzeniem grał księcia Henryka. Potem życie zaczęło go interesować bardziej niż teatr. Był z niego wielki bon vivant.

Kiedy się zestarzał, przerzucił się na Falstaffa. Był wprost idealny do tej roli. Mój drogi Van.

Nell nie rozumiała, o czym mówi Aida, lecz z jej głosu domyśliła się, że bardzo kochała Vana, a gdy Stevie

opiekuńczo objęła ciotkę, zrozumiała, że wizyta w zamku jest dla starszej pani bardzo trudna.

Ich kroki odbijały się echem wśród ścian. Znaleźli się w obszernym hallu z wielkim czarnym żyrandolem oblepionym pajęczynami i dużym drewnianym stołem pokrytym pleśnią. Nell trzymała się blisko ojca i Stevie. Jack zadawał pytania oficjalnym tonem, jakiego używał w pracy, zwłaszcza gdy rozmawiał przez telefon, o czym wiedziała z rzadkich odwiedzin w biurze. Z Francescą też tak rozmawiał. Stąd wiedziała, że tak naprawdę wcale jej nie lubi.

Do niej nigdy tak nie mówił. Z mamą rozmawiał tak tylko raz, tuż przed jej wyjazdem. Ze Stevie też nie rozmawiał tym tonem. Nawet wtedy gdy rozpląkała się u niej w domu. Gdy był zdenerwowany, mówił inaczej, a jeszcze inaczej w obecności rodziny i cioci Maddie.

Właśnie opowiadał o przekazaniu ziemi i zamku, o darowiźnie, zwolnieniu od podatku, o wielu sprawach, których nie rozumiała, lecz z wyrazu twarzy Stevie i Aidy domyśliła się, że bardzo je to interesuje, a nawet cieszy. Potem ojciec wyjął notes i taśmę mierniczą i zaczął robić notatki. Zmierzył grubość murów, wysokość sufitów. Aida powiedziała coś o grzybie i kornikach, a ojciec wyjął syczoryk i wbił go w podłogę. Stwierdził, że trzeba to sprawdzić, lecz jego zdaniem nie ma tu korników. Aida odetchnęła z wyraźną ulgą.

Weszli przez małe drzwi w ścianie na ciemną klatkę schodową z kręconymi schodami. Przypominała Nell

więzienie. Jedynym źródłem światła było witrażowe okno, więc Aida wyjęła z kieszeni bluzy latarkę, by oświetlić drogę. Nell wystraszyła się, bo musiała puścić ręce dorosłych, lecz znalazła się między nimi, wiedziała więc, że nic jej nie grozi.

Stevie powiedziała coś o centrum przyrody.

– Na stu sześćdziesięciu czterech akrach można zrobić wspaniały rezerwat przyrody – dodała Aida.

– Ten zamek jest niesamowity – stwierdził Jack.

– I trzeba go zachować w takiej formie, w jakiej jest.

– Dziękuję ci – ucieszyła się Aida. – Deweloperzy chcą go za wszelką cenę unowocześnić; ostatni, z którym rozmawiałam, ma wizję centrum konferencyjnego.

Kiedy pokonali cztery wysokie piętra i dostali się na sam szczyt, Nell poczuła się tak, jakby wyszła z więzienia do słonecznego ogrodu. Z wieży roztaczał się widok na całą dolinę aż do srebrzącego się morza. W szczelinach między kamieniami rósł mech i chwasty. Wiatr musiał tutaj rozsiać nawet nasiona polnych kwiatów, bo tu i ówdzie wyrastały z tynku wątle łodyżki. Nell zmrużyła oczy przed ostrym słońcem i spojrzała ponad wierzchołkami drzew. Ptaki skakały z gałęzi na gałąź. Przypomniła sobie opowieść Stevie o lesie sosnowym i starych dębach, o jeleniach, królikach, śpiewających ptakach i sowach. Było tak, jakby znalazła się w prawdziwej bajce. Nieomal spodziewała się, że za chwilę wyskoczy z lasu biały jeleń lub jednorożec.

Podziwiała z zachwytem leśny bezmiar, tymczasem jej

tata mówił spokojnie, lecz z zapalem o zachowaniu drzewostanu i zamku. Aida zadawała jedno pytanie za drugim. Co powinna zrobić? Z kim porozmawiać? Jakie papiery podpisać?

Stevie odeszła od nich i przykucnęła przy Nell. Razem patrzyły na gęsty sosnowy las, na wysokie stare dęby, na milin z czerwonymi kwiatami pnący się w górę aż do gzymsu. Nagle przyleciały dwa szmaragdowozielone kolibry, zawisły na wysokości trąbkowatych kwiatów i wsunęły długie dzioby do ich wnętrza.

– Jak one dolatują tak wysoko? – spytała szeptem Nell.

Były takie malutkie, nie większe od ważek. Poczowała, że kolana jej dziwnie miękną. Zachwiała się, myśląc o tym, jakie to musi być dla nich trudne i jakie przeszkody pokonały, by dostać się do nektaru.

– Potrafią przelecieć pół świata – powiedziała Stevie.

– Są silne i zdecydowane.

– Są takie malutkie – szepnęła Nell. Powiał wiatr. Ze strachem pomyślała, że może je pchnąć na kamienne ściany zamku. – A jeżeli wiatr je zabije?

– Nie zabije ich – zapewniła Stevie, ściskając ją za rękę. – Mają mocne skrzydła, które potrafią oprzeć się silnym wiatrom.

– Dlaczego tylko jeden ma czerwone podgardle? – spytała Nell, przyglądając się, jak ptaszki podlatują i odlatują, jak wsuwają długie dzioby do wnętrza kwiatów.

– To jest samiec – wyjaśniła Stevie. – To kolibry rubinowe. Natura dała samcom jaśniejsze upierzenie, ale

samiczki są równie piękne, może nawet ładniejsze. Są subtelne i tajemnicze.

– Dlaczego natura to zrobiła?

– Żeby samiczka była dla samca atrakcyjna. I dla ochrony przed drapieżnikami.

Oczy Nell wypełniły się łzami. Nie wiedziała, co to są drapieżniki. Czy to nierówna i wyboista droga? Czy ostry zakręt, który wzięła ciocia Maddie, kiedy zgubiła drogę w ciemności? Czy może potwory wyłaniające się z mroku, by przypomnieć o tym, że mama nie żyje?

– Co ci jest, Nell? – spytała Stevie, patrząc na nią smutnymi oczyma.

– Tęsknię za nimi – odszepnęła Nell.

Stevie przytuliła ją do siebie. Nell poczuła, że i ona myśli o wakacyjnych przyjaciółkach, o jej mamie i cioci.

– Ja też – posłyszała jej szept.

Tego wieczoru, gdy Nell usnęła, Jack podniósł słuchawkę i wystukał dobrze znany numer. Serce kołatało mu w piersi, lecz nie tak mocno jak za pierwszym razem. Teraz był przygotowany, teraz odezwie się, powie: „Witaj”, zapyta, jak się miewają ona i Chris. Powie jej, że słyszał, że była u Stevie. Powie, że Nell za nią tęskni. Odebrała po trzecim sygnale.

– Halo?

Zamknął oczy. Serce biło przyspieszonym rytmem. Nie był to bieg po płaskim terenie, lecz wspinaczka, zbyt intensywna, by mógł to wytrzymać. Jeżeli z nią

porozmawia, będzie musiał zrezygnować z szarady i stalowego pancerza, którym się otoczył. Będzie musiał uwierzyć w to, co mu powiedziała o księdzu Kearsage'u. A jeśli Nell się o tym dowie? Dłonie tak mu się spociły, że z trudem trzymał w ręku słuchawkę.

– Cieszę się, że dzwonisz – powiedziała Madeleine urywanym głosem.

Skąd wiedziała, że to on? Nawet jeżeli miała identyfikator numerów, skąd wiedziała, jaki jest numer do tego domku letniskowego?

– Bardzo za tobą tęsknię – dodała głosem pełnym łez. – Chciałabym cofnąć czas i zmienić bieg wydarzeń. Tęsknię za moim starszym bratem.

Miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł mówić. Usłyszał jej cichy płacz. Nie chciał jej dłużej dręczyć i cicho, bez jednego słowa, odłożył słuchawkę.

Rozdział 17

Madeleine wiedziała, że to Jack. Miała identyfikator numerów, a ten numer wskazywał na cypel Hubbarda. Sprawdziła w notesie, że nie jest to numer Stevie, domyśliła się więc, że dzwoni brat. Siedziała w gabinecie i ocierała łzy, czując dreszcze pomimo ciepłego powietrza wpadającego przez okno.

W drzwiach ukazała się głowa Chrisa. Spojrzała w jasnoniebieskie oczy męża, omiotła wzrokiem siwiejące blond włosy i uśmiechnęła się z trudem. Kiwnęła głową, dając mu do zrozumienia, że wszystko w porządku. Od powrotu od Stevie sprawdzał ją częściej niż zwykle. Przypomniła sobie, jak się o nią troszczył przez wiele miesięcy po wypadku, gdy była w złym stanie psychicznym.

– Kto dzwonił? – spytał.

– Pomyłka – odpowiedziała.

– Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz.

Przynajmniej nie powiedział „płaczesz”. Uśmiechnęła się.

– Po prostu byłam uprzejma.

Uwierzył i wrócił do oglądania meczu baseballa w telewizji. Zadrzała. Nie lubiła okłamywać męża. Wiedziała jednak, że jeżeli powie, że dzwonił Jack, Chris

wciśnie numer oddzwaniania i powie Jackowi, co o nim myśli. Jakaś jej część chciała zrobić to samo.

Nie mogła uwierzyć, że jej brat wciąż nie chce lub nie może zdobyć się na rozmowę. Zgoda, ponosiła odpowiedzialność za to, że zabrała Emmę na wycieczkę i że nie zapanowała nad kierownicą. Co do reszty, Jack po prostu nie potrafił pogodzić się z prawdą. Przypomniała sobie, jak pierwszego dnia w szpitalu, gdy się ocknęła i zastała go przy swoim łóżku, opowiedziała mu o wszystkim. Załamał się, kręcił głową i jęczał jak szaleniec, waląc pięścią w ścianę. Wpadła pielęgniarka, wyciągnęła Jacka z sali, by zabandażować mu rękę, a ona zapadła w ciężki sen. Chris siedział przy niej cały dzień i noc, lekarze wchodzili i wychodzili. Zalecili rozmowę z psychiatrą. Przyszli policjanci, lecz Chris przekonał ich, żeby wrócili, gdy będzie przytomniejsza.

Niewiele pamiętała z wypadku. Psychiatra powiedział, że to szok powypadkowy. Te słowa nie dawały jej spokoju i omal nie spowodowały urazu. Krzyki, uderzenie, krew. Łatwiej oswajała się ze zdarzeniami sprzed wypadku. Pamiętała, jak przyjechała po Emmę, pamiętała biały płot i brzoskwinię rosnącą przed domem. Czowała dłoń Nell w swojej, słyszała, jak bratanica rozprawia o szkole i o wypracowaniu, które napisała o kucyku imieniem Stars. Pamiętała, jak pocałowała Jacka na do widzenia, dziękując mu, że pozwolił Emmie z nią jechać.

I weekend. Leniwe poranki przy kawie i świeżo

wyciśniętym soku z pomarańczy, spacer na plażę, wybór miejsca na koce i leżaki, wylegiwanie się na gorącym piasku i rozmowy z Emmą. Pierwszego dnia spojrzała Emmie w oczy i uśmiechnęła się szeroko.

– Popatrz, na ilu plażach byliśmy – powiedziała z rozmarzeniem w głosie.

– Przeszliśmy daleką drogę z cypla Hubbarda – stwierdziła Emma.

– To była pierwsza nasza plaża. Pamiętam, jak poznałam ciebie i Stevie Moore. Myślałyśmy, że zawsze będziemy razem. Pamiętasz, jakie byliśmy ze sobą zżyte?

Emma nie wykazywała wielkiego zainteresowania wspomnieniami.

– Pamiętasz, jak ojciec podarował jej mały angielski samochód? – nie dawała za wygraną. – Co to była za marka? Aha, hillman. Tak. Był taki śliczny, po prostu idealny na plażę. Stevie opuściła dach i zawiozła nas do lodziarni.

– Jechaliśmy ściśnięte na przednim siedzeniu w kostiumach bikini – powiedziała Emma, uśmiechając się mimo woli. – Jadłyśmy lody w rożkach, a wszyscy chłopcy na nas trąbili. Pamiętasz, jak Jimmy Peterson omal nie zjechał z drogi?

Śmiały się, wspominając przejażdżki niebieskozielonym hillmanem i tajemniczą siłę kobiecości, którą w sobie poczuły, mając siedemnaście lat. Nagle Madeleine przypomniała sobie, jak wiele lat później kupiła „Lato łabędzi” dla Nell i jak negatywnie

Emma zareagowała na książkę Stevie.

– Stevie była taka nieśmiała wobec chłopców – powiedziała. – Żyła jak pod kloszem, mieszkając tylko z ojcem.

– Pan profesor – mruknęła Emma. – Pamiętam jego angielski akcent. Trochę się w nim podkochiwałam.

– Ja też.

– Stevie miała szczęście – stwierdziła Emma z zaskakującą szorstkością. – Zrobiła karierę, która dała jej samodzielność, i nigdy nie musiała liczyć się z żadnym mężczyzną. Wynagrodziła sobie tę nieśmiałość w stosunku do chłopców, wychodząc za mąż i rozwodząc się, z kim chciała.

– Emmo...

– Przepraszam, Maddie. Pewnie nie chcesz tego słuchać, ale po to tu z tobą przyjechałam. Muszę z kimś porozmawiać.

Wystawiły twarze do słońca, delektując się ciepłem, chociaż Maddie czuła się lekko zmrożona słowami Emmy. Wiedziała, że szwagierka jest nieszczęśliwa, ale nie miała pojęcia, jak bardzo. Czuła, że oddaliła się od Jacka, nie spodziewała się jednak, że jest ktoś inny.

Plaża, wyspa, letni domek, długie bolesne rozmowy – wszystko to głęboko wryło się w jej pamięć. Była kompletnie zszokowana wyznaniem Emmy. Jak zdoła ukryć to przed własnym bratem? Godziny mijały, słońce pieściło ich skórę, fale delikatnie lizały biały piasek, a ona słuchała. W końcu dostała gęziej skórki. Była najlepszą

przyjaciółką Emmy, lecz była również siostrą Jacka. Powiedziała, że chociaż ją kocha i stara się zrozumieć jej decyzję, przede wszystkim jest siostrą Jacka. I ciotką Nell. Wówczas Emma uderzyła ją w twarz.

Wracały do domu. Czuła, jak powoli rośnie między nimi napięcie. Nie chciała wyjść na świętoszkę, powstrzymywała się więc przed wszelkimi komentarzami. Emma musiała wyczuć jej rosnący gniew, dezaprobatę i obrzydzenie, a także troskę o to, jak zareaguje Jack, a zwłaszcza Nell.

– Powinnaś pomyśleć o córce – powiedziała Maddie cicho, gdy jechały przez Georgię, bo Emma chciała jej pokazać rodzinne strony Richarda Kearsage'a. Księdza Richarda.

– Jak śmiesz tak mówić? Cały czas o niej myślę.

– Wątpię w to.

– Uważasz, że bardziej się o nią troszczysz? To moja córka – odpowiedziała Emma, po czym wymierzyła jej siarczysty policzek, pozostawiając ją zszokowaną jak nigdy dotąd.

Kiedy Jack stał przy jej łóżku, a ona z płaczem wyznała mu prawdę, oczekiwała, że podziękuje jej za to, że stanęła po jego i Nell stronie, narażając się na gniew Emmy i utratę jej przyjaźni. On jednak widział to inaczej. Ku jej zaskoczeniu winił ją za wszystko, co zrobiła Emma. Oszalał z rozpacz po stracie żony. Jeżeli uwierzyłby w to, co mu powiedziała, musiałby zmienić zdanie o matce swej córki, a na to nie potrafił się wtedy jeszcze zdobyć.

Siedziała w fotelu i wpatrywała się w telefon z nadzieją, że znowu zadzwoni. Słyszała o konfliktach w rodzinach, lecz uważała, że rzeczą nierozsądną i egoistyczną jest podtrzymywanie nienawiści między bliskimi sobie osobami. Zawsze sądziła, że jej podłożem są z reguły pieniądze – spadek, ruchomości lub dom i że tacy małostkowi krewni zapewne nigdy nie czuli więzi rodzinnej i bez większego żalu zrywali kontakty i żyli dalej. Jak bardzo się myliła.

Największym szokiem było dla niej to, że tylko jedna strona decydowała o zerwaniu stosunków, uznając, że życie będzie wówczas łatwiejsze. Druga strona nie miała nic do powiedzenia, nie miała nawet okazji do wyjaśnień.

Minuty mijały. W końcu musiała pogodzić się z tym, że telefon już nie zadzwoni. Wyrzała przez okno i zobaczyła na niebie wielką tarczę księżyca. Poczowała palące łzy pod powiekami na myśl o tym, jak pięknie musi wyglądać pełnia na cyplu Hubbarda. Stał jej przed oczami dom Stevie. Przeczucie podpowiadało jej, że to ona skłoniła Jacka do nawiązania kontaktu z siostrą. Nie wiedziała jak i dlaczego, nie potrafiła sobie wyobrazić, co Stevie powiedziała, czuła jednak, że dawna przyjaciółka poruszyła serce Jacka, wstawiając się za nią.

Patrząc na księżyc, wyobraziła sobie, jak jego światło tworzy ścieżkę łączącą Providence z cyplem Hubbarda. Dziewczyna na księżycu... Zobaczyła jej twarz i wyraziła cichą prośbę, by znowu mogła być z bratem, Nell i Stevie.

Z drugiego pokoju dobiegł chóralny aplauz. Pewnie

Red Soksi zdobyli punkt. Chris zawołał ją, by zobaczyła powtórkę. Wytarła oczy i ostatni raz popatrzyła na księżyc. Lśnił białym światłem na granatowym niebie. Zupełnie jak na obrazkach Stevie. Och, żeby tylko Stevie mogła namalować obrazek i w ten sposób połączyć ich ze sobą. Gdyby to było takie proste. Paliło ją w gardle, lecz zamiast pójść do kuchni po wino, wypła łyk dietetycznej coli. Cztery dni bez picia. Przypomniała sobie, jak Stevie opisała pierwszego męża: nie widział niczego poza butelką. Zapamiętała jej słowa.

Zawołała do Chrisa, że zaraz przyjdzie, po czym przerzuciła notes z telefonami. Znalazła numer i wystukała go. Odezwała się sekretarka, więc zostawiła wiadomość.

– Stevie, mówi Madeleine. Chciałam ci tylko podziękować. Przekaż im ode mnie pozdrowienia, dobrze? Wiesz, o kim mówię. Wkrótce do ciebie zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę i poczuła się lepiej. Potem poszła do męża, usiadła na poręczy fotela i podziękowała w duchu za to, że ma przy sobie kogoś takiego.

Wiadomość od Madeleine miała dla Stevie wielkie znaczenie, pozwoliła jej szerzej otworzyć serce. Dawna wakacyjna przyjaciółka popchnęła ją do działania. Nazajutrz wstała wcześniej, zaparzyła kawę, wlała ją do termosu i zaniósła Jackowi. Nell jeszcze spała.

Ptaki śpiewały wśród listowia. Usiedli z Jackiem na

ławce przed domem. Pochylił się ku niej, nalewając kawę. Znajomy dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Miło, że przyszłaś – powiedział.

– Ja... – zaczęła. – Nie mogę przestać myśleć, że wkrótce wyjedziesz.

– Staram się o tym nie myśleć.

– Będiesz tam miał kogoś, kto zaopiekuje się Nell? Czy doktor Galford polecił ci jakiegoś lekarza?

– Szuka kogoś. Najdziwniejsze jest to, że Nell ostatnio dobrze śpi.

– Od czasu wizyty u doktora Galforda?

– Myślę, że odkąd spędza z tobą więcej czasu – powiedział cicho.

Pochyliła się i oparła mu głowę na ramieniu. Nie mogła uwierzyć, że to powiedział. Chciałaby, żeby to była prawda.

– Mogłabym popływać z Nell jutro wczesnym rankiem?

– spytała. – Muszę skończyć dziś malować, a wieczorem jadę do ciotki.

– Na pewno będzie zachwycona – odpowiedział Jack, dotykając ręki Stevie pomimo tego, że słońce stało już wysoko na niebie i Nell mogła wyjrzeć przez okno.

Następnego ranka Stevie czekała na Nell na plaży. Było jeszcze pusto, letnicy dopiero się budzili. Powietrze było świeże i przejrzyste, niebo błękitne, bez jednej chmurki. Morze wyglądało jak błękitna szklana tafla. Ciszę zakłócały jedynie krzyki mew i łódź rybacka wypływająca

w morze.

Nell biegła po promenadzie w czerwonym kostiumie kąpielowym, z ręcznikiem powiewającym niczym peleryna. Zeskoczyła z impetem na dół, lądując na piasku tuż przy Stevie z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Tata powiedział, że chcesz się ze mną spotkać. Nigdy nie widziałam cię na plaży – sapnęła z przejęciem.

– Przychodzę tu wczesnym rankiem – wyjaśniła Stevie.

– Nie mów tego innym dzieciom, bo moja reputacja czarownicy zostanie zrujnowana.

Nell zaśmiała się.

– Podoba mi się twój kostium kąpielowy – odpowiedziała.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Stevie. Miała na sobie prosty czarny kostium bez żadnych ozdób. – Twój też jest ładny.

Była pora odpływu, poszły więc brzegiem morza wzdłuż linii wyrzuconych wczoraj przez morze wodorostów. Przy każdym ich kroku rozbrzmiewał skrzyp mokrego piasku. Słońce przyjemnie grzało im głowy i ramiona. Zbierały kamienie księżycowe, muszle i kolorowe szkiełka.

– Opowiedz mi, jak to było z wakacyjnymi przyjaciółkami – poprosiła Nell.

– Wszystko zaczęło się tutaj – powiedziała Stevie. – Gdy twoja mama i ja byłyśmy malutkie, jeszcze młodsze od ciebie.

– Jak się poznałyście?

– Nasze matki się przyjaźniły.

– Jak Bay i Tara?

– Tak. Nasze matki kochały lato i plażę i kiedy urodziły im się córki, nie mogły się doczekać, by nas ze sobą poznać.

Nell uśmiechnęła się. Słowa Stevie sprawiły jej wyraźną przyjemność.

– I co robiłyście? – spytała.

– Kiedy byłyśmy jeszcze bardzo małe, miałyśmy rok lub dwa, nasze mamy kopały dołki w piasku, tu gdzie teraz idziemy, budowały małe wały, by chroniły nas przed większymi falami, i czekały, aż te dołki wypełnią się wodą.

– Mama też kopała mi takie dołki – powiedziała Nell z tęsknotą w głosie. – Pamiętam, jak trzymała mnie na falach.

– Musiała cię bardzo kochać.

– Tak – przyznała Nell.

Fale mocniej zaczęły uderzać o brzeg. Zbliżał się przypływ. Stevie przypomniała sobie, jak spacerowała po piasku z matką tego dziecka. Historia zatoczyła koło.

Kiedy doszły do końca plaży, zostawiły ręczniki na brzegu i pobiegły do wody. Stevie zanurkowała i przepłynęła kilka metrów pod wodą. Obejrzała się i zobaczyła, że Nell płynie tuż obok niej, wypuszczając bąbelki ustami. Wynurzyły się dla zaczerpnięcia powietrza, śmiejąc się i urywanie oddychając.

– Jak daleko możesz popłynąć? – spytała Nell.

– Do Francji – odparła Stevie.

– A naprawdę? Do tratwy czy do tej dużej skały?

– Do dużej skały.

– No to płynmy.

– To dla ciebie zbyt daleko – zaproponowała Stevie. –
Lepiej niech tata tam z tobą popłynie.

– On ci ufa. No chodź, płyniemy. Pływałam tam z
Peggy i jej mamą. Ścigajmy się.

Obrały kurs w poprzek zatoczki. Stevie starała się nie przyspieszać, lecz zdumiała ją siła Nell. Płynęła spokojnie i rytmicznie. Plaża nadal była pusta i cicha. Jedynie kilka osób siedziało na molo. Stevie lubiła te wczesne godziny, gdy mogła mieć plażę tylko dla siebie. Jeszcze przyjemniej było ją dzielić z Nell.

Przepląły czterdzieści pięć metrów do wielkiej skały w kształcie wieloryba. Wspięły się na nią, omijając wodorosty i skorupiaki, by odpocząć na ciepłym kamieniu. W słońcu t połyskiwały kolonie niebiesko-czarnych małży. Stevie i Nell przykucnęły i obserwowały to, co dzieje się pod wodą. Pojawiła się ławica małych rybek, wijąca się niczym wstążka, a tuż za nią przypląły większe. Nadleciały mewy, chwilę krążyły nad nimi, po czym lotem nurkowym zaatakowały ławicę.

Nell pisnęła podekscytowana. Stevie ucieszyła się, że ciekawość wzięła u niej górę nad strachem, że nie uciekła przed ptakami i nie bała się dużych ryb. Obserwowały, jak ławica zmienia się w zygzak, mieni srebrzyście, po czym znika w głębinie.

– To było super – powiedziała Nell.

– Łańcuch pokarmowy w akcji.

– Co to jest łańcuch pokarmowy?

– Małe rybki są zjadane przez większe, a te większe zjadają jeszcze większe.

– A te zjadają wielkie jak ta skała, a za wszystkimi uganiają się mewy.

Stevie zaśmiała się. Mogłaby powstać z tego ciekawa książka.

– Nell Kilvert, jesteś wyjątkowa – powiedziała. – Dostarczasz mi mnóstwa pomysłów. Gdybym miała cię przy sobie, nigdy nie przestałabym pisać książek. – Naprawdę? – Nell uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Naprawdę.

Siedziały na skale, czekając, aż wyschną im kostiumy. Uwagę Stevie zwróciły stopy Nell. Miały taki sam kształt jak stopy Emmy: wąskie, z wysokim podbiciem. Przeniosła wzrok na jej twarz i zobaczyła oczy Jacka, jego prosty nos i wydatne kości policzkowe. W głowie jej się zakręciło od tych obserwacji. To niesamowite mieć dziecko, które ma twoje stopy i wygląda jak mężczyzna, którego kochasz.

Wróciła myślami do wiadomości od Madeleine. Prosiła ją, by przekazała „im” pozdrowienia. Nie chciała denerwować Nell i rozbudzać jej nadziei. Siedziała więc na skale i intensywnie wpatrywała się w stopy Nell, starając się przekazać miłość Madeleine, łudząc się, że Nell ją wyczuje.

– Gotowa do powrotu? – spytała Nell.

– Jeżeli ty jesteś gotowa.

Nell pokręciła głową.

– W ogóle nie chcę wracać.

– Słońce tak przyjemnie grzeje, prawda?

Nell wzruszyła ramionami.

– Yhy – mruknęła.

Pewnie pomyślała, że Stevie jej nie zrozumiała. Stevie dobrze wiedziała, że Nell miała na myśli cypel Hubbarda. Nie chciała rozstawać się z plażą. Skąd ona to знаła?

Zsunęły się do wody, odepchnęły nogami od podwodnej półki i zaczęły płynąć do brzegu. Morze lśniło, jakby było usłane diamentami i srebrem. Kiedy wyszły na brzeg, Stevie spojrzała w stronę, z której przyszły. Na piasku wciąż widniały dwie pary śladów, lecz zbliżał się przypływ i pierwsze jedwabiste fale zaczynały już je zmywać. Piasek był twardy i gładki, kiedy jednak liznęły go fale, na powierzchni pojawiły się małe otworki z pianą na wierzchu. Nell uklękła, by im się przyjrzeć.

– Co to jest? – spytała Nell.

– Małże – odpowiedziała Stevie.

– Możemy je wykopać?

– Nie tutaj. Piasek jest zbyt twardy i w każdej chwili mogą przyjść plażowicze. Ale znam pewne miejsce.

– Zaprowadzisz nas tam? Mnie i tatę?

– Mogłabym – odpowiedziała wolno Stevie. – Jeżeli twój tata zechce.

– Zechce – zapewniła ją Nell.

– Dobrze więc. To może dziś po południu. Przyptyw będzie chyba odpowiedni. Jeżeli twój tata jest wolny... A jeżeli nie, to pójdziemy same.

– Będzie wolny! – zawołała Nell z przekonaniem. – Na pewno zechce pójść. Lubi cię.

– Naprawdę? – spytała Stevie, czerwieniąc się.

Nell kiwnęła głową i uśmiechnęła się diabolicznie.

Uściskały się i Nell pobiegła na zajęcia. Stevie ruszyła w drogę powrotną do domu po śladach, które pozostawiły z Nell. Fale sięgały coraz dalej, powoli je zmywając. Każdy dzień przynosi jakąś stratę, pomyślała. Teraz jednak nie miało to większego znaczenia, bo dziś po południu mieli iść zbierać małże.

Rozdział 18

Wyglądali jak członkowie ekspedycji wyposażeni w grabki i kubełek z otworami w dnie i bokach. Stevie niosła napompowaną czarną dętkę. Nell szła przodem, podskakując, podekscytowana wyprawą. Stevie uprzedziła, by włożyli stare tenisówki, lecz jej przebijały wszystkie.

– Nie żartowałaś, mówiąc o starych tenisówkach – stwierdził Jack.

Miała na nogach parę starych czerwonych trampek z obciętą górą. Gumowe podeszwy odklejały się od płótna i piszczały przy każdym kroku.

– Nie obrażaj moich butów do zbierania małży – powiedziała. – Lata minęły, zanim je rozchodziłam.

– Nigdy bym nie powiedział – odparł, z trudem hamując śmiech.

– Opowiedz, co znalazłeś w zamku.

Jack cały rano oglądał zamek i robił pomiary.

– Jest w złym stanie – odpowiedział. – Twoja ciotka w porę ci się zwierzyła. Jeszcze ze dwie ostre zimy, a sufitów i podłóg nie dałoby się naprawić.

– Czyli jest jeszcze szansa?

– Przy dużym nakładzie pracy, tak. Ale to nie będzie tanie. Twoja ciotka pracowała, gdy tam przyjechałem, a

potem zjawił się Henry z Doreen, więc nie miałem okazji zapytać jej o plany. Czy ma dość pieniędzy na remont?

– Wuj Van kochał życie. Tak bardzo, że zostawił jej więcej niezapłaconych rachunków niż pieniędzy. Jest jednak bardzo cenioną malarką i jej prace świetnie się sprzedają.

– Potrzeba sporych nakładów, by założyć fundację i zacząć remont. Zrobię, co w mojej mocy, lecz fundacja, którą stworzy, będzie musiała wynająć architekta i budowniczego, który zna się na robocie kamieniarskiej.

– Tato, przecież ty się znasz na robocie kamieniarskiej. Mosty buduje się z kamienia – wtrąciła Nell.

– Tak, ale...

– On chce się tym zająć, naprawdę – nie ustępowała Nell. – Nie jeździłby do zamku, gdyby nie chciał. Szkoda, że nie widziałaś, jakie mosty zbudował w Maine. I jeden w Karolinie Południowej, na wyspie, na której mieszkają dzikie kucyki.

– Już i tak tyle dla nas zrobiłeś – powiedziała Stevie. – Ciocia jest bardzo wdzięczna.

Jack uśmiechnął się zadowolony. Domyślał się, do czego zmierza Nell. Chce go namówić, by tu został i zajął się zamkiem. Kusząca myśl. Czuł się podekscytowany możliwością podjęcia tak wielkiego wyzwania, jakim była renowacja tego magicznego miejsca. Powstrzymał się jednak przed powiedzeniem czegoś więcej. Nell wyraźnie nie chciała stąd wyjeżdżać. Kiedy tamtego wieczoru wspomniał o Szkocji, zatkała uszy, ucinając dalszą

rozmowę na ten temat. Jeśli o nią chodzi, to w ogóle mogliby stąd nie wyjeżdżać. Dziś mógł poudawać, że się z nią zgadza.

Szli na wschód ocienionymi krętymi ścieżkami, które prowadziły na małą plażę przy torach kolejowych. Jack przypominał sobie mgliście, że przychodził tu jako nastolatek. Było to świetne miejsce na rozpalenie ogniska, picie piwa i wsłuchiwanie się w przejeżdżające pociągi.

Stevie doskonale wybrała porę. Przyptyw się skończył. Mielizny połyskiwały w popołudniowym świetle niczym wypolerowany mahoń. Stevie przyspieszyła kroku, Nell pobiegła za nią. Jack nie miał nic przeciwko temu, że został w tyle. Nie mógł oderwać oczu od Stevie. Krótко ścięte włosy uwydatniały jej smukłą szyję. Miała na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i pochlapany farbą czarny T-shirt z napisem „Talking Heads”. Krótkie rękawki odsłaniały silne kształtne ramiona.

Weszli do płytkiej wody, co spowolniło marsz. Stevie położyła dętkę na wodzie, przywiązała do niej sznurek i podała go Nell.

Dziś rano Aida opowiedziała mu o dzieciństwie Stevie i o tym, jak straciła matkę w młodym wieku.

– Były ze sobą zżyte? – zapytał.

– Bardzo. Dla Stevie jej śmierć była nieprawdopodobnym szokiem. Dosłownie rwała sobie włosy z głowy. Gdy Johnny, mój brat, wszedł do jej pokoju, znalazł całe kłaki na poduszce i w zaciśniętych dłoniach. Musiał je siłą rozwierać. Tego wieczoru

przestała widzieć kolory. Była to reakcja organizmu na traumę. Od dzieciństwa wykazywała zdolności artystyczne i najwyraźniej jej dusza zdecydowała, że życie się skończyło, i pozbawiła ją możliwości postrzegania kolorów.

– Jak długo to trwało? – spytał Jack.

– Pół roku. Johnny chodził z nią do neurologów. Byli bezsilni. Nigdy się z czymś takim nie spotkali. Zalecali terapię, nawet szpital. Johnny znalazł dla niej dobrego lekarza, lecz nie zostawił jej w szpitalu. Susan okazała się cudowną lekarką. Pomogła Stevie wrócić do równowagi, rozmawiając z nią i rysując.

Jack przypomniał sobie, co Stevie mówiła o spotkaniach z Susan. Jej słowa pomogły mu inaczej spojrzeć na doktora Galforda.

– W trakcie terapii Johnny kupił kilka farb i namówił Stevie do malowania palcami. Robiła to, nie rozróżniając kolorów. Wszystkie jej obrazki przedstawiały ptaki. Powiedziała mu... – głos jej się załamał – że chciałyby, żeby wyrosły jej skrzydła, bo wtedy mogłaby polecieć do nieba do mamy.

Patrząc teraz na Stevie i Nell, poczuł, że ogarnia go rozpacz na myśl o tym, że za chwilę za sprawą kaprysu losu wszystko może się zmienić. Zarazem cieszył się, że córka znalazła kogoś, kogo polubiła, i że ten ktoś doskonale rozumie, przez co ona przeszła. Po śmierci Emmy postanowił, że zrobi dla Nell wszystko, co będzie musiał. Chciał, żeby kochała matkę, tak jak Stevie

kochała swoją. Lecz tak trudno było chronić jej pamięć. Pomyślał o siostrze.

– Co znaczy ten napis na twojej koszulce? – spytała Nell. Jej głos niósł się po wodzie.

– To nazwa zespołu z mojej szkoły.

– Znałaś ich?

– Nie, byli starsi. Ale lubiłam ich muzykę.

– A co to była za szkoła?

– Rhode Island School of Design.

– Jak malarze mogą chodzić do jednej szkoły z muzykami?

Stevie zaśmiała się.

– Sztuka to nie tylko malarstwo – odpowiedziała. – To bardzo rozległa dziedzina, to sposób wyrażania tego, co jest w twoim wnętrzu.

– Kto chciałby wiedzieć, co jest w moim wnętrzu? – spytała Nell, śmiejąc się nerwowo.

– Cały świat.

– Nie rozumiem.

– Pewnego dnia zrozumiesz – powiedziała Stevie, kładąc Nell rękę na głowie. Na ten widok Jackowi ścisnęło się serce. – Jestem pewna, że tutaj kryje się artystka.

Nell znowu się zaśmiała. Piaszczyste podłoże zmieniło się nagle w błoto. Zatrzymali się. Stevie wstawiła kubeczek do środka dętki i wręczyła Jackowi i Nell grabki. Miały długie cienkie pazurki i drewnianą rączkę popękana od słonej wody i słońca.

– Ciągnijcie grabkami po błocie, aż coś poczujecie. Wówczas podnieście to coś do góry i wrzucicie do kubelka.

– Ale co dokładnie mamy poczuć? – dopytywała Nell.

– Trudno to wyjaśnić – odparła Stevie. – Lecz będziesz wiedziała, kiedy to się stanie.

– A ty czym będziesz wybierać? – spytał Jack, bo nie było trzecich grabek.

Stevie uśmiechnęła się i wyciągnęła z wody mokry trampek.

– Nogą – odpowiedziała.

Przystąpili do pracy. Jack grabił bagno, czując dziwną satysfakcję. Ta niewiedza, co przyniesie kolejny ruch, kryła jakąś niepewność, równocześnie denerwującą i podniecającą. Przyszło mu na myśl, że jest człowiekiem, który myśli tylko o rezultatach i solidnym wykonaniu. Kiedy rysował linie i kąty, wiedział, jakie z nich powstaną mosty. Miał równania, które potrafił rozwiązać, wzory, na których mógł się oprzeć. Potrafi! przewidzieć, jaki będzie ostateczny wynik. Dlatego zdecydował się na Szkocję. Odejście z firmy, przygotowanie córki do wyjazdu, ucieczka od prawdy najdalej jak się da, czego efektem miało być szczęśliwe, normalne życie. Nagle zapragnął zrobić coś bez powodu, dla samej przyjemności. Przypomniał sobie, jak zabiło mu serce, gdy usłyszał Stevie mówiącą Nell o sztuce.

– Znalazłam coś! – pisnęła nagle Nell.

Jack i Stevie pochylili się, patrząc, jak Nell podnosi

grabki ociekające szarym błotem, po czym wrzuca ich zawartość do kubelka umieszczonego w dętce. Woda wlała się przez otwory, wypłukała błoto i ich oczom ukazała się całkiem pokaźny małż.

– Dobra robota – powiedział Jack.

– Dorodny okaz – stwierdziła Stevie, wyjmując go i unosząc do światła.

– Co z nim zrobimy? – spytała Nell.

– Jeżeli złapiemy więcej, będziemy mieli kolację – odpowiedział Jack. – Może Stevie zjadłaby z nami.

– Bardzo chętnie.

Twarz Stevie rozjaśnił uśmiech równie promienny jak ten zdobiący buzię Nell.

Pracowali aż do zachodu słońca. Musieli trafić na dobre miejsce, bo nagle wszyscy zaczęli znajdować małże. Stevie wyczuwała je stopami, potem wykopywała. Światło było szare, zabarwione odcieniem purpury i złota. Kładło się na powierzchni wody, nadając jej ołowiany blask, zalewało North Brother i South Brother, skaliste wyspy na południowym wschodzie, które zmieniały kolor na pomarańczowy.

Zaczął się przyptyw i woda przybrała. Jackowi sięgnęła do ud, Stevie do talii, a Nell do piersi. Dziewczęta wybuchnęły śmiechem i dały nura pod powierzchnię. Kiedy się wynurzyły, były zupełnie mokre. Stevie rzuciła Jackowi rozbawione spojrzenie, mając świadomość, że koszulka przykleiła jej się do ciała. Uśmiechnął się, głośno przełykając ślinę. Była taka piękna i ożywiona, i

wcale nie przejmowała się tym, co może z tego wyniknąć. Nie wytrzymał i odwrócił wzrok.

Poszli do domu Stevie. Jack nie zmoczył sobie ubrania, zajął się więc czyszczeniem małży, podczas gdy Stevie i Nell myły się pod prysznicem przed domem. Nell bardzo się to podobało. Wdychała zapach kapryfolium i wawrzynu, gdy gorąca woda lała jej się na głowę. Owinęły się ręcznikami i pobiegly boszo do kuchni.

– Nie patrz, tato – zaśmiała się Nell, a Jack udał, że odwraca wzrok.

Poszły ze Stevie na górę. Ubranie Nell było przemoczone, więc Stevie przejrzała szuflady w poszukiwaniu czegoś zastępczego.

– Co powiesz na to? – spytała, pokazując spodnie do kolan i bluzę sportową.

– Ekstra – odpowiedziała Nell.

Spodobało jej się, że bluza jest miękka i pachnie Stevie. Nie przeszkadzało jej nawet to, że Stevie musiała wziąć wielką agrafkę i spiąć nią za duże spodnie, by nie opadały w tali.

Słońce schowało się już za horyzontem i wrona spała w klatce. Wyglądała na taką samotną i opuszczoną. Główkę schowała pod skrzydełkiem. Serce Nell ścisnęło się ze smutku. Ona też nie miała rodziny.

Na dole w kuchni zabrali się w trójkę do przygotowania kolacji. Stevie pokazała Nell, gdzie są rzeczy potrzebne do nakrycia stołu. Używała ślicznych lnianych serwetek.

Tilly siedziała na blacie i przyglądała się, jak Nell układa je przy talerzach. Jack kroił czosnek i szalotkę. Zażartował, że cebula wyciska mu łzy z oczu, lecz widać było, że się śmieje. Nell bardzo to ucieszyło.

– Makaron się gotuje, szalotka i czosnek smażą się na oleju. Co jeszcze potrzebne jest do sosu? – spyta! Jack.

– Świeże zioła – odpowiedziała Stevie, chwytając oboje za ręce.

Poprowadziła ich do małego ziołowego ogrodu za domem. Tilly dała susa między drzewa.

– Miejscowe zioła są magiczne – oznajmiła Stevie. – Rosną niemal przy każdym domu.

– Ale nie tak magiczne jak te z twojego ogródka – zaśmiał się Jack. – Wszyscy wiemy, co dzieci o tobie mówią.

– Tato – zganiła go Nell zszokowana, że wyciąga plotkę o czarownicy.

– We wszystkim co mówią dzieci, jest odrobina prawdy – odparła Stevie, stając wśród pachnących ziół. – Ja wierzę w magię.

– Tak?

Nell weszła za nią w środek grządki. Zapach rozmarynu, tymianku, mięty i trybuli był tak silny, że przyprawiał o zawrót głowy.

– Tak. Wierzę, że jeśli bardzo się czegoś chce i pragnie się tego we właściwy sposób, to pragnienie się spełni.

– We właściwy sposób? – powtórzył Jack.

– Tak. – Stevie pokazała, które zioła zerwać.

– To znaczy jak?

– Robisz, co możesz, by to się spełniło, a potem przestajesz kontrolować rozwój wypadków.

Nell pochyliła się. Było ciemno i nie widziała, co zrywa. Tam mogły być myszy, pająki albo węże. Ufała jednak Stevie. W dodatku zioła tak ładnie pachniały, noc była taka piękna. Zerwała garść pietruszki i kolendry.

– To komu przekazujesz kontrolę? – spytał Jack.

Stevie nie odpowiedziała, Nell również nie. Mocno zacisnęła powieki. Pamiętała, jak w Atlancie wszystko ją smuciło i tak bardzo chciała, żeby oboje z tatą byli szczęśliwi. Tego właśnie dnia powiedział jej, że przenoszą się do Bostonu. Dzięki temu trafili na cypel Hubbarda, gdzie poznała Peggy i... i Stevie. Nie otwierając oczu, wymówiła w myślach życzenie, żeby już zawsze byli razem.

W tym momencie usłyszeli muzykę dochodzącą z plaży. Nell przestraszyła się, bo brzmiała tak dziwnie i tajemniczo, jak głosy z nieba.

– Co to jest? – spytała.

– Kino na plaży – odpowiedzieli równocześnie Stevie i Jack.

– Pójdziemy tam? – spytała.

– Kolacja prawie gotowa – przypomniał Jack.

– Moglibyśmy się pospieszyć – wtrąciła Stevie.

– No to chodźmy – zgodził się Jack.

Weszli do domu. Stevie wrzuciła zioła do miedzianego garnka. Po kilku minutach małże zaczęły się otwierać.

Jack przygotował proste linguine z masłem, tak na wszelki wypadek, i dobrze zrobił, bo Nell nie chciała jeść małży, które zebrała. Za to Jack i Stevie nie mieli oporów i stwierdzili, że nigdy nie jedli równie dobrych.

Po skończonym posiłku Stevie i Jack szybko zmyli naczynia. Nell skakała po całym domu, a Tilly przyglądała się jej z bezpiecznego miejsca na gzymsie kominka. Nell czuła się tak, jakby była u siebie i zapragnęła ciągle tu przychodzić.

Zatrzymała się pod wpływem tej myśli. Przypomniała sobie, co Stevie powiedziała w ziołowym ogrodzie. Ze trzeba czegoś chcieć i bardzo się starać, a wówczas się spełni. Ona chciała, żeby ten dzień nigdy się nie skończył, i proszę, teraz mieli iść razem do kina na plaży. Poczowała się dziwnie silna. Nareszcie mogła w coś wierzyć. To było jak wykopanie z błota pięknego małża albo jak wybieranie w ciemności ziół na kolację. Może Stevie była jednak czarownicą.

Sterie nie mogła uwierzyć, że to robi. Co prawda jej dom stał przy plaży i w każdy czwartkowy wieczór wiatr przynosił dźwięki wyświetlanych filmów, lecz ostatni raz była w plażowym kinie jako nastolatka. Włożyły z Nell swetry, a Jack dostał starą bluzę ojca. Przechodzili właśnie przez mostek, gdy dobiegł końca film rysunkowy. Nell pobiegła poszukać dobrego miejsca na rozłożenie koca.

Projektor stał na promenadzie i rzucał obraz na nieco

poszarpany ekran wiszący na czymś, co wyglądało jak stary słupek bramki. Na piasku siedziały rodziny z dziećmi, nastolatki, które umówiły się na wieczór, pary korzystające z okazji, że jest ciemno i mogą bez zwracania niczyjej uwagi leżeć razem na kocu. Była również Peggy z matką, Danem, Tarą i Annie. Billy z kumplami siedzieli na promenadzie. Natychmiast zauważyli Nell i powiedzieli, że zsuną koce, by zrobić im miejsce. Stevie przeszła przez tłum, zdając sobie sprawę z tego, że ludzie jej się przyglądają. Nell trzymała ją z dumą za rękę, podczas gdy Jack rozkładał koc.

– Dobry wieczór wszystkim – powiedziała Stevie.

– Dobry wieczór, Stevie, dobry wieczór, Jack.

– Dzięki, że zrobiliście nam miejsce.

Noc była ciemna, lecz światło projektora padające na pusty ekran rzucało blask na twarze widzów.

– Och, my też się cieszymy – powiedziała Bay, uśmiechając się znacząco, aż Stevie zaczęła się zastanawiać, o czym ona myśli. Tara również szczerzyła zęby w uśmiechu. Peggy obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem. Stevie uśmiechnęła się do niej serdecznie.

– A gdzie Joe? – spytał Jack.

– Stara się uczynić świat bezpieczniejszym – odparła Tara. – A ja jestem wolna jak ptak i mogę delektować się filmem.

– Uważaj, jesteś zaręczona – ostrzegła Bay.

– Wiem. Miłość łągodzi ten okrutny świat – stwierdziła Tara. – Ostrzegam cię, Stevie, jak już wypowiem

sakramentalne „tak”, zostaniesz oficjalnie uznana za nierządnicę na cyplu.

– Jakoś to zniosę – odparła Stevie ze śmiechem.

W tym momencie zaczął się film. Wszystko odbyło się tak, jak pamiętała z młodości: stary projektor zgrzytał, taśma filmowa kręciła się na szpulach, zagłuszając szum fal uderzających o brzeg, a oglądany obraz był wykoślawiony z powodu fałd na zniszczonym przez wiatr ekranie. Stevie zaśmiała się radośnie, czując, jak ubywa jej lat.

Jack i Nell wykopali dołek, usypali podwyższenie na plecy, rozłożyli koc, po czym wszyscy troje usiedli blisko siebie z Jackiem pośrodku, by Nell mogła siedzieć obok Peggy. Film nosił tytuł „Nieletni świadek” i Stevie była pewna, że oglądała go z Emmą i Madeleine.

– Wcale tak o tobie nie myślę – powiedział ściszym głosem Jack, odwracając się do Stevie.

– Jak?

– Że jesteś nierządnicą. Tara po prostu żartowała.

Popatrzyła na niego zaskoczona, że staje w jej obronie.

– Dziękuję – odszepnęła. – Ale w pewnym sensie nią jestem, chociaż nieświadomie.

– Nie. Nie jesteś.

Wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami. Stevie przebiegł dreszcz po plecach. Poczuli się dziwnie wzruszeni i bezpieczni.

– Dziękuję – powtórzyła.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Jack odsunął je z czoła i

spojrzał Stevie w oczy. Nie mogła oddychać i skupić wzroku na ekranie. Napięcie potęgowane muzyką rosło, gdy kamera ukazała Hayley Mills ukrywającą się za schodami. Nell i Peggy nie chciały na to patrzeć, poprosiły więc o pieniądze na lody i pobiegly do furgonetki.

– Widziałem już tę scenę – powiedział, odwracając się ku niej.

Puścił jej dłoń i objął ramieniem. Poczowała się jak szesnastolatka, nie, była bardziej podekscytowana niż wtedy, gdy to samo zrobił pierwszy chłopiec, z którym przyszła na film. Serce jej waliło, gdy oddech Jacka musnął jej policzek.

– Ja też.

– Nawet gdybym nie widział, wolałbym z tobą rozmawiać.

Kiwnęła głową i powtórzyła bezgłośnie: „Ja też”. Dotknął wargami jej policzka. Patrzyli przez chwilę na ekran i nagle film się urwał. Wszyscy jęknęli, lecz ktoś zawołał, że za kilka minut projekcja zostanie wznowiona. Ludzie ich otoczyli, lecz Stevie myślała jedynie o pocałunku Jacka. Gdyby byli młodsi i gdyby nie było tu Nell, toby poszli pod promenadę. Roześmiała się mimowolnie.

– O czym myślisz? – zapytał.

– Była sobie nierządnicą...

– Nie ma tu żadnej nierządniczy – powtórzył z uporem.

Kiwnęła głową.

– Przecież nie planowałam tego, że przed czterdziestką wyjdę za mąż trzy razy. Tak po prostu wyszło. Łatwo się zakochuję.

– Naprawdę? – spytał z szerokim uśmiechem na twarzy. Jej uśmiech przyszedł z trudem.

– To nie przychodzi ot, tak sobie. Ja... to znaczy... tak bardzo współczuję ludziom, że... no, że ich kocham. Nie potrafię tego włączać i wyłączać na zawołanie. I wierzę w małżeństwo.

– Twoja ciotka opowiadała mi, że małżeństwo twoich rodziców było bardzo szczęśliwe.

– To prawda – przyznała. Nagle poczuła się skrepowana, że Jack obejmuje ją ramieniem. Przeszłość dała o sobie znać, instynktownie wyslizgnęła się z jego uścisku. – Świata poza sobą nie widzieli. Jak ty i Emma.

Dlaczego nagle odwrócił wzrok? Przecież bardzo kochał Emmę. Dlatego po jej śmierci wyjechał z Atlanty. Dlatego przestał się odzywać do Maddie.

– Nie – rzucił.

– Słucham?

– Moje małżeństwo nie było udane – powiedział cicho. – Myślałem, że takie jest. Naprawdę. Emma wydawała się szczęśliwa. Wychowywała Nell, potem zaczęła pracować jako wolontariuszka w naszym kościele. Odwiedzała domy opieki, ośrodki dla bezdomnych, więzienie. Emma czytała więźniom. Gdyby nie siostra...

Stevie czekała. Jack miał twarz ściągniętą bólem.

– To ona mi powiedziała – dokończył. – Czułem, że coś

jest nie tak, lecz byłem zbyt tępy, żeby domyślić się, o co chodzi. Maddie powiedziała mi po śmierci Emmy.

– Och, Jack.

– Chciałbym ci powiedzieć, lecz nie wiem, czy potrafię. To wszystko jest takie dziwne: znajomość z tobą, to że Nell tak cię lubi i to że chcesz dla niej jak najlepiej. Czuję, że mógłbym ci wszystko powiedzieć.

– Bo możesz.

Pokręcił głową.

– Bardzo bym chciał, lecz muszę myśleć o Nell. Mieć na względzie przede wszystkim jej dobro. Kochała matkę i niech tak zostanie.

– Rozumiem. Chcesz chronić pamięć Emmy. – Stevie ścisnęła go za rękę. – Lecz powinieneś to komuś powiedzieć, Jack. To cię zjada od środka, niszczy ci życie.

– Jak to?

– Przecież to nie pozwala ci pogodzić się z siostrą.

Utkwił wzrok w ekranie, jakby chciał, żeby wznowili projekcję, bo nie musieliby już rozmawiać. Zarazem jednak oddał jej uścisk.

– Co ona ci powiedziała? – spytała Stevie.

Zaczął się film, obraz początkowo drżał, a dźwięk walczył o pierwszeństwo ze wschodnim wiatrem. Stevie zawsze go wyczuwała, bo przynosił zapach morza.

– Maddie powiedziała mi, że Emma zamierzała nas opuścić – poinformował Jack schrypniętym głosem.

Stevie spojrzała w jego czarne oczy i mocniej ścisnęła go za rękę.

– Zostawić was? – szepnęła.

– Miała drugie życie – dodał po chwili. – A ja o niczym nie wiedziałem.

– Ale...

– Nie chcę, żeby Nell się dowiedziała. Żałuję, że o tym wiem. Żałuję, że Madeleine mi o tym powiedziała.

– Nie mogła przecież kłamać.

– Wolałbym, żeby skłamała – powiedział z rozpaczą w głosie. – Dlatego postanowiłem zabrać Nell do Szkocji. Chciałem, żeby była jak najdalej stąd. A teraz...

Stevie wstrzymała oddech, lecz Jack zamilkł, a jej serce podskoczyło do gardła, kiedy pochylił się i dotknął wargami jej ust. Wiatr się wzmógł, zagłuszając film.

Wróciła Nell. Przybiegła razem z Peggy i przytuliła się do ojca. Jack ścisnął rękę Stevie i odwrócił się do Nell, wracając do roli ojca. Poczowała, jak cofa ramię, by wytrzeć ślad łodów z policzka córki. Nell była zafascynowana dziwną przyjaźnią Hayley Mills z marynarzem. Patrzyła na ekran z otwartymi ustami.

Kiedy film dobiegł końca, połowa dzieci spała. Nell była śpiąca, lecz trzymała się na nogach. Bay i Tara pożegnały się ze Stevie i zaprosiły ją do siebie. Podziękowała i powiedziała, że wpadnie.

Nell szła z przodu z Peggy i umawiała się z nią na jutro. Stevie skorzystała z okazji, by wziąć Jacka za rękę. Bardzo chciała natchnąć go siłą i łaską potrzebną do tego, by spojrzeć prawdzie w oczy.

– Nie powinnam ci mówić, co bym chciała... – zaczęła i

urwała.

– Ale ja chcę, żebyś powiedziała.

– Zostań – szepnęła. – Nie jedź do Szkocji. Zostań.

Dotknął jej policzka, lecz najwyraźniej nie ufał swojemu głosowi. Nell przybiegła, by się z nią pożegnać. Stevie patrzyła, jak ojciec z córką przechodzą przez parking do domku letniskowego, unosząc z sobą wielki rodzinny sekret.

Rozdział 19

Madeleine starała się nie patrzeć na telefon w oczekiwaniu, aż zacznie dzwonić. Nic nie dało jej tyle nadziei przez cały rok jak te ciche telefony od brata. Nawet nie przypuszczała, że jest w niej nadzieja – wiara w to, że może następnym razem Jack wreszcie się odezwie, że złączą porządkować sprawy między nimi. Telefony jednak się urwały, a ona pogрузzyła się w ciemności, o której nawet nie miała pojęcia, że istnieje. Nie umiała rano wstać z łóżka. Musiała zmuszać się do wykonania najdrobniejszej czynności. Na widok kobiety o kolorze włosów podobnym do Emmy wybuchwała płaczem. Wracając któregoś dnia do domu, usłyszała w radio piosenkę, która przypomniała jej Jacka. Zjechała na pobocze i rozplakała się.

Chris martwił się o nią i nalegał, żeby skorzystała z fachowej pomocy. Co prawda miała kilka spotkań z terapeutą zaraz po wypadku, lecz wcale jej nie pomogły. Rozmowa o tym, co się stało, budziła w niej straszne uczucia. Miała wrażenie, że emocje utkwily w jej ciele, umyśle i sercu i nie chcą wydostać się na zewnątrz. Lekarz przepisał jej lek blokujący wszelkie uczucia i powodujący, że zaczęła siebie nienawidzić. Odstawiła więc i lekarstwo, i lekarza.

Pewnego wieczoru Chris pokazał jej artykuł pani psycholog praktykującej w Providence i wykładającej na uniwersytecie Browna. Nazywała się Susanna Mallory i specjalizowała się w leczeniu traumy. Artykuł nosił tytuł „Budzenie umarłego” i zaczynał się od wypowiedzi ofiar wypadków. Ciała tych ludzi wróciły do zdrowia, lecz ich życie się zatrzymało. „W stanie hibernacji” – tak ujęła to jedna z osób. Chris zostawił artykuł na jej biurku z dopiskiem: „Autorka artykułu inaczej patrzy na te sprawy. Myślisz, że zrozumiałaby?”

Chris był taki czuły i delikatny, że czasami nie mogła tego znieść. Nie wierzyła, by jakakolwiek terapia mogła jej pomóc. Jej zdaniem żaden psychoterapeuta nie był w stanie naprawić jej stosunków z bratem. Mimo wszystko postanowiła przeczytać artykuł, by nie robić przykrości Chrisowi.

Mąż był jak szpital w jednej osobie – darzył miłością, opiekował się i okazywał niezwykłą cierpliwość. Nie miał pretensji, że czasami pije za dużo, że płacze w łóżku i nie zajmuje się domem. Zareagował dopiero wtedy, gdy przestała wychodzić między ludzi, a on zauważył, jak bardzo cierpi.

– Przecież kiedyś uwielbiałaś wychodzić – mówił. – A teraz nawet nie chcesz zjeść na mieście. Przestałaś jeździć do Newport i Little Compton, nie chodzisz na plażę.

– Nieprawda – odpowiadała. – Jestem po prostu zmęczona.

Albo:

– Boli mnie głowa.

Albo starała się wszystko obrócić w żart:

– Jestem w okresie przed menopauzą. Mam napady gorąca i osteoporozę. Po prostu nie jestem sobą.

Znosił to tak długo, jak się dało, pozwalając, by sama się z tym uporała. W końcu jednak nie wytrzymał.

Minął miesiąc od jej wizyty na cyplu Hubbarda i dwa tygodnie od telefonów Jacka. Nie pamiętała, co robiła przed kilkoma godzinami, czuła się załamana, niezdolna do żadnych uczuć. Nocami dręczyły ją koszmary, słyszała krzyk Emmy i coraz częściej myślała o tym, by skoczyć z mostu.

Chris w końcu umówił ją na wizytę u doktor Mallory. Gabinet mieścił się w domu z cegły w zadbanej dzielnicy Providence. W środku na ścianach wisiały czarno-białe fotografie gór i nagich drzew. Terapeutka miała około czterdziestu pięciu lat, wysoką i szczupłą sylwetkę, piękne włosy i istne pokłady cierpliwości.

Madeleine zaczęła opowiadać o sobie. Była administratorką, znała więc wartość słowa i mówienia ściśle na temat. Chłodno i bez emocji wyjaśniła, dlaczego się tu znalazła: jest odrętwiała i nie może się na niczym skupić. Nosi żałobę po szwagierce, która zginęła w wypadku samochodowym. Ona siedziała za kierownicą. Została w tym wypadku ranna, lecz jej życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Miała tylko wstrząs mózgu i jakiś uraz ręki.

Psychoterapeutka zapytała, jaką metodę leczenia

zastosowano. Madeleine odpowiedziała, że przeszła kilka operacji i terapię zajęciową. Doktor Mallory przyglądała jej się przez chwilę. Zapewne na coś czekała. W jej spojrzeniu były spokój i łagodność. Madeleine poczuła ucisk w gardle, jakby zbierało jej się na płacz.

– Terapia zajęciowa, operacje – powiedziała terapeutka.
– Obrażenia musiały być bardzo poważne.

Madeleine zastanawiała się, czy Chris powiedział jej, że prawie urwało jej rękę. Nie chciała o tym mówić, bo w czasie poprzedniej rozmowy z psychologiem omal nie oszalała z rozpacz. Bo jak mogła narzekać, że niemal straciła rękę, skoro w tym samym wypadku Emma straciła życie. Powiedziała zamiast tego, że mąż bardzo ją wspierał, natomiast ona i brat stali się sobie obcy.

Mówiła dalej, starając się nie okazywać żadnych uczuć i trzymać się tematu, by udowodnić, że panuje nad sobą i jest przy zdrowych zmysłach. Powiedziała, gdzie się urodziła, kim byli rodzice i że w czwórce, z bratem Jackiem, tworzyli szczęśliwą, kochającą się rodzinę. Opisała stan zdrowia – ogólnie dobry. Nie ćwiczy, przestała grać w tenisa, czemu kiedyś oddawała się z pasją.

– Była pani zżyta z bratem?

Madeleine kiwnęła głową.

– Jest ode mnie o cztery lata starszy, lecz zawsze odprowadzał mnie do szkoły. Pozwalał mi chodzić ze swoimi kolegami do parku Goodwina. Korty tenisowe nie były wówczas oświetlone, ale i tak graliśmy do zmroku, a

nawet dłużej. Graliśmy na wycucie, słuchając piłki. Zabierał mnie do centrum, czasami jeździliśmy autobusem na gapę, siedząc na tylnym zderzaku.

Uśmiechnęła się, by pokazać, że wcale się wtedy nie bała. Wciąż nieomal czuła, jak Jack trzyma ją za rękę. „Nic ci się nie stanie, Maddie” – zapewniał. – „Nie dopuszczę do tego”. Nawet nie przyszło jej do głowy, że może im się coś stać.

Ta opowieść wydobyła ogromne pokłady miłości i zaufania, jakimi darzyła brata, i wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Tylko po co ja to pani mówię? – spytała, otrząsając się ze wspomnień. – To nie ma nic wspólnego z tym, dlaczego tu jestem.

Terapeutka uśmiechnęła się tylko.

– Nasza rodzina spędzała wakacje na cyplu Hubbarda. Nie byliśmy bogaci, lecz ojciec całe życie oszczędzał, żeby niczego nam nie brakowało. Byliśmy wtedy nastolatkami, lecz Jack nadal pozwalał mi chodzić ze sobą, dopóki nie znalazłam własnych koleżanek. Jedną z nich była Emma, a drugą Stevie. – Urwała i spojrzała na doktor Mallory. – Do tego czasu opiekował się mną. Z początku nikogo tam nie znaliśmy.

– Ale mieliście siebie.

Kiwnęła głową.

– Kiedy tylko mógł, jeździł do Hartford. Miał tam dziewczynę. Ale graliśmy razem w tenisa albo łowiliśmy ryby. Ścigaliśmy się, kto pierwszy dopłynie do tratwy,

jeździliśmy na rowerach po okolicy, odkryliśmy starą wieżę ciśnień przy torach kolejowych. Weszłam na drabinę, by mu zaimponować. – Zamknęła oczy, przypominając sobie całe zdarzenie. – Zawołał, żebym zeszła, lecz ja chciałam mu pokazać, że potrafię.

Terapeutka słuchała.

– Była to stara rozklekotana drabina zrobiona z jakiegoś metalu, lecz bardzo cienka i pordzewiała. Weszłam na samą górę i niepotrzebnie spojrzałam w dół.

– Jak wysoko to było?

– Jakies dziesięć metrów. – Mimowolnie zacisnęła palce. – Nie mogłam się ruszyć. Przywarłam do tej drabiny przekonana, że spadnę i się zabiję. Byłam jak sparaliżowana.

– A pani brat?

Przełknęła ślinę. Łzy popłynęły jej z oczu.

– Wszedł po mnie na górę.

Doktor Mallory patrzyła na Madeleine, gdy ona przypominała sobie szczegóły tamtego dnia – upał, drgania drabiny, gdy Jack po niej wchodził, panikę, jaką czuła. „Trzymaj się, Maddie” – uspokajał ją. – „Dasz sobie radę, tylko nie patrz w dół. Zaraz będę przy tobie”.

– Poczułam, jak chwyta mnie za kostkę. Krzyknęłam, żeby mnie puścił, bo jeżeli spadnę, to pociągnę go za sobą.

– I co? Puścił?

Pokręciła głową. Łzy spływały jej wolno po policzkach.

– Nie. Powiedział, że nie spadnę, że jestem silna, że

muszę tylko przesunąć rękę. Stał za mną, mówił do mnie i nie puszczał kostki. Wie pani, co myślę?

– Co?

– Że nawet gdybym zaczęła spadać, toby mnie złapał.

– Na to wygląda – przyznała łagodnie doktor Mallory.

Siedziała w fotelu, a Maddie łkała cicho. Sięgnęła do pudełka z chusteczkami stojącego na stoliku obok. Czuła swędzenie w kostce, jakby Jack wciąż zaciskał na niej palce.

– Dorastałam w przeświadczeniu, że gdyby mógł, ocaliłby mi życie – powiedziała urywanym głosem.

Oczy doktor Mallory były dobre i smutne, jakby razem z Madeleine odczuwała jej ból.

– Sprowadził panią na ziemię.

Madeleine pokiwała głową. Zaczęła się powoli uspokajać. Przytknęła chusteczkę do nosa, usiłując zapanować nad płaczem. Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że doktor Mallory ją obserwuje.

– Powiedziała pani na początku, że czuje się odrętwiała – podjęła terapeutka. – To niemal to samo co sparaliżowana.

– Tak właśnie czułam się na drabinie – odparła Madeleine.

– Tym razem jednak pani brat...

– Nie uratuje mnie – dokończyła. – Nawet nie chce tego zrobić.

Doktor Mallory milczała, pozwalając wybrzmieć słowom. Maddie przycisnęła mokrą chusteczkę do oczu,

usiłując powstrzymać łzy.

– On myśli, że zabiłam jego żonę – wyszeptała. – I ma rację.

Straszne słowa zadźwięczały jej w uszach, lecz łagodny wyraz twarzy psychoterapeutki nie zmienił się ani na jotę.

– Ale ja nie chciałam – dodała ledwie słyszalnie Madeleine.

– Wiem.

– Dlaczego nie potrafi mi wybaczyć? Jak mogę żyć i po co, jeżeli mnie nienawidzi i uważa, że zabiłam jego żonę, matkę Nell? – Madeleine zaczęła spazmatycznie chwytać powietrze w płuca. – Pomoże mi pani? – spytała, patrząc na nią błagalnie. – Sprawি pani, że mój brat mi wybaczy?

Psychoterapeutka siedziała przez chwilę w milczeniu, po czym pochyliła się ku niej.

– Tego nie mogę pani obiecać – odparła, patrząc na pacjentkę ze współczuciem. – Lecz mogę sprawić, że pani wybaczy sobie.

Madeleine zamknęła oczy i pozwoliła płynąć łzom.

Rozdział 20

Przez następne trzy dni, gdy Nell była na zajęciach, Jack jeździł na wzgórze Lovecrafta. Ściągnął do siebie Jima Man – gana, inżyniera z biura w Bostonie. Obeszli z mapą cały teren. Jim był licencjonowanym geometrą, kreślił więc linie i zaznaczał granice.

W czasie obchodu Jack myślał o Stevie. „Nie jedź do Szkocji. Zostań” – powiedziała. Jedyнным znanym mu sposobem na pozbycie się bólu było uciec od niego jak najdalej. Ale Stevie powiedziała: „Zostań” i zaczął rozważać tę dotąd nie do pomyślenia możliwość.

W głębi lasu natknęli się na ślady jelenia i innych zwierząt, jaskinie ukryte pod skalnymi półkami, strumienie, staw, zaskakująco wielkie metasekwoje. Jack robił notatki. Uznał, że najszerszy strumień wymaga przeprawy i że najlepiej będą się do tego nadawać ułożone w nurcie wielkie głazy.

– Dzięki, że przyjechałeś – powiedział do Jima.

– Nie ma za co – odparł Jim. – Przynajmniej nie musiałem uczestniczyć w naradzie nad tym projektem dotyczącym rzeki Piscataqua. Przykro mi, że odchodzisz. Francesca twierdzi, że wykiwałeś ją, żeby przejść do Ivana Romanova.

– Złożył ofertę, a ja ją przyjąłem – odrzekł Jack.

– Babę rozdrażnić to gorzej niż diabła.

– Przykro mi, że tak to odbiera – powiedział Jack, czując się jak łajdak. Z Jima był porządny gość, chociaż lubił od czasu do czasu poplotkować i powyciągać na światło dzienne biurowe nieprawości, ale musiał mu przyznać rację: rzeczywiście w pewnym sensie wykiwał Francescę, aczkolwiek nie tak, jak sądził jego kumpel. Najgorsze zaś w tym wszystkim było to, że i w jedno, i w drugie dał się uwikłać niejako wbrew swej woli.

– Jak mawia mój brat, wszyscy faceci to kanalie – rzucił Jim.

– Mam nadzieję, że twój brat się myli. Ja mam córkę, wiesz.

– No tak. Za to na pewno udaje nam się po królewsku spieprzyć wszystko. Moja żona wie coś na ten temat. Mieszka w domu moich marzeń, który zaprojektowałem i zbudowałem, a ja sypiam na kanapie mojego brata.

– Co przeszkrobałeś? – spytał Jack.

Pod stopami szeleściły im suche liście i poszycie.

– Zakochałem się przez Internet. Janice rozszyfrowała moje hasło i dobrała się do skrzynki e-mailowej.

– Źle się stało – stwierdził Jack.

– Że się zakochałem czy że dobrała się do moich e-maili?

– Jedno i drugie.

Wiedział coś o tym. Jakiś czas przed wypadkiem Emmy – wtedy oczywiście tak tego nie odbierał, zrozumiał to znacznie później – zaczął odczuwać niepokój. Gdyby miał

użyć metafory, powiedziałby, że małżeństwo jest jak pływanie. Czasami płynie się gładko, bez kłopotów, a czasami zdarzają się chłodne okresy, kiedy ma się ochotę wyjść z wody. Podczas jednego z takich chłodnych okresów zaczął korespondować z kobietą pracującą w filii ich firmy w Cleveland. Czyżby już się domyślał, co dzieje się z Emmą? Wówczas usprawiedliwiał własne postępowanie tym, że zaangażowała się w działalność charytatywną organizowaną przez kościół, tracąc zainteresowanie nim i domem.

Korespondencja zaczęła się zupełnie niewinnie. Najpierw dotyczyła projektu mostu podwieszanego w Cincinnati, w który oboje byli zaangażowani. Kobieta okazała się dowcipna i ciepła, a on czuł się zziębnięty i niedoceniony. Wkrótce e-maile nabrały bardziej osobistego charakteru. Pamiętał, jak budził się przed świtem i sprawdzał, czy przesłała mu w nocy jakąś wiadomość.

– Czy między tobą i twoją internetową znajomą coś zaszło? – spytał Jima, przechodząc przez wąski strumyk.

– Tak. Dlatego zostałem wykopany. Zasłużyłem na to.

W jego wypadku do niczego nie doszło. Teraz jednak uświadomił sobie, że czując się obco w małżeństwie, nawiązał coś w rodzaju wirtualnego romansu z kobietą, której prawie nie znał. Po śmierci Emmy włożył wiele wysiłku w to, by wyidealizować obraz własnego małżeństwa. Czy to nie dziwne, że właśnie teraz sobie o tym przypomniał? Nie, chyba nie, odpowiedział sobie w

duchu. Telefony do Madeleine, jej głos, były jak otwarcie puszek Pandory ze sprawami, o których chciał zapomnieć. Lecz czy mu się to podobało czy nie, nie mógł się więcej oszukiwać: czuł się samotny na długo przed tym, zanim odeszła żona, a jego siostra była tylko posłańcem złych wiadomości. To Emma dopuściła się zdrady.

– Internet to diabelskie urządzenie – stwierdził Jim. – Męski rozum też. Muszę dźwigać swój krzyż. Ale skoro jestem w separacji, a wy nie jesteście już parą, to może zaproszę Francescę na kolację.

Jack nie odpowiedział. Chciał ochronić Francescę przed Jimem, lecz uznał, że da sobie radę sama. Znowu wrócił myślami do własnego małżeństwa. Przypomniawszy sobie, jak rzadko się z Emmą kochali. Po co rozdrapuje rany? Co dobrego może z tego wyniknąć?

Zmierzyli z Jimem wysuniętą najdalej na zachód granicę posiadłości. Jim patrzył przez teodolit, a on szukał „granitowego otoczaka ze znakiem X”. Szukając ukrytego punktu rozpoznawczego, uświadomił sobie, że wyidealizował również prawdziwy powód wyjazdu Emmy na weekend z Maddie. Urodziny Madeleine stanowiły jedynie pretekst.

Na tydzień przed pamiętną podróżą pokłócił się z żoną. Dużo czasu spędzał w biurze, więc to ona urządziła ich nowy dom. Nagle uznała, że wystrój jest przesadny i kosztowny.

– Więźniowie nie mają nic – stwierdziła. – Muszą patrzeć w głąb siebie, szukać wewnętrznych źródeł. Wielu

z nich wychowało się w biedzie i poniżeniu.

– Dlatego zaczęli się narzucać innym ludziom? – spytał Jack.

– Nic nie wiesz – prychnęła.

– Wiem, że niektórzy z nich trafili do więzienia za gwałt i morderstwo.

– Nigdy mnie nie wspierasz w tym, co robię – powiedziała. – A ja przecież staram się tylko pomóc tym ludziom.

– Ależ wspieram cię, Emmo – odparł, patrząc na nią wzrokiem, w którym kryły się niewypowiedziane uczucia.

– Nieprawda – pokręciła głową. – Wspierasz mnie wtedy, gdy pomagam w ładnych miejscach: w szpitalu dziecięcym, w domach opieki, lecz gdy przychodzi do więzienia...

– Martwię się, czy ty tego nie rozumiesz? – wybuchnął.

– Nie mam pojęcia, kogo tam spotykasz i czy przypadkiem ktoś nie przyczepi się do ciebie. Pamiętasz tego, który zdobył twój numer telefonu? Co będzie, jeżeli jeden z nich dowie się, gdzie mieszkasz? Co stanie się z Nell? Nie chcę, żeby tacy jak oni kręcili się koło naszej rodziny.

– Tacy jak oni – Sarknęła. – Mówisz o nich tak, jakby byli innymi istotami. A to też są ludzie, chociaż z przerwami w życiorysie. Pomagam księdzu Richardowi uczyć ich czytać. Robię coś ważnego, może po raz pierwszy w życiu.

– Wychowywanie Nell to chyba też ważna sprawa.

– Jesteś taki świętoszkowaty, Jack.

– Po prostu nie podoba mi się myśl, że któryś z tych przestępców zadzwoni albo przyjdzie do nas do domu. – Wziął głęboki oddech. – Przykro mi, jeżeli uważasz, że nie doceniam twojej pracy. Wcale tak nie jest. Wiem, że jesteś dobra w tym, co robisz. Ale czy to musi być akurat więzienie? Zanim ksiądz Richard nastął w naszej parafii...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale tamten program charytatywny był taki nudny. Miałam wrażenie, że wysyła się nas w te różne miejsca po to tylko, by nas czymś zająć.

Czytanie dzieciom na oddziale onkologicznym było zabijaniem czasu? pomyślał, lecz nie powiedział tego głośno. Dławił w sobie złość, czując, że za chwilę eksploduje, i myśląc o tym, jak bardzo Emmę fascynowały opowieści więźniów, jakie to straszne mieli życie i jak źle ich traktowano.

Pół roku wcześniej uznała, że chce zmienić kafelki w łazience. Stare, które nie przetrwały nawet dwóch lat, były meksykańskie, z wymalowanymi kwiatami. Zachciało jej się marmurów. Teraz kafelki przestały być ważne. Nigdy jej takiej nie widział. Rozpierała ją energia.

Jack ustąpił. Dał jej wolną rękę. Jednakże czuł, że Emma pracuje w więzieniu, by go unikać. Przyszło mu do głowy, że może zakochała się w którymś ze skazanych, na przykład w tym, który dzwonił do domu. Kiedy tylko chciał z nią porozmawiać lub gdzieś wyjść, odpowiadała, że musi przygotować się do lekcji czytania lub omówić z innymi wolontariuszami zmiany, jakie można by

wprowadzić w więzieniu.

– Co jest nie tak? – zapytał.

– Nie mają biblioteki – wyjaśniła. – Takiej z prawdziwego zdarzenia, jedynie kilka książek podarowanych przez członków rodzin.

– Nie pytam o więzienie, lecz o nas. Co jest nie tak z naszym małżeństwem.

– Wiesz to lepiej ode mnie. Stale jesteś w biurze. A jak jesteś w domu, to albo siedzisz przy komputerze, albo oglądasz telewizję.

Miała rację, tyle że – jeśli wierzyć w to, co powiedziała mu później Madeleine – już wtedy kłamała. Jak mógł jej powiedzieć, że zachowuje się tak a nie inaczej, bo traktuje go jak wroga, a nawet gorzej – jak powietrze? Po ślubie było im ze sobą tak dobrze. Towarzyszyła mu we wszystkich podróżach służbowych, często się śmiali. A potem na świat przyszła Nell. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek pokocha kogoś bardziej od Emmy. Lecz pojawiła się Nell i przejęła nad nim kontrolę. Zamiast być zazdrosnym o to, że Emma poświęca więcej czasu dziecku niż jemu, zazdrościł żonie, że spędza z małą o wiele więcej czasu niż on.

Nell wszystko zmieniła. Uczyniła z niego nowego człowieka. Sprawiała, że słońce stało się jaśniejsze, ocean głębszy, kolory żywsze, księżyc bielszy, brzoskwinie słodsze. Dla niej wstawał o drugiej w nocy, pozwalał, by go ośliniała, jechał zmęczony do pracy i liczył minuty do powrotu do domu. Dzięki niej polubił malowanie palcem,

zmienił obrazki w gabinecie na rysunki córki, chodził na każdy przedszkolny występ, jeździł z nią na wrotkach, na karuzeli, chodził do kina na poranki dla dzieci, na lody, do sadu brzoskwinowego, uczęszczał na zebrania rodzicielskie, a nawet zaglądał do kościoła, bo Nell śpiewała w chórze dziecięcym.

Im bliżej był z córką, tym bardziej oddalał się od żony. Nadal ją kochał, lecz zmienił się ich wzajemny stosunek. Rozmawiali ze sobą, lecz mniej się śmiali. Mieli tyle planów, tyle obowiązków. Woleli spędzać wieczory z Nell, nie wynajmowali więc opiekunek i bardzo rzadko wychodzili gdzieś tylko we dwoje. Może gdyby to robili, nie straciliby siebie.

Dużo pracował. Był ambitny, chciał osiągać sukcesy, zabezpieczyć byt rodzinie i mieć dość pieniędzy, tak by Nell mogła wybrać sobie szkołę, jaką zechce. Emma nie pracowała, ale zaczęła mówić o uzupełniających studiach magisterskich i zrobieniu dyplomu z socjologii.

Zaangażowała się w działalność Kościoła. Dotychczas żartowali, że są komórkowymi katolikami – czuli religię każdą swoją komórką i każdą* kosteczką, lecz nie praktykowali. Nagle stało się nie do pomyślenia, żeby Jack nie uczestniczył u boku żony we wszystkich ważnych świątach kościelnych. Nell była u pierwszej komunii i w każdą środę po południu chodziła na lekcje religii. W miarę upływu czasu zauważył, że Emmie czegoś brakuje. Zajmowanie się domem już jej nie wystarczało i czuła się tym jakby zażenowana. Zaczęła

uciekać na weekendy do ich parafialnego kościoła. Noce spędzała w domu, lecz soboty i niedziele na warsztatach duchowych. Zmieniła również krąg znajomych pań – z bywalczyń miejscowego klubu na parafianki. Nawet jej marzenia uległy zmianie. Wszystko, czego jak sądził pragnęła, obróciło się przeciwko niemu.

Oczarował ją ksiądz Richard i praca społeczna. Bez reszty pochłonęło ją niesienie pomocy tym, którzy mieli najcięższe życie, czyli skazanym na więzienie. Nie dostrzegł w niej tych ogromnych pokładów współczucia, zaszufładował jako kobietę, którą cieszyły meksykańskie kafelki, dom w dobrej dzielnicy i opieka nad córką. Umknęły mu inne jej cechy. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, była już całkowicie pochłonięta pracą charytatywną. I nie chodziło o to, że nie mieli wolnego czasu, tylko o to, że wykorzystywali go na wszystko prócz siebie.

Cofnął się myślami do feralnego wyjazdu z Madeleine. Domyślał się, że siostra chce pomóc. Podczas poprzednich świąt Bożego Narodzenia zaskoczył ją chłód Emmy. W trakcie kolacji zadzwonił telefon. Dopiero po śmierci żony dowiedział się, kim był rozmówca. Emma odebrała telefon, bo on kroił właśnie indyka. Długo nie wracała i wszyscy usiedli już do stołu. Przypomniał sobie, że kiedy wreszcie do nich dołączyła, miała zaczerwienione oczy. Na jej widok Nell upuściła widelec.

– Dlaczego płaczesz, mamusiu? – spytała przejęta.

Emma powiedziała coś o rześie, która wpadła jej do

oka. Kiedy więc miesiąc później zadzwoniła Madeleine i zaczęła namawiać Emmę na wspólny wyjazd w czerwcu, by uczcić jej urodziny, Jack był całym sercem za tym pomysłem. Wiedział, że jeżeli ktoś potrafi zmusić Emmę do zwierzeń, to tylko jego siostra. Chciał wypytać Maddie o jej podejrzenia, lecz się wstrzymał.

Emma nie była przekonana, czy powinna jechać. Lubiła wyspę St. Simons i tęskniła za plażą. Jednym z minusów mieszkania w Atlancie była duża odległość od morza. Nie chciała jednak zostawiać Nell. Nie jego, lecz Nell. Namawiał ją, żeby pojechała i spędziła miło czas. Kierując się własnymi egoistycznym pobudkami, liczył na to, że gorący piasek i błękitny ocean sprawią, że poczuje się swobodna i na powrót stanie się dawną Emmą. Może znowu powie, że go pragnie, może przestanie udawać, że śpi, za każdym razem gdy się do niej zbliżał. Właśnie po tym Bożym Narodzeniu zaczął korespondować przez Internet z Laurie z Cleveland. Czuł się taki samotny we własnym domu, a równocześnie nienawidził siebie za to, że czeka z niecierpliwością na informację „masz wiadomość”.

Na tydzień przed wyjazdem odbyła się ich największa kłótnia małżeńska. Poszło o czas, jaki Emma spędzała w więzieniu, jednakże tak naprawdę chodziło o kryzys, w jakim znalazł się ich związek, przechodząc od miłości i partnerstwa do czegoś w rodzaju szarady nienawiści, gdzie żadne z nich nie czuło się szczęśliwe i nie było w stanie tego zmienić.

Dawno już nie myślał o tych sprawach. Kiedy sprawdzali z Jimem linię graniczną, odkrywając więcej punktów orientacyjnych, ptaki zrywały się do lotu spłoszone zamieszaniem, jakie wywoływali. Jim wykrzykiwał obliczenia, a on zapisywał je w notesie. Długie cienie kładły się na polanach. Znużony rutyną zajęcia Jack znowu oddał się wspomnieniom.

Nadal kulił się wewnątrz, gdy myślał o wypadku. Mógł natomiast wspominać to, co zdarzyło się potem, gdy Emma była już w szpitalu, a jeszcze zanim stracił nadzieję na jej uratowanie, kiedy klęczał przy jej łóżku i modlił się, by przeżyła. Prosił Boga o zdrowie dla niej. Kiedy Bóg mu odmówił, prosił, by Emma go nawiedzała, by choć po śmierci kochała go tak jak na początku ich małżeństwa.

Może dlatego znalazł wspólny język z Aidą. Chciała bowiem zachować miejsce, w którym ona i jej mąż byli szczęśliwi. Usłyszał, jak Jim podaje kolejną cyfrę, i zapisał ją w notesie. Poczul ucisk w gardle. Bo wiedział, że zrobi wszystko, co będzie mógł, by pomóc Aidzie utrzymać ziemię i zamek, które jej mąż tak kochał. Bo sam uciekał tak szybko jak mógł i najdalej jak mógł od miejsc, w których żył z Emmą, i od kłamstwa, jakim stało się ich życie. Szkocja była chyba wystarczająco daleko, on jednak był już zmęczony uciekaniem.

Wszystko zaplanował, załatwił pozwolenie na pracę, dał słowo, że podejmie obowiązki w ciągu miesiąca. Lecz nie chciał już jechać. Co noc marzył o tym, że zostaje, że spaceruje po plaży, czuje fale omywające mu stopy,

chodzi na stare niezrozumiałe filmy, trzymając za rękę miłą, ciekawą, szczerą i piękną kobietę. Kobietę, która zdobyła złamane serce jego córki.

„Zostań”, powiedziała Stevie.

Romanov liczył na niego, a Francesca i koledzy z firmy czuli się zdradzeni jego odejściem i tylko czekali, by powinęła mu się noga. Obecny dylemat to była jego pokuta, kara za to, że zakochał się od pierwszego wejrzenia. Gdyby Emma nie czuła się z nim nieszczęśliwa, nie poszłaby drogą, którą wybrała.

Przypomniawszy sobie, co Madeleine mu powiedziała po odzyskaniu przytomności. W czasie jazdy porytą koleinami wiejską drogą Emma w napadzie wściekłości wymierzyła jej policzek, ona zaś straciła panowanie nad kierownicą. Nie chciał tego słuchać ani wtedy, ani teraz. Musiał strzec pamięci Emmy nawet wbrew sobie, jeżeli będzie to konieczne, ze względu na Nell. A jednak wychodząc z lasu i widząc zbliżającą się ku nim ciotkę Stevie o łagodnych i mądrych oczach, pomyślał o Maddie, ciotce Nell, i doszedł do wniosku, że może od początku winił niewłaściwą osobę.

– Witaj, Jack – powiedziała Aida i uściskała go. – Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że poświęcasz mi tyle czasu. Przecież to twoje wakacje. Nie powinnam odciągać cię od plaży i Nell.

– Nic nie szkodzi, Aido – odparł. – To takie wspaniałe miejsce, że zrobię, co będę mógł, by je ocalić.

– Pójdę włożyć sprzęt do samochodu – oznajmił Jim. –

Mam bilety na mecz Red Soxów na dziś wieczór, więc muszę już wracać. Trzymaj się, Jack. Miło mi było cię poznać, Aido.

– Mnie również. Bardzo ci dziękuję – zrewanżowała się, ściskając mu dłoń. Jacka zaś zapytała: – Napijesz się herbaty?

– Chętnie – odparł i poszedł za nią do małego domku. Wnętrze przypominało studio malarskie. Królowały w nim sztalugi i akcesoria malarskie, a sprzęty codziennego użytku, takie jak łóżko, stół i krzesła, zostały poupychane po kątach.

Aida wyszła na dwór, by nalać do czajnika wody ze studni, po czym postawiła go na małej kuchence. Usiedli na krzesłach z wysokimi oparciami, przy porysowanym i pochłapanym terpentyną dębowym stole. Aida miała kształtne ręce z palcami i kłykciami ubrudzonymi farbą.

– Masz wspaniałą córkę – powiedziała, patrząc na Jacka, jakby go testowała.

– Dziękuję.

– Ma swój rozum. Wciąż nie mogę uwierzyć, że poszła szukać Stevie i ją znalazła. I była na tyle odważna, by zapukać do jej drzwi.

– Obtarła sobie przy tym kolana do krwi – rzekł. – Wróciła z plastrami na kolanach. Stevie ją opatrzyła. Ale uświadomiłem sobie, że musiała bardzo tego chcieć, bo pomimo upadku poszła dalej.

– Jak myślisz, czego chciała? – spytała Aida.

Czajnik zagwizdał. Wlała wrzątek do dwóch kubków.

Jack nie odpowiedział. Pytanie zawisło w powietrzu. W tym ich spotkaniu było coś nierealnego, wszystko wydawało się takie żywe i pełne znaczeń lub w ogóle pozbawione znaczenia. Na ścianie wisiały czarno-białe fotografie przedstawiające Aidę jako młodą kobietę – wysoką, szczupłą, w teatralnej pozie, w sukniach, kostiumach, a nawet bez niczego.

– Van robił te zdjęcia – wyjaśniła. – Miał wielki talent. Był aktorem, lecz równie dobrze mógł próbować swoich sił w fotografii. To on.

Jack podążył za jej wzrokiem i zobaczył serię zdjęć przedstawiających potężnego mężczyznę z wydatnym nosem i podbródkiem i o żywych ciemnych oczach. Na jednych był w kostiumie Jagona, na innych Falstaffa. Obie role były jakby dla niego stworzone – żywiołowe, ekspresyjne, nietuzinkowe. Jack dostrzegł w nim podobieństwo do Henry'ego. Z łatwością potrafił sobie wyobrazić takiego człowieka jako ojca oficera marynarki.

– Henry jest jego synem – powiedział.

– Tak. Uwielbiali się, lecz nie byli zbyt wylewni. Jestem przekonana, że we wszystkich bitwach, w których Henry brał udział, walczył z myślą o ojcu.

– Teraz się żeni?

– Tak. Po tylu latach. Małżeństwo jego rodziców było bardzo trudne. Matka czuła się zraniona i zawsze to podkreślała. To był jej przywilej, lecz strasznie niszczył syna. Henry bał się kochać w obawie, że może kogoś zranić.

Jack zamknął oczy, myśląc o tym, jakie to wszystko jest bolesne i skomplikowane.

– Jest pod tym względem zupełnym przeciwieństwem Stevie. – Oczy Aidy zwilgotniały. – A zarazem są bardzo do siebie podobni.

– Nie rozumiem.

– Mówiłam ci, że małżeństwo jej rodziców było wprost idylliczne. To prawdziwa rzadkość. Mój brat był poetą, łagodnym, delikatnym, obdarzonym intuicją człowiekiem, a moja szwagierka artystką i historykiem sztuki. Byli, żeby użyć tego nadużywanego określenia, „bratnimi duszami” i wzorem dla Stevie. Ona wierzy w miłość i chce mieć to, co mieli rodzice.

– Coś takiego nie istnieje – powiedział Jack zaskoczony goryczą w swoim głosie.

– Och, jestem przekonana, że istnieje – odparła Aida.

– Masz na myśli siebie i Vana?

Kiwnęła głową.

– To nie był pierwszy nasz związek. Zostawiliśmy za sobą błędy i zranionych ludzi. To tragiczne doświadczenie życiowe. Lecz miłość istnieje. Znajdziesz ją lub ona znajdzie ciebie.

– Dlatego chcesz zachować to miejsce? – spytał Jack. – Bo byłaś tu z Vanem szczęśliwa?

– Byłam i jestem. Nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć za to, co dla mnie zrobiłeś. Rozmawiałam z adwokatem na temat fundacji. W październiku planuję wielką wystawę moich obrazów. To doskonała okazja do

zebrania pieniędzy na ten cel. Zamierzam zorganizować tu „Centrum sztuki i przyrody Vana Von Lichena”. Brać artystyczna z Black Hall będzie zachwycona. Van wspierał sztukę i urządzał tu mnóstwo szalonych imprez z impresjonistami z Connecticut.

– Ale ty nie jesteś impresjonistką? – spytał Jack zawstydzony tym, że nie bardzo rozróżnia style w sztuce.

– Daj spokój. Ja kocham to, co nowe. Chociaż minęło już kilka dziesięcioleci, gdy ekspresjonizm abstrakcyjny uchodził za nowy styl.

– Dziękuję, Aido – powiedział. – Jak tylko opracuję moje notatki, prześlę ci wnioski. Jeszcze przed wyjazdem do Szkocji.

– Stevie wspominała o tym, że wyjeżdżasz. Przyznam, że to mnie zasmuca.

– Och, nawet stamtąd mogę się zajmować tym projektem. Twój adwokat może do mnie dzwonić, jeżeli będzie chciał omówić plany lub podyskutować o pomysłach...

– Jack, nie z tego powodu jest mi smutno. To nie ma nic wspólnego z zamkiem czy wzgórzem.

– W takim razie z czym?

Milczała przez chwilę, popijając herbatę i przyglądając się Jackowi znad brzegu kubka wymownie. Czuł się tak, jakby patrzyła mu prosto w serce.

– Nie znam cię zbyt dobrze – rzekła wolno. – Czuję jednak, jakbym cię znała od zawsze. Stevie trochę mi o tobie opowiedziała. To tylko moje wrażenie, ale wydaje

mi się, że...

– Że co?

– Myślę, że mojej bratanicy będzie bardzo przykro, jeżeli wyjedziesz. Ty i Nell. Wiem, że Nell też będzie przykro. I tobie też.

Chciał jej powiedzieć, że nic nie wie. Odchrząknął.

– Podpisałem już kontrakt.

– Kontrakty mają to do siebie, że zawsze można je zerwać. Będzie cię to trochę kosztować, lecz ocalisz coś o wiele wartościowszego.

– To znaczy co?

– Och, daj spokój – odparła, mrugając okiem. – Doskonale wiesz, o czym mówię, inaczej nie byłbyś tutaj, nie chodził po lasach i nie ratował mojego zamku.

Jack pił herbatę i myślał o historii opowiedzianej przez Stevie o magicznym zamku i mądrej ciotce. Wolał milczeć, bo w przeciwnym razie musiałby przyznać, że aż za dobrze wie, o czym ona mówi.

Rozdział 21

Madeleine siedziała w samochodzie zaparkowanym przy Emerson's Market, tuż przed wiaduktem kolejowym, który stanowił bramę wjazdową na cypel Hubbarda. Była zdenerwowana, lecz zdeterminowana. Obserwowała przejeżdżające pociągi: jeden do Nowego Jorku, a drugi do Bostonu. Kiedyś z Jackiem liczyli wagony. Po chwili zobaczyła to, na co czekała. Drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża nadjechało kombi Jacka i minęło wiadukt.

Dwa dni wcześniej Madeleine przeprowadziła rekonesans. Objechała domki letniskowe stojące wokół kortów tenisowych, gdzie według słów Stevie mieszkał Jack, z nadzieją że go spotka. Kiedy jednak zobaczyła, jak wsiada z Nell do samochodu, straciła odwagę i wróciła do Providence.

Dziś była znacznie odważniejsza. Czy Nell jechała razem z nim? Wyciągnęła szyję, by to sprawdzić. Nie, miejsce pasażera było puste. Serce biło jej tak szybko jak po długim biegu. Czuła, że twarz ją pali, ma suche usta i spocone dłonie.

Nikomui nie wspomniała o swoim planie, ani Chrisowi, ani doktor Mallory, ani Stevie. Terapia przebiegała dobrze, już po kilku sesjach poczuła się lepiej. Nabrała pewności siebie. Gdyby Jack dał jej szansę, mogłaby z

nim porozmawiać, stanąć z nim twarzą w twarz, wierząc, że ich dawna miłość pomoże jej wyrazić wszystko, co chciała. Celowo nie napomknęła Stevie o swoim przyjeździe, chociaż wiedziała, że przyjaciółka okazałaby wsparcie. Musiała zrobić to sama.

Kiedy podjechała do samochodu Jacka, omal nie uderzyła w tył jego auta. Musiała się uspokoić, nie sądziła, że będzie taka zdenerwowana. Rozmowa w gabinecie psychoterapeutki to jedno – czuła się tam bezpiecznie, nie musiała stawiać czoła rzeczywistości. Tutaj to zupełnie co innego – wszystko mogło się zdarzyć. Zauważyła, że Jack dostrzegł ją we wstecznym lusterku. Ich oczy się spotkały. Madeleine zacisnęła kurczowo ręce na kierownicy i wjechała za bratem na podjazd przed domkiem letniskowym.

Jack nie był w stanie się ruszyć. Zatrzymał się na piaszczystym podejździe i spojrzął w lusterko prosto w oczy siostry. Na siedzeniu obok leżały plany zamku. Myślał o pełnych mądrości słowach Aidy i o prośbie Stevie, żeby został. Zamierzał jechać prosto do niej i powiedzieć, że rano zadzwoni do Ivana Romanova, paki sześc kontrakt, i zrezygnuje z wyjazdu do Szkocji. Na nagłą zmianę decyzji wpłynęła potrzeba załatwienia sprawy z siostrą.

Powoli otworzył drzwi. Madeleine wysiadła już ze swojego samochodu. Stała oparta o maskę, zaciskając nerwowo dłonie.

- Jack – wyszeptała z oczami pełnymi łez – nie uciekaj.
- Nie ucieknę, Maddie – odpowiedział wolno.

Przyjrzał się jej z uwagą. Mimo że od wypadku minął cały rok, zauważył blizny: ciemnoczerwone, biegnące od szyi do ramienia i niknące pod cienką letnią sukienką. Przytyła i miała pełniejszą twarz. Starannie ułożyła włosy, spięła je szylkretowymi grzebieniami i umalowała usta. Ta troska o wygląd sprawiła, że serce mu się ścisnęło. Sprawiała wrażenie takiej bezbronnej.

- Jak się miewasz? – zapytał.

– Dobrze – odparła. – Dochodzę do siebie. Wiem, że okropnie wyglądam. To przez sterydy. Musiałam je brać po operacji. To przez nie utyłam. Wstydzę się, że jestem taka gruba.

- Wcale nie jesteś.

– Proszę, nie mów tak – odpowiedziała, kręcąc głową, jakby nie mogła znieść nieszczerości między nimi.

Jack poczuł, że ma serce w gardle. Postąpił krok w przód, chcąc ją objąć, lecz ona mocniej pokręciła głową i ukryła twarz w dłoniach.

- Próbowałem do ciebie dzwonić – rzekł więc.

– Wiem – załkała. – Wiem, że to byłeś ty. Czemu się nie odezwałeś?

– Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. To wszystko jest takie skomplikowane. To, co Emma ci powiedziała i co zrobiła. A potem ten wypadek...

– Zabiłam ją – wyznała Madeleine. – Nigdy bym jej nie skrzywdziła, lecz ona uderzyła mnie w twarz i straciłam

panowanie nad kierownicą.

Poczuł skurcz żołądka. Kochał siostrę, lecz nie był w stanie słuchać o szczegółach wypadku. Wyznanie Emmy, jej gwałtowna reakcja w stosunku do Maddie – wciąż były dla niego zbyt świeże, nawet po upływie roku. Umilkła zaskoczona wyrazem jego twarzy.

– Chciałam ci tylko wyjaśnić... – powiedziała.

– Nie mówmy o tym – odparł.

– Jak inaczej mogę cię przekonać, że nie chciałam wszystkiego zniszczyć?

– Przestań, Maddie – rzucił szorstko.

Serce go bolało, pot spływał po szyi i było mu niedobrze. Chciał się zachowywać rozsądnie. Pobyt tutaj bardzo mu pomógł: spotkanie ze Stevie, rozmowy z nią, poprawa stanu psychicznego Nell, poznanie Aidy, powrót do wspomnień o Emmie i Maddie – dobrych wspomnień – które spotykał tu na każdym kroku.

– Musisz mnie wysłuchać, Jack.

– Nie mogę! – wrzasnął.

Cisza, jaka zapadła, była ogłuszająca. Cała okolica jakby zamarła. Wszystkie piłki plażowe zatrzymały się w locie, radia ucichły, ludzie przestali rozmawiać. W uszach dźwięczał mu własny krzyk. Madeleine stała przed nim blada i sparaliżowana.

– Przepraszam – powiedział.

– Pojadę już – powiedziała drżącym głosem.

– Nie, Maddie...

Ręce mu się trzęsły. Ruszył w jej stronę, lecz ona już

wsiadła do samochodu. Zaczęła zmagać się z pasem bezpieczeństwa. Chciał wyciągnąć ku niej rękę, lecz nie miał odwagi jej dotknąć. Wydawała się taka krucha.

– Jack – odezwała się. – Kocham cię.

– Madeleine.

Ich oczy się spotkały. Jack poczuł, że łzy spływają mu po policzkach. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Tak bardzo ją kochał. Czasami gdy myślał o wypadku, był taki zły, że miał ochotę nią potrząsnąć. Innym razem cała wściekłość skupiała się na Emmie za to, że omal nie zabiła mu siostry. Gdyby Emma nie przeżywała kryzysu małżeńskiego, Madeleine nie jechałaby z nią tą drogą.

– Co? – spytała.

– Nie odjeżdżaj.

– Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Serce mu się krajało, gdy patrzył jej w oczy. Chciał, żeby wszystko było inaczej, tak jak kiedyś, kiedy kochanie siostry było najłatwiejszą, najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

– Muszę już jechać – powiedziała Maddie.

– Nie odjeżdżaj – poprosił.

– Powiedz Nell, że bardzo ją kocham.

Okno było otwarte, trzymała rękę na kierownicy. Uświadomił sobie, że nawet jej nie uściskał. Wsunął rękę przez okno i musnął jej palce. Pokręciła głową, tłumiąc szloch.

– Nawet nie wiesz, jak ona cię kocha, Maddie – powiedział, lecz nawet to jej nie zatrzymało, po prostu

przekręciła kluczyk w stacyjce i odjechała.

Został sam na podjeździe. Co on narobił? Dlaczego wszystko zepsuł? Najgorsze, że to nie miało sensu. Nie było w tym żadnej logiki. Chyba po prostu nie dojrzał jeszcze do pojednania. Dla niego czas stanął w miejscu. Na razie zrozumiał tylko tyle, że Maddie nie zabiła Emmy, lecz jego wyobrażenie o niej.

Śmierć zabrała Emmę, lecz ona przecież i tak zamierzała odejść od niego i żyć na własny rachunek. Widok siostry mu to uświadomił. Musiał wszystko przemyśleć, pogodzić się z tym, czego nie mógł już zmienić, znaleźć jakiś punkt oparcia i skupić się na byciu ojcem i matką dla córki. Musiał zrobić to, co uważał za dobre dla Nell. Zostawił opiekę nad nią matce i proszę, co z tego wynikło. Teraz nie mógł sobie pozwolić na popełnienie błędów. Nell była zbyt wrażliwa.

„Nic nie dzieje się bez powodu” – mawiały w szkole zakonnice, gdy spotykały ich niepowodzenia: oblanie egzaminu, wyrzucenie z drużyny, śmierć rodziców. Przez lata nie pamiętał o tej maksymie. Spotkanie z Madeleine uświadomiło mu jedno: kochał ją równie mocno jak przedtem. Tyle że nie był przygotowany na to wszystko, co się z tym wiązało – na prawdę o Emmie i na to, jakim kłamstwem stało się ich życie. Instynkt go nie mylił, podpowiadając, że powinien odejść stąd jak najdalej.

Nell i Peggy wyszły z wody i rzuciły się biegiem do roweru. Świetnie dawały sobie z nim radę. Dziś Nell

miała kierować tandemem. Natychmiast ruszyła w stronę cypla.

– Wiem, dokąd jedziemy – zawołała siedząca z tyłu Peggy.

– Nie wiesz.

– Kamienne serce, niebieski dom...

– Jej dom nie jest już niebieski. Poza tym nie fajnie było razem oglądać film?

– Fajnie – przyznała Peggy.

Skoro Peggy nie protestowała, Nell uśmiechnęła się i mijając korty tenisowe, skręciła na wąską, ocienioną drzewami drogę. Kiedy dojechały do domu Stevie, oparły rower o kamienny mur. Nell wzięła Peggy za rękę, by dodać jej odwagi. Weszły po schodach na górę, mijając tabliczkę.

– Nie umiesz czytać? – szepnęła Peggy.

– To mnie nie dotyczy – odparła Nell z przekonaniem.

Kiedy stanęły przed bocznymi drzwiami, zapukała głośno i otrzepała piasek ze stóp. Peggy zrobiła to samo. Miały na sobie kostiumy kąpielowe, które nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Fale były dziś wysokie i wybijały z dna piasek, który przyklejał im się do kostiumów. Nell doszła do wniosku, że powinny się przebrać, lecz w tym momencie Stevie otworzyła drzwi.

– Cóż za niespodzianka! – wykrzyknęła. – Wejdźcie.

– Mamy mokre kostiumy – uprzedziła ją Nell. – Trochę zapiaszczone. Przepraszam.

– Przepraszam, przepraszam – mruknęła Stevie. – To

normalne, że wakacyjne przyjaciółki mają mokre zapiaszczone kostiumy. Cieszę się, że przyszłaś. Witaj, Peggy.

– Dzień dobry – odpowiedziała Peggy cichutkim głosem, który zaskoczył Nell.

– Miło cię znowu widzieć. Jak tam mama i Tara? Czy Joe wrócił już do domu?

– Dobrze i tak, wrócił – odpowiedziała Peggy hurtem, rozglądając się ciekawie.

Pewnie szuka czarnego kapelusza, peleryny i miotły, pomyślała Nell. W rogu siedziała Tilly, mierząc je groźnym wzrokiem. Nell zachichotała, przykucnęła i wyciągnęła rękę. Kotka podeszła i otarła się o nią.

– Poznaje mnie – ucieszyła się Nell. – Pomagała mi nakrywać do stołu.

– Wygląda na to, że cieszy się z twojej wizyty. Zgadnij, co właśnie miałam zrobić?

– Malować ilustracje do książki? – spytała Nell, po czym zwróciła się do Peggy: – Stevie napisała książkę dla mnie i dla taty o magicznym zamku, w którym byliśmy. Tata jest tam teraz i pomaga cioci Aidzie ratować wzgórze przed wstrętnymi buldożerami.

– Jest tam teraz? – spytała Stevie dziwnym tonem.

Nell kiwnęła głową.

– Codziennie tam jeździ. Pokazywał mi plany, które zrobił, by zabezpieczyć zamek przed dalszą ruiną. Dziś miał przejść się po lesie i sprawdzić, gdzie zbudować mosty i przejścia. Mosty to jego specjalność.

– Super – powiedziała Peggy.

Stevie uśmiechnęła się, lecz Nell zauważyła, że jest trochę niespokojna, jakby ona powiedziała coś nie tak. Dotknęła więc ręki Stevie.

– Co miałaś właśnie zrobić? – spytała.

– Uczyć Ebby latania – wyjaśniła Stevie. – Chodźcie na górę.

– Ebby? – powtórzyła Peggy.

– To ptak, którego przyniósł mi twój brat. Jest wroną, więc nazwałam ją Ebony, [Ebony (ang.) — heban; czarny jak heban.]W skrócie Ebby.

Nell zauważyła, jak Peggy omiata wzrokiem pokój, wygodne, stare wiklinowe meble, wyblakłe poduszki, dywaniki, koszyki z muszelkami i kamykami i obrazy na ścianach. Dom Stevie był taki kolorowy i przyjazny, że zupełnie nie przypominał siedziby czarownicy. Nell roześmiała się, widząc zaskoczony wyraz twarzy Peggy.

Na górze w sypialni Stevie wrona siedziała na klatce i krakała. Po chwili przeleciała na jeden z obrazów Aidy, a potem usiadła na krokwi.

– To tu pani maluje? – spytała Peggy i oczy jej się rozszerzyły.

– Tak – przyznała Stevie.

– Super – powiedziała znowu Peggy.

– Spójrzcie.

Stevie poprowadziła dziewczynki do okna wychodzącego na taras, gdzie rosły czerwone kwiaty. Nell zobaczyła kolibry i przypomniała sobie, jak obie ze Stevie

oglądały je na zamku. Dzięki temu poczuła się bliższa Stevie. Dziś jednak Stevie nie chodziło o kolibry.

– Widzicie? – spytała.

Nell popatrzyła na cedr rosnący za niebieskim kamiennym tarasem. Na gałęziach siedziało kilka wron.

– Co one tam robią? – spytała Peggy i cofnęła się w głąb pokoju, jakby widok ptaków ją przestraszył.

– Myślę, że czekają na Ebby – odpowiedziała Stevie.

– To jej rodzina – domyśliła się Nell.

– Na to wygląda – odparła Stevie i pozornie bez związku dodała: – Wrona jest dla Indian symbolem stworzenia, duchowej siły i wierności.

– Skąd pani to wie?

– Zbieram materiały o ptakach do książek, które piszę.

Peggy trąciła łokciem Nell.

– Może jednak jest czarownicą – powiedziała samymi ustami.

Nell pokręciła głową. Stevie otworzyła okno i zdjęła siatkę. Do wnętrza wpadł wiatr i poruszył zasłonami. Wrony nawet nie drgnęły. Po prostu czekały.

Dziewczęta wstrzymały oddech i patrzyły, jak Ebby krąży po pokoju. Bardzo urosła od czasu, gdy Billy przyniósł ją do Stevie. Przestała być miękkim puszystym pisklęciem i zmieniła się w smukłą panienkę. Nell mimowolnie chwyciła Stevie za rękę.

Ebby wylądowała na parapecie okiennym i uniosła główkę ku niebu.

Siedzące na drzewie wrony zaczęły krakać. Nell

poczuła ciarki na plecach. Z jakiegoś powodu pomyślała o ojcu, cioci Madeleine i wujku Chrisie.

– Czekają na ciebie – szepnęła Stevie.

Ebby machnęła skrzydłami i wyfrunęła na dwór. Zachwiała się lekko, obniżyła lot, lecz po chwili zaczęła się wznosić coraz wyżej i wyżej ku czubkowi cedru. Jej krewni zobaczyli, jak nadlatuje i zerwali się do lotu niczym połyskliwa czarna chmura, prowadząc Ebby do domu.

Nell zdała sobie sprawę z tego, że puściła rękę Stevie i zaciska palce na parapecie. Wrony przeleciały nad plażą, kierując się ku drzewom rosnących po drugiej stronie moczarów, niedaleko domu Peggy, gdzie Billy znalazł pisklę.

– Jest teraz ze swoją rodziną – szepnęła.

– Nie mogę się doczekać, by opowiedzieć wszystko Billy'emu – odezwała się Peggy, patrząc na nią błyszczącymi oczyma.

Nell popatrzyła na Stevie. Jej włosy były równie czarne jak pióra wron. Miała ochotę ich dotknąć i sprawdzić, czy są równie miękkie. Wyobraziła sobie, że Stevie należy do jej rodziny, jest ciocią lub mamą. Ta myśl sprawiła, że zachciało jej się płakać i śmiać równocześnie.

– Kiedy wyjadę, będziesz na mnie czekać? – spytała.

– Zawsze – odpowiedziała Stevie. – Możesz przylecieć tu, kiedy zechcesz.

Nell spuściła głowę, kryjąc uśmiech. Wszystko będzie dobrze, dopóki będzie mogła tu wracać.

– Cieszysz się na myśl o Szkocji? – spytała Stevie.

Nell skrzywiła się. Czyżby tata powiedział jej o tej głupiej podróży, w którą mają się wybrać?

– Nie bardzo – odparła.

– Nie cieszysz się, że będziecie tam mieszkać? – zdziwiła się Stevie.

– Mieszkać w Szkocji? Tata wspominał o wyjeździe, ale myślałam, że udajemy się tam z wizytą.

– Nell, to strasznie daleko. Nie możesz wyjechać do innego kraju – powiedziała stanowczo Peggy.

Stevie spłonęła rumieńcem. Nie powinna była tego mówić. Nell gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. To niemożliwe. Szkocja jest za oceanem. Jak niby miała tu wrócić? I jak ciocia ją odnajdzie w tym obcym kraju? Po co w ogóle przeprowadzają się do tej całej Szkocji?!

Jack wciąż był w lekkim szoku, gdy Nell wróciła do domu. Stał na podjeździe dłużej czas z nadzieją, że Maddie wróci. W którymś momencie podszedł do niego sąsiad.

– Wszystko w porządku? – zapytał, widząc, jak Jack wpatruje się w przestrzeń.

– Tak – odpowiedział.

Przeszedł na podwórze i usiadł na ławce pod drzewami. Siedział na niej ze Stevie tego ranka, gdy przyszła z kawą. Minęła godzina, potem druga, a on nie ruszał się z miejsca. Widok łkającej siostry poruszył go do głębi.

– Szkocja? – zawołała Nell, stając przed nim

nieoczekiwanie i przywracając go do rzeczywistości. –
Będziemy mieszkać w Szkocji?

– Kto ci o tym powiedział?

– Nie powiem ci, bo będziesz na nią zły. Tato, ja nie chcę mieszkać w Szkocji.

Jakiś spacerowicz z psem zatrzymał się i zaczął im się przyglądać.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Jack, zrywając się z ławki. Nell weszła za nim do domu, rozsypując piasek po podłodze.

– Nawet nie zapytałeś, czy chcę jechać.

– Pytałem. Pytam. Kochanie, staram się jedynie robić to, co dla nas najlepsze – plątał się Jack. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku po spotkaniu z Madeleine.

– Nie chcę jechać – oznajmiła z uporem Nell. – Chcę zostać tutaj.

Dziś rano myślał podobnie, lecz to było całe wieki temu. Wszystko wyglądało pięknie tam na zamku, a prośba Stevie, żeby został, była jak wyzwanie lub obietnica, którą chciał przyjąć. Teraz jednak...

– Co złego jest w Atlancie, tato? Albo w Bostonie?

– Myślałem, że nie lubisz Bostonu.

– Nie lubię Franceski i dobrze o tym wiesz.

– Nie byłaś tam szczęśliwa.

– Lubiłam łodzie z łabędziami, Szlak Wolności...

Zaczęła go boleć głowa. Co atrakcje turystyczne mają wspólnego z tym, gdzie rodzina chce założyć dom? Poza tym ona wcale nie lubiła łodzi z łabędziami. Pamiętał, w

jakim była humorze, gdy zabrał ją na przejażdżkę po rzece. A gdy chciał jej pokazać Old North Church, najstarszy czynny kościół, miał wrażenie, jakby ciągnął stukilowy ładunek. Czy podobnie będzie, gdy zechce jej pokazać Loch Ness czy zamek w Inverness?

– Najlepsze w Bostonie jest to, że leży blisko cypla Hubbarda. Tato, proszę, wróć do pracy w swojej firmie i niech tak zostanie.

– Nie mogę, Nell. – Uderzyła go prawda tego stwierdzenia. – Podpisałem kontrakt. Mój nowy szef czeka na mnie w Szkocji.

– Nie! – rozplakała się.

– Nell.

– Tato, proszę, nie rób tego. Kocham cypel Hubbarda.

– Ja też – powiedział.

Zaraz jednak uświadomił sobie, że czasami miłość nie wystarcza. Gdyby tak było, to nie mieliby z Emmą problemów i mógłby porozumieć się z Madeleine. Niekiedy miłość bywa siłą napędową, tyle że w przeciwnych kierunkach. W tym momencie utwierdził się w przekonaniu, że wyjazd do Szkocji to słuszna decyzja. Będzie to coś nowego, świeżego, będą mieli czas, by stanąć na nogi, oboje.

„Muszę jechać”, powiedziała Madeleine. Jak też, pomyślał. Był idiotą, sądząc, że może przestać uciekać.

– Kochanie – powiedział, wyciągając rękę ku Nell.

– Krzywdzisz mnie – załkała, szarpiąc się za włosy. – Nie rozumiesz? Najpierw nie pozwoliłeś mi spotykać się z

ciocią Maddie, a teraz zabierasz mi Stevie. I Peggy. Nie chcę jechać do Szkocji, nie chcę...

Szlochając, pobiegła na górę. Jej płacz przenikał przez deski w podłodze. Zachowywała się tak, jakby ktoś złamał jej serce. Jack siedział na dole i czuł, jakby i jemu pękało serce.

Tej nocy Stevie nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku, słuchając szumu fal i myśląc o tym, co zważyło się na biedną główkę Nell. Nadchodził sztorm i wiatr wzmagął się z każdą godziną. Księżyc się zmniejszył, nadal jednak była go ponad połowa. Świecił jej prosto w okno. W końcu dała za wygraną, wstała, włożyła kostium kąpielowy, bluzkę i zeszła na plażę.

Niebo miało ciemnoniebieską barwę rozświetloną blaskiem księżyca. Przesłaniała je cienka warstwa chmur. Stevie przeszła na koniec plaży, czując pod stopami twarde piasek. Fale muskały jej stopy. Spędziła tu lata wypełnione miłością i szczęściem, najpierw z Emmą, potem z Maddie.

Wakacyjne przyjaciółki teraz, jutro i do końca świata...

Co poszło nie tak? I dlaczego czuła, jakby zawiodła najdroższych sobie ludzi? Próbowwała połączyć Madeleine z rodziną, odnowić dawną przyjaźń i otoczyć opieką małą Nell. Serce przygniótł jej wielki ciężar. Nie powinna była się w to mieszać.

Ruszyła brzegiem morza. Słuchała szumu fal, widziała białe grzywy mieniające się w świetle księżyca. Ze

wschodu wiał wilgotny słony wiatr, klejąc się do policzków.

Kiedy dotarła do mostka, zdjęła bluzkę i stała chwilę w samym kostiumie. Musiała popływać, poczuć, jak słona woda utrzymuje ją na powierzchni, jak morze otula ją ramionami. Nie pływała nago od tamtego ranka, gdy zauważyła Jacka na promenadzie. Odwróciła się. Znowu tam stał. Zamarła, po czym ruszyła mu na spotkanie.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – zszedł do niej na plażę.

– Ze wszystkich plaż na świecie musiałeś przyjść właśnie na moją – stwierdziła. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. – Przepraszam, że powiedziałam Nell o Szkocji. Myślałam, że wie.

– Usiłowałem poruszyć z nią ten temat – odpowiedział.

– Lecz jeżeli nie chce o czymś słuchać, za nic nie można jej przekonać. Nie przejmuj się. I tak by się dowiedziała.

– Jak ona się czuje?

– Doszła do siebie. Trwało to pół nocy, lecz w końcu płacz ją zmęczył i usnęła. Miałem wrażenie, że ściany zamykają się wokół mnie. Musiałem się przejść. Zamierzasz popływać?

– Tak.

– Ja też. No to chodźmy.

Rzucił koszulę obok jej bluzki i skoczyli w fale. Powietrze było chłodne, a woda przyjemnie ciepła. Stevie pływała szybko, kierując się w stronę tratwy. Czuła, że zaczyna się przyływ, woda stawiała większy niż

zazwyczaj opór. Księżyc wisiał nisko na niebie, rzucając szerokie srebrne smugi na czarne morze. Słyszała, że Jack płynie tuż obok i kątem oka dostrzegła błysk jego pleców. Bolały ją płuca, lecz wysiłek sprawiał jej przyjemność. Czowała, że Jack też się nie oszczędza. Zwiększyła tempo. Jack podjął wyzwanie, ścigając się z nią do tratwy. Śmiejąc się, wydostali się na jej brzeg. Stevie odrzuciła włosy z twarzy i usiadła obok Jacka.

– Czy mama nie mówiła ci, żeby nie pływać po zmroku? – spytał.

– Tego jednego mi nie powiedziała. Uwielbiała plażę i wiedziała, że pływanie nocą, zwłaszcza z przyjacielem, przy blasku księżyca zapowiadającego sztorm, to wspaniała rzecz.

– Ale nie wiedziałaś, że dziś w nocy będziesz miała przyjaciela – zauważył.

– Nie wiedziałam – przyznała. – A ty?

– Miałem taką nadzieję.

– Poprzednio pływałam o świcie. Nawet nie wiem, która jest teraz godzina.

– Pewnie około wpół do piątej. Czułem, że przyjdiesz. Nie umiem tego wyjaśnić. Może dlatego, że muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Maddie przyjechała spotkać się ze mną.

– Jack! – wykrzyknęła poruszona.

– Tak dobrze było ją zobaczyć – powiedział, lecz jego oczy były pełne bólu.

Serce podeszło jej do gardła, gdy potrząsnął głową.

– O co chodzi?

– Nell i ja wyjeżdżamy.

Odwróciła się wolno ku niemu, czując ucisk w żołądku.

– Teraz kiedy Nell już wie, im dłużej tu zostaniemy, tym trudniejszy będzie dla niej ten wyjazd. Ona... ona zwariowała na twoim punkcie i na punkcie tego miejsca. Zepsułem coś wielkiego, lecz nie mogę tego odwrócić.

– Ale powiedziałeś, że dobrze było ją zobaczyć.

– To zbyt trudne, Stevie. To przerasta nas oboje. Ona pierwsza odjechała. Nie mogła tego znieść. W naszej rodzinie powstała zbyt wielka przepaść, by ją zasypać.

– To nie stanie się od razu – odparła.

– Chciałem zostać. Naprawdę. Nie wiesz nawet jak bardzo. Kiedy powiedziałaś wtedy na plaży: „Zostań”, ja... Twój głos brzmiał mi odtąd w uszach przez cały czas. Myślałem sobie: a jeśli byśmy jednak zostali? Próbowałem, tak bardzo chciałem...

– Ale...?

– Ale podpisałem kontrakt. Już zmieniłem bilety lotnicze. Wyjeżdżamy stąd jutro. A do Szkocji lecimy jeszcze w tym tygodniu.

– Nie możesz tego zrobić.

– Muszę.

Pomyślała o Madeleine i o niedokończonych sprawie. Na pewno jest jakiś sposób, by to załatwić, jeszcze zanim Jack wyjedzie.

– Maddie cię kocha – powiedziała. – I wiem, że ty też

ją kochasz.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Ale jest coś, czego nie rozumiesz. A ja nie mogę o tym mówić. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł. Łatwiej jest to odsunąć na bok, gdy nie jestem blisko... osób, które znały Emmę.

– Ale pomyśl o Nell – szepnęła. – Zabierasz ją tak daleko od tych, którzy ją kochają.

– Stevie, robię to dla niej. Jestem jej ojcem, muszę o nią dbać najlepiej, jak potrafię. Nawet jeśli nie jest mi to na rękę. Bo chyba wiesz, że w głębi ducha pragnę zupełnie czego innego...

Kiwnęła głową, lecz nie dał jej czasu na odpowiedź. Otoczył ją ramionami i pocałował z dziką gwałtownością. Miał gorące usta i wilgotne ciało. Myśli wirowały jej w głowie, gdy usiłowała stłumić łzy. Trwali w uścisku przez dłuższy czas, grzejąc się nawzajem w chłodnym wietrze, aż Stevie dała w końcu za wygraną i pozwoliła płynąć łzom. Przecież i tak cała była w słonej wodzie. Kładąc się na plecach, wciąż spleceni w uścisku, czuli, jak tratwa kołysze się na falach.

Przez ciało Stevie przepływały dreszcze pod dotykiem rąk Jacka. Dlaczego on musi wyjeżdżać? – przemknęło jej przez głowę i znowu zeszywniała. Lecz on nie wypuszczał jej z objęć. Zerwał się wiatr, zagłuszając słowa, które chcieli sobie powiedzieć. Byli daleko od lądu i daleko od wszystkich problemów. Księżyc w pełni rzucił zaklęcie i sprowadził ich tutaj na tę tratwę.

Chłodny wiatr wirował wokół nich, gdy zsuwali

kostiumy kąpielowe. W przymglonym świetle połyskiwały opalone silne ramiona i umięśnione uda Jacka. Ciało Stevie również było muskularne, lecz blade od długiej pracy w studio. Nie mogła się go doczekać. Wygięła ciało w łuk i przywarła wargami do jego szyi, czując smak soli. Jęknęła, gdy w nią wszedł. Wiatr chłostał fale, gdy Jack poruszał się w niej, a ona przywarła do niego, pragnąc go w sobie zatrzymać na zawsze. Serce tłukło się w piersi, a wewnątrz pulsowało. Jack szeptał jej coś do ucha, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Zacisnęła kurczowo dłonie na jego plecach. Ich oczy się spotkały i odnaleźli w nich to, czego z różnych powodów nie chcieli powiedzieć głośno. Księżycowa noc, wiatr od lądu i zbliżający się przypyływ zburzyły wszelkie opory.

– Zakochałam się w tobie – szepnęła tak cicho, że nie mógł usłyszeć.

– Ja też się w tobie zakochałem – odszepnął.

Czuła go w wietrze i w przypiływie i wiedziała, że odtąd będzie go czuć, gdy tylko zanurzy się w morzu. Teraz czuła go głęboko w sobie, trzymał ją w ramionach i to jej wystarczało.

W pewnym momencie zaszedł księżyc i zostali sami w ciemności, na tratwie oddalonej pięćdziesiąt metrów do brzegu. Fale uderzały coraz silniej, gdzieś z morskich głębin dochodziła tajemnicza muzyka. Stevie przypomniała sobie przezwisko nadane jej przez Henry'ego i znowu poczuła palące łzy pod powiekami. „To twoja łódź rozbija się o skały” – powiedział. Jack

patrzył jej w oczy, lecz było zbyt ciemno, by dostrzegł łyzy. Trzymała go w sobie tak długo, jak mogła. Popełniła w życiu i miłości wiele błędów, lecz tym razem wiedziała, że to nie błąd.

Usnęli w swoich objęciach. Kiedy się obudzili, niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać, zapowiadając świt. Stevie długą chwilę przyglądała się twarzy Jacka: długie rzęsy rzucały cień na szczupłe policzki, a gałki oczne drgały pod powiekami. Czy będzie o niej śnił, gdy wyjedzie do Szkocji? zadumała się i obudziła go pocałunkiem w usta.

– Słońce wschodzi – powiedziała.

Spojrzał niechętnie na wschód, jakby żałował, że nie może odesłać słońca z powrotem za horyzont. A może myślał o Szkocji.

– Lepiej wracaj do Nell.

– Tak – odpowiedział.

Ubrali się i wstali, nadal się obejmując. Jack spojrzał na nią, szykując się do skoku. Pokręciła głową.

– Płyn. Ja tu jeszcze zostanę.

– Wieje silny wiatr, fale są wysokie. Stevie, proszę cię.

– Nie – odparła. – Potrzebuję trochę czasu. Nic mi nie będzie.

Trzymał ją długo za rękę. Obserwowała jego twarz i zmarszczki na czole. Gdyby spotkali się wcześniej lub później, lub gdzie indziej. Gdyby nie mieli za sobą takiego bagażu doświadczeń. Gdyby, gdyby... Fale rozpryskiwały się miarowo o tratwę.

– Nie chcę cię tu zostawiać – powiedział.

– Proszę.

Miała ściśnięte gardło, z trudem hamowała łzy, których nie ukryłaby ciemność nocy.

– Stevie...

– Proszę – powtórzyła.

Kiwnął głową. Pocałował ją i skoczył w fale. Patrzyła, jak płynie do brzegu, oddalając się coraz bardziej. Teraz już nie musiała tłumić łez. Zobaczyła, że wychodzi z wody i schyla się po koszulę. Odwrócił się, uniósł dłoń na pożegnanie, po czym odszedł do córki, do ich przyszłości na innym skalistym wybrzeżu daleko za oceanem. Siedziała na tratwie i odprowadzała go pustym wzrokiem.

Rozdział 22

Nell nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Torby stały spakowane, ojciec zamiatął podłogę w kuchni, butelki po wodzie czekały przy drzwiach na wyrzucenie, a właścicielka domku mówiła:

– Mam nadzieję, że przyjadą państwo w przyszłym roku.

– Dam pani znać – odpowiedział Jack, trzymając szczotkę w ręku.

– Zapłacili państwo do końca miesiąca – ciągnęła właścicielka. Była ładna, opalona, miała kręcone kasztanowe włosy i wesołą różową sukienkę w kwiaty. – Przykro mi, że nie mogę panu zwrócić pieniędzy, ale nie mam innych klientów na to lato.

– Nic nie szkodzi – odparł Jack, wracając do zamiatania.

Dawał jej jasno do zrozumienia, że nie jest w nastroju do pogawędki, lecz ona nie przyjmowała tego do wiadomości.

– Czy coś się państwu nie podobało w domku? Nie czuliście się tutaj dobrze?

– Bardzo nam się podobało – odpowiedziała Nell, zakładając ręce na piersi. Czowała się nieswojo w eleganckiej żółtej sukience, której nie miała okazji włożyć

podczas całego pobytu; strój nie nadawał się ani na plażę, ani na rower, ani tym bardziej na połów małży.

– Dlaczego więc...?

– Zmiana planów – wyjaśnił Jack. Zorientował się, że zabrzmiało to niezbyt uprzejmie, więc dodał: – Sprawy zawodowe.

– To podłość – wypaliła Nell.

– Nell...

– To niesprawiedliwe. Chcę tu zostać. Jedź sobie do Szkocji, a ja zostanę. Przecież zapłaciliśmy.

Jack uśmiechnął się przepaszająco do właścicielki, która wyglądała na zaskoczoną, lecz zarazem spragnioną szczegółów sprzeczki między ojcem a córką.

– Pani Crosby pewnie nie uzna tego za dobry pomysł.

– Rzeczywiście – przyznała kobieta. – Zresztą na pewno aż się palisz, żeby pojechać z tatą do Szkocji.

– Tak samo jak do tego, żeby mewy wydrapały mi oczy – mruknęła pod nosem Nell.

– Szkocja jest piękna – przekonywała właścicielka, wyraźnie starając się przypodobać Jackowi. – Wrzosa, jeziora, zamki, mnóstwo pledów w kratę i tweedu. No i szkocka – zaśmiała się – dla twojego taty.

– Tato – powiedziała Nell, ignorując głupią panią Crosby i jej flirciarskie metody. – Tu też mamy zamek. Nigdzie nie jadę. Zostaję ze Stevie.

– Nell...

– Na pewno mi pozwoli. Bardzo się ucieszy. Mogłabym jej pomagać w malowaniu, mówić, co dzieci lubią czytać.

Mówiła, że byłam dla niej inspiracją przy książce o kolibrach. Mogłybyśmy robić mnóstwo innych rzeczy.

– Nie będziemy zwracać głowy Stevie.

– Stevie Moore? – spytała właścicielka, zabawnie unosząc brew.

– Jest naszą przyjaciółką – wyjaśniła Nell.

Pani Crosby zaniemówiła, a Jack wrócił do zamiatania podłogi. Nell poczuła, że musi skorzystać z okazji i wyjść, bo za chwilę się rozpłacze.

– Idę się pożegnać – oznajmiła.

– Wyjeżdżamy o drugiej, rozumiesz, Nell?

Zmarszczyła nos i kiwnęła głową. Był jej tata, musiała go słuchać, lecz wcale nie musiało jej się to podobać.

Wybiegła z domu i zrzuciła z nóg buty, delektując się uczuciem ciepła pod stopami. Słony wiatr rozwiewał jej włosy i dmuchał w oczy. Pogoda jakby wyczuła jej zły humor, bo niebo pokryły chmury i zbierało się na deszcz. Sztormowe fale zalewały plażę. Przystanęła na promenadzie, rozwarła ramiona i poddała się wiatrowi. Dmuchał tak mocno, że bez względu na to, jak bardzo się pochylała, pchał ją w tył. Połknęła wiatr, czując w ustach smak morza. Popatrzyła w górę i w dół, starając się zapamiętać każdy szczegół plaży. Spojrzała w stronę jasnych parasoli i rozłożonych na piasku koców. Zaledwie kilkoro najwytrwalszych plażowiczów siedziało na leżakach, usiłując przy tak silnym wietrze czytać książki. Grupka dzieci kąpała się w morzu. Nell rozpoznała wśród nich Billy'ego McCabe'a, Elizę i Annie. Poszukała

wzrokiem Peggy, lecz po chwili przypomniała sobie, że przyjaciółka czeka na nią w domu. Poszła więc ścieżką przez moczary. Było tu zaciszniej i cieplej. Bose stopy wydawały pisk przy zetknięciu z błotem. Miejscowy strumień przelewał się przez brzegi. Popatrzyła w ciemną toń wody i zobaczyła niebieskie kraby trzymające się spartyny, błotnej trawy. Ich szczypce połyskiwały w mglistym świetle.

Kiedy doszła do drewnianej kładki, pomyślała o ojcu. Zarabiał na życie budowaniem mostów. W Szkocji też będzie je budować. Cały świat wypełni się jego mostami, lecz jeżeli sam nie będzie po nich chodził, by dotrzeć do ludzi, których kocha, to jaki z nich pożytek? Utrzymując równowagę na srebrzystych deskach, myślała o osobach czekających na nią po drugiej stronie: o Peggy, Stevie, ciotce Aidzie. Ojciec gdyby mógł, zbudowałby pewnie most przez Atlantyk, byleby tylko uciec od wszystkich.

Rzuciła się pędem do domu Peggy i zapukała do drzwi. Czekają już na nią jej mama i Tara. Peggy siedziała na stołku i nie była w stanie odwrócić głowy, by przywitać się z przyjaciółką. Kobiety objęły Nell.

– Będziemy za tobą tęsknić – powiedziała pani McCabe.

– Szkoda, że nie możemy cię porwać i zatrzymać – dodała Tara. – Ale mój narzeczony pewnie miałby z tego powodu kłopoty.

– Nie wniosłabym oskarżenia – powiedziała z nadzieją w głosie Nell.

Kobiety roześmiały się i ucałowały ją w czubek głowy.

Nell odwróciła się do Peggy. Przyjaciółka miała czerwone oczy. Nell popatrzyła na nią i poczuła w żołądku ogromny ciężar. Żadna z nich nie mogła mówić. Nell wskazała na drzwi, na co Peggy wzruszyła ramionami i wstała. Zegar ścienny wskazywał pierwszą piętnaście. Do odjazdu pozostało więc czterdzieści pięć minut.

Dziewczynki wsiadły na tandem. Peggy prowadziła. Pojechały drogą wzdłuż moczarów, a potem ścieżką za falochronem. Ostry wiatr wpychał im włosy do oczu i ust, lecz Nell to nie przeszkadzało. Był to ciepły tropikalny wiatr wiejący znad wysp Georgii. Zdawało jej się, że czuje zapach namorzynów i dzikich kucyków.

Peggy nawet nie pytając skręciła w stronę cypla. Parking stał w wodzie, która wylała się z basenu dla łodzi i moczarów. Drobne rybki rozpierzchły się na boki pod kołami roweru. Dziewczynki minęły kort tenisowy i skręciły na drogę prowadzącą na wzgórze. Kiedy dotarły do domu Stevie, Peggy zdjęła nogi z pedałów.

– Skąd wiedziałaś, że chciałam tu przyjechać? – spytała Nell.

– Jestem twoją najlepszą przyjaciółką – odpowiedziała Peggy.

Nell kiwnęła głową. Ciężar w żołądku stał się jeszcze większy. Ruszyły schodami na górę i gdy dotarły do miejsca, w którym stała tabliczka, nie było po niej śladu. W ziemi pozostała jedynie mała dziura po paliku. Może

ukradły ją jakieś dzieci. Przyspieszyła kroku, by zapukać do drzwi, lecz Stevie już na nią czekała, tak jak pierwszego dnia.

– Tabliczka zniknęła – poinformowała ją Nell.

– Wiem – odparła Stevie. – Sama ją zdjęłam.

– Zdjęłaś ją? Dlaczego?

Stevie uśmiechnęła się. Oczy pozostały poważne, lecz uśmiech był ciepły i Nell poczuła go w sercu.

– Długo by wyjaśniać – powiedziała w końcu Stevie. – A ja wolę porozmawiać o tobie.

– Gdzie Tilly? – spytała Nell, rozglądając się wokół. Dostrzegła ją przy nodze Stevie, jakby kotka wiedziała, że jej pani potrzebuje dziś ochrony.

– Wejdźcie.

Przeszły do salonu, skąd widać było plażę i wzburzony ocean. Fale przypominały raczej bałwany, a nie leniwe wybrzuszenia, które Nell widziała przez całe lato. Jakby pogoda odzwierciedlała jej nastrój.

Nell i Peggy usiadły na kanapce, a gospodyni z kotem w wiklinowym fotelu. Stevie upiekła ciastka z cukrem. Były na stole, na porcelanowym talerzu w kwiaty, lecz jakoś żadna z nich nie miała ochoty po nie sięgnąć.

– Tara powiedziała, że powinnyśmy porwać Nell. Myślę, że to dobry pomysł – odezwała się Peggy, połykając łzy.

– Też myślałam o czymś podobnym – odparła Stevie, patrząc na nie z powagą. – Myślę jednak...

Nell zawisła wzrokiem na ustach Stevie.

– Myślę jednak, że jej tata wie, co robi, i...

– I co? – spytała chciwie Nell, bo jak dotąd nie uwierzyła w ani jedno słowo.

– I obie będziemy do niej pisać mnóstwo listów, prawda, Peggy?

Peggy kiwnęła głową. Rude włosy opadły jej na mokre od łez oczy.

– Mama już mi kupiła kilka znaczków zagranicznych. Są droższe od innych, ale powiedziała, że dostanę tyle, ile będę potrzebowała.

– Och, pamiętam, jak... – zaczęła Stevie, po czym zagryzła wargę. Spojrzała na siedzącą na poręczy fotela Tilly, gorączkowo szukając jakiegoś wykrętu. – Tilly, ty też napiszesz do Nell?

– Pamiętasz, jak co? – podpowiedziała Nell, pochylając się w przód, i Stevie zrozumiała, że bardzo chce to usłyszeć.

– Pamiętam, że podobnie się czułam, gdy twoja mama i ciocia wyjeżdżały stąd pod koniec lata – rzekła Stevie. – Nie mogłyśmy znieść myśli o rozstaniu. Pożegnania ciągnęły się bez końca. Mówiłyśmy do widzenia, a potem o czymś sobie przypominałyśmy i rodzice musieli wrócić, byśmy mogły to sobie powiedzieć.

– A o czym zapominałyście powiedzieć?

– Na przykład: „Pamiętasz, jak popłynęłyśmy do Rocky Neck na piknik?” Albo: „Pamiętasz, jak przekonaliśmy dzieci z plaży, że lodziarz kupuje kraby na przynętę, i przez całe lato próbowały sprzedawać mu kraby, a on nie

wiedział dlaczego?"

– Też powinniśmy zrobić coś takiego – powiedziała Peggy, śmiejąc się i pociągając nosem.

– Moja mama i ciocia to robiły?

Stevie kiwnęła głową.

– Twoja mama, ciocia i ja. Tego lata gdy się poznałyśmy, gdy byłyśmy jeszcze na tyle małe, by nam się upiekło. Później mówiłyśmy o sprawach związanych z chłopcami.

– Jak na przykład całowanie się w kinie, tak? – spytała Peggy.

– Coś w tym rodzaju.

– Ohyda – stwierdziła Peggy.

Stevie uśmiechnęła się smutno, jakby wiedziała o czymś, o czym one nie miały pojęcia. Nell zadrżała, po czym spojrzała w okno i zobaczyła wrony siedzące na cedrze.

– Czy to...?

– Ebby i jej rodzina – wyjaśniła Stevie. – Ona chyba myśli, że jestem jej ciotką czy kimś takim. Widzicie ją?

Nell przycisnęła twarz do szyby. Dostrzegła wśród ptaków młodą wronę, mniejszą od innych, lecz równie dumną i lśniącą. Pomyślała o tym, jaka ważna jest rodzina, tak ważna, że młoda wrona trwa przy swojej przyszywanej ciotce.

– Chciałabym wam coś powiedzieć – odezwała się Stevie.

Nell odwróciła się do niej.

– Bardzo żałuję, że zerwałam kontakt z moimi przyjaciółkami.

– Z mamą i ciocią?

Stevie kiwnęła głową.

– Byłyśmy ze sobą bardzo zżyte. I przysięgałyśmy, że nigdy się nie rozstaniemy. Ale życie pędzi naprzód i zanim się człowiek zorientuje, zapomina o wakacjach spędzonych z najlepszymi przyjaciółkami i przestaje do nich pisać.

– Nigdy – zapewniła Peggy z mocą. – Mama i Tara nigdy nie przestały do siebie pisać.

– Są mądre i mają szczęście.

Nell zacisnęła dłonie w pięści. Rozumiała, co to znaczy: przestać. Kochasz kogoś tak bardzo, że spędzasz z nim Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, dzwonisz co niedziela, pamiętasz o urodzinach i rocznicach i nagle ten ktoś znika z twojego życia.

– Skoro nie powinno się zapominać o przyjaciółkach, to jak można zapomnieć o siostrze? – spytała łamiącym się głosem. – Jak można przestać odzywać się do własnej siostry?

– Ja nigdy nie przestałam odzywać się do siostry – powiedziała Peggy.

Stevie popatrzyła z powagą na Nell. Obie wiedziały, że Nell miała na myśli ciocię Maddie. Rozpłakała się wtedy w pracowni Stevie i ojciec musiał ją nieść do domu na rękach. Teraz też czuła się podobnie, lecz starała się powstrzymać łzy.

– Ja nie mam siostry – odezwała się Stevie – ale pytałam o to ciotkę Aidę.

– I co powiedziała?

– Powiedziała, że to rozumie, bo brat z siostrą są sobie tak bliscy, że wszystko, również krzywdę, odczuwają znacznie silniej. Kiedy więc dochodzi do czegoś złego, czasami nie ma innego wyjścia, jak przed tym uciec.

– Ale on i mnie każe uciekać! – Nell czuła łzy spływające jej po policzkach. – Ukrywać się przed ciocią, a teraz przed tobą. A ja nie chcę jechać do żadnej Szkocji.

– Wiem, kochanie.

Stevie rozwarła ramiona, a Nell nie zważając na to, że zachowuje się jak dziecko, padła w jej objęcia i rozplakała się na dobre.

Płakała tak długo, że w końcu zabrakło jej łez. Poczowała wąsy Tilly na policzku i ciepły oddech Stevie na włosach.

Po pewnym czasie Stevie łagodnie odsunęła ją od siebie i sięgnęła po aktówkę podobną do tych, jakich czasami używał ojciec do noszenia rysunków technicznych. Ta jednak była mniejsza i wykonana z pięknej czerwonej skóry.

– To dla ciebie – powiedziała Stevie.

Nell zamrugała mokrymi od łez powiekami i rozwiązała grube tasiemki. W środku znajdowały się kartki, wyglądające jak strony z książki.

– Co to jest? – spytała Peggy.

– „Czerwony nektar” – wyszeptała Nell. – Książka o kolibrach, tak?

– Tak. To pierwsza korekta. Chciałabym ci ją dać.

Nell z zachwytem oglądała ilustracje z parą kolibrów na cyplu Hubbarda, z błękitną zatoką i wyniosłą skałą w tle, pijącą nektar z czerwonych kwiatów porastających zmurszałe mury zamku Aidy, a potem lecącą przez pół świata za ocean i wracającą do Black Hall. Na jednym z rysunków kolibry przelatywały nad dziewczynkami siedzącymi na tandemie. Jedna miała kasztanowe włosy, a druga rude.

– To ja i Peggy! – wykrzyknęła Nell, a Peggy aż się zachłysnęła.

Na innych ilustracjach był zamek i para kolibrów wracających na cypel Hubbarda, Aida malująca obrazy, pnąca z pięknymi czerwonymi kwiatami w kształcie trąbek porastające szare mury, Jacka i Nell stojących na wieży z teodolitem.

– To my – zawołała Nell. – A ty gdzie jesteś?

– Ja was obserwuję i maluję to, co widzę.

– Spójrz, Nell – powiedziała Peggy, podnosząc kartkę, która spadła na podłogę. – Tu jest dedykacja.

Nell przeczytała ją na głos.

– Dla Nell, która ma serce kolibra.

Przycisnęła książkę do piersi, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Serce kolibra, pięknego, silnego i dzielnego ptaszka, który lata tak wysoko i daleko. Chciała podziękować, chciała zapytać Stevie, dlaczego właśnie jej zadedykowała tę książkę. Miała tysiące pytań, lecz nie była w stanie. Nagle Tilly zeskoczyła z fotela i ukryła się

pod kanapą. Rozległo się pukanie do drzwi. Nell zerknęła na zegarek Stevie i zobaczyła, że jest już po drugiej. Poszły razem do kuchni. Przed drzwiami stał Jack.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj będę? – spytała Nell.

– Bo powiedziałaś, że chcesz się pożegnać.

– Może wejdiesz – zaproponowała Stevie.

Nell dostrzegła w jej oczach coś, co przypominało wiatr – coś ciepłego, słonego i smutnego. Jack pokręcił głową.

– Musimy już jechać.

– On nienawidzi pożegnań – wyjaśniła Nell.

– Zauważyłam – stwierdziła cicho Stevie.

Nadszedł czas pożegnania, którego Nell nigdy nie zapomni. Objęły się z Peggy i kołysały jak w tańcu. Peggy mówiła coś o tym, że będzie codziennie pisała, a Nell zapewniła ją o tym samym. Potem przyszła kolej na Stevie. Nell wyciągnęła ręce, a Stevie pochyliła się, by ją uściskać. Nell miała ochotę na zawsze zostać w jej objęciach. Obie ze Stevie miały policzki mokre od łez.

– Dziękuję za książkę – powiedziała Nell.

– Proszę bardzo. A ja dziękuję ci za wszystko. Za to, że byłaś dla mnie inspiracją.

– Naprawdę?

– Bardziej, niż ci się wydaje.

– Jeżeli zobaczysz się z ciocią Maddie, powiedz jej o książce, dobrze? – poprosiła Nell. – Chcę, żeby wiedziała.

– Powiem.

– Powiedz do widzenia cioci Aidzie.

– Naturalnie.

– Nie chcę jechać – oznajmiła Nell, kurczowo uczepiona ręki Stevie.

Pomyślała, że jeżeli będzie ją mocno trzymać, może Stevie nie pozwoli jej odejść.

Stevie przykucnęła i spojrzała na Nell. W jej fiołkowych oczach było tyle spokoju, głębi i dobroci, że Nell aż przeszedł dreszcz po plecach na myśl, że musi ją opuścić.

– Czas na ciebie, Nell – powiedziała Stevie.

– Nie – wyszeptała Nell.

Czy nie mogłaby przynajmniej udawać, że nie chce jej puścić, żeby tata zobaczył, jak bardzo nie chce, żeby wyjeżdżali?

– Masz misję do spełnienia – szepnęła Stevie.

– Co?

– Misję. Ważne zadanie do wykonania. Dla wakacyjnych przyjaciółek.

– Dla wakacyjnych przyjaciółek? – powtórzyła Nell. – Jakie zadanie?

Poczuła, że włoski stają jej na karku.

– Musisz sprawdzić, jak wyglądają plaże w Szkocji.

– Na pewno nie są takie ładne jak na cyplu Hubbarda.

– Nie dziwię ci się, że tak myślisz, ale możesz się mylić.

– Wcale nie – odparła gniewnie Nell.

– Nie chodzi o to, że będą ładniejsze. Mogłabyś je obejrzeć, a potem opisać, co widziałaś.

– Na przykład co?

– Na przykład jakie są tam muszelki, czy piasek jest biały czy różowy, czy plaża jest piaszczysta czy skalista, czy wodorosty są takie jak tutaj.

Nell zamknęła oczy i wyobraziła sobie sprężyste brązowe roślinki porastające skaliste stawy, długie ławice krasnorostów morskich wyrzucanych na brzeg po sztormie, do których przyklejały się małe pobrażki. Zrobiło jej się smutno na myśl o tym, że już ich nie zobaczy.

– Jakie są tam kolorowe szkiełka? – dodała Peggy. – Czy plaże mają promenady, kina, miejsca, gdzie łowi się kraby, o to chodzi, prawda, Stevie?

– Prawda. Takie właśnie informacje są nam potrzebne.

– Ale do czego? – spytała Nell.

– Bo może przyjedziemy cię odwiedzić, prawda, Stevie? – odpowiedziała Peggy ze łzami w oczach.

Nell zauważyła wymianę spojrzeń między Stevie a jej ojcem. Zbyt dobrze znała ten szyfr dorosłych, używany gdy nie chcieli obiecywać dzieciom czegoś, czego nie mogą dotrzymać.

– Nie wiem, czy przyjedziemy – odparła Stevie. – Lecz nie w tym rzecz. Po prostu chcemy wiedzieć. Chcemy wiedzieć, co będziesz czuła, chodząc boso po piasku, jak smakuje słona woda podczas kąpieli w morzu, jak wyglądają zachody słońca i jak jasno świecą gwiazdy na niebie, bo jesteśmy wakacyjnymi przyjaciółkami. To jest główny powód.

– I bardzo ważny – dodała Peggy.

– Czas na ciebie – powiedziała Stevie, ściskając Nell za rękę. Łzy spływały jej po policzkach.

Nagle Nell zrozumiała, że Stevie wymyśliła to po to, żeby ułatwić jej rozstanie.

Jack stał przed drzwiami. Sądziła, że po prostu czeka na nią, kiedy jednak się odwróciła, spostrzegła, że wpatruje się w Stevie. W jego spojrzeniu była niezwykła głębia i tajemniczość, która sprawiła, że przeszedł ją dziwny dreszcz. Nie widziała, żeby tak na kogoś patrzył, nawet na mamę. A może była za młoda, by to dostrzec? Lub zbyt szczęśliwa i bezpieczna. Ten utkwiony w Stevie wzrok działał jak magia i kojarzył się z domem. Jego oczy mówiły, że i on wcale nie chce wyjeżdżać.

– Zauważyłem, że usunęłaś tabliczkę – powiedział Jack, patrząc na Stevie rozpalonym wzrokiem.

– Usunęłam.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

Nell chwyciła Peggy za rękę.

– Pomyśl życzenie – szepnęła Nell. – Żeby Stevie sprowadziła nas z powrotem, mnie i tatę.

– Pomyślałam – odpowiedziała Peggy, mocno zaciskając powieki.

– Ja też – odszepnęła Nell, czując, jak otacza ją magiczna aura lata, kolibrów i wakacyjnych przyjaciółek i wpływa jej prosto do serca.

Drzwi z siatką się otworzyły i Nell poczuła dłoń ojca na głowie. Stevie wypchnęła ją na dwór. Peggy cicho

płakała.

– Chodź, Nell – szepnął Jack.

Po chwili usłyszała coś cichego i szybkiego – pocałunek dwojga ludzi.

– Chodź, Nell – powtórzył cicho Jack.

Potem nikt już nie mógł mówić, nawet powiedzieć jeszcze raz do widzenia.

Nell i Jack wyjechali do Szkocji.

Część Trzecia

Rozdział 23

Stevie usiłowała malować, usiłowała zajmować się ogrodem, lecz nie była w stanie. Nie dostrzegała również, że jest połowa sierpnia, okres, który najbardziej lubiła. Nie pływała już przed świtem. Leżała w łóżku z prześcieradłem naciągniętym na głowę, by światło jej nie raziło, starając się jakoś przeżyć ciągnące się w nieskończoność dni. Nic nie robiła, a jednak czuła się zmęczona. Nie zapadała w głęboki sen, lecz nie spędzała nocy bezsennie.

– Kochanie, to się nazywa depresja – powiedziała Aida, gdy Stevie do niej zadzwoniła, przeprasząc za to, że zapomniała o spotkaniu z adwokatem, na którym mieli omawiać sprawę fundacji.

– Naprawdę? – zdziwiła się Stevie. – Nigdy dotąd nie byłam w depresji.

– Skoro tak mówisz... W każdym razie to co opisujesz, to klasyczne objawy. Tak właśnie się czułam po śmierci Vana.

– Nic mi nie jest – zaprotestowała Stevie.

– Kochanie, jesteś artystką, w dodatku irlandzkiego pochodzenia. Takiej mieszance towarzyszy zazwyczaj spora porcja bólu, a jeśli dodać do tego miłość, to przepadło.

– Miłość?

– Nie oszukujmy się. Wiele razem przeszliśmy, dziewczyno. Chodzi o Jacka i Nell. Wyjechali, a ty rozpaczasz.

– Zastanawiałam się nad swoim życiem i nad błędami, które popełniłam – powiedziała Stevie z oczyma pełnymi łez.

– Henry mówił, że jestem syreną, która rozbija łodzie mężczyzn i swoje. Bardzo chciałam, żeby ta się nie rozbiła – dodała, połykając łzy.

– Wiem, kochanie.

Stevie zamknęła oczy. Promienie słońca rozświetlały powierzchnię morza, zalewając plażę czystym białym światłem. Nie mogła na to patrzeć.

– Masz to, co święty Jan od Krzyża nazywał „ciemną nocą duszy” – powiedziała Aida. – Przetrzyj tę próbę. Pomyśl, że dane ci było przeżyć coś wyjątkowego, i wierz głęboko, że w końcu nastanie poranek.

Stevie zalała fala rozpacz. Ciemna noc w taki piękny letni dzień. Zbyt mocno kochała ciotkę, by się z nią nie zgodzić. Nie wierzyła jednak, że będzie lepiej. Kolory wydawały się szare i mgliste, jak po śmierci matki. Po wielu latach błędzenia po iluzorycznych ścieżkach znalazła wreszcie prawdziwą miłość, lecz szczęście nie trwało długo.

Aida przekazała jej błogosławieństwo po celtycku i Stevie odłożyła słuchawkę. Obok niej, przytulona do jej nogi, na łóżku spała Tilly. Pogładziła ją po grzbiecie. Tyle

razem przeszły. Aida radziła przetrzymać i tę próbę. Spojrzała na sztalugi. Powinna popracować, lecz nie była w stanie. Serce zbyt mocno ją bolało.

Nell przysłała jej sześć pocztówek. Jedną z zamkiem w Inverness. Na odwrocie napisała: „Zamek jest ładny, lecz nie tak magiczny jak cioci Aidy”. Na drugiej było jezioro Loch Ness. Pozostałe przedstawiały Orkady, szkockie wyspy, na które Jack pojechał w związku ze swoją nową pracą. Nell posłusznie opisywała piasek na plaży, wodorosty i muszelki, które tam zobaczyła.

W zeszłym tygodniu otrzymała list od Jacka.

„Urządzamy się – pisał. – Jak tam sprawy Aidy i fundacji? Wpadłem w wir pracy, projektuję mosty, które mają połączyć rafinerie na Morzu Północnym z Orkadami, gdzie przeważnie mieszkają ludzie pracujący w przemyśle naftowym. Nell dała mi do zrozumienia, co sądzi o mojej pracy, wycinając z gazety zdjęcie kaczek, które zginęły z powodu wycieku ropy do morza. Miało to miejsce w mieście, w którym ma powstać mój pierwszy most. Biedne ptaki były oblepione czarną mazią, a Nell narysowała chmurkę nad ich głowami i napisała w niej: „Stevie, następną książkę napisz o tym, jak ropa zabija kaczki”. Ma dopiero dziewięć lat, a już stała się aktywistką. Bardzo za Tobą tęskni”.

Stevie najpierw obejrzała zdjęcie, które dołączył do listu. Widziała w życiu wiele takich zdjęć z ptakami oblepionymi ropą, która uniemożliwia im latanie, skazując je na śmierć przez utonięcie. Kiedy była dzieckiem, takie

zdjęcia wywoływały w niej smutek. Teraz czuła gniew.

Praca zwykle pomagała jej przetrwać trudne okresy w życiu. Po bolesnych rozwodach wytchnienie dawała jej praca nad nową książką i nowa miłość. Nawet rozstania dostarczały jej czystej energii, która pchała ją ku sztalugom. Nie popadła w depresję wtedy, dlaczego więc tym razem...?

Za oknem świat eksplodował blaskiem. Kwiaty w ogrodzie chłoneły światło i odbijały je. Na cyplu Hubbarda światło było wyjątkowe i niesamowite, zwłaszcza oglądane z jej domu na wzgórzu. Zupełnie jakby rodzice wybrali to miejsce, wiedząc, że córka zostanie artystką. Przez wszystkie minione lata, jakie tu spędziła, inspirowało ją do pracy. Dzisiaj jednak odwróciła się od niego. Ciemność w duszy była tak przytłaczająca, że nie potrafiła z nią walczyć. Nawet słońce nie potrafiło rozproszyć mroku.

Kiedy zadzwonił telefon, nie miała ochoty podnieść słuchawki. Kto to mógł być? Nie chciała z nikim rozmawiać. Tilly leżała nieruchomo, jakby nic jej nie obchodziło. Po szóstym sygnale Stevie zdecydowała się wreszcie podnieść słuchawkę.

– Halo? – spytała.

Dałaby głowę, że słyszy szum Atlantyku. Minęła chwila, po czym odezwał się tryskający radością głos.

– Stevie, to ja!

– Nell! – Natychmiast usiadła prosto.

– Dostałaś moje pocztówki?

– Dostałam. Bardzo mi się podobały.

– Chodzę na plażę, gdy tylko mam okazję. Namówiłam tatę, by zawiózł mnie na inną. Tu jest strasznie dużo plaż.

– Szkocja ma bardzo długą linię brzegową.

– Podobało ci się, co napisałam o dziwnych muszelkach i trawie morskiej?

– Tak. Doskonały raport, panno Kilvert.

Nell zachichotała. Jej śmiech brzmiał tak łagodnie i swojsko. Był jak balsam na zbolące serce Stevie.

– Na Wyspie Harrisa jest podobno różowy piasek i palmy. Niedługo tam pojedziemy. Nie w interesach, tylko na weekend – mówiła Nell podekscytowanym tonem. – Tata zapracowuje się na śmierć. Nic tylko siedzi przy komputerze. Muszę mu przypominać o jedzeniu. To koszmar.

Stevie uśmiechnęła się mimowolnie.

– A ty? Byłaś już w swojej szkole? Widziałaś się z nauczycielką?

– Yhm. Tata będzie dużo podróżować, więc znalazł mi guwernantkę. Jest miła. Nazywa się panna Robertson. Pokazałam jej twoją książkę.

– Naprawdę?

– Zobaczyła dedykację i powiedziała, że musimy być bardzo dobrymi przyjaciółkami.

– Bo jesteśmy – odparła Stevie. – Może opowiesz jej o życiu kolibrów.

– Opowiem. Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię, Nell.

Zapadła cisza. Stevie zastanawiała się, czy Jack jest w pobliżu.

– Chciałabym być na cyplu Hubbarda – odezwała się po chwili Nell.

– Plaża zawsze będzie na ciebie czekać – odpowiedziała Stevie ze łzami w oczach.

– Wiem – odrzekła Nell.

– Nie zapominaj o raportach – przypomniała Stevie. – Są wspaniałe.

– Nie zapomnę – odpowiedziała Nell. – Naprawdę ci się przydają?

– Naprawdę – zapewniła ją Stevie.

Znowu zaległa cisza. W końcu Nell powiedziała cicho „do widzenia” i odłożyła słuchawkę.

Stevie odchyliła się na poduszkę ze słuchawką w ręku. W uchu dźwięczał jej ciągły sygnał. Wystarczyło zamknąć oczy, by zobaczyć Nell z zielonymi oczyma, krótkimi kasztanowymi włosami i szerokim uśmiechem. I Jacka wchodzącego na wzgórze. Prawie słyszała ich głosy. Lecz w rzeczywistości było to tylko jednostajne buczenie telefonu. Dziwne, ale rozmowa z Nell pogłębiła jej samotność. Przypomniały jej się słowa Aidy: „Staraj się przetrzymać i tę próbę”. Wydawało się to niemal niewykonalne.

Tilly leżała bez ruchu, w głębokim śnie uganiając się za myszami. Stevie zamknęła oczy i starała się przywołać w pamięci głos Nell, z którą tak niedawno rozmawiała, i głos Jacka sprzed kilku tygodni. Z wielką przykrością

uzmysłowiła sobie, że nie potrafi.

Jack zajął się urządzaniem życia w nowym kraju. Pracownicy IR – firmy, która przyjęła nazwę od jej założyciela Ivana Romanowa – znaleźli dla niego i córki dom na przedmieściach Inverness, u stóp łańcucha Western Highlands. Była to dawna siedemnastowieczna plebania zbudowana z kamieni rzecznych. Przypomniawszy sobie pierwszą reakcję Nell na jej widok. Była zmęczona długim lotem, głodna, bo nie smakowało jej jedzenie w samolocie, i zła, gdyż budzik, który nastawiła na trzecią, jako że o tej godzinie rozstała się ze Stevie i Peggy, właśnie się odezwał. Wysiedli z taksówki, stanęli na chodniku przed ponurym, okazałym szarym domem w stylu georgiańskim.

– Co to jest? – spytała cicho Nell.

– Nasz nowy dom.

Przed drzwiami czekała na nich Dancy Diarmud, przedstawicielka firmy opiekująca się nowymi pracownikami. Miała około trzydziestu pięciu lat, była bardzo ładna, ubrana w wiśniowy wełniany kostium. Powitała ich ciepło i przyjaźnie.

– Witamy w Szkocji, panie Kilvert – powiedziała, ściskając mu dłoń.

– Proszę mówić mi Jack – odpowiedział. – A to jest Nell.

Dancy uśmiechnęła się i oprowadziła ich po domu. Na parterze mieścił się salon, jadalnia, salonik, kaplica, kuchnia, spiżarnia i coś, co nazwała pokojem odwiedzin,

w którym żona pastora organizowała pogrzeby. Nell rzuciła Jackowi znaczące spojrzenie. Miejsca było dużo, lecz pokoje małe, o niskich sufitach. Na piętro prowadziły schody – paradne z małego korytarza i boczne, które Dancy nazwała kuchennymi.

Dom miał sześć niczym nie wyróżniających się sypialni typowych dla wynajmowanych mieszkań. Były zimne i nie – przytulne, jakby meblowano je z myślą o użytkownikach, którzy nie zamierzali zostać tu na dłużej. Jackowi przypomniawszy się dom Stevie, przytulny i stylowy, i poczuł ucisk w piersi.

Firma Jacka zaplanowała kilka koktajli, by przedstawić go innym inżynierom i klientom, głównie przedstawicielom spółek naftowych z Londynu, Moskwy i Houston.

Plan pracy był bardzo napięty. Musiał odbywać podróże na Orkady, gdzie mieli budować mosty z kamiennymi przęsłami, by zadowolić gusty wyspiarzy, i na tyle wytrzymałe, by zapewniały stałe połączenie z platformami. Na szczęście było tu mnóstwo pięknych plaż, które mogła zwiedzać Nell.

Archipelag siedemdziesięciu wysepek położony jest na północ od Szkocji. Po krótkim locie z Inverness wylądowali na Ladapool, jednej z siedemnastu zamieszkałych wysp. Krajobraz był dziki i niesamowity, wszędzie morze i niebo, i bardzo stare kamienne budowle sprzed naszej ery. Megalithy przypomniały mu podróż do

Szkocji z rodziną i zachwyty Maddie nad siłą i magią emanującą z tych starożytnych kamieni. Niestety niedaleko od jednej z najpiękniejszych zatok mieściły się rafinerie Brooks Oil z tankowcami czekającymi przy brzegu na rozładunek, statkami w dokach i parkingami zapchanymi przez cysterny. Jackowi natychmiast przyszło na myśl zdjęcie wycięte przez Nell z gazety i książka, którą miała napisać Stevie o ptakach czarnych od ropy.

Nell zawsze towarzyszyła mu w podróży. Kiedy on oglądał teren, rozmawiał z innymi inżynierami, studiował mapy, ona odrabiała lekcje z panną Robertson. W wolnym czasie szła na plażę – długi żwirowy pas lądu. Przypominała kształtem tę na cyplu Hubbarda. Wyteżywszy wyobraźnię, Jack potrafił nawet zlokalizować tratwę, na której kochał się ze Stevie.

Z trudem skupił się na rozmowie z inżynierami, podczas gdy Nell zbierała na brzegu muszelki. Kiedy skończyła, podeszła do niego z poważną miną.

– Co się stało? – spytał, gdy mógł się na chwilę oderwać.

– Nic – odpowiedziała.

– Wyglądasz na zdenerwowaną.

– Myślę – odparła. – Staram się zapamiętać wszystkie szczegóły, żeby przekazać je wakacyjnym przyjaciółkom.

– Aha – mruknął, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął mały notes i wieczne pióro.

Nie musiał jej mówić, jak cenne jest to pióro. Był to prezent od siostry na zakończenie college'u.

– Po co mi to dajesz? – spytała Nell.

– Żebyś mogła wszystko zapisać i przekazać wakacyjnym przyjaciółkom.

Z powagą kiwnęła głową i wróciła na plażę.

– Zawsze zabierasz ze sobą córkę? – spytał Victor Buchanan, naczelny inżynier firmy.

Był wysokim krzepkim mężczyzną o rumianych policzkach i kręconej siwej czuprynie. Jack wiedział, że jest jednym z najważniejszych ludzi Ivana Romanova i że to właściwie jemu zawdzięcza pracę.

– Tak – odpowiedział Jack.

– Dobra niania rozwiązałaby problem.

– Mamy guwernantkę. Poza tym chcę mieć Nell blisko siebie.

Całe towarzystwo roześmiało się. Oprócz Victora w rozmowie uczestniczyły jeszcze dwie osoby: Leo Derr, młody prostolinijny Anglik, i April Maguire, inteligentna Amerykanka, absolwentka MIT. Jack miał już okazję z nią współpracować, pośredniczyła też w rozmowach kwalifikacyjnych z samym Romanovem. Śmiech brzmiał życzliwie, więc Jack się uśmiechnął.

– Nie przeszkadza mi w pracy – dodał tytułem wyjaśnienia.

– Myśleliśmy raczej o twoim życiu towarzyskim – powiedziała April.

– Ona zastępuje mi towarzystwo – odpowiedział z grymasem na twarzy.

– Dziś wieczorem jedziemy do Golden Peat – oznajmił

Victor. – Będzie tam można spróbować szkockiej whisky z okolicznych destylarni. To nie miejsce dla dzieci.

Jack wzruszył ramionami, udając rozczarowanego. On naprawdę chciał jak najwięcej czasu spędzać z Nell. Od przyjazdu do Szkocji była w złym stanie psychicznym. Wróciły koszmary. Doktor Galford dał mu nazwisko lekarza w Inverness. Prędzej czy później będzie musiał się z nim skontaktować. Teraz płakała nie tylko za Emmą, lecz także za Stevie, Peggy i Madeleine. Jak mógł do tego dopuścić?

– Na pewno jeszcze przed upływem miesiąca zechcesz znaleźć jakąś dobrą opiekunkę do dzieci – powiedziała cicho April, gdy panowie pochylili się nad planami.

Zaskoczył go błysk w jej oczach.

– Dlaczego? – spytał.

– Bo dołączy do nas jeszcze jeden członek zespołu.

Słyszał plotki, że sam Ivan planuje nadzorować projekt. Brooks Oil Company była jednym z największych klientów firmy i chciał mieć pewność, że most powstanie na czas, a budowa nie przekroczy zaplanowanego budżetu.

– Ivan? – spytał.

April machnęła ręką ze śmiechem.

– Nie. Gdyby to był Ivan, mielibyśmy tyle pracy, że prawdopodobnie nie pojechalibyśmy do Golden Peat. Ktoś taki jak ty. Podpisaliśmy kontrakt na część prac z twoją starą firmą.

– Ktoś z Bostonu? – spytał Jack, czując przyspieszone

bicie serca.

April kiwnęła głową z szerokim uśmiechem.

– Tak. Francesca.

Gdy wszyscy byli zajęci pracą, Jack rzucił okiem na Nell. W jednym ręku trzymała zebrane muszelki i kamyki. Od czasu do czasu wkładała je do kieszeni, po czym siadała i ze skupieniem coś notowała. Bardzo poważnie traktowała zadanie wyznaczone jej przez Stevie. Przypomniawszy sobie, jak Madeleine chodziła po szkockich plażach, zbierając różne ciekawe okazy dla przyjaciółek. Pamiętał, jak siedziała przy hotelowym biurku i pisała kartki.

Poczuł się zazdrosny, bo uświadomił sobie, że on nie miał do kogo pisać z wakacji, a Maddie i teraz Nell tak. Najśmieszniejsze było to, że obie pisały do tej samej osoby – do Stevie.

Obserwował córkę notującą coś z zapałem. Czy pisze o tym, że plaża jest skalista, że po niebie płyną szare chmury, że powietrze jest chłodne, że wiatr wieje od morza? Znajdowali się po zachodniej stronie przesmyku łączącego dwie części wąskiej wyspy leżącej mniej więcej w połowie archipelagu. Na wschodzie połyskiwało Morze Północne. Gdyby spojrzeć na zachód, zobaczyłby Atlantyk, skąd prowadziła prosta droga do Stanów. Gdzieś tam był cypel Hubbarda. Gdyby nie odległość prawie pięciu tysięcy kilometrów, mógłby dojrzeć Stevie idącą brzegiem morza.

Ponownie spojrzął na Nell. Czy Stevie dzieliła się

przemyśleniami Nell z dawną przyjaciółką? Czy posyłała Maddie kartki od Nell?

Co ja tu robię? pomyślał nie po raz pierwszy i nawet nie po raz setny od przyjazdu do Szkocji. Poznanie Stevie wyrwało go z zakłętego kręgu, który sam stworzył, kręgu ucieczki, nienawiści i ukrywania się przed siostrą, przed tragedią, która ich spotkała, przed prawdą.

Wiatr dmuchnął mu w oczy. Poczul pieczenie i wilgoć. Odwrócił się od kolegów, od stosunkowo prostego zadania, jakim było zbudowanie czteropasmowego mostu w miejsce starej przeprawy zalewanej w czasie przyływu.

Rozdział 24

Nell skończyła odrabiać lekcje, po czym wybiegła z domu i usiadła na kłodzie wyrzuconej przez morze. Jack radził z innymi inżynierami, jak zbudować most, który podobałby się mieszkańcom i zapewniał przejazd ciężarówkom kursującym do i z rafinerii. Sądził, że nie interesuje jej jego praca, lecz się mylił. Obchodziło ją wszystko, co robił.

Notes powoli wypełniał się informacjami o zimnej wodzie, drewnie wyrzucanym przez morze, trąbikach i małych muszelkach mięczaków. Zdjęła buty, by sprawdzić temperaturę wody i napisała: „Zimna”. Kiedy zobaczyła ptaki krążące nad głową, osłoniła dłonią oczy, by się im przyjrzeć, po czym próbowała je narysować. Ta plaża, podobnie jak inne, które zwiedzili z ojcem, pokryta była różnej wielkości kamieniami. Niektóre były czarne i guzowate jak skorupki orzechów. Gdy wzięła je do ręki, zatłuściła sobie palce. Dziwny tłuszcz zgęstniał, gdy próbowała go zmyć.

Ojciec rozmawiał z panem Buchananem i panią Maguire. Kiedy podbiegła, by pokazać brudne ręce, pan Buchanan skrzywił się i przewrócił oczyma.

– To ujemna strona tego projektu – powiedział i podał Nell chusteczkę.

Nell zmieszała się, gdy pani Maguire powiedziała, żeby schował tę ładną chusteczkę, i wyjęła paczkę ligninowych.

– Będziesz musiał kupić ich cały zapas – zwróciła się do Jacka.

Jack otworzył paczkę i wytarł Nell palce. Ich oczy się spotkały. Jack uśmiechnął się uspokajająco.

– Co to jest? – spytała Nell.

– Ropa – wyjaśnił Victor Buchanan. – Brooks Company bardzo przestrzega norm czystości, zawsze jednak coś wycieknie przez zapory.

– Ropa? Ta, która zabija ptaki? – spytała Nell, rzucając ojcu krzywe spojrzenie.

Kiwnął głową, lecz jego wzrok mówił, żeby dała temu spokój. Dorośli napomknęli coś o naukowcach myjących ptaki specjalnym mydłem, by znowu mogły latać, ona jednak miała przed oczyma zdjęcie z gazety przedstawiające martwe ptaki pokryte czarną błyszczącą mazią. Domyśliła się, że koledzy taty chcieli po prostu poprawić sobie nastrój.

Jak oni mogli uważać, że specjalne mydło wszystko załatwi? Palce nadal pachniały ropą. Poczowała łyzy pod powiekami na myśl o ptakach pokrytych tą wstrętną tłustą substancją.

Odwróciła się i ruszyła brzegiem plaży. Przejrzyste promienie słoneczne rozświetlały zatoczkę. Trudno było iść po kamienistym gruncie, lecz nie dawała za wygraną i cierpliwie szukała muszelek. Zobaczyła stadko mew

siedzących na czymś, co obmywała woda. Kiedy podeszła bliżej, ptaki zerwały się do lotu, wydając z siebie płaczliwe krzyki. To co obsiadły ptaki, było najwyraźniej martwe. Podeszła bliżej i ujrzała kaczkę oblepioną ciemną mazią, z bokiem rozprutym przez ostre dzioby mew. Uniosła wzrok i zobaczyła inne kaczki o podobnym upierzeniu, pływające po powierzchni wody. Przypomniała sobie Ebby i jej wronią rodzinę siedzącą na drzewie przed domem Stevie. Bez chwili namysłu skoczyła na równe nogi i zaczęła wymachiwać rękami, by przepędzić kaczki.

– Odpłyńcie stąd! – zawołała. – Uciekajcie!

Chciała, żeby były bezpieczne, żeby nie pobrudziły się ropą, która zabiła kaczkę leżącą u jej stóp. Patrząc, jak szykują się do lotu, wyobraziła sobie, że zabierają ją ze sobą w bezpieczne miejsce, na cypel Hubbarda. Tata zrozumiałby, jak bardzo chce wrócić do domu, do Ameryki, do prawdziwego życia, i musiałby za nią polecieć.

– Mnie też to czeka – powiedziała ze łzami w oczach do martwej kaczki.

Poczuła ucisk w gardle, jakby połknęła kulę ze smoły. Podobnie czuła się w Georgii po śmierci mamy. Życie stało się nierealne, jakby nie należała już do żywych. Tak było aż do wakacji na cyplu Hubbarda i poznania Stevie. Wiedziała, że ojciec czuje podobnie. Nie chciała mu tego mówić, lecz odkąd rozstała się ze Stevie, nocne koszmary uległy zmianie. Śniło jej się, że to nie mama umarła, lecz

tata. Zrezygnował ze wszystkiego, co kochał: rodzinnego kraju, siostry, wspomnień, a nawet ze Stevie. Uciekając od niej, porzucił coś, co sprawiało, że znowu wydawał się pełen życia.

Obejrzała się przez ramię. Ojciec rozmawiał z innymi inżynierami, lecz kątem oka ją obserwował. Nie wyobrażał sobie nawet, że czuje się równie okropnie jak ta nieszczęsna kaczka. Nagle jej uwagę zwróciło coś, co znajdowało się w kepie wodorostów. Był to pokryty ropą strzep sieci rybackiej, mała kolonia małży oderwanych od jakichś skał, wciąż trzymających się razem dzięki jedwabnym nitkom, i plastikowa butelka po wodzie. Podniosła ją. Odpadła z niej prawie cała nalepka, mimo to rozpoznała amerykańską markę. Może przyplłynęła tu ze Stanów.

Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł. Zdjęła zakrętkę, wytarła dłonie o dzinsy, sięgnęła po notes i pióro. Nad jej głową krążyły mewy. Nie zwracając na nie uwagi, zaczęła pisać. „Stevie, potrzebujemy cię. Tata i ja”. Wyrwała kartkę z notesu, zwinęła ją i wsunęła do butelki. Nie bardzo wierzyła w to, że butelka dotrze do cypla Hubbarda czy choćby wypłynie z tej zatoczki. Trudno było sobie wyobrazić, że zdoła pokonać ocean. Przypomniała sobie jednak ostatnie chwile z Peggy, gdy wypowiadały życzenia. Wiadomość w butelce była takim życzeniem płynącym prosto z dziewczęcego serca, spisany i wysłany w morze. To tylko życzenie, pomyślała. Tylko życzenie.

Gdyby się spełniło, wróciliby z ojcem na cypel Hubbarda. Tata pracowałby przy zamku Aidy, a Stevie byłaby z nimi. Stevie postarałaby się, żeby ciocia Madeleine też do nich wróciła.

– To tylko życzenie – szepnęła.

Mimo to serce mocno jej biło, jakby dawało nadzieję na spełnienie. Stevie i Tilly na pewno by to zrozumiały. Zamachnęła się i cisnęła butelkę w morze. Słońce ją oślepiło, nie mogła więc zobaczyć, gdzie spadła. Przesłoniła oczy dłonią i wypatrzyła ją w miejscu, gdzie pływały kaczki. Czy kierowała się w stronę Ameryki, czy w stronę plaży? Obserwowała ją przez dłuższy czas z sercem bijącym w gardle. Chyba jednak odpływała od brzegu.

Mewy zaczęły głośniejsz krzyczeć, usiłując ją odpędzić od martwej kaczki. Znalazła więc bezpieczne miejsce i wykopała głęboki dół. Wróciła po kaczkę i z ciężkim sercem włożyła ją do dołu. Powoli wytarła dłonie o piasek. Tak oto umiera wszystko co piękne. Mama, dusza taty, jej własne serce. Umarły i nic nie umiała na to poradzić, mogła jedynie wysłać wiadomość w butelce, mocno wierzyć i prosić Stevie o pomoc.

Życzenie Nell poszybowało niczym strzała.

Stevie obudziła się nagle. Śniło jej się, że pokój tonie w oślepiającym świetle. Stała w nim klatka, a w klatce śpiewał czarny ptak. Jakiś wewnętrzny głos kazał jej otworzyć klatkę. Gdy to zrobiła, ptak z niej wyleciał,

usiadł na parapecie okna i powiedział ludzkim głosem: „Jeżeli mnie wypuścisz, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Ale ty też masz skrzydła. Możesz mnie odnaleźć i walczyć o mnie”. Z tymi słowami odleciał.

Nie usiłowała analizować snu, nie potrafiła tego robić. Stworzył jednak w jej wnętrzu silne uczucie. Czarny ptak, klatka, odlot. Trudno było szukać w nim optymizmu i nadziei, lecz ona zerwała się z łóżka i poszła popływać.

Słońce stało wysoko na niebie, lecz w powietrzu czuło się wrześnieowy chłód. Wskoczyła do wody i popłynęła do tratwy. Wspięła się na nią i dotknęła miejsca, gdzie leżeli z Jackiem. Zamknęła oczy i poczuła, jak obejmują ją jego ramiona. Zawsze pragnęła mieć kogoś, kto ją obejmie i będzie mocno trzymał, aż staną się jednością. Oczywiście taka miłość nie istniała, a jeśli nawet istniała, to i tak nie mogła wiecznie trwać. Przekonała się o tym trzy razy. Jej niedoświadczone serce tęskniło za bliskością, jaką stworzyli jej rodzice.

Teraz znowu się zakochała i nie było sensu przekonywać siebie, że to nie miało znaczenia. Miało. Tonęła w rozpacz, bo oni odlecieli, a ona nie mogła nic z robić, by ich zatrzymać. Nie dawał jej spokoju dziwny sen, który jej się przyśnił.

Kiedy dopłynęła do brzegu, wspięła się na wzgórze i opłukała pod prysznicem, poczuła ogień w swoim wnętrzu. W powietrzu unosił się zapach jesiennych róż. Owinęła się ręcznikiem i pobiegła boso do domu. Nakarmiła Tilly i nie myśląc nawet o zaparzeniu kawy,

poszła prosto do pracowni.

Pokój tonął w powodzi oślepiającego światła, przejrzystego, lśniącego, promiennego, migoczącego, połyskującego, błyszczącego, iskrzącego się, jaśniejącego, które otaczało ją swoim blaskiem, niemal oślepiało, gdy podeszła do sztalug. Z nocnej szafki przy łóżku wyjęła pocztówki od Nell i przypięła je do ściany przy sztalugach. Był na nich zamek w Inverness, jezioro Loch Ness, maskonur na Orkadach, niskie góry otaczające jezioro, mała foka leżąca na skale na wyspie Ladapool i stadko gęsi na tle pomarańczowego zachodu słońca nad zatoką. Po namyśle dodała jeszcze zdjęcie z gazety, które przysłał jej Jack w liście, przedstawiające martwe z powodu wycieku ropy do morza ptaki.

Stojąc przed sztalugami, włożyła dzinsy i bluzę z napisem Trinity College, którą miał na sobie Jack, gdy poszli na plażę oglądać film. Na nieposłanym łóżku leżała Tilly. Grzała się w promieniach słońca i przyglądała swojej pani. Patrząc na kolekcję pocztówek, Stevie poczuła przypływ weny twórczej. Nagle ujrzała siebie, jak wędruje przez życie krętą, czasami nawet naznaczoną cierpieniami drogą w poszukiwaniu miłości, która przyniesie jej spełnienie. Tego ranka uświadomiła sobie, że celem podróży było właśnie to światło. Tu czuła się spełniona: miała dom, malowanie, książki i marzenia. Pozwoliła Jackowi i Nell odejść, bo musieli to zrobić. Ale miała przecież skrzydła. Pomyślała o śnie. Mieszając farby, patrzyła na zdjęcie, które przysłał jej Jack. Nad

martwymi ptakami widniały słowa napisane ręką Nell. Przyszedł jej na myśl tytuł książki: „Dzień, w którym morze stało się czarne”.

Pomyślała o czarnym ptaku ze snu, spojrzała na oblepione smołą ptaki na zdjęciu z gazety. Mogłaby namalować mnóstwo morskich ptaków: mewę trójpalczastą, nurzyka, maskonura, alkę, nawalnika burzowego, burzyka północnego, kaczkę krzyżówkę, cyrankę, świstuna, gagoła, ostrygojada, kulika, biegusa, wydrzyka ostrosternego, głuptaka, szlachara, edredona i nura lodowca. Nell jednak prosiła, by książka była o kaczkach, zdecydowała się więc na krzyżówki. Sprawdziła w atlasie obszar ich występowania. Tak, zamieszkiwały przybrzeżne tereny Szkocji. Potem paroma pociągnięciami pędzelka stworzyła parę kaczek. Opowieść miała w głowie. Akcja będzie rozgrywać się w Szkocji, na małej wyspie wchodzącej w skład Orkadów. Wyobraziła sobie jasne światło, porywisty wiatr, ciemne połyskliwe morze i kaczory krzyżówki z metalicznie zielonymi szyjami. Będzie też dziewczynka idąca brzegiem morza. Resztę podpowiedzą jej pędzel i pocztówki od Nell. Zamoczyła pędzelek w farbie i przystąpiła do pracy.

Rozdział 25

Sesje z doktor Mallory były trudne, wyczerpujące i kształcące. Mając czterdzieści cztery lata, Madeleine po raz pierwszy w życiu zaczęła siebie rozumieć. Tkwiła w emocjonalnym koszmarze spowodowanym wypadkiem, który wracał do niej w snach i wspomnieniach. Spotkanie z Jackiem coś w niej otworzyło i dało siłę, nadzieję i zachętę, by jak najszybciej się z niego wyzwolić.

Psychoterapeutka delikatnie przygotowała ją na wiadomość, że cierpi na nerwicę pourazową. Był to swojego rodzaju paradoks: nie mogła się pozbyć wspomnień związanych z wypadkiem, lecz równocześnie starała się wymazać je z pamięci.

– Nie czuję mojego ciała – zwierzyła się pewnego dnia, przyznając, że od miesięcy nie kochała się z Chrisem.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – zaproponowała doktor Mallory.

– Jakby mnie w nim nie było. Są dni, gdy czuję jedynie pulsujący ból w miejscu blizny. Jakby istniała tylko ta część ciała. Kocham męża, lecz nie chcę, żeby mnie dotykał.

Żałowała, że nie potrafi opisać, jaka się czuje odrętwiała i przerażona. Brakowało jej pracy w administracji uniwersytetu Browna. Szef zasugerował,

żeby wzięła urlop, w przeciwnym razie może stracić stanowisko, poszła więc za jego radą.

Po kilku sesjach, podczas których uznała, że nie jest w stanie otworzyć się na wspomnienia z wypadku, terapeutka zaproponowała, żeby spróbowały EMDR, metody desensytyzacji po traumie za pomocą techniki ruchu gałek ocznych.

Było to tak proste, że Madeleine nie bardzo wierzyła, że da jakieś rezultaty, zdawała sobie jednak sprawę, jak bardzo zmieniło się jej życie od wypadku. Odgrodziła się murem od świata niczym pustelnica. Chris cierpliwie to znosił, lecz ona wiedziała, że tęskni za dawną Madeleine. Ona również tęskniła za sobą.

Usiadła na kanapie, a doktor Mallory na krześle na wprost niej. W gabinecie panował półmrok. Terapeutka wystawiła dwa palce i poleciła skupić na nich wzrok. Po chwili zaczęła rytmicznie przesuwać ręką w przód i w tył, a Madeleine wciąż patrzyła na jej palce. Podobnie jak podczas snu następowały szybkie ruchy gałek ocznych. Doktor Mallory przypomniała jej, żeby spokojnie oddychała i skupiła się na reakcjach ciała. Prawie natychmiast Madeleine poczuła ból w ręku, klucie z boku głowy, palenie w piersi i odniosła wrażenie, jakby przez ciało przesypywał się piasek. Doznania rosły z każdą chwilą, wywołując w niej uczucie zmęczenia, a potem nagle ożywienia.

Kiedy tego dnia wyszła z gabinetu, czuła się, jakby wstąpiły w nią nowe siły. Od dawna czegoś takiego nie

przeżywała. Za drugim razem znowu doświadczyła różnych odmian bólu. Zakończyła sesję płaczem, bo przypomniała sobie, jak obejmowała Emmę jedną ręką, bo drugą miała bezwładną.

Doktor Mallory wyjaśniła jej, że trauma gromadzi się w najgłębszych, najbardziej prymitywnych obszarach mózgu, tkwi głęboko w ludzkiej świadomości, poza myśleniem i zrozumieniem. Metoda EMDR otwiera te obszary, pozwala uwolnić wspomnienia i spojrzeć na to, co się stało, z nowej perspektywy. Zgodnie z tym co pisała w swoich artykułach, ludzie, podobnie jak zwierzęta, mają w sobie silnie rozwinięte reakcje „walcz lub uciekaj”. W obliczu zagrożenia organizm ssaków jest zaprogramowany na reagowanie według klucza: uciekaj, broń się lub udawaj, że cię nie ma. Gdy coś blokuje dwie pierwsze reakcje – a Madeleine nie mogła powstrzymać wypadku samochodowego ani uratować Emmie życia – reakcje obronne zostają zamrożone i system nerwowy wariuje. Przez cały czas Madeleine tkwiła więc w pułapce ciała, unieruchomiona w stadium psychicznej gotowości do obrony lub ucieczki przed niebezpieczeństwem, niezdolna do samodzielnego życia.

Sesje wywołały szokujące wspomnienia o krwi, bólu, krzykach Emmy. Uwolniły też tłumiony gniew na załogę karetki, która długo nie mogła wydostać Emmy z samochodu, a w tym czasie ona wykrwawiała się na śmierć, a także na samą Emmę za wyznanie sekretu i pozostawienie jej samej z tym problemem.

– Obwiniam siebie za to, co zrobiła – powiedziała Madeleine. – Zostawiła mnie ze swoim sekretem, a gdy przekazałam go bratu, zaczął mnie za niego winić, jakbym to ja chciała odejść, a nie Emma.

– I co pani teraz czuje? – spytała doktor Mallory.

– Złość na niego za to, że mnie obwinia, i za to, że trzyma Nell z dala ode mnie. Ponad rok jej nie widziałam. Przeprowadziła się, urosła, przeszła do wyższej klasy, miała urodziny, nie spędziłam z nią wakacji, nie wiem, jaką muzykę teraz lubi, jakie książki czyta, nigdy nie poznam jej przyjaciółek.

– Nigdy? – spytała terapeutka.

– Pojechałam się z nim zobaczyć – odpowiedziała Madeleine. – I nie byliśmy w stanie ze sobą rozmawiać.

W oczach doktor Mallory pojawiło się wewnętrzne światło.

– To był dopiero początek. Musimy nad tym popracować.

– To nie była moja wina – wtrąciła Madeleine.

– Nie była.

– Nie chcę obwiniać Emmy...

– Może wcale pani nie musi – powiedziała terapeutka łagodnie. – Może po prostu trzeba się z tym pogodzić, zamiast szukać winnych.

– Ale brat... – zaczęła Madeleine.

– Nie zmieni pani jego uczuć. Lecz może pani zmienić swój sposób reagowania na to, co on mówi i robi. Potrafi pani nad tym panować. Nie musi pani reagować zgodnie z

jego emocjami.

– Ale czy do zerwania kontaktu z rodziną nie wystarczy jedna osoba?

Doktor Mallory przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się lekko.

– Do odnowienia kontaktu również wystarczy jedna osoba. A pani zrobiła już pierwszy krok.

Było w tym tyle prawdy, że Madeleine nie pozostało nic innego, jak uśmiechnąć się.

Praca nad nową książką posuwała się szybko naprzód. Opowieść o kaczkach krzyżówkach żyjących w dziewiczym środowisku zagrożonym skażeniem ropą naftową, miała w sobie konieczną pasję i przemawiała do uczuć. Oczywiście na początku nie obeszło się bez kilku problemów. Stevie nie mogła się zdecydować, czy powinna to być jedna spektakularna katastrofa jak ta, której sprawcą był zbiornikowiec „Exxon Valdez”, czy też powolne niszczenie dzikiego ptactwa przez serię mniejszych wypadków? Po rozmowie z wydawcą zdecydowała się na to drugie. Jej czytelnicy, chociaż młodzi, kochali przyrodę i żywo reagowali na to, jak przedstawiała trudne realia życia i chwiejną równowagę między ludźmi a delikatnym ekosystemem. Namalowała więc zatokę i rozlewiska, kaczki krzyżówki i dziewczynkę bawiącą się na plaży, a w tle starą rafinerię. Miała już Nell i kaczki, kiedy jednak przyszło do wyboru miejsca akcji, nie zastanawiała się długo. Krajobraz przypominał cypel

Hubbarda. Mieszkańcami rozlewisk przypiływowych były miejscowe kraby, węgorze, rozgwiazdy i małże.

W połowie września napisała list do Nell.

„Teraz naprawdę potrzebuję Twoich raportów. Wzięłam sobie do serca Twoją propozycję i zaczęłam pisać książkę, której dałam tytuł »Dzień, w którym morze stało się czarne«. Zainspirowało mnie zdjęcie z gazety, które dałaś ojcu. Twoje informacje są bardzo cenne, potrzebuję jak najwięcej szczegółów o rodzajach muszelek, ptactwa, wodorostów i tak dalej”.

Tydzień później pojechała do Aidy sprawdzić, jak postępuje praca. Ciotka malowała jak szalona, by zdążyć z obrazami na październikową wystawę. Jej twórcza gorączka była doprawdy godna podziwu. Przedsiębiorca budowlany wyliczył koszty remontu zamku na mniej więcej osiemset tysięcy dolarów i Aidzie wyszło, że gdyby sprzedała wszystkie obrazy, mogłaby uzbierać połowę potrzebnej sumy.

– Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że możesz malować dla pieniędzy – stwierdziła Stevie z uśmiechem, patrząc, jak ciotka pracuje.

Wokół zamku stały furgonetki dostawcze, samochody elektryków i szklarzy oraz koparka. Zewsząd dochodził stukot pracujących urządzeń. Aida również się uśmiechnęła.

– Tylko zaczekaj – odpowiedziała. – Jeżeli to ma uratować marzenie Vana, to jestem gotowa na wszystko.

– Naprawdę?

– Tak. Ja po prostu muszę zrobić z tego miejsca centrum przyrody. Chcę, żeby przyjeżdżały tu dzieci i poznawały piękno wybrzeża Connecticut, które on tak ukochał. Tylko boję się, że nie będę w stanie za to zapłacić.

– A co na to twój adwokat?

– Założył fundację, możemy więc zbierać pieniądze. Nie mam jednak zielonego pojęcia, jak to robić. Potrafię jedynie malować. On mówi, że będzie nam potrzebny ktoś, kto zna się na organizacjach charytatywnych, kto potrafi namówić ludzi do ofiarowania pieniędzy.

– To coś, czego artyści nie znoszą.

Aida kiwnęła głową, wracając do malowania obrazu, jak zwykle okazałych rozmiarów – prawie półtora na półtora metra – z szerokimi poziomymi pasami kolorów symbolizującymi morze, piasek i niebo. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Kiedy jednak Stevie przyjrzała się uważniej, zauważyła, że ciotka robi coś zupełnie odmiennego: nakłada jeden kolor na drugi, mieszając farby na płótnie, zamiast na palecie.

– Co ty robisz? – spytała, przyglądając się, jak Aida nakłada warstwę żółtej farby na niebieską, która miała symbolizować słońce na wodzie. Dało to w efekcie tajemniczy zielony odcień.

– Mieszam kolory widzowi w oczach zamiast na płótnie.

– Robiłaś tu już kiedyś?

– Nie – odpowiedziała Aida, mrużąc oczy – ale ta

innowacja jest tak pasjonująca, że nawet mnie zaskakuje.

– Ale dlaczego? Dlaczego akurat teraz, kiedy zamierzasz...

– Sprzedawać obrazy? – Aida zaśmiała się. – Drogie dziecko, ty najlepiej powinnaś wiedzieć. Motywacja to dar. Jeżeli wzbogaci twój talent, tym lepiej. W moim wypadku motywacją jest miłość do Vana, w twoim miłość do...

Stevie wpatrywała się w prostą kompozycję złożoną z wąskich kolorowych pasów, słysząc za plecami jęki i zgrzyt pił.

– Wiem o liście, który napisałaś do Nell.

– Jakim liście?

– W którym prosisz ją o szczegóły dotyczące wybrzeży Szkocji do twojej nowej książki. Jack powiedział mi, że Nell jest bardzo tym podekscytowana.

Serce Stevie mocniej zabiło na myśl, że Aida rozmawiała z Jackiem.

– Wiesz, dlaczego akcję umieściłaś w Szkocji, prawda?

Wiedziała, lecz nie była w stanie tego przyznać nawet sama przed sobą.

– Bo musisz tam pojechać. Wiedziałaś, że będziesz musiała polecieć do Szkocji, by zebrać materiały. Tak jak pojechałaś na lodowiec, by zebrać informacje o pingwinach cesarskich.

– Pojechałam na Antarktydę z Linusem – odpowiedziała Stevie. – Moje podróże badawcze nadają się w sam raz na wykład o klęskach małżeńskich.

– Dziecko, dlaczego tak surowo siebie oceniasz?

– Bo miłość jest surowa – stwierdziła Stevie.

Myśl o tym, że mogłaby pojechać do Szkocji i dać Nell nadzieję, a potem nic by z tego nie wyszło, była zbyt bolesna.

– Nie – odparła Aida, nie przerywając malowania. – Miłość nie jest surowa. To najłatwiejsza rzecz na świecie. Za to pokłady wątpliwości, strachu i oczekiwania sprawiają, że staje się skomplikowana. Weź przykład z Henry'ego i Doreen.

– Wiem.

Stevie dostała od nich zaproszenie na ślub, który miał się odbyć w sobotę w Newport, gdzie się poznali, gdzie Henry ukończył szkołę oficerską i gdzie zamierzali zamieszkać.

– Henry odgrodził się od Doreen tak grubą warstwą strachu, że omal jej nie stracił – powiedziała Aida. – Kiedy mieszkał przez te kilka tygodni w domku dla gości, odbyliśmy kilka poważnych rozmów. Nie mogłam patrzeć, jak pięćdziesięciokilkuletni komandor marynarki siedzi przy stole i płacze na myśl o tym, że mógł stracić Doreen przez swoje tchórzostwo.

– Nigdy nie uważałam Henry'ego za tchórze – odparła Stevie.

– Nikt by o nim nawet tak nie pomyślał. Lecz w tej akurat sprawie okazał się tchórzem.

Stevie uświadomiła sobie, że też się bała, bardziej niż Henry. Nazywała to samoobroną, niemniej było to zwykłe

tchórzostwo. Albo przekonywała siebie, że ustępuje pola dla dobra Nell i Jacka. Popęłniła już tyle błędów, że nie chciała im się narzuć ze swoim zabałaganionym życiorysem.

– Miłość nie jest surowa – powtórzyła słowa Aidy.

– Nie jest – przyznała Aida. – Sama o siebie zadba, jeżeli jej pozwolisz. Będziemy tego świadkami w sobotę na ślubie Henry'ego i Doreen. Jeżeli uwierzysz w taką miłość, poruszy niebo i ziemię.

– Jak w wypadku zamku wuja Vana – powiedziała Stevie, przekrzykując odgłosy koparki ryjącej ziemię i nawoływania robotników kładących nowy dach na wieży.

– Tak, skarbie – odpowiedziała Aida. – Pod warunkiem że znajdziemy naprawdę dobrego specjalistę od zbierania funduszy.

Rozdział 26

Zespół z Ladapool pracował na najwyższych obrotach, usiłując przebić się przez fazę wstępną i jak najszybciej przekazać projekt w ręce budowniczych. Mieszkali w Highlands Inn, jednym z hoteli, który wybudowano na Orkadach, by służył interesom spółek naftowych.

Jack i Nell zajmowali apartament na trzecim piętrze z widokiem na plac budowy. Jack doszedł do wniosku, że źle się dzieje z jego duszą, bo patrzył przez okno na szkliste zatoki, kamieniste wyspy, góry w oddali i nazywał je placem budowy. Nell uczyła się w hotelu. Panna Robertson przychodziła na lekcje kilka razy w tygodniu. W wolnym czasie dziewczynka przeglądała przewodniki, które jej kupił, szukając w nich informacji o okazach – muszelkach, piórach, skorupiakach, jajkach, które sama znalazła. Pisała do Stevie, gdy tylko trafiło jej się coś wyjątkowo interesującego, co zdarzało się prawie codziennie.

Na biurku leżały dwa zaproszenia od Aidy: na otwarcie wystawy jej obrazów – to było na pięknej karcie z reprodukcją jednej z jej przejrzystych refleksyjnych prac z cyklu „Plaża”, oraz na ślub pasierba, który miał się odbyć w Newport w najbliższą sobotę.

– Tato, chcę pojechać – oznajmiła Nell.

Siedziała przy biurku stojącym przy oknie i rysowała kaczki, które zobaczyła o świcie.

– Dokąd?

– Na ślub.

– Nell, oni przysłali nam zaproszenie tylko przez grzeczność.

– Wcale nie. Chcą, żebyśmy przyjechali.

– Nell, przecież ledwo znamy Henry'ego. To będzie rodzinna uroczystość, a Aida po prostu chciała nas o tym zawiadomić.

– Nie zrobiłaby tego, gdyby nie chciała, żebyśmy przyjechali. Nie przysłała tych zaproszeń po to tylko, żebyśmy wysłali prezent.

– Skarbie, nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że my jesteśmy tutaj, w Szkocji, prawie pięć tysięcy kilometrów od Stanów.

– Jest przecież samolot.

– Nell, ona nie oczekuje, żebyśmy przylecieli do domu specjalnie na ten ślub.

– Wreszcie to powiedziałaś! – wykrzyknęła, zrywając się zza biurka. – Powiedziałaś „dom”.

– Ja...

– Stany są naszym domem, nie Szkocja. Tak bardzo za nimi tęsknię. Tęsknię za Peggy i plażą, za ciocią Aida, za Tilly i za Stevie.

– Wiem.

– A teraz jeszcze Francesca tu przyjechała i mieszka w tym samym hotelu i na tym samym piętrze.

– Nie musimy się z nią widywać.

– Ty musisz, bo z nią pracujesz. Natrętne babsko.

– Ciii – powiedział pospiesznie Jack, starając się ją uspokoić.

Chciał ją objąć, lecz odsunęła się. Chwyliła zaproszenie i przycisnęła je do piersi.

– Jesteśmy zaproszeni. Chcę pojechać.

– To za daleko. Wiesz, ile mam teraz pracy. Muszę skończyć ten projekt. Może gdy będzie trochę spokojniej, pomyślimy o przyjeździe do domu. Na przykład na Święto Dziękczynienia lub na Boże Narodzenie. Może nawet na wernisaż Aidy w październiku.

– To co innego – odpowiedziała drżącym głosem Nell.

– Każdy może pójść na wernisaż. Ślub Henry'ego to specjalna uroczystość. Sam powiedziałaś, że tylko rodzina jest zaproszona. Ja chcę mieć rodzinę!

– Przecież masz mnie.

– Ale chcę też mieć innych. Nie rozumiesz? Kiedyś mieliśmy taką dużą rodzinę, mamę, ciocię Maddie, wujka Chrisa. Mieliśmy też Stevie. Teraz nikogo nie mamy.

– Nell...

Chciał objąć córkę, lecz ona uciekła do okna, oparła głowę o szybę i rozplakała się. Stał za nią, czując, jak drżą mu ręce. Wydawała się taka krucha, że nie miał odwagi jej dotknąć.

– Nigdzie nie pojedę – powiedział.

– Ale mógłbyś – odparła łamiącym się głosem. – Uciekasz, gdy sprawy zaczynają dobrze się układać.

Mieliśmy gdzie mieszkać, mogliśmy zostać dłużej na cyplu Hubbarda, zbieraliśmy małże, chodziliśmy na plażę ze Stevie... byliśmy szczęśliwi...

– Wiem – odparł zaskoczony prawdą płynącą z jej słów.

– Mam ciocię, która mnie kocha. Ciebie też, ale ty nie chcesz z nią rozmawiać. A gdybym ja ci to zrobiła, tato? Gdybym tak się na ciebie rozgniewała, że przestałabym się do ciebie odzywać?

– Nell, jesteś moją córką.

– A ona jest twoją siostrą. To właśnie robisz ludziom, których kochasz? Uciekasz od nich?

– Nigdy bym cię nie zostawił.

Pokręciła głową.

– Teraz tak mówisz. Ale co będzie, jeżeli zrobię coś złego i rozgniewasz się, i znienawidzisz mnie tak, jak znienawidziłaś ciocię Maddie?

– Nie mógłbym cię znienawidzić. I jej też nie nienawidzę. Kocham ją.

Uświadomił to sobie, gdy spotkali się na cyplu Hubbarda. Te trzy metry, które dzieliły go od niej, wydawały się niemożliwe do pokonania. Utkwił wzrok w głowie Nell. Nie odwróciła się do niego, nawet gdy położył rękę na jej głowie.

Zadzwonął telefon. To April usłyszała płacz Nell przez ścianę.

– Jestem matką – powiedziała. – Filmy wideo działają cuda.

– Już to przerabialiśmy.

Popatrzył na Nell stojącą przy oknie, wstrząsaną cichym płaczem. Serce mu się krajało na myśl, że musi ją zostawić, lecz nie miał wyjścia. Czekąco go spotkanie z April, Victorem i innymi inżynierami. Jedni zajmowali się pomiarami, inni przyglądali się, jak geolodzy pobierają próbki podłoża skalnego, a oceanografowie mierzą średnią wysokość przyprływu.

Poszedł nad brzeg morza i usiadł na kamieniu, by przejrzeć notatki i uspokoić się. Gdy wróci do hotelu, poszuka numeru do psychoterapeuty, który dał mu doktor Galford.

Francesca podeszła do niego, korzystając z okazji, że jest sam. Zakłęła, bo długie czarne buty na wysokich obcasach grzęzły w piasku. Jack podniósł wzrok, a ona uśmiechnęła się krzywo. Przyjechała wczoraj, lecz dopiero teraz miała okazję porozmawiać z nim w cztery oczy.

– Wstrętny uciekinier.

– Wiesz, jak to jest, gdy nadarza się okazja – odpowiedział. – Trzeba ją chwycić, inaczej wszystko stracisz.

Dla niego te słowa nabrały zupełnie innego znaczenia.

– Jasne, że Ivan chciał cię mieć u siebie. Spodobało mu się to, co zrobiłeś w Maine. Pewnie uważał, że poradzisz sobie z tym skalistym zakątkiem na końcu świata.

Zaśmiał się, patrząc na jej buty. Francesca znacznie lepiej wyglądała na ulicach miasta, chodząc po Newbury

Street w Bostonie z falującymi na wietrze włosami, odprowadzana wzrokiem przechodniów.

– Dobrze już, dobrze – zaśmiała się. – Jestem niezdolna. Boże, gdzie tu można dostać dobrą cafe latte?

– Chyba będziesz musiała polubić herbatę – odpowiedział, myśląc o herbacie, którą parzyły Stevie i Aida.

Francesca przewróciła oczyma. Przysunęła się bliżej i musnęła dłonią jego policzek. Ich oczy się spotkały. Długie ciemnoblonde włosy owiewały jej twarz, czyniąc ją jeszcze bardziej uwodzicielską.

– Czy zauważyłeś, że sytuacja się zmieniła, oczywiście poza tym, że przeniosłeś się za ocean?

– Jaka sytuacja?

– Jack, nie pracujemy już dla tej samej firmy, więc nie obowiązują nas te same... zakazy.

Spojrzał w jej płomienne oczy, starannie umalowane, podobnie jak reszta twarzy. Miała pełne wargi podkreślone delikatną szminką. Pomyślał o Stevie i o tym, że nawet nie potrafił jej sobie wyobrazić umalowanej, i odwrócił wzrok.

– Są różne rodzaje zakazów – bąknął.

– Żaden się nie liczy – odparła. – Łączą nas dobre stosunki zawodowe i wiem, że mogłoby nas łączyć coś więcej. Wszyscy to widzą. Jak myślisz, dlaczego April dała nam pokoje naprzeciwko siebie?

April miała dobre chęci, pomyślał, ale nie zna całej historii.

– Romantycznie tu – stwierdziła Francesca. – Pomijając brak cywilizacji. To znaczy pomijając brak cafe latte. Słyszałam, że można tu zobaczyć zorzę polarną. Moglibyśmy wieczorem pójść na spacer.

– Muszę zająć się Nell.

– Założę się, że Nell z chęcią pogra sobie w gry wideo. Albo poczyta książkę Stevie Moore.

Jack poczuł ucisk w żołądku już na sam dźwięk jej imienia.

– Nell pomaga Stevie pisać nową książkę – powiedział.

– O tutejszym ptactwie i o zagrażających mu wyciekach ropy.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie. Jest teraz na górze i właśnie pisze do niej list.

– O zanieczyszczeniu ropą naftową?

Wskazał na czarne kulki smoły wypłukiwane przez wodę. Francesca wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym szybko odwróciła wzrok.

– Tylko nie mów tego przy Iwanie – ostrzegła. – Potraktuje to jako podkopywanie dobrych stosunków z Brooks Company. Nie ma nic przeciwko ochronie środowiska, jeżeli nie koliduje z kwestią zasadniczą.

– Są ważniejsze rzeczy niż kwestie zasadnicze – odpowiedział.

Francesca zaśmiała się.

– I to mówi człowiek, który zdecydował się pracować dla IR wiedząc, że jego specjalnością są projekty dla

szkockich rafinerii. Czy to nie jest hipokryzja?

Zabolały go jej słowa. Przypomniał sobie, co mówiła Nell. Popatrzył na stado kaczek pływających w zatoce. Oświetlało je północne słońce, które zarazem podkreślało i zamazywało szczegóły. Kto wie, co dzieje się pod powierzchnią, pomyślał.

– Może i jest – przyznał.

– No to odejdz, a wtedy ja zajmę twoje stanowisko.

Nie odpowiedział, obserwując ptaki, po czym odwrócił się w stronę hotelu. Promienie słońca świeciły prosto w okna, lecz zauważył sylwetkę Nell. Pewnie widziała, jak rozmawia z Francescą.

– Spójrz – odezwała się Francesca, wskazując na rozlewiska. – Nie tylko ropa zanieczyszcza środowisko, są też inne śmieci. Kawałki drewna.

– To drzewo wyrzucone przez fale na brzeg.

Wzruszyła ramionami.

– W porządku. Więc są to malownicze śmieci. Ale co powiesz na kubki styropianowe, butelkę po coli...

– Pewnie wyrzucił je ktoś z naszego zespołu.

Wstał z kamienia, wyciągnął je z wody i rzucił na piasek. Nagle usłyszał pisk Franceski.

– Spójrz, w tej butelce jest wiadomość.

Przyjrzał się butelce uważniej. Rzeczywiście w środku była zwinięta kartka.

– Musimy ją przeczytać – oznajmiła Francesca.

Jack odkręcił korek, przewrócił butelkę do góry dnem i postukał szyjką w dłoń. Papier wyszedł bez trudu.

Rozwinał go i przeczytał.

– Co tam jest napisane? – dopytywała się Francesca. – Czy to wiadomość od żeglarza z rozbitego statku, który wzywa pomocy?

Nie odpowiedział. Głos uwiązł mu w gardle. Francesca miała rację: wiadomość pochodziła od kogoś, kto wzywał pomocy. Ręce mu drżały, gdy składał kartkę na pół i wsuwał do wewnętrznej kieszeni. Francesca protestowała, prosząc, by dał jej przeczytać, lecz on jej nie słyszał. Patrzył w okno swojego pokoju. Pomimo oślepiającego blasku słońca zobaczył Nell opierającą się rękami o szybę. Domyślił się, że płacze, bo przeczytał wiadomość, i też miał ochotę się rozplakać.

Stevie zachowała w sercu wszystkie szczegóły z wizyty u Aidy, każde jej słowo, prace prowadzone na wzgórzu Lovecrafta, cudownie nowy sposób malowania i słowa ciotki o strachu. Traktowała tę rozmowę jak cenny dar, zastanawiając się nad tym, co powinna teraz zrobić. Wrześniowe słońce wlewało się do studia, zaskakująco jasne jak na tę porę roku. Głowę miała pełną pomysłów. Nie mogła przez nie spać ani usiedzieć spokojnie. Przez jakiś czas czuła się tak, jakby nigdy już nie miała zobaczyć Jacka i Nell, co doprowadzało ją do rozpacz, potem jednak zaczęła pracować i serce znów mocniej jej zabiło.

Gdy następnego dnia wróciła z porannej kąpieli w morzu, zadzwonił telefon. Drżąc z zimna, owinęła się

ręcznikiem i pobięła odebrać.

– Halo?

– Cześć, Stevie, to ja.

– Maddie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, a ty?

– Coraz lepiej. Zwłaszcza odkąd dostałam wiadomość, że będziesz w okolicy.

Stevie wahała się, czy do niej zadzwonić. Nie potrafiła ukryć swoich uczuć do rodziny Kilvertów. Spotkanie Jacka z Maddie musiało być bardzo trudne i zapewne to ono przesądziło o wyjeździe Jacka do Szkocji. Nie winiła za to Maddie, ale bardzo tęskniła za Jackiem i Nell.

– W sobotę mam ślub w rodzinie – wyjaśniła. – Zostaję w Newport do soboty i pomyślałam, że mogłybyśmy się spotkać. Na przykład w piątek na kolacji lub w sobotę na brunchu.

– To może w piątek. Mam ci tyle do powiedzenia. I im szybciej, tym lepiej. Ale czy nie musisz być w piątek na próbnej kolacji?

– Oni próbują już od piętnastu lat – odpowiedziała, myśląc z czułością o Henrym. – Nie, to będzie bardzo nieformalna uroczystość. Jestem całkiem wolna. Gdzie się spotkamy? Gdzieś przy plaży?

– Pomyślałam o tym samym – odparła Madeleine. – W Newport nie ma żadnego przyzwoitego lokalu, ale przy Memorial Boulevard jest taka knajpka „U Lilly Jane”, to tuż przy promenadzie. Serwują tam najświeższe ryby w

mieście i pyszne ciasto limonkowe.

– Bylebyśmy mogły przejść się po plaży – powiedziała Stevie.

– Tak.

– I posłuchać szumu fal.

Plaża zawsze była dla niej doskonałym miejscem na uporządkowanie wszelkich spraw.

– Skoro tak, to nieważne, co będziemy jadły – stwierdziła Madeleine.

– Najważniejsze, że się zobaczymy – zawtórowała jej cicho Stevie.

Rozdział 27

Nawet we wrześniu Newport było miastem tętniącym życiem. W dokach niektóre łodzie szykowały się do odpłynięcia na południe, inne kołysały na cumach. W promieniach słońca połyskiwały białe kadłuby. Portowe hotele pełne były gości pragnących spędzić jeszcze jeden letni weekend lub sobotni wieczór przy kolacji pod gwiazdami.

Aida zarezerwowała pokoje w Maplehurst Manor przy Dresser Street, starym wiktoriańskim domu z szerokimi eleganckimi werandami, mnóstwem kominków i dziesięcioma sędziwymi chińskimi klonami zasadzonymi w hołdzie kapitanowi, który prowadził handel z Chinami i zbudował ten dom w dziewiętnastym wieku. Obłożony niebieskimi deskami szalunkowymi hotel stał przy Cliff Walk – szesnastokilometrowym szlaku spacerowym biegnącym wzdłuż wybrzeża pomiędzy opadającymi do morza klifami i ogrodami licznych rezydencji. Na lewo od niego ciągnęła się plaża ze srebrzącym się w słońcu piaskiem i białymi grzywami fal sunącymi majestatycznie ku brzegowi.

Stevie i Henry siedzieli w fotelach bujanych na frontowej werandzie, wsłuchując się w uspokajający szum fal. Stevie dowiedziała się od Aidy, że Henry prawie całą

noc wymiotował.

– Lepiej się czujesz? – spytała, rzucając mu lekko rozbawione i zarazem troskliwe spojrzenie.

– Tak, Lulu. Dziękuję, że pytasz. Nie wiem, co mi się stało.

– Czy to nie z powodu zbyt dużej ilości bourbona?

– Cha, cha, bardzo śmieszne. Mój wieczór był tylko z nazwy kawalerski, bo uczestniczyli w nim emerytowani marynarze z długim stażem małżeńskim. W dodatku połowa z nich to członkowie klubu AA. Poszliśmy do klubu oficerskiego i zaczęliśmy wspominać szalone czasy na wyspie Phuket i w Hongkongu, a skończyliśmy na opowieściach o wnukach i spłacaniu hipotek. To było żałosne.

– Więc skąd ta niedyspozycja?

Henry bujał się przez chwilę w fotelu, spoglądając w morze surowym wzrokiem. Siedzący obok niej mężczyzna o ogorzałej twarzy skoczył kiedyś w Zatoce Perskiej do pełnego rekinów morza na ratunek marynarzowi, który stracił przytomność wskutek uderzenia i wypadł za burtę. Stevie kochała go jak własnego brata.

– Nie powiesz o tym nikomu? – spytał.

– Obiecuję.

– Żeglowałem po wielu morzach.

– Wiem.

– Nikomu o tym nie mówiłem. Kiedy tylko wypływaliśmy z portu, wszystko było w porządku. Byłem

zdrów jak ryba.

– Dzielny komandor Von Lichen.

– A żebyś wiedziała. Kiedy zaś mijaliśmy pławy...

– Co to takiego?

– Inaczej boje, które informują cię, że opuszczasz wody terytorialne i witasz się z otwartym morzem. Fale stają się większe, a okrętem zaczyna kołysać.

– Rozumiem.

– Kiedy więc znajdowaliśmy się na pełnym morzu, dostawałem cholernych apokaliptycznych torsji. To nie powinno mieć miejsca. Jestem zawodowym oficerem marynarki przyzwyczajonym do kołysania. Okręt należy do mnie, chwytam wiatr w żagle i... drżycie, morza i oceany. Tymczasem rzygałem jak mały kot.

– To się zdarza – odparła Stevie z uśmiechem.

– Nie, Lulu. Nie w moim wypadku. To było zbyt krępujące. Choroba morska nie trwała nigdy długo. Pojawiała się jak tajfun, a potem przechodziła. Mimo to na morzu obowiązuje kodeks, według którego oficerowie nie mogą chorować. Jestem dowódcą, wydaję rozkazy. Gdyby załoga odkryła, że wymiotuję, gdy okrętem zaczyna kołysać, straciłbym autorytet. Pilnowałem więc, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Przez dwadzieścia lat nikt nie poznał mojego sekretu.

– Typowy mężczyzna z ciebie – stwierdziła Stevie. – A co by się stało, gdyby cię zobaczył jakiś majtek?

– Musiałbym go zabić – odpowiedział zupełnie serio.

– Poznałam twój sekret. Czy wobec tego mam zacząć

się bać?

– Nie, Lulu. My nie mamy przed sobą tajemnic. Jesteśmy parą starych przyjaciół, wiele wspólnie przeszliśmy. Mogę więc ci powiedzieć, że wczoraj czułem się tak źle, jak nigdy na statku. Nogi miałem jak z waty, a żołądek wywracał mi się na drugą stronę. To było okropne.

– Nie ma się czemu dziwić.

– Słucham?

– Wy pływasz właśnie na pełne morze – oznajmiła z całym przekonaniem. – Jutro się żenisz.

– A niech mnie. Myślisz, że o to chodzi?

– Jestem tego pewna. Twoje ciało czuje, że nastąpią zmiany. Czekają cię wysokie fale, komandorze.

– Ty przechodziłaś przez to trzy razy.

Stevie skuliła się wewnątrz. Już chciała powiedzieć: „Nie przypominaj mi”, lecz zamyśliła się. To prawda, przechodziła przez to trzy razy. A teraz siedziała z Henrym na werandzie, wyczuwając jego podekscytowanie, oczekiwanie i niepokój. Dziś była wigilia jego ślubu. Zamknęła oczy, wspominając, jak w swoje wigilie bezgranicznie i całym sercem wierzyła w słuszność swojej decyzji, w podróż, którą miała rozpocząć. Czy myliła się, skoro te podróże zakończyły się niepowodzeniem? Nawet teraz nie była tego pewna.

– Co możesz mi powiedzieć? – spytał Henry.

Wzięła go za rękę i mocno uścisnęła.

– Że twój strach jest realny i wcale nie bezpodstawny.

– Cholera. Wielkie dzięki, Lulu.

Mocniej ścisnęła go za rękę.

– On ma swoje uzasadnienie, Henry. Nie bez powodu dostawałeś na okręcie choroby morskiej. Instynkt dawał o sobie znać, twoje ciało pragnęło ci coś powiedzieć. Zanim zostałeś kapitanem marynarki, byłeś zwykłym człowiekiem, małym chłopcem. W głębi duszy, pod całą tą dzielnością chorobliwą ambicją, kryje się instynkt samozachowawczy. Czuleś, że fale stają się większe i jakaś część ciebie broniła się, w obawie że mogą cię pochłonąć.

– Mam przez to rozumieć, że małżeństwo mnie pochłonie?

Przechyliła głowę na bok. Zabawne, ale miłość do Jacka i Nell zepchnęła na bok wspomnienia z przeszłości.

– W pewnym sensie tak – odparła po namyśle. – Będzie cię trawić pożądanie, troska, miłość. Kiedy jesteś z kimś blisko, pragniesz być jeszcze bliżej. W każdym razie ja tak to i odczuwałam. Zaczynasz myśleć o pragnieniach i potrzebach i drugiej osoby i jeżeli nie będziesz uważać, zapomnisz, że ty też i masz swoje.

– A jeżeli jest odwrotnie? – zapytał. – Jeżeli jestem wielkim samolubnym palantem, który chce tylko oglądać mecze futbolowe i zapomina o rocznicach?

– Doreen zadba o to, żeby tak się nie stało – zapewniła go z uśmiechem Stevie.

– Niepokoi mnie to, co się stało w nocy. A jeżeli to i oznacza, że nie nadaję się do małżeństwa i jak

powiedziałaś, moje ciało mnie przed nim ostrzega? Odrzuca je, jak organizm odrzuca przeszczep serca. To taki wielki fizyczny bunt.

– Z twoim małżeństwem jest jak z pierwszym dniem na pełnym morzu. Dostajesz choroby morskiej, lecz ona po pewnym czasie przechodzi. Wpadasz w panikę, a potem przypominasz sobie, że jesteś w marynarce, przywykłeś do kołysania, przeżyłeś huragany i wróciłeś cały i zdrowy. To tylko chwila strachu przed długą podróżą.

– Omal nie straciłem Doreen – wyznał.

Kiwnęła głową. Popatrzyła mu w oczy i ujrzała w nich żal, i smutek i ulgę.

– Ale ją odzyskałeś i to się liczy.

– Chciałbym, żeby z tobą też tak było, Lulu. Myślę, że ty też odnalazłaś...

Uniosła dłoń. Nie chciała, żeby wspomniał o Jacku. To było zbyt bolesne. Wiedziała, że Aida wysłała zaproszenia razem z informacjami dotyczącymi fundacji i remontu zamku. Odpisał, że nie przyjedzie. Aida poinformowała ją o tym z takim smutkiem i rozczarowaniem, że Stevie musiała ją pocieszać.

– To twój ślub – powiedziała, klepiąc Henry'ego w ramię. – Mówmy o tobie, dobrze? Cieszę się, że się żenisz.

– Nie dałbym sobie rady, gdyby nie ty.

– Miło mi to słyszeć, ale i tak byś sobie poradził. Doreen już by się o to postarała. A teraz czas na mnie. Za godzinę jem kolację o tam, na plaży, z przyjaciółką.

Wstała i pokazała na stojący przy plaży pawilon. Ludzie zaczęli się już zbierać na tarasie.

– Baw się dobrze – odpowiedział. – Aida mówiła, że twoja przyjaciółka jest siostrą...

– Tak, ale przede wszystkim moją przyjaciółką. Jedną z najbliższych i najstarszych – dodała pośpiesznie.

– To też jest miłość – stwierdził.

Musiła się uśmiechnąć.

– Zmieniłeś się – zauważyła. – Przeżywasz renesans.

– Ty też się zmieniłaś. Nie ma już syreny.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparła, patrząc na wschód, po czym objęła Henry'ego za szyję i pocałowała w sam czubek głowy.

Spoglądała w kierunku Szkocji. Dzielił ją od niej cały ocean, tymczasem jej łódź leżała rozbita na szkockich skałach, na wyspie, na której nigdy nie była i gdzie pozostało jej serce. Odwróciła głowę, by Henry nie zauważył łez.

– Idź do przodu mimo przeciwności – powiedział, ściskając jej dłoń.

– Tak jest, sir.

Madeleine i Stevie dostały najlepszy stolik w „U Lilly Jane”, bo na skraju tarasu. Niemal u ich stóp fale rozbijały się o brzeg, a lekki wiatr dmuchał w twarze słoną mgiełką. Kelnerka podała im kartę koktajli o przedziwnych nazwach, takich jak „Martini Biały Rekin” czy „Seks na plaży”.

– Nie chcę sprawiać przykrości Lilly Jane, ale wezmę tylko wodę gazowaną – powiedziała Stevie.

– Ja też – odparła Madeleine, po czym dodała, dostrzegając zaskoczenie w oczach Stevie: – Już nie piję.

– Naprawdę?

– Kiedy przyjechałam do ciebie, nie czułam się najlepiej, nie dawałam sobie ze sobą rady. Zresztą tak było od roku. Ale już jest lepiej.

Kelnerka przyniosła im dużą butelkę wody mineralnej. Stuknęły się szklankami.

– Bardzo się cieszę – powiedziała z uśmiechem Stevie.

Przejrzały kartę dań i zamówiły tuńczyka z rusztu. W środku zespół grał muzykę reggae. Maddie czuła się taka odprężona i szczęśliwa. Rozmawiały o lecie, starannie unikając drażliwych tematów. Stevie opowiadała o swojej pracy nad książką i o ślubie kuzyna. Madeleine mówiła o Chrisie i o tym, że zaczął brać lekcje gry na fortepianie. Jadły kolację, słuchając muzyki i szumu fal. Słońce zaczęło zachodzić, tworząc złote i fioletowe wzory na powierzchni wody. Przy stoliku obok usiadły dwie młode kobiety i jedna z nich zamówiła drinka „Seks na plaży”. Madeleine poczuła ukłucie bólu, bo to przypomniało jej Emmę.

– W ten ostatni weekend Emma też zamówiła ten koktajl – wyznała. – Powiedziała do mnie: „Pamiętasz, jak seks na plaży był sposobem na życie, a nie tylko koktajlem?”

– Cała Emma – stwierdziła Stevie.

– Zaśmiała się i powiedziała, że wszystkie straciłyśmy dziewictwo na plaży na cyplu Hubbarda, gdy miałyśmy po siedemnaście lat.

Stevie przechyliła głowę.

– Ja miałam osiemnaście. I stało się to w college'u z Kevinem, moim pierwszym mężem.

– A ja miałam dwadzieścia jeden – odparła Madeleine.

– Byłam przykładną katoliczką. Zaczekałam przynajmniej do zaręczyn, chociaż nigdy za niego nie wyszłam.

– Ciekawe, dlaczego Emma myślała, że...

– To jak ten rytuał z kołem podczas pełni. Lubiła myśleć, że wszystko nas łączy, jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej we wspomnieniu o wakacyjnych przyjaciółkach – powiedziała Madeleine.

Podeszła kelnerka, by zebrać ze stołu talerze. Zamówiły kawę i creme brulee na spółkę. Muzyka stała się głośniejsza i wiatr się wzmógł.

– Czy to nie zabawne, że nie odkryłyśmy uroków Newport jako nastolatki? – spytała Madeleine. – Przecież to niedaleko. Jednakże z drugiej strony po co miałybyśmy wyjeżdżać z cypla Hubbarda?

– To samo mówiła... – zaczęła Stevie, po czym urwała.

– No śmiało, co chciałaś powiedzieć?

– Ze to samo mówiła Nell. Jesteście bardzo do siebie podobne.

– Masz z nią kontakt?

– Tak – przyznała Stevie i zaczęła opowiadać o tym, jak Nell pomagała jej przy pracy nad książką, przysyłając

mnóstwo informacji o szkockich wyspach Orkadach. Obawiała się trochę, że Madeleine może się zdenerwować. Ale przyjaciółka jak zwykle ją zadziwiła.

– Tak się cieszę! – wykrzyknęła. – Z braku matki potrzebuje jednej z nas.

– Potrzebuje ciebie – odparła cicho Stevie.

– Ja też tak myślę – przyznała Madeleine, kiwając głową.

– Jack powiedział mi trochę o tym, co zaszło między wami po śmierci Emmy.

Madeleine znowu kiwnęła głową. Odetchnęła głęboko, czując, jak morskie powietrze chłodzi jej skórę. Wyprostowała się i spojrzała Stevie w oczy.

– On sądzi, że prawda o Emmie wszystko by zniszczyła – odpowiedziała. – Chce, by pozostała ukryta i zapieczętowana. To nasza rodzinna puszka Pandory.

Stevie wypła łyk kawy. Madeleine domyślała się, że chce zadać pytanie, i była na nie przygotowana.

– A jaka jest prawda? – spytała Stevie.

– Emma zamierzała odejść.

Stevie zmarszczyła brwi i odsunęła włosy z twarzy.

– Wspominał o tym, lecz nie bardzo rozumiem, dlaczego chce przed tym uciec i chronić Nell. To smutne, ale bywa, że ludzie się rozchodzą, małżeństwa rozpadają.

– Tu nie chodziło tylko o małżeństwo. Emma zamierzała wszystko zostawić, całe swoje dotychczasowe życie, także Nell.

– Nie mogła tego zrobić.

– To właśnie jej powiedziałam.

Madeleine wróciła myślami do tamtego weekendu, godzin spędzonych na plaży, po tym jak Emma wyjawiała jej prawdę.

– Na pewno miała na myśli coś chwilowego, tydzień, może miesiąc. Mówiłaś, że nigdy nie zostawiała Nell samej na noc.

– Nie, to nie miało być coś chwilowego.

Madeleine poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

– Jack użył sformułowania: miała sekretne życie.

– Nie bez powodu – przyznała Madeleine.

– Chcesz powiedzieć, że miała romans?

– Niezupełnie.

– Jak to niezupełnie?

– Nie spali ze sobą – wyjaśniła Madeleine.

– Nie rozumiem. Kim on był?

– Księdzem.

Stevie wpatrywała się w nią bez słowa.

Madeleine wzruszyła ramionami, dostrzegając w jej oczach niedowierzanie. Po chwili podjęła:

– Nazywał się Richard Kearsage, był proboszczem w ich parafii. Bardzo aktywny, zachęcał parafian do włączenia się w działalność charytatywną. Emma powiedziała, że otworzył jej oczy, zainteresował pracą społeczną. Zaczął program nauki czytania i pisania w miejscowym więzieniu. Pomagała mu w tym. Twierdziła, że to odmieniło jej życie i sposób patrzenia na świat.

– Ale co to miało wspólnego z opuszczeniem Jacka?

– Zakochali się w sobie.

Stevie popatrzyła na morze. Słońce już zaszło, grzbiety fal mieniły się srebrzyście, tocząc się ku plaży.

– Jak ksiądz mógł coś takiego zrobić rodzinie?

– Emma powiedziała, że księża to też ludzie, że mają takie same pragnienia jak wszyscy. Miałam wrażenie, że czuła się bardziej winna z powodu tego, że on chce odejść z Kościoła, by być z nią, niż że ona odchodzi od Jacka.

– Jak ona mogła?

– Była po uszy zakochana.

– Nie rozumiem. No dobrze, zakochała się. To nie jest w porządku, lecz się zdarza. Twój brat jest wspaniałym mężczyzną, lecz powiedzmy, że z jakiegoś powodu przestał jej wystarczać. Ale co z Nell?

Pytania i gwałtowna reakcja Stevie przypomniały Madeleine jej własną reakcję i powrotną podróż do Atlanty. Ręce zaczęły jej drżeć, więc splótła palce.

– O to samo ją zapytałam – przyznała. – Nie mogłam tego zrozumieć, nie mogłam uwierzyć, że w ogóle pomyślała o opuszczeniu Nell. Najwyraźniej oszalała na jego punkcie. Powiedziała mi, że nikt tak jej nie znał jak on, że kochał i akceptował jej wszystkie wady, problemy i cechy, których w sobie nienawidziła.

– Przecież był księdzem. Na tym polegał jego zawód. Łatwo się domyślić, jak on poznał jej problemy. Pewnie zwróciła się do niego o pomoc. Sama tak zrobiłam. Gdy poroniłam, poszłam do kościoła i płakałam. Jeden z księży był taki dobry. Siedział ze mną przez godzinę i pozwolił

mi się wygadać. Opowiedziałam mu o intymnych szczegółach, lecz to wszystko.

Madeleine kiwnęła głową.

– Ona i Jack przeżywali kryzys. Zwierzyła się ze swoich problemów księdzu Richardowi, a on wciągnął ją w działalność społeczną. Powiedziała mi, że odżyła. Oczy jej błyszczały i wyglądała, jakby mogła unosić się w powietrzu. Ale równocześnie twardo stąpała po ziemi. Jakby wiedziała, co robi, jakby wszystko sobie przemyślała. Oznajmiła, że ona i Richard mają do spełnienia misję.

– Jaką misję?

– Chcieli pracować na rzecz biednych, uczyć ich czytać i pisać. Lecz nie w Georgii. To nie mogło być w Atlancie, bo gdyby zrzucił sutannę, parafianie by go potępili.

– I słusznie. Za uwiedzenie mężatki i namówienie do zostawienia męża i córki. Jestem katoliczką, podobnie jak my wszyscy. Wiemy, że są dobrzy i źli księża. Przepraszam, ale to, co on zrobił, to podłość.

Madeleine słuchała, jak Stevie się zapala. Nareszcie ktoś podzielał jej gniew. Gdyby Emma żyła, mogłyby plotkować do woli, płonąć moralnym oburzeniem, a potem zmusić ją do powrotu na łono rodziny.

– Jack o niczym nie wiedział? – zapytała Stevie.

– Czuł, że coś jest nie tak. Emma powiedziała mi, że zachęcał ją do rozmów z proboszczem. Pewnie myślał, że pomoże im rozwiązać problemy małżeńskie.

– Tymczasem zawiódł ich zaufanie.

– Też tak to widzę. Emma jednak stanęła w jego obronie.

– Nie dziwię się – powiedziała Stevie. – Ja też bym go broniła. Miłość jest jak magia. Ulegniesz jej urokowi i przepadłaś. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile popełniłam błędów, będąc w tym stanie. Ale przynajmniej nie miałam dziecka.

– To właśnie doprowadzało mnie do szaleństwa – wtrąciła Madeleine. – Myśl o Nell.

Chciała opowiedzieć Stevie o ostatnich minutach w samochodzie, gdy zjechała z drogi, lecz cofnęła się trochę w czasie.

– Siedziałyśmy na plaży na wyspie St. Simons, jak robiłyśmy to wiele razy. Emma rozejrzała się wokół i stwierdziła, że plaża jest zbyt luksusowa, a nasze kostiumy kąpielowe zbyt drogie. Zaczęła opowiadać o biedzie na wsi i o tym, jak Richard otworzył jej oczy na sprawy, o których nie miała pojęcia i o których nigdy nie myślała. Na problemy rodzin pozbawionych środków do życia, matek, które nie miały czym nakarmić dzieci, na przepełnienie więzień, na nieludzkie traktowanie więźniów.

– To są ważne sprawy – przyznała Stevie.

– Wiem. Zdziwiłam się i zarazem ucieszyłam, że Emma o nich mówi. Jack nigdy nie nazwałby jej rozpuszczoną, lecz ja tak o niej myślałam. Zawsze musiała mieć największy samochód, należeć do najekskluzywniejszych klubów. Nie chciała nawet, żebyśmy czytali Nell twoje

książki, bo były zbyt realistyczne, ukazywały brzydkie strony życia.

– Wiem.

– Popatrzyła na brylantową obrączkę i powiedziała: „Ludzie umierają w kopalniach diamentów, żeby takie kobiety jak my mogły je nosić”. „To symbole miłości Jacka i Chrisa” – powiedziałam. A ona odpowiedziała: „Prawdziwa miłość nie potrzebuje klejnotów”. Wtedy zrozumiałam, że to coś poważnego, bo urodziny lub Boże Narodzenie oceniała zawsze po tym, jaką biżuterię dostała od Jacka.

– Wygląda na to, że przeszła transformację – stwierdziła Stevie.

– Tak. I z początku uznałam ją za bardzo pozytywną.

– Lecz taka nie była.

– Powiedziała mi, że ona i Richard nie uprawiali seksu. Całowali się i przytulali, lecz nie chcieli posuwać się dalej, dopóki nie będą wiedzieli, co zamierzają zrobić z życiem. On oznajmił jej, że musi wszystko przemyśleć. Będzie się modlił i zastanawiał, jaką podjąć decyzję. Poszedł tam, gdzie się urodził, by... nie wiem... to miało być coś w rodzaju czterdziestu dni na pustyni. Potem wrócił i poinformował ją, że chce porzucić stan kapłański i być z nią.

– A ona musiała tylko zrezygnować z małżeństwa.

– Tak.

– I z Nell.

– To mnie zdenerwowało – stwierdziła Madeleine.

– Wracałyśmy właśnie do domu.

– Wtedy zdarzył się wypadek?

Madeleine kiwnęła głową. Nie było to łatwe, lecz musiała opowiedzieć przyjaciółce wszystko. Stevie знаła i kochała Emmę. I najwyraźniej uwielbiała Nell i Jacka.

– Chcę ci o tym opowiedzieć – wyznała drżącym głosem – bo cię kocham i darzę zaufaniem. I potrzebuję sprzymierzeńca.

– Sprzymierzeńca?

– Który pomoże mi uzdrowić stosunki z bratem, a jemu wyjść z kryzysu. On bardzo cierpi.

– Wiem.

Stevie pochyliła się i ujęła Madeleine za rękę. Popatrzyły sobie w oczy. Madeleine nie cofnęła dłoni.

– Wracałyśmy do Atlanty – podjęła opowieść. – Emma chciała mi pokazać rodzinne strony Richarda. Wychował się w małym, bardzo biednym miasteczku na wzgórzach Georgii. Powiedziała, że zawiózł ją tam, by pokazać kolebkę biedy. Niektórzy jego sąsiedzi trafili do więzienia za straszne rzeczy. Jego własny ojciec został skazany na więzienie za sfałszowanie czeku. Zmarł tam zasztyletowany przez współwięźnia. Cała jego rodzina cierpiała z tego powodu, dlatego chciał pomagać innym.

– Więc został księdzem.

Madeleine kiwnęła głową.

– Musiał być ich dumą i radością. Dostał stypendium uniwersytetu Loyoli, a potem wstąpił do seminarium. Ukończył uzupełniające studia magisterskie w

Georgetown w ramach jakiegoś programu rządowego. Emma twierdziła, że jego pasją była sprawiedliwość społeczna.

Stevie zadrżała.

– O co chodzi?

– Właśnie przypomniałam sobie, co kiedyś usłyszałam od ojca. Jako mała dziewczynka chowałam się w trzcinach, by podglądać brodźce budujące gniazdo, wystawałam nocami na mrozie, by zobaczyć sowę wylatującą z lasu. Powiedział mi wtedy, że pasjonuje mnie życie ptaków, a to oznacza, że do wszystkiego będę podchodzić z pasją i że mam w sobie wewnętrzny ogień.

– Bo masz.

– Powiedział, że muszę się nauczyć, jak go używać i nad nim panować. Wówczas tego nie rozumiałam. Powiedział też, że studiowanie literatury irlandzkiej nauczyło go, że pasja może człowieka zarówno zniszczyć, jak i uszczęśliwić, że zazdrości mi tego żaru, lecz równocześnie się o mnie niepokoi. – Wpatrywała się w płomień świecy, jakby widziała w nim własne demony. – Wygląda na to, że Richard miał ten sam wewnętrzny ogień.

– Tak, ale to ja zniszczyłam Emmę – rzekła Maddie.

– Nie mów tak – zaprotestowała Stevie.

– A jednak. Wjechałam na drzewo.

– Opowiedz mi o tym, jeżeli możesz – poprosiła Stevie.

Madeleine odetchnęła głęboko, przypominając sobie wszystkie sesje z doktor Mallory, fale szoku i przerażenia,

które przepływały przez jej ciało i w końcu wydostały się na zewnątrz.

– Powiedziała mi, że mają z Richardem misję do spełnienia – zaczęła. – Ze Jack może zaopiekować się Nell i że gdyby Nell była starsza, zrozumiałaby. Jechałyśmy wyboistą wiejską drogą, mijając domy z blaszanymi dachami, ścianami pokrytymi smołowanym papierem, wrakami samochodów i starymi lodówkami na podwórkach...

– Może nawet mijając dom, w którym wychował się Richard – mruknęła Stevie.

Madeleine kiwnęła głową.

– Jechałam i myślałam, jakie to wszystko surrealistyczne i czemu Emma tego nie widzi. „Kochasz człowieka, którego prześladują cienie przeszłości”, powiedziałam. Chciałam, żeby to zrozumiała, żeby uświadomiła sobie, co chce zrobić Neil, przypomnieć jej, że wychowywanie córki to najważniejsza rzecz na świecie.

– Nie mogła tego zrozumieć – odparła Stevie. – Była zbyt zakochana.

– Tak. Więc powiedziałam, że jeżeli zostawi Nell, to jakby zabiła część siebie, że ona i Richard chcą pomóc światu, a robią krzywdę wspaniałej ufnej dziewczynce.

Oczy Stevie zaszły łzami. Madeleine pomyślała o bólu Nell i rozbitej rodzinie, a wszystko przez to, że Emma się zakochała. Zacisnęła mocno powieki, by się nie rozpłakać.

– Emma wściekła się na mnie. Powiedziała, że modlą

się z Richardem każdego dnia i że ona wcale nie zostawia córki, że nie odchodzi na zawsze, że Nell zrozumie, że będzie przyjeżdżała, że podzielią się opieką, że Jack na pewno nie będzie jej robił żadnych kłopotów.

– Chyba jednak niezbyt dobrze znała Jacka – stwierdziła Stevie.

– Tak. Odwróciłam się do niej i krzyknęłam, że sobie nie wyobraża, jakie może mieć z tego powodu kłopoty. Powiedziałam też, że pomogę Jackowi, że zeznam na jego korzyść w procesie rozwodowym i że jest egoistką, odrzucając Nell, i jeszcze że zasługuje na to, żeby ją stracić.

– Jak mogła odrzucić Nell... – wyszeptała gniewnie Stevie, wpatrując się w ciemne morze.

– Wpadła we wściekłość. Chyba myślała, że spędzimy ten weekend w pełnej zgodzie. Najwyraźniej opacznie rozumiała moją spokojną reakcję. Pewnie sądziła, że znajdzie we mnie sprzymierzeńca.

– Przecież ty tylko jej słuchałaś – wtrąciła Stevie.

– Tak. Ale do czasu. Oznajmiła mi, że wieczorem powie o wszystkim Jackowi i Nell, a nazajutrz się wyprowadzi. Wtedy powiedziałam, że pomogę bratu uzyskać wyłączną opiekę nad Nell i dopilnuję, żeby nie dostała żadnych alimentów. Najśmieszniejsze, że właśnie to ją najbardziej wkurzyło. Oświadczyła, że zasługuje na pieniądze po tych wszystkich latach małżeństwa i że potrzebuje na to, co ona i Richard zamierzają wspólnie robić.

– To śmieszne.

– Wiem. Byłam taka zła, że musiałam niechcący mocniej wcisnąć pedał gazu. Jechałyśmy bardzo szybko. Zaczęła wrzeszczeć, że jestem tylko ciotką Nell i nie mam prawa się wtrącać, że wcale nie chce zostawić Nell, czułam jednak, że najbardziej dopiekły jej te alimenty. „Uważasz, że bardziej się o nią troszczysz? – spytała. – To moja córka”. I uderzyła mnie w twarz.

– Och, Maddie. – Stevie ścisnęła ją za rękę.

– Zobaczyłam gwiazdy. – Madeleine zamknęła oczy, wciąż czując palący ból policzka i oka. – A potem pamiętam, że uderzyłyśmy w drzewo i samochód przewrócił się na dach. Moja ręka...

Stevie mocniej ją ścisnęła. Madeleine poczuła szarpiący ból w ramieniu, jakby ktoś odciął je rozpalonym nożem. Zadrżała, lecz po chwili spojrzała Stevie w oczy.

– Miałam bezwładną rękę. Chyba przecięłam sobie tętnicę, bo obficie krwawiłam. Emma leżała obok mnie. Oczy miała otwarte. Usiłowała coś powiedzieć, lecz krew bulgotała jej w gardle. – Łzy zaczęły jej spływać po policzkach. – Chciałam jej pomóc, ratować.

– Maddie, to nie była twoja wina.

– Patrzyła na mnie. Tak strasznie chciała żyć. Widziałam strach w jej oczach. „Powiedz mi, że mi przykro...”, powtórzyła kilka razy.

– Komu? Komu miałaś powiedzieć?

– Tego właśnie nie wiem – załkała Madeleine. – Czy miałam powiedzieć Jackowi, że jej przykro z powodu

tego, co zamierzała zrobić, czy też Richardowi, że tym wypadkiem zniszczyła ich plany.

– Och, Maddie...

– A potem straciłam przytomność. Ocknęłam się w szpitalu. Jack był przy mnie, a Chris w drodze do szpitala. Przeszłam trzy operacje ramienia, lecz potrafiłam myśleć tylko o Emmie. Chciałam wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Musiałam też powiedzieć Jackowi, co się z nią dzieje, żeby ją powstrzymał i namówił do powrotu do domu. Zamierzałam go uprzedzić, żeby nie dopuszczał do niej Richarda. Myślałam, że jeżeli będzie o wszystkim wiedział, zapobiegnie złu, ocali swoje małżeństwo i nie pozwoli Emmie zostawić Nell.

– Dobrze zrobiłaś, mówiąc mu – wtrąciła Stevie.

– Naprawdę tak uważasz? Ale skoro Emma umarła... Mogłam zachować ten sekret dla siebie i uratować rodzinę – załkała Madeleine.

– Maddie, to by cię zniszczyło. Nie wiedziałaś, że Emma umrze, chciałaś im pomóc.

– Ale mogłam poczekać. Zresztą i tak mi wtedy nie uwierzył. Uważał, że to sobie zmyśliłam. Był pogrążony w rozpacz, bał się, że straci Emmę. Nie mógł znieść myśli o tym, że chciała odejść od niego i od Nell.

– Był w szoku.

– Jest w szoku. To trwa już rok. Najpierw uciekł z Atlanty do Bostonu, a potem do Szkocji. Musiał wyjechać z kraju, żeby się ode mnie uwolnić.

– Nie od ciebie – powiedziała Stevie. – Od własnego

bólu.

– Gdybym tylko zachowała sekret Emmy w tajemnicy, Jack nie musiałby się z nim mierzyć, nie musiałby dźwigać tego brzemienia.

– Ale taka była prawda – odparła Stevie. – Jego prawda i prawda Nell, nie tylko Emmy. Maddie, nie rozumiesz, że zrobiłaś to z miłości? Z miłości do brata?

Madeleine pochyliła głowę, nie mogąc powstrzymać płaczu. Szum płynącej w głowie krwi mieszał się z szumem fal uderzających o brzeg. Zbliżał się przypływ, fale podchodziły coraz bliżej. Zespół muzyczny grał proste wesołe melodie.

– Brata idioty – powiedział męski głos, z trudem przebijając się przez tę mieszaninę dźwięków.

Na wyciągnięcie ręki od ich stolika stał Jack. W jego oczach też błyszczały łzy.

– Przyjechałeś – wyszeptała Stevie.

Madeleine zerwała się z miejsca i rzuciła bratu w ramiona. Nie mogła uwierzyć, że jest tutaj. Tulił ją do siebie, kołysał w objęciach.

– Przepraszam, Maddie – powiedział stłumionym głosem. – Popełniłem błąd. To nie była twoja wina.

Jak dobrze znowu było słyszeć najdroższy jej sercu głos starszego brata. Poczowała ogromną ulgę i rozplakała się na dobre.

– Jack – wyjąkała.

– Och, Maddie – powiedział. – Pojechałem do Szkocji z Nell, bo tak ci się podobała. Ale ciebie tam nie było, a ja

nie mogę dłużej żyć bez siostry.

Madeleine ucałowała go w policzek, lecz nie mogła mówić. Wysunęła się z objęć brata, usiadła na krześle i na chwilę zamknęła oczy. W tym momencie ponownie usłyszała głos Jacka.

– Bez ciebie, Stevie, też nie możemy żyć.

Kiedy Madeleine uniosła wzrok, zobaczyła Stevie i Jacka splecionych w pocałunku. Ich włosy rozwiewał wiatr, fale miarowo uderzały o brzeg. Madeleine wsłuchiwała się w ich szum, czując, jak głośno bije jej serce, i myśląc o tym, że brat wreszcie wrócił do domu.

Rozdział 28

W hotelu nie było wolnych miejsc, lecz Aida znalazła sposób, by wszystkich pomieścić. Madeleine nie miała zamiaru wracać do domu do Providence w dniu, w którym pogodziła się z bratem, zadzwoniła więc do Chrisa i poinformowała go, że zostaje i żeby przyjechał jutro ubrany odświętnie na ślub Henry'ego. Miała nocować z Nell w obszernym pokoju Stevie z dwoma łózkami i kanapką w stylu wiktoriańskim. Henry oddał swój pokój Jackowi.

– Nie chciałbym cię wyrzucać – powiedział Jack.

– Przeniosę się do Doreen – odparł Henry. – I tak zamierzałem się do niej zakraść. Nie mam zamiaru spędzić już ani jednej nocy bez niej.

– Bardzo dobry pomysł – pochwalił Jack.

Stevie w tym momencie spojrzała na niego i ich oczy się spotkały. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Uśmiechnęła się, a gdy i on odpowiedział uśmiechem, jej ciałem wstrząsnął kolejny dreszcz. Opowieść Madeleine wciąż brzmiała jej w uszach, lecz zaskoczenie i radość na widok Jacka i Nell usunęły ją w cień.

Nell spała w samolocie i teraz wcale nie miała ochoty iść do łóżka. Kurczowo trzymała się ręki Madeleine. Obie miały rozradowane twarze, Jack również. Aida siedziała z

tyłu, uśmiechając się z wyraźną satysfakcją, jakby wiedziała, że otacza ich aura miłości i że ma w tym swój skromny udział.

– Zdziwiłaś się, gdy nas zobaczyłaś? – spytała Nell, patrząc na Madeleine.

– Nigdy w życiu nie byłam tak zaskoczona.

Stevie popatrzyła na przyjaciółkę. Wyraźnie się postarzała przez ten rok. Przeszła coś w rodzaju wojny wewnętrznej, która zostawiła ślady w postaci zmarszczek wokół oczu, pasemek siwych włosów i kilku kilogramów w biodrach, lecz nigdy nie wyglądała piękniej niż teraz. Była weteranką, która przeżyła dzięki miłości i wierze.

– A ty, Stevie? – spytała Nell.

– Ja też – odparła. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteście.

– Jak to się stało? – spytała Aida.

– Włożyłam kartkę do butelki i wysłałam ją do Stevie – wyjaśniła Nell ze śmiechem. – Ale tata ją znalazł.

– To prawda? – spytała Stevie.

– Tak – odpowiedział Jack.

Stevie zastanawiała się, co było na tej kartce. Czy Nell naprawdę myślała, że butelka przepłynie przez Atlantyk, pokonując burze i morskie prądy? Naprawdę w to wierzyła? Zaraz jednak stanęły jej przed oczyma ptaki, które malowała, zapierająca dech w piersiach odwaga i wytrwałość kolibrów nie większych od kwiatu, wędrujących z jednego kontynentu na drugi, i sama sobie odpowiedziała. Oczywiście, że Nell miała nadzieję, że

wiadomość dotrze do miejsca przeznaczenia. I rzeczywiście tak się stało. Dowodem na to była ich obecność tutaj.

– Moja dzielna Nell – powiedziała Madeleine.

– To jej zasługa bez dwóch zdań – stwierdził Jack.

Wszyscy byli zmęczeni, a jutrzejszy dzień zbliżał się wielkimi krokami. Henry ucałował więc Stevie i Aidę i oznajmił, że zobaczą się jutro rano. Jack pożegnał się z Nell i siostrą i życzył im dobrej nocy. Stevie zobaczyła, jak Nell i Madeleine rozprawiają z ożywieniem, i pomyślała, że da im chwilę czasu.

– Zaraz przyjdę – powiedziała.

– Dobrze – odpowiedziała Madeleine, patrząc na nią z wyrazem błógiego szczęścia na twarzy.

Kiedy wszyscy już poszli na górę, Stevie odwróciła się do Jacka. Zostali sami w hallu. Lampy z abażurami w kolorze brzoskwini ozdobionymi frędzlami, mosiężne kinkiety na ścianach i smuga światła księżycowego nadawały pomieszczeniu ciepły wygląd.

– Chodźmy na spacer – zaproponował Jack.

– Bardzo chętnie – odparła Stevie.

Kręciło jej się w głowie od opowieści Madeleine i szoku wywołanego widokiem Jacka i Nell. Musiała odzyskać jasność myślenia i uspokoić serce. Przeszli przez szeroki zielony trawnik do grubego płotu i otworzyli bramkę prowadzącą na szlak spacerowy Cliff Walk. Skąpane w księżycowym świetle fale uderzały o skalisty brzeg, mieniając się niczym żywe srebro. Nie przeszli nawet

pięciu kroków, gdy Jack chwycił Stevie za rękę.

– Właściwie dlaczego przyjechałeś? – spytała.

– Z powodu wiadomości Nell – odpowiedział.

– A co w niej było?

– Powiem ci, ale później.

Po tych słowach porwał ją w ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował. Wargi miał tak gorące, że Stevie zalała fala pożądania. Zacisnęła mu ręce na ramionach i przywarła do niego całym ciałem. Poczowała, jak mięśnie mu się napinają, i zapragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

W końcu oderwali się od siebie i ruszyli dalej, mając z lewej strony zatokę tonącą w świetle księżyca. Przyływ narastał, fale rozbijały się o skaliste wybrzeże. Stevie kręciło się w głowie, lecz nie miało to nic wspólnego ze stromymi skałami. Jack trzymał ją mocno za rękę, mimo to wydało jej się, że za chwilę spadnie. Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Wszystko w porządku? – spytał Jack.

– Tak – odparła.

Miała wrażenie, jakby urosły jej skrzydła i szybowała nad zatoką. Studiowała życie ptaków, ich budowę, rozpiętość skrzydeł, sposób utrzymywania się w powietrzu, a teraz sama czuła się tak, jakby była ptakiem. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie doświadczyła. Do tej pory musiała się hamować, bo pragnęła więcej, niż druga osoba mogła jej ofiarować. A teraz wyleciała Jackowi na spotkanie.

– Uśmiechasz się – powiedział. – Czuję to, chociaż jest ciemno.

– Właśnie myślałam o lataniu.

– O lataniu?

– Nawet nie wiesz, ile razy chciałam polecieć do Szkocji, by zebrać materiały do książki.

– Myślisz, że Nell o tym nie myślała?

– Naprawdę?

– Myślisz, że nie wiedziałem o tym, gdy kupowałem jej przybory do malowania?

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? – spytała. Musiała to wiedzieć. – Czemu ty byłeś tam i dlaczego ja zdecydowałam się napisać książkę o Szkocji?

– To musi mieć coś wspólnego z dzielącą nas odległością – stwierdził z przekonaniem, jakby w tym stwierdzeniu kryła się głębia, a nie oczywistość.

– Czy to ma coś wspólnego z... Emmą? Maddie opowiedziała mi o wszystkim.

– O wypadku?

– Raczej o tym, co stało się przed wypadkiem. O księdzu Kearsage'u.

– Trudno mi było w to uwierzyć – powiedział. – Poszła do niego po pomoc, po radę. Nienawidzę siebie za to. Zawsze powtarzała, że nie można się ze mną porozumieć, chciała, żebyśmy poszli do psychoterapeuty. A ja uważałem, że ludzie, którzy chodzą do poradni małżeńskiej, są o krok od rozstania.

– Chciała, żebyście razem poszli do poradni?

– Tak. Lecz ja zawsze ją zbywałem. Ciężko pracowałem, dużo podróżowałem, budowałem mosty na północnym wschodzie Stanów. Myślałem, że wszystko jakoś się ułoży.

Stevie kiwnęła głową, przypominając sobie, ile razy ignorowała sygnały, że coś jest nie tak w jej małżeństwie, aż w końcu było za późno.

– Wtedy on namówił ją, by włączyła się w działalność charytatywną. Polubiła ją i nagle oświadczyła, że znalazła cel w życiu.

– Emma zawsze do wszystkiego podchodziła z pasją. Nie dziwię się więc, że i do tego tak podeszła.

– Poczuję się urażony. Uważałem, że ma już w życiu cel, jako żona i matka.

– Pełniła obie te role – odpowiedziała cicho Stevie. – Lecz była również sobą. Widocznie pragnęła to obwieścić światu.

– No to ksiądz Richard jej w tym pomógł – stwierdził Jack. – Sprawił, że zainteresowała się działalnością społeczną.

– Sama to zrobiła. To nie jego zasługa.

– Mimo to...

– Co chcesz przez to powiedzieć? Rozmawiałeś z nim o tym?

– Nie tylko rozmawiałem. Dopadłem go i omal nie zabiłem.

Stevie czekała w milczeniu, żeby się przed nią otworzył.

– Przyszedł na pogrzeb. Zobaczyłem go, lecz wciąż byłem w szoku i nie do końca wierzyłem Madeleine, więc nic nie powiedziałem. Nie celebrował mszy, po prostu siedział z tyłu. Popatrzył tylko na mnie znacząco, gdy wychodziliśmy z kościoła. Już wtedy miałem ochotę rzucić się na niego.

– Czemu tego nie zrobiłeś? – spytała Stevie, czując, jak puls jej przyspiesza.

– Ze względu na Nell – wyjaśnił.

– Była obok ciebie?

Przypomniała sobie, jak towarzyszyła ojcu na pogrzebie matki.

– Tak. Musiałem więc z tym poczekać. Przez następne tygodnie miałem pełne ręce roboty. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to był trudny okres. Musiałem pomóc Nell. Starłem się ją uspokoić, odprowadzałem do szkoły, odbierałem ze szkoły, siedziałem przy niej, gdy płakała...

– Wiem.

– Madeleine była w szpitalu, przechodziła operacje ramienia. Chris mieszkał z nami, dopóki nie wypisali jej ze szpitala. Wtedy zabrał ją do domu. Dotarły do mnie plotki, że Kearsage odszedł z parafii, potem, że zrzucił sutannę. Cieszyłem się. Gdyby zniknął, miałbym problem z głową.

– Tylko się łudzisz – powiedziała Stevie.

Pokręcił głową.

– Pewnego dnia wróciłem do domu i zobaczyłem go w samochodzie przed moim domem.

– Po co przyjechał?

– Powiedział, że kochał Emmę i że czuje się winny, że wysłał ją na weekend z Madeleine. Nie chciała jechać, chciała powiedzieć mi, że odchodzi, a potem pójść prosto do niego.

– Po co ci to powiedział?

– Mówił coś o świetlistych tajemnicach. Chciał oczyścić sumienie i chciał zobaczyć Nell, bo była częścią Emmy.

– O Boże.

– Wpadłem we wściekłość. Powiedziałem mu, że jest żalonym narcyzem. Nie dość, że chciał rozbić rodzinę, odebrać córce matkę, to jeszcze ma czelność tu przychodzić i domagać się widzenia z Nell. Uderzyłem go. To była ślepa furia. Poczułem, jak moja pięść ląduje na jego twarzy, a potem spuściłem mu łomot.

– Musiał wiedzieć, że tak to się skończy – stwierdziła Stevie, wsłuchując się w chrzęst żwiru pod stopami i szum fal uderzających o brzeg.

– To było okropne – ciągnął Jack. – Nie dlatego, że pobiłem księdza, lecz z powodu gwałtowności, z jaką to zrobiłem. Kazałem mu wsiąść do samochodu, odjechać i nigdy nie wracać. Całe szczęście, że nie wezwał policji. Następnego dnia złożyłem prośbę o przeniesienie do Bostonu. Nie miałem z tym problemu. Wiele moich projektów realizowałem w Nowej Anglii, więc to ułatwiło mi sprawę.

– Ale skoro Kearsage przyznał, że to co powiedziała

Maddie było prawdą, czemu zerwałeś z nią stosunki? – spytała cicho Stevie.

Szli przez chwilę w milczeniu. Ich oczom ukazały się rezydencje – włoskie marmurowe pałace z dachówkami połyskującymi czerwienią w świetle księżyca. Stevie poczuła, jak Jack zмага się z jej pytaniem. Wzięła go za rękę.

– Zerwałem z nią stosunki, bo bardzo mnie kochała – odezwał się po chwili, gdy był w stanie mówić. – Bo znała całą prawdę i stała po mojej stronie. Nie mogłem znieść myśli, że rozgniewała się w moim imieniu na Emmę. Chciałem się od niej odgradzić, zamknąć całą sprawę ze względu na Nell. Prawda była zbyt niszcząca, nie mogłem dopuścić do tego, by Nell się dowiedziała. Jest mądra i bardzo inteligentna. W ciągu dwu sekund zorientowałaby się, że coś jest nie tak. Nie chciałem, żeby źle myślała o matce.

– Myślę, że żadnej z nich nie doceniałeś – powiedziała Stevie.

Nie odpowiedział. Minęli Marble House i weszli do tunelu biegnącego pod – jak głosił szyld – chińskim domkiem pani Vander Gilt. Panowały tam kompletne ciemności. Szli wolno, trzymając się za ręce.

– Madeleine nigdy nie skrzywdziłaby Nell ani nie zabiłaby jej miłości do Emmy. Zresztą nikt i nic nie zdołałoby zmienić uczuć Nell do matki.

– Skąd wiesz? – spytał Jack.

– Pamiętasz, jak mnie odnalazła? Szukała kobiety, która

mieszkała w niebieskim domu, bo wiedziała, że jest najlepszą przyjaciółką matki. Ona nie mnie szukała.

– Tęskniła za matką.

– Tak.

– Może tak było na początku – stwierdził Jack. – Lecz potem cię pokochała.

– Z wzajemnością.

Wyszli z tunelu prosto w oślepiający blask księżyca. Stevie pomyślała o tym, że każdy musi sam odnaleźć drogę do światłości. To długi i trudny proces i nie da się go przyspieszyć. Chociaż bardzo chciała pogodzić Jacka z siostrą, on sam musiał znaleźć swoją drogę.

– O czym myślisz? – spytał.

– Że w tej chwili czuję się bardzo dorosła. W życiu zdarzają się straszne rzeczy, to niesprawiedliwe, nie prosiliśmy się o nie, ale kiedy wreszcie dochodzimy do siebie, uświadomiamy sobie, że jesteśmy o niebo dojrzałsi.

– Życie nas kształtuje.

– Tak. Niespiesznie i po troszeczkę.

– A tobie jaki nadało kształt? – zapytał.

Musiała się zastanowić. Oparli się o ścianę i zapatrzyli na iskrzącą się srebrem przestrzeń oceanu ciągnącą się hen, do Szkocji.

– Kobiety, która ufa sobie, która poznaje swoje serce i która bardzo kocha bliskich sobie ludzi. A tobie?

– Człowieka, który uciekał z miejsca, gdzie powinien być, i który wrócił.

Stevie objęła go za szyję i pocałowała mocno i długo. Przytulił ją do piersi, by poczuć, jak ich serca biją jednym rytmem.

W tym magicznym procesie, jakim była miłość, wszystko działa się tak nieoczekiwanie. Jej strach zniknął. Jego strach się ulotnił.

Miłość wszystko zmienia, pomyślała. Pojawienie się Nell w jej domu odmieniło życie dwu rodzin. Od tak dawna Stevie obserwowała ptaki z nadzieją, że nauczą ją czegoś o życiu, malowaniu i przemijaniu. Czyżby mała dziewczynka, najmłodsza wakacyjna przyjaciółka, okazała się od nich mądrzejsza?

– Nie powinniśmy wrócić do hotelu? – spytał Jack.

– Tak.

– Henry przeniósł się do Doreen. Mam pokój dla siebie.

– Pomyślałam o tym samym.

– Nie będziemy mieli dla siebie całej nocy – wyszeptał i z ustami przy jej szyi. – Nell na ciebie czeka.

– Jakoś sobie z tym poradzę – odszepnęła, czując dreszcz przechodzący wzdłuż kręgosłupa.

Ruszyli w drogę powrotną, patrząc na morze. Kiedy znaleźli się w tunelu, nie wydawał się już taki ciemny. O ile jest łatwiej, gdy się wie, że ma się przed sobą jasno oświetloną drogę, pomyślała Stevie. Łatwiej jest, gdy ktoś trzyma cię za rękę w ciemności i nie zamierza puścić. Mocniej ścisnęła Jacka za rękę.

Kiedy dotarli do hotelu, była już prawie północ. Jack spojrzął w górę i zobaczył, że wszystkie okna są ciemne.

Może Nell zdołała jednak usnąć. Tylko na werandzie i w hallu paliły się światła. Weszli cicho na górę, śmiejąc się, gdy schody zaskrzypiały pod ich stopami.

Stevie poszła zajrzeć do Nell. Jack czekał na nią, opierając się o drzwi na drugim końcu korytarza. Patrzył, jak idzie ku niemu z uśmiechem na ustach. Cienie tworzyły wzory na jej twarzy, łagodząc wydatne kości policzkowe i prostą linię włosów.

– Śpi – szepnęła Stevie. – Obie śpią.

– To dobrze – powiedział, otwierając drzwi. – Nie zauważą, że cię nie ma.

Otoczył ją ramionami i trwał tak przez kilka chwil, kołysząc w objęciach. Pomyślał, że choćby dla tego jednego momentu warto było przebyć tyle tysięcy kilometrów. Przez okna do wnętrza pokoju sączyło się białe światło księżyca. Odchylił się, by spojrzeć Stevie w oczy. Były fiołkowe, tajemnicze, lecz płonęły takim żarem, że aż serce mu się ścisnęło. Przeraziła go własna reakcja. Nie przyznałby się do tego, lecz przez ostatnie kilka lat żył pod wielką presją. Popełnił tyle błędów, wepchnął żonę w ramiona księdza. Jak mógł to zrobić? Jak mógł popełnić taką pomyłkę?

– Już wszystko dobrze – szepnęła.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Nie czujesz tego?

– Aż za bardzo. I to mnie niepokoi.

Zaśmiała się, a wtedy ją pocałował. Była taka niska, głową sięgała mu zaledwie do połowy klatki piersiowej.

Wydawała się delikatna i krucha, lecz miała w sobie tyle seksapilu i wewnętrznej siły. Zapragnął posiąść ją całą.

Podeszli do łóżka i usiedli na brzegu. Rozpiął jej bluzkę i dotknął ustami szyi, czując pulsowanie serca. Przesunął dłońmi wzdłuż jej boków, patrząc, jak twardnieją jej sutki, po czym chwycił je ustami.

Jęknęła, a on poczuł zalewającą go falę pożądania. Pragnął Stevie od chwili, gdy ujrzał ją nad brzegiem morza. Może to jej samotność zrobiła na nim największe wrażenie. Ale musiał się o niej dowiedzieć więcej, lepiej ją poznać, musiał się przekonać, czy zna odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Sięgnęła do jego spodni i zaśmiała się lekko, zawstydzona, że nie może ich rozpiąć jedną ręką. Pomógł jej, nie spuszczając z niej wzroku, myśląc o tym, jak bardzo tego pragnął, jak dziko jej pożąda. Nie tylko ciała, które było piękne i seksowne i przyprawiało o zawrót głowy, lecz również tych ukrytych partii niewidocznych dla oczu. Czuł, że jest równie samotna jak on, pomimo kilku małżeństw, kochanków, pomimo tragedii z Emmą, pomimo życiowych dramatów, że los ich połączył i zaczynają wszystko od nowa.

Jej małe gorące dłonie zsunęły mu bokserki, rozpalając go do białości. Musnął palcami jej biodra, zdejmując czarne figi. Ostatni raz kochali się na tratwie. Byli rozbici wewnętrznie i potem nie umieli nawet razem dopłynąć do brzegu. Teraz jednak miało być inaczej.

Była wilgotna, gdy w nią wszedł. Objęła go ciasno

nogami. Krew pulsowała mu w żyłach niczym woda płynąca kanałem. Zacisnęła mu palce na ramionach, uniosła głowę i przywarła do jego ust. Nigdy dotąd nie czuł takiej bliskości, takiego fizycznego zespolenia, lecz po chwili zapomniał o wszystkim, wiedział jedynie, że jest teraz z nią tu, w tym miejscu, w tym pokoju. Tuliła się do niego zachłannie, ocierając się piersiami o jego tors, wyginając ciało w łuk, wychodząc mu na spotkanie. Osiągnęli spełnienie, poznając nowe wyżyny rozkoszy. Światło księżyca zalewało pokój pulsującym światłem, które odbijało się od powierzchni morza. Fiołkowe oczy Stevie okolone gęstymi czarnymi rzęsami jaśniały blaskiem.

– Nie chcę, żeby to się skończyło – powiedział, odsuwając jej włosy z wilgotnego czoła.

– Myślisz, że zdołalibyśmy od tego uciec, nawet gdybyśmy próbowali? – spytała.

– Nie rozumiem.

– To coś silniejszego od nas. Oboje staraliśmy się nie dopuścić do siebie tego uczucia, broniliśmy mu wstępu.

– Jak twoja tabliczka – odpowiedział. – Proszę stąd odejść.

– Ty też miałeś taką tabliczkę, znacznie większą od mojej, cały billboard. Widziałam, jak świeci i miga.

– Zrobiłem w życiu mnóstwo głupstw.

– Ja też – przyznała.

– Przeczytałem Nell wszystkie twoje książki. Są wspaniałe. Ale wiesz, wprowadziły mnie w zdenerwowanie.

Bo okazało się, że nawet ptaki potrafią podejmować mądrzejsze decyzje w życiu.

– Moje postacie zawsze wiedzą więcej ode mnie. Wynika z tego, że skoro ja je wymyśliłam, to muszę wiedzieć więcej, niż mi się wydaje.

– To ma sens. Ja chyba też, skoro jestem tutaj, a nie pięć tysięcy kilometrów stąd.

– Aida by powiedziała, że mamy oboje dużo Louisa Vuittona.

Pokręcił głową, nie rozumiejąc tej przenośni.

– Duży bagaż doświadczeń.

– A tak, to prawda – przyznał.

– Myślę jednak, że najważniejsze jest jeszcze coś – powiedziała, gładząc go po policzku.

– Co? – zapytał. Bardzo pragnął poznać odpowiedź.

– To, że mamy siebie i Nell.

W tym stwierdzeniu było tyle prawdy, że nie pozostało już nic więcej do powiedzenia.

Rozdział 29

Ślub miał się odbyć w kościele St. Mary przy Spring Street, którego okazała neogotycka wieża górowała nad miastem. Przy drzwiach frontowych piał się po ścianie milin z czerwonymi trąbkowatymi kwiatami głoszącymi nadzieję i radość. Dwunastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku wzięli w nim ślub John F. Kennedy i Jacqueline Bouvier. Doreen Donnelly była tutaj chrzczona i przystąpiła do pierwszej komunii i bierzmowania. Tam też odbyły się nabożeństwa pogrzebowe po śmierci jej rodziców.

Henry z trudem panował nad nerwami.

– Na pewno wszystko pokręcę – powiedział do Stevie, stojąc na stopniach przed wejściem. Ona i Nell przyszły tu na piechotę z hotelu, by dotrzymać towarzystwa Henry'emu, gdy Aida pomagała Doreen się ubrać. – Wiesz, ile dla niej znaczy ślub w tym kościele? Czekala na to przez całe życie. Przecież brała tu ślub Jackie Kennedy. Wystarczy, że zobaczę ją w welonie, z wiazanką kwiatów w ręku, i zmienię się w totalnego mazgaja.

Nell zachichotała.

– Co w tym takiego śmiesznego, młoda damo? – spytał Henry.

– Nie mogę sobie wyobrazić pana jako mazgaja w tym białym mundurze.

– Rzeczywiście szykowny z siebie pan młody, komandorze – stwierdziła Stevie.

Czuła się niewiarygodnie lekka i szczęśliwa na myśl, że Jack rozmawia w tej chwili z Madeleine i wkrótce go zobaczy. Spędzili ze sobą całą noc aż do świtu. Kochali się jeszcze raz, a potem Stevie wróciła do swojego pokoju na sofę.

– A co to za wstążki, które ma pan na piersi? – spytała Nell.

– To są pamiątki z lat spędzonych w marynarce – odpowiedział.

– Henry ma wiele orderów na swoim koncie – wtrąciła Stevie, otaczając Nell ramieniem. – Żeglował po morzach całego świata, brał udział w wielu bitwach...

– Ironia przez ciebie przemawia – burknął Henry. – Mów tak dalej.

– A to co za order? – spytała Nell, stając na palcach.

Stevie też nie wiedziała, czekała więc na wyjaśnienia. Henry zaczerwienił się, co było dość zaskakującą reakcją.

– To Purpurowe Serce – wyjaśnił po chwili.

– A za co się go dostaje? – spytała Nell.

– Za rany odniesione w walce.

Stevie spojrzała na niego zaskoczona. Czuła się taka radosna i podekscytowana ślubem, że jego słowa były dla niej szokiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

– To było w okolicy Bahrajnu, podczas wojny w Zatoce Perskiej. Dostałem odłamkiem pocisku.

– Byłeś ranny? – spytała Stevie. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Nie powiedziałem Aidzie, bo nie chciałem jej denerwować. I tak już martwiła się tym, że trafiłem do Zatoki Perskiej. Poza tym to nie było nic poważnego.

– Od kiedy zranienie odłamkiem pocisku to nic poważnego?

– Gdy obok giną koledzy...

Stevie zerknęła na Nell w obawie, że rozmowa ją zdenerwuje. Ku jej zaskoczeniu dziewczynka przysunęła się bliżej.

– Pańscy przyjaciele zginęli?

– Tak – odpowiedział.

– A pan był tylko ranny, dlatego uważa pan, że to nic takiego.

Kiwnął głową.

– To tak jak z moją mamą i ciocią – stwierdziła Nell.

– Ciocia nie wiedziała, jak ma dalej żyć po śmierci mamy. My też z tatą nie wiedzieliśmy. Było nam bardzo smutno, lecz uważaliśmy, że nie powinniśmy się skarżyć, bo mama...

– Bo w porównaniu ze śmiercią mamy nie było to nic takiego – dokończył Henry.

Nell kiwnęła głową. Stevie przyglądała się dwóm osobom, które kochała najbardziej na świecie – emerytowanemu oficerowi marynarki i dziewięcioletniej

dziewczynce.

– Ale to też jest bolesne przeżycie – powiedziała.

– Utrata ludzi, których się kocha.

Zobaczyła, że Henry odpina baretkę zastępującą order Purpurowego Serca, po czym przypina ją Nell do sukienki.

– Dlaczego pan mi to daje? – spytała Nell.

– Bo zasłużyłaś na order. Jesteś dzielnym marynarzem, Nell Kilvert.

– Dziękuję – powiedziała, dotykając baretki.

– Żałuję, że nie mam jeszcze jednej dla ciebie. – Popatrzył na Stevie, unosząc brew.

– Dla mnie? – zdziwiła się.

Kiwnął głową.

– Za te wszystkie rozbite łodzie i za to, że udało ci się przeżyć.

Roześmiała się i zamrugła powiekami, by ukryć łzy. Nie mylił się. Tak mocno krwawiło jej serce, że odgrodziła się od świata. Zabarykadowała się w ukochanym domku, malując i pisząc miłosne historie o ptakach. Wtedy zjawili się Kilvertowie.

– Sądzę jednak, że nie potrzebujesz drugiego serca. Twoje własne jest w świetnej kondycji.

– Masz rację – odpowiedziała, przysuwając się do Nell.

– I jeszcze jedno: rozglądaj się dziś uważnie. Wiem, że szłaś już główną nawą, lecz dziś Doreen i ja pokazemy ci, jak należy to robić. Dobre rzeczy trafiają się tym, którzy umieją czekać.

– Mówisz o sobie czy o mnie?

– O nas obojgu – odparł. – Musisz przyznać, że mamy za sobą piekielnie wyboistą drogę. Najwyższy czas znaleźć jakąś spokojną przystań.

Jack i Madeleine zaczekali, aż wszyscy wsiedą do samochodów, po czym wyruszyli do kościoła na piechotę.

Dzień wstał słoneczny i przejrzysty. Jack przypomniał sobie równie piękne wrześnie dni, gdy chodził z siostrą do szkoły, parku Goodwina i na korty tenisowe. Z każdym krokiem wspomnienia stawały się bardziej wyraziste.

– Jak myślisz, co mogło znaczyć...? – zaczął.

– Dlaczego przyleciałeś...? – powiedziała w tym samym czasie.

Roześmiali się.

– Ty mów pierwszy – powiedziała Madeleine.

– Dobrze. Jak myślisz, co mogło znaczyć to, że byliście razem ze Stevie, gdy przyjechaliśmy z Nell?

– Mam swoją teorię – odparła. – Ale powiedz, co ty o tym sądzisz.

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Wiem tylko, że chciałem was obie zobaczyć. Ślub Henry'ego był pretekstem, by przyjechać już teraz, w ten weekend. Nell nie darowałaby mi, gdybyśmy nie przyjechali. Weszliśmy do hotelu i Aida powiedziała, że Stevie umówiła się na kolację w restauracji przy plaży. Pokazała, gdzie to jest, więc poszedłem tam.

– A my tam byliśmy.

– Tak.

– Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam: on mnie nienawidzi. Zaraz się odwróci i odejdzie. – Głos jej się załamał.

– Maddie, nie nienawidzę cię. Wprost przeciwnie.

– Wszystko na to wskazywało. I przez ten rok nienawidziłam siebie.

– Dlaczego?

– Jesteś moim starszym bratem, Jack. Gdy się ode mnie odwróciłeś, myślałam, że zrobiłam coś strasznego. Nie chciałeś mi wybaczyć, musiałam więc zrobić coś okropnego.

– A czy nie mogło to znaczyć, że jestem głupcem i popełniłem wielki błąd?

– Jesteś moim starszym bratem – powtórzyła.

To szczerze i niewinne stwierdzenie trafiło go prosto w serce.

– Ciągle sobie powtarzałam, że nie powinnam była namawiać Emmy na ten wyjazd, nie powinnam była ci mówić, co mi powiedziała, nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Nie wiedziałam, czy przestałeś się do mnie odzywać z powodu tego, co Emma mi powiedziała, czy dlatego, że zginęła.

– Sam tego nie wiedziałem – przyznał Jack.

Droga stała się bardziej stroma i Madeleine się zasapała. Zawsze była delikatną uczuciową dziewczyną i miała wielkie serce. I uwielbiała starszego brata.

Przypomniał sobie o tym i zwolnił kroku.

– Ja tylko chciałam pomóc – powiedziała. – I proszę, co z tego wyszło.

– Pomogłaś, Maddie. Widziałaś, że Emma jest nieszczęśliwa, i chciałaś być z nią, dać jej okazję do wygadania się.

– Zaprowadziłam ją na plażę, bo tam zawsze była najszczęśliwsza. Myślałam, że jeżeli posiedzimy na piasku, popływamy, pospacerujemy brzegiem morza... Myślałam, że morze ją oczyści, zmyje ból i Emma zrozumie, jak bardzo cię kocha.

– To powinno być moje zadanie – stwierdził.

– Chyba jej nie rozgrzeszasz.

– Nie wiem – odparł. – Pewnie tak.

– Nie możesz. Nie zapominaj o Nell.

Dotarli do ruchliwej ulicy. Od strony portu wiał chłodny wiatr. Na chodniku kładły się cienie majestatycznych drzew. Jack spojrzał na Maddie i zauważył, że jej oddech stał się jeszcze szybszy. Uświadomił sobie, jak bardzo kocha jego, Emmę, a zwłaszcza Nell. Zaprzagnął nagle cofnąć czas.

– Nie zapominam o Nell – odpowiedział.

– Emma chciała ją...

– Wiesz co? – wszedł jej w słowo. – Nie zrobiłaby tego.

Oczy Madeleine się rozszerzyły.

– Mogła ci tak powiedzieć. Emocje wzięły nad nią górę, nigdy jednak nie zostawiłaby Nell. Wiem to i ty też to wiesz.

– Myślałam, że ty mnie zostawiłeś – odparła.

Ciepły wiatr poruszył liście drzew. Trwało lato, lecz tuż za rogiem czekała już jesień. Głos siostry zagłuszały przejeżdżające samochody i szum wiatru. Jack przysunął się bliżej i wziął Maddie za rękę.

– Nigdy bym cię nie zostawił – powiedział. – Jesteś moją siostrą.

Szli przez chwilę w milczeniu. Jack przypomniał sobie, jak kiedyś razem spacerowali. Gdy dostała pierwszą trójkę ze szkolnego testu, gdy przewróciła się na boisku przed całą klasą, gdy zginął jej kot i w ten poranek, gdy szli do kościoła na pogrzeb matki.

– Tak się cieszę, że wróciłeś – wyznała Madeleine. – Czy...

Czekał, aż dokończy pytanie.

– Czy powodem była Stevie?

– Stevie przyspieszyła sprawę – przyznał. – Lecz to i tak musiało nastąpić.

– Stevie bardzo kocha Nell i...

Czekał, czując, jak serce zaczyna mu szybciej bić.

– Co?

– Ciebie.

– To dobrze – odpowiedział. – Bo ja ją też.

– Więc co robiłeś w Szkocji? – spytała.

– Zastanawiałem się, jak szybko mogę wrócić.

– Wrócić?

Kiwnął głową.

– Złożyłem wymówienie w IR. Moja firma nie może

mnie ponownie zatrudnić, bo nie przyjmują nikogo bez konkursu. Mam więc trochę wolnego czasu i pomyślałem, że zajmę się zamkiem Aidy.

– O rany, Jack. Stevie mówiła, że jej ciotka już jest ci dozgonnie wdzięczna.

– Jest tylko jeden problem – stwierdził. – Odbudowa drogo kosztuje. Nawet jeżeli ofiaruję swoje usługi, pozostaje problem zapłacenia rachunków.

Madeleine błysnęła uśmiechem.

– Znam świetną specjalistkę od zbierania funduszy – powiedział Jack, także szeroko się uśmiechając. – Jest specem od inwestycji.

– Wzięłam sobie urlop na uniwersytecie.

– Więc masz czas?

– Zależy kto pyta. Dla brata zawsze.

– W takim razie pytam.

– W takim razie jak najbardziej.

Ich oczom ukazała się ciemna i dostojna wieża kościoła St. Mary. Jack spojrzął na strzelistą iglicę wznoszącą się ku błękitnemu niebu. Pomyślał, że wskazuje mu kierunek – w górę, ku marzeniom. Odebrał to jako wiadomość od Emmy, że czuwa nad Nell, że będzie przy niej, gdy zajdzie taka potrzeba. Słyszał jej głos tak wyraźnie, jakby szeptała mu do ucha.

Stevie i Nell uspokajały Henry'ego, czekając z nim przed kościołem. Pachniały kwiaty milinu i późnych petunii, które działały kojąco na zdenerwowanego pana

młodego. Kiedy przyszedł czas, wszedł do kościoła, by czekać przed ołtarzem na pannę młodą. Po chwili zajechały samochody z Doreen, świadkową i druhną. Kilka minut później pojawiła się Aida.

Nadeszła pora rozpoczęcia uroczystości. Organy rozbrzmiały muzyką Bacha. Gdzie byli Jack i Madeleine? Stevie czuła, że Nell zaczyna się denerwować. Chodziła wzdłuż chodnika, wyciągając szyję w kierunku hotelu. Stevie starała się czymś ją zająć, opowiadając o najnowszej książce, lecz dziewczynka nie mogła się skupić. Pewnie myślała, że ojciec i ciotka się pokłócili, powiedzieli sobie kilka ostrych słów lub wyładowali na sobie swój gniew. Nell z każdą chwilą stawała się bledsza. Splotała i rozplatała palce i zagryzała wargę.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła ją Stevie.

– Skąd wiesz? – spytała Nell.

– Po prostu wiem. Są na to gotowi.

– Ale skąd masz tę pewność? – spytała Nell z taką gwałtownością w głosie, że Stevie musiała się chwilę zastanowić nad odpowiedzią.

Pomyślała o swoim życiu. Była samotnicą, do towarzystwa miała tylko Tilly i pracę. Całą miłość, pasję, radość i podziw dla życia przelała na ptaki. Tabliczka przed domem tkwiła tam tak długo, że zaczęła ją oplatać dzika winorośl. Na jej czubku siadały zięby. Stała się taką samą częścią domu jak drzwi wejściowe, posłanie Tilly czy sztalugi. Aż pewnego dnia nadszedł czas, by ją zdjąć. Nie mogła przyspieszyć tej decyzji ani o dzień, ani o

minutę.

– Wiesz, jak wyglądają tulipany? – spytała.

– Tak, to piękne kwiaty – odpowiedziała Nell.

– Piękne. Wyrastają z cebulek.

– Wiem. Pomagałam mamie sadzić je w ogrodzie.

– Wiesz więc, że sadzi się je na jesieni – powiedziała Stevie. – Kopiesz w ziemi dołki, wkładasz do nich cebulki i zasypujesz ziemią. Leżą tam przez całą zimę. Pada śnieg i ziemia zamarza, przykryta warstwą suchych liści. Wędrownie ptaki odleciały na południe...

– Kolibry...

– Kolibry są daleko, tam gdzie jest ciepło i świeci słońce. Lecz ogród, w którym zasadziłaś cebulki, jest skuty lodem. Niebo jest szare i wydaje się, że śnieg i zimny deszcz nigdy nie przestaną padać.

– Zimy trwają wiecznie – szepnęła Nell.

– No właśnie. Ale nam się tylko wydaje, że zimy trwają wiecznie. Kiedy już zapomnieliśmy, gdzie posadziliśmy cebulki, pewnego dnia pojawiają się pierwsze pędy. Wychodzą z ziemi, która zaledwie przed kilkoma tygodniami była jeszcze zmarznięta na kamień.

Nell kiwnęła głową, słuchając z uwagą.

– Tak właśnie jest z twoim tatą i ciocią – wyjaśniła Stevie.

Jednakże kiedy organy zaczęły głośniejsz grać i Doreen z Aidą szykowały się do wejścia do kościoła, Stevie poczuła ucisk w żołądku. A jeżeli się myli? Jeżeli gniew Jacka okazał się zbyt głęboki, a ból Madeleine zbyt

dotkliwy? Lecz w tej właśnie chwili zobaczyła, jak wychodzą z za rogu na Spring Street. Kiedy dotarli do stóp schodów, orszak weselny wszedł do kościoła. Madeleine pocałowała Nell w czubek głowy, uśmiechnęła się promiennie do Stevie i oddała jej rękę Jacka.

– Od jednej wakacyjnej przyjaciółki do drugiej. Opiekuj się moim bratem – powiedziała, po czym wbiegła po schodach do kościoła.

Stevie została z Jackiem. Nell tańczyła przed nimi podekscytowana. Jack spojrzał na Stevie w oczy, a ona nie była w stanie odwrócić wzroku. To kwestia wiary, pomyślała. Tak trudno się na nią zdobyć, gdy cebulki tkwią w ziemi, a ukochana osoba nie wyszła jeszcze z za rogu, gdy mała, ręcznie malowana tabliczka trzyma gości z dala od domu.

– Chodźcie, bo spóźnimy się na ślub – powiedziała Nell.

– Nigdy w życiu – odparła Stevie.

– Nie ma mowy – zaśmiał się Jack.

Zaczęli wchodzić po schodach. Stevie poczuła wiatr wiejący jej w plecy od strony portu, cypla Hubbarda, wyspy St. Simons i Orkadów. Wszystko miało ze sobą jakiś związek. Wiedziała, że Emma jest z Nell i zawsze będzie. Wypowiedziała w myślach płynącą z serca obietnicę: „Zaopiekuję się nimi, Emmo, i będę ich kochać”. Te słowa brzmiały jej w uszach równie wyraźnie jak dzwony kościelne. I taka sama była odpowiedź Emmy.

– Spójrzcie! – wykrzyknęła nagle Nell z zachwytem.

W pięknych czerwonych kwiatach w kształcie trąbek pojawiła się para kolibrów. Trzepotały skrzydełkami, racząc się nektarem. Stevie miała świadomość, że to tylko ptaki, pomimo tego że nadawała im ludzkie cechy. Lecz cóż to znaczyło wobec ich pragnienia bycia razem, pokonywania każdego roku tysięcy kilometrów, powrotów i zachęcania jej do wytrwałości w tym, co robiła? Milin, który rósł na grobie matki, u stóp kamiennego anioła, wabił do siebie kolibry, żeby dotrzymywały jej towarzystwa. Emma mówiła jej kiedyś, żeby o tym napisała.

– Dziękuję – szepnęła.

– Dlaczego im dziękujesz? – spytała Nell.

Stevie popatrzyła na Jacka. Uśmiechał się, jakby już wiedział.

– Powiem ci po ślubie – odparta Stevie.

Wszyscy troje wzięli się za ręce. Idąca w środku Nell tak mocno zacisnęła palce na ich dłoniach, jakby już nigdy nie chciała ich puścić. Otwierając ciężkie drzwi, Jack spojrzał na Stevie ponad głową córki, po czym cała trójka weszła do środka.